

JULIETTE BENZONI

Katarzyna Tom 5

Catherine: Catherine et le temps d'aimer. Tome V

Tłumaczyła: *Barbara Radczak*

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

KLASZTOR W AUBRAC

Mgła stawała się coraz gęstsza. Jej długie, szare wstęgi owinęły niby jakiś wilgotny całun gromadę strudzonych pielgrzymów. Wiele już dni wędrowali tak wśród bezkresnego pustkowia, a mimo to nic nie wskazywało, że cel jest blisko. Zerwał się wiatr i z potężnym wyciem nadciągnął znad wyżyny, rozpędzając na chwilę opary mgły, która po chwili odrodziła się jeszcze cięższa i bardziej nieprzenikniona.

Katarzyna szła pochylona i ze spuszczoną głową, ukrytą pod wielkim kapeluszem szarpanym przez wiatr. Ściskając poły targanej lodowatymi podmuchami peleryny, opierała się z całej siły na kosturze. Minęło już pięć dni, odkąd wyruszyli z Le Puy, zdążyła więc się przekonać, jak nieoceniony jest ten kij, kiedy zaczyna ciążyć zmęczenie. Tak jak w tej chwili, kiedy sama ledwo powłócząc nogami podtrzymywała na dodatek Gillette de Vauchelles. Była to czterdziestoletnia wdowa, kobieta o usposobieniu łagodnym i melancholijnym. Na jej twarzy malował się nieuleczalny smutek, a piersią wstrząsał suchy kaszel. Pochodziła z dobrego domu, była wykształcona i głęboko wierząca. Katarzyna widząc, że z ledwością trzyma się na nogach i z trudem chwyta oddech, natychmiast ofiarowała jej swą pomoc. Gillette jednak najpierw odmówiła.

– Będę ci ciężarem, siostrze... Wystarczy ci twój własny krzyż.

Tak było w istocie. Trud całego dnia ciążył Katarzynie, a stopy, obtarte przez cizmy z nie wyprawionej skóry, piekły dotkliwie. Pomimo to czuła, że musi przyjść z pomocą towarzyszce niedoli. Uśmiechnęła się do niej przyjaźnie.

– Nic mi nie jest! A we dwie będzie nam raźniej.

Kobiety, podpierając się wzajemnie, pokonywały okrutną drogę, która w miarę upływu czasu stawała się coraz cięższa.

Pielgrzymi opuścili stodoły w Malbouzon o świcie, zamierzając tego dnia dotrzeć do przeorstwa w Nasbinals, odległego o niewiele ponad milę drogi. Wkrótce jednak nad okolicą zaległa mgła i zabłądzili. Nigdzie nie było widać kamiennego muru, który powinien wznosić się przy drodze wiodącej do celu. Wtedy przewodnik zwołał ich wszystkich i powiedział:

– Musimy iść dalej tą drogą, choć nie wiemy, dokąd nas zawiedzie. Jeśli zboczymy, będziemy krążyć w kółko we mgle. Nie pozostaje nam nic innego, jak zdać się na łaskę niebios!

Jego słowa zostały przyjęte szeptem aprobaty. Przetłumaczono je Szwajcarom i Niemcom, którzy szli w tyle. Żaden z nich nie zgłosił sprzeciwu, tak wielkim posłuchem cieszył się przewodnik wśród tej zróżnicowanej gromady. Katarzyna nie wiedziała właściwie, co ma o nim sądzić. Słyszała, że nazywa się Gerbert Bohat i że jest jednym z najbogatszych mieszczan w Clermont, ale inaczej go sobie wyobrażała. Był wysoki, chudy i miał wygląd ascety. Jednak jego niespokojna twarz zdradzała kłębiące się w nim uczucia. Zazwyczaj w jego szarych oczach malowała się chęć dominacji, lecz od czasu do czasu dał się w nich zauważyć jakiś niepokój, nieomalże strach. Był nieprzystępny, choć miał wszelkie cechy przywódcy. Tym niemniej Katarzyna

była przekonana, że Gerbert nienawidzi kobiet. Zawsze zwracał się do niej chłodnym, ledwo uprzejmym tonem, podczas gdy dla innych pielgrzymów był bardzo miły. Kiedy jednak przychodziła godzina modlitwy, Katarzynie zdawało się, że dusza tego mężczyzny płonie...

Wędrowcy szli więc w nieznane, aż nagle przed nimi, z oparów mgły, wyłonił się stary most nad potokiem.

– To Bès – objaśnił Gerbert – a ten most nazywa się Marchastel. W takim razie musimy iść prosto. Nie staniemy przeto w Nasbinals, lecz w klasztorze w Aubrac. W drogę!

Słowa przewodnika dodały wszystkim otuchy. Pielgrzymi zaintonowali pieśń i ruszyli przed siebie. W miarę jednak jak mgła zasnuwała okolice i droga stawała się niewidoczna, ich głosy, jeden po drugim, milkły. Czasem zza zasłony mgły ukazywało się zdradzieckie torfowisko, bagno czy głęboka przepaść lub szare siodło wzgórza, większą jednak część czasu trzeba było iść po omacku, z oczami utkwionymi w ziemię. Wkrótce zapadła noc, niosąc ze sobą swoje niebezpieczeństwa. Czy przyjdzie im nocować tutaj, na tym pustkowiu, poddać się biczowaniu wiatru niosącego drobne płatki śniegu, nie należącego do rzadkości na pustynnych połaciach Aubrac?

Zapał Katarzyny nie słabł pomimo psiej pogody i obtartych stóp. Była gotowa znieść sto razy więcej, żeby tylko odnaleźć ukochanego Arnolda.

Nagle Gillette de Vauchelles potknęła się i upadła, pociągając za sobą Katarzynę. Gerbert widząc zamieszanie, natychmiast pośpieszył do kobiet.

– Co tu się dzieje? Czy nie możecie patrzeć pod nogi?

Jego głos był surowy i całkowicie pozbawiony współczucia. Katarzyna, będąc u kresu sił, nie miała zamiaru znosić złego humoru Klermontczyka. Toteż jej odpowiedź zabrzmiała równie oschle.

– Moja towarzyszka jest już wykończona tą nie kończącą się drogą! Jeśli w ogóle coś takiego można nazwać drogą! A na dodatek ta mgła!

Gerbert wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

– Wędrujemy dopiero pięć dni! Ta niewiasta powinna zostać w domu, wiedząc, że jest chora! Pielgrzymka to nie rozrywka! Pan Bóg chce...

– Pan Bóg chce – przerwała ostro Katarzyna – aby okazywać bliźniemu miłosierdzie! Wielka mi zasługa podjąć trud wędrowki, kiedy jest się w pełni sił! Zamiast upomnień lepiej byś nam, panie, pomógł!

– Posłuchaj mnie, niewiasto! – odparł Gerbert. – Nikt cię nie pytał o zdanie! Moim obowiązkiem jest doprowadzić tę gromadę do grobowca świętego Jakuba! Inni mogą przyjść ci z pomocą!

– Ośmielam się zauważyć, panie, że nie jestem dla ciebie żadną „niewiastą” i że mam nazwisko: nazywam się Katarzyna de Montsalvy!

– Przemawia przez ciebie pycha! – odpalił Gerbert. – Nie zapominaj, że jesteś tylko częścią gromady grzeszników na drodze skruchy!

Pogardliwy i moralizatorski ton Klermontczyka rozzłościł do żywego Katarzynę.

– Łatwo ci mówić o pysze innych, „mój bracie” – przerwała, podkreślając specjalnie słowo „brat”. – Wydaje się, sądząc po żarliwości twego miłosierdzia, że temat ten znasz doskonale!

Na takie słowa w szarych oczach Gerberta błysnął gniew. Spojrzenia

przeciwników skrzyżowały się. Katarzyna jednak nie spuszczała oczu, ciesząc się w duchu ze zdenerwowania mężczyzny. Ten człowiek powinien wreszcie zrozumieć, że ona nigdy nie podda się jego woli. Widać to było wyraźnie w jej hardym spojrzeniu.

Nagle Gerbert uniósł wysoko swój pielgrzymi kostur, lecz w tej samej chwili ktoś z gromady chwycił podniesione ramię, zmuszając je, by opadło.

– Hola, bracie! Opanujże się! Nie zapominaj, że masz do czynienia z białogłową, nie z giermkim! Do diaska, wy w tej waszej dzikiej Owernii macie proste obyczaje – powiedział kpiącym tonem nieznajomy. – Lepiej byś pomyślał, panie, jakim sposobem wyprowadzić nas z tej mgły przeszywającej do szpiku kości. Nie pora tu i miejsce na spory, a ja sam potrafię wesprzeć towarzyszkę pani Katarzyny aż do następnego postoju... jeśli jakimś cudem uda się nam doń dotrzeć!

– W schronisku przyklasztornym otrzyma należytą opiekę – wymamrotał Gerbert, oddalając się na czoło gromady.

– Dopiero jak ujrzę dachy, uwierzę w to jego schronisko! – parsknął obrońca Katarzyny, pomagając jej podnieść nieszczęsną Gillette, pod którą ze zmęczenia uginały się nogi. – Tę kobietę trzeba nieść – dokończył, obrzucając gromadę spojrzeniem zachęty.

Katarzyna uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Do tej pory nie zauważyła tego człowieka pośród pielgrzymów, a teraz, przyglądając mu się z bliska, zwróciła uwagę na jego niezwykle jak na pielgrzymia wygląd. Był to młody, szczupły mężczyzna, średniego wzrostu, lecz jego twarz nie przypominała oblicza skruszonego pokutnika. Niezwykle wyrazista, nie miała w sobie nic wyważonego: grube, mięsiste wargi, długi, silny, złamany pośrodku nos, małe niebieskie oczy osłonięte bezbarwnymi brwiami, kwadratowy, znamionujący odwagę podbródek i mnóstwo przedwczesnych zmarszczek. Dopełniały jego fizjonomii grubo ciosane rysy, żywe spojrzenie zdradzające inteligencję i kpiące zmarszczki wokół ust. Widząc zaciekawienie w oczach nieznajomej, uśmiechnął się szeroko, zdjął z głowy swój zawadiacki kapelusz i zamiótł nim przed nią aż do samej ziemi.

– Josse Rallard, piękna pani, do usług! Paryżanin z urodzenia, a szlachcic z przypadku, udający się do Galicji, by spełnić ślubowanie, a także by odpokutować za liczne grzechy! Hej! Wy tam! Kto pomoże mi zanieść do schroniska tę niewiastę?

Spośród stojących w pobliżu pielgrzymów żaden się nie ruszył. Najwyraźniej wycieńczeni i zmarznięci na kość wędrowcy mieli dosyć swojej własnej męki. Wielu z nich trzęsło się od przeszywającego do szpiku kości wiatru. Żaden z nich nie palił się do dźwigania dodatkowego ciężaru. Katarzyna pomyślała, że wyglądają jak stado wystraszonych baranów i nie mogła opanować uczucia pogardy. To tak wyglądała w rzeczywistości wzajemna pomoc, która powinna królować wśród pokutników!

Tymczasem Gerbert Bohat rzucił hasło do wymarszu. W tej chwili Josse przedarł się przez otaczającą go gromadę i dotarł do niewysokiego osobnika, ukrywającego twarz pod kapeluszem i klepnawszy go przyjacielsko po plecach rzekł:

– Hej, kumie! Ty chyba nie odmówisz pomocy? Czy kto kiedy widział

takich pobożnych ludzi, jak wy, moi bracia? Co? Nie ma chętnych?

– Nie jestem twoim kumem... – wymamrotał człek spod kapelusza, lecz nie śmiąc odmówić, wkrótce znalazł się przy kobietach. Najwyraźniej jednak nie było mu to w smak. Josse, widząc jego nastroszoną minę, roześmiał się całą gębą.

– Dalejże! Czyż obaj nie jesteśmy paryżaninami? Pycha to ciężki grzech, bracie, a zwłaszcza u pielgrzyma! Katarzyno! Przedstawiam pani pana Colina des Epinettesa, wytrawnego jurystę i człowieka wielkiej umysłowości, którego szczęśliwy traf pozwolił mi tutaj spotkać. Dalejże, miły bracie, chwyć panią Gillette z jednej strony, ja zaś chwyć ją z drugiej! Nie godzi się, by trudziła się pani Katarzyna, kiedy my jesteśmy pod ręką!

Katarzyna, widząc minę „wytrawnego jurysty”, parsknęła śmiechem, a jej zmęczenie na chwilę ustąpiło. Mogłaby przysiąc, że słyszy, jak nieznajomy wygraża pod adresem swego dręczyciela: „Do diabła z tobą i tym twoim jadowitym językiem”.

Tymczasem Josse, nie zwlekając, zarzucił sobie na szyję jedno ramię Gillette, więc Colin, chcąc nie chcąc, zarzucił drugie. Biedaczka prawie oderwała się od ziemi. Katarzyna wzięła jej kostur i ubogą sakwę. Ruszono w drogę.

Jednak na następnym postoju pielgrzymom rozwiązały się języki. Jedni skarżyli się na długi marsz bez odpoczynku, inni na otaczające ich ciemności, jeszcze inni obawiali się zdradzieckich torfowisk i wznosili modły do świętego Jakuba, by miał ich w swojej opiece.

– Przestańcie, do licha! – krzyknął wreszcie niewidoczny we mgle Gerbert. – Zaśpiewajcie coś!

– Nie mamy ochoty! – zawołał któryś z pokutników. – Spójrzmy wreszcie prawdzie w oczy: jesteśmy zgubieni!

– Nieprawda! – odpalił przewodnik. – Schronisko nie może już być daleko!

Katarzyna również otworzyła usta, by wyrazić swoje wątpliwości, kiedy, jakby na potwierdzenie słów Klermontczyka, doszedł jej uszu niewyraźny dźwięk dzwonów. Bohat wydał okrzyk triumfu.

– A nie mówiłem! To dzwon błędzających! Jesteśmy na dobrej drodze! Dalej! Ruszajmy! – I wymachując nad głową kosturem, pierwszy rzucił się w kierunku, skąd dobiegły dźwięki. Gromada pokutników chwiejnym krokiem ruszyła w jego ślady.

– Miejmy nadzieję, że potrafi orientować się w terenie... – wymamrotał Josse. – Nie ma nic bardziej zwodniczego niż mgła!

Bicie dzwonu stawało się na szczęście coraz bliższe. Wkrótce w ciemności zabłysło słabe, żółte światło, które Gerbert powitał jak swoje osobiste zwycięstwo.

– To mnisi na szczycie dzwonnicy zapalili pochodnie dla błędzających. Jesteśmy na miejscu!

W tej chwili mgła rozstąpiła się i Katarzyna ujrzała przed sobą skupisko przysadzistych budynków z wysoką wieżą i potężną, kwadratową dzwonnicyą. Schronisko, wciśnięte w ostatni fałd wyżyny, wyglądało jak prawdziwa forteca. Na ten widok pielgrzymi zaczęli wiwatować, zagłuszając dźwięki dzwonu, które

spadały teraz prosto na ich głowy. Z głośnym skrzypieniem otworzyła się przed nimi wielka brama, przepuszczając trzech mnichów oświetlających sobie drogę łuczywami.

– Jesteśmy pielgrzymami! – krzyknął Gerbert donośnym głosem. – Przyszliśmy prosić o schronienie!

– Wejdźcie, bracia, schronisko stoi przed wami otworem! – odparli chórem mnisi.

Śnieg jakby tylko czekał na nadejście wędrowców, gdyż w tej chwili zaczął prószyć, bieląc obszerny dziedziniec, na którym nozdrza przybyszów wypełniła silna woń owczarni.

Katarzyna tego wieczoru miała ochotę na odrobinę samotności. Nie uśmiechał jej się odpoczynek we wspólnej sali. Ta dziwna wędrówka napełniła ją mieszanymi uczuciami. Czuła się obco wśród tych ludzi, obce też były dla niej ich cele i śluby. Oni wszyscy pragnęli duchowej przemiany zbliżając się do grobowca świętego Jakuba, jakby już za życia chcieli zapewnić sobie wstęp do raju. Lecz ona? To prawda, że pragnęła, by Bóg pozwolił jej dojść do końca tej drogi krzyżowej i uzdrowił ukochanego męża. Jednak nie chodziło jej o żadne wzloty duchowe, lecz o odzyskanie mężowskiej miłości, jak najbardziej ziemskiej i cielesnej. Pragnęła jego pocałunków i jego ciała, słowem – Arnolda z krwi i kości, bez którego nie miała ochoty żyć...

– Rozdzielmy się teraz! – rzucił krótko Bohat. – Niewiasty niech pójdą z zakonnicami, a mężczyźni ze mną!

W tej chwili z jednego z budynków wyszły cztery siostry miłosierdzia odziane w czarne habity jak mnisi, z tą tylko różnicą, że każda z nich nosiła do tego biały barbet* [*Barbet – biała bluzka noszona przez zakonnice.], dzięki któremu habit zyskiwał na lekkości.

– Moja towarzyszka jest wyczerpana – wyjaśniła Katarzyna. – Potrzebuje spokoju i odpoczynku. Czy nie macie jakiegoś osobnego pokoju, gdzie mogłabym się nią zająć?

Siostra Leonarda, jedna z tych silnych, wiejskich dziewczyn, nie czujących strachu ani przed człowiekiem, ani przed zwierzęciem, spojrzała na Katarzynę ze zniecierpliwieniem. Następnie spokojnie ułożyła Gillette na noszach i dopiero podniósłszy je wspólnie z drugą siostrą, raczyła odpowiedzieć:

– Mamy tu tylko dwie pojedynki, obie zajęte w tej chwili przez pewną damę i jej dworki. Dama ta dziesięć dni temu przybyła do nas ze złamaną nogą i z tego powodu przebywa nadal pod naszym dachem.

– Rozumiem, lecz czy dama ta nie mogłaby odesłać swoich służących do wspólnej sali i odstąpić nam jeden z pokoi?

Siostra Leonarda uśmiechnęła się z powątpiewaniem i wzruszywszy szerokimi ramionami odparła:

– Co do mnie, nie odważyłabym się ją o to prosić... Ma ona... mówiąc delikatnie... paskudny charakter!

– Siostra jest osobą, którą trudno zbić z pantałyku – zauważyła Katarzyna. – Lecz jeśli siostra się boi, to sama podejmę się pertraktacji.

– Nie żebym się bała – zaprotestowała siostra Leonarda. – Ja tylko nie

znoszę wrzasków, a niestety nasz Stwórca obdarzył tę damę przeraźliwym głosem!

Tak rozprawiając, siostry z noszami, a za nimi Katarzyna, doszły do niskich drzwi prowadzących do domu zakonnicy. Za nimi nadeszły pozostałe, nieliczne niewiasty biorące udział w pielgrzymce. Wszystkie weszły do obszernej kuchni, w której zapach płonących na palenisku polan mieszał się z wonią kwaśnego mleka. U niskiej, osmolonej powały zwisały wianki cebuli i połcie wędzonek. W wiklinowych koszach suszyły się sery, a przed olbrzymim paleniskiem krzątały się dwie siostry. Obie z podwiniętymi rękawami mieszały żwawo gęsty kapuśniak bulgocący w dużym, czarnym kotle.

Siostry postawiły nosze przed paleniskiem, a Leonarda pochyliła się nad chorą.

– Jest bardzo blada. Dam jej czegoś na wzmocnienie, a tymczasem siostry przygotowują jej łóżko.

– Powiedz, siostrze, gdzie mogę znaleźć tę damę? – nie dawała za wygraną Katarzyna. – Muszę z nią mówić!

Siostra Leonarda wybuchnęła szczerym śmiechem.

– Ależ jesteś uparta, pani! Widzę, że sama muszę do niej pójść... Z góry jednak znam odpowiedź... Ty tymczasem zajmij się chorą.

I Leonarda zniknęła w czeluściach kuchni. Katarzyna pochyliła się nad Gillette, po chwili jednak rozmyśliła się i zrobiła kilka kroków w kierunku, w którym udała się Leonarda. Nie wiedząc jednak, czy może pozostawić Gillette bez opieki, zawahała się nieco, a wówczas jedna z kobiet zbliżyła się do niej.

– Ja będę czuwać nad twoją towarzyszką – powiedziała. – Możesz iść... Katarzyna uśmiechnąwszy się z wdzięcznością rzuciła się w ślad za siostrą Leonardą. Ujrzała, jak ta szybkim krokiem przemierza długi, zimny korytarz i jak znika za niskimi drzwiami. Ruszyła za nią.

Po chwili potwierdziło się, że dama ze złamaną nogą ma istotnie potężny głos, gdyż już po chwili, zza drzwi, za którymi zniknęła Leonarda, doszedł do jej uszu istny ryk.

– Potrzebuję moich służących! Do diabła! Chyba nie chcesz, żebym odesłała je do wspólnej sali na drugi koniec budynku?

Ten głos ciskający przekleństwa bez żadnego skrepowania wydał się Katarzynie dziwnie znajomy...

– Do diaska! To jasne jak słońce: nie oddam pokoju! Katarzyna instynktownie rzuciła się do drzwi i jak pocisk wpadła do środka. Pokój był mały, niski i prawie cały zajęty przez wielkie łóżce z wyblakłymi zasłonami. Zaledwie przekroczyła próg, stanęła jak wryta.

W łóżu, oparta na stercie poduszek, siedziała niewiasta potężnej postury, cała opatulona kołdrami. Stojąca naprzeciwko Leonarda wydawała się przy niej mamą kruszyną. W masie siwych włosów starszej pani przeświecały rude pasemka, a złość zabarwiła jej policzki na ceglasty kolor. Ramiona damy przykrywała czerwona tunika podbita lisim futrem, z szerokiego rękawa zaś wystawała skierowana w stronę siostry śnieżnobiała dłoń grożąca jej palcem.

Skrzypienie drzwi odwróciło uwagę damy od zakonnicy, a ujrzawszy w progu nieznajomą, przeciw niej skierowała swą złość.

– Ha! A więc to tak? Wszystkim wam się wydaje, że można do mnie

wchodzić jak do stodoły?

Nie było wątpliwości! Katarzyna, dławiąc się ze wzruszenia, nie wiedząc czy ma śmiać się, czy płakać, zbliżyła się do kręgu światła rzucanego przez płomień z kominka.

– Ależ to ja, droga Ermengardo! Nie poznajesz mnie?

Stara dama zeszywniała z wrażenia, a jej oczy stały się okrągłe jak szklanki. Otworzyła usta, lecz żaden dźwięk nie dobył się z jej gardła. Twarz starszej pani pobladła, a na skroniach pojawiły się krople zimnego potu.

– Ermengardo, to ja! To ja, Kata...

– Katarzyna!!! – zawyła wreszcie hrabina z taką siłą, że nieszczęsna Leonarda aż podskoczyła. Nie minęła chwila, a siostra miłosierdzia musiała rzucić się na niesforną hrabinę, gdyż ta, zapominając o złamanej nodze, chciała wyskoczyć z łóżka, by przywitać się z przyjaciółką.

– Pani noga, hrabino!

– Do diabła z moją nogą! Zostaw mnie, siostrze! Katarzyno, nie wierzę własnym oczom!

Hrabina wyrywała się z krzepkich rąk Leonardy, lecz Katarzyna już była przy niej, już obejmowała ją czule. Uściskom i pocałunkom nie było końca. Z oczu Katarzyny trysnęły łzy radości.

– Masz rację, Ermengardo! To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe!... To prawdziwy cud! Och, moja droga, co za szczęście ujrzeć cię znowu... Ale, ale co ty tutaj robisz?

– A ty, moje dziecko?

Tu hrabina odsunęła delikatnie Katarzynę od siebie i przyjrzała się jej badawczo.

– Prawie nic się nie zmieniłaś!... No, może trochę... Jesteś ciągle taka piękna! Lecz jednak jakaś inna... Powiedziałabym, jakaś uduchowiona! Na Belzebuba! Nikt by nie uwierzył, że przyszedłaś na świat w kupieckiej rodzinie!

– Pani hrabino, pani pozwoli! – odważnie przerwała ten wywód siostra Leonarda. – Usilnie proszę, żeby pani wreszcie przestała wzywać imienia szatana w naszym świętym przybytku!

Ermengarda spojrzała na siostrę z nie udawanym zdziwieniem.

– To siostra jeszcze tu? Ach! Prawda... sprawa pokoju. Możesz przeprowadzić te moje leniwe stworzenia do wspólnej sali, a na ich miejscu zainstalować chorąg. Teraz, kiedy jest przy mnie pani de Brazey, nie potrzebuję nikogo! Mamy sobie tyle do powiedzenia!

Siostra Leonarda, odprawiona w tak szarmancki sposób, zagryzła wargi, skłoniła się bez słowa i wyszła. Trzaskając drzwiami, dała upust swemu niezadowoleniu.

Hrabina wzruszyła na to ramionami i chcąc zrobić miejsce przyjaciółce, z trudem przesunęła się na łóżku, które jęknęło pod jej ciężarem.

– Siadaj przy mnie, moje dziecko, i opowiadaj! De to już czasu minęło, od kiedy opuściłaś mnie, by zdobyć Orlean?

– Pięć lat! – odparła Katarzyna. – Czas tak szybko leci...

– Więc ja od pięciu lat – podjęła Ermengarda – głowią się na próżno, co się stało z niejaką panią de Brazey! Ostatnie wiadomości o tobie miałam z Loches, gdzie zostałaś dwórką królowej Yolandy. Nie wstyd ci?

– Wstyd... – przyznała Katarzyna – lecz dni płynęły i nawet nie spostrzegłam się, jak... A przy okazji, droga Ermengardo, musisz odwyknąć od nazywania mnie „de Brazey”. Już dawno tak się nie nazywam...

– A jak brzmi teraz twoje nazwisko?

– Najpiękniej na świecie: Montsalvy!... – odparła Katarzyna z taką dumą, że hrabina nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Tak więc wygrałaś? Ty chyba zawsze będziesz mnie zaskakiwać, Katarzyno! A jaką to sztuczką posłużyłaś się, aby doprowadzić do zgody z nieustępliwym Arnoldem?

Na dźwięk imienia małżonka uśmiech Katarzyny zgasł, a w kącikach jej ust pojawiła się zmarszczka bóleści.

– To bardzo długa historia... – wyszeptała. – I bardzo okrutna... Pani de Châteauvillain umilkła. Przez chwilę przyglądała się przyjaciółce, wzruszona ogromem cierpienia malującego się na jej twarzy. Wpadła w zakłopotanie i bała się zranić ją niepotrzebnymi słowami. W końcu, z niezwykłą jak dla siebie łagodnością, rzekła:

– Wezwij którąś z moich służących. Pomoże ci zdjąć te przemoczone fatalaszki, wysuszy je, a ty ubierzesz moje... trochę za duże po prawdzie, lecz za to suche. Podczas wieczerzy opowiesz mi o wszystkim. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

– Bo jestem... – przyznała Katarzyna, uśmiechnąwszy się blado. – Najpierw jednak muszę zająć się moją towarzyszką: tą, dla której potrzebowałam oddzielnego pokoju.

– Wydam odpowiednie rozkazy!

– Nie! Proszę! Ja sama muszę do niej pójść! Lecz obiecuję, że zaraz do ciebie wrócę!

Katarzyna wyszła na korytarz w chwili, kiedy do sąsiedniego pokoju, opuszczonego przez dwie pokojówki Ermengardy, przyniesiono Gillette. Niewiasta, która obiecała Katarzynie, że zajmie się chorą, również tam była.

– Podobno spotkałaś przyjaciółkę, pani? – spytała z uśmiechem. – Jeśli więc pozwolisz, ja zajmę się chorą tej nocy. Nie jest wymagająca ani zrzędliva.

– Ale nie chciałabym, żebyś... Ty także potrzebujesz snu! Nieznajoma wybuchnęła szczerym śmiechem.

– Może nie wyglądam na taką, lecz jestem silna jak koń! Mogę spać nawet na stojąco!

Katarzyna przyjrzała się jej z zainteresowaniem. Była młodą, może trzydziestoletnią drobną brunetką, a jej opalona od wiatru i słońca twarz oraz białe zęby lśniły zdrowiem. Lekko zadarty nos i szerokie, skore do śmiechu usta spodobały się Katarzynie.

– Jak się nazywasz? – spytała łagodnie.

– Margotka! Lecz zważ mnie Margotka Wywłoka... Nie jestem kimś bardzo godnym – dodała z prostotą, która wzruszyła Katarzynę.

– Pst! Zamilcz, dziewczę hoże! My pielgrzymi jesteśmy wszyscy jedną wielką rodziną! A ty jesteś nie mniej warta niż ktokolwiek z nas! Z ochotą przyjmuję więc twą pomoc. Sama będę w pokoju obok. Gdybyś czegoś potrzebowała, nie wahaj się mnie zawołać!

– Możesz być spokojna, pani! – odparła Margotka. – Poradzę sobie sama!

Zresztą, pani Gillette nie potrzebuje niczego oprócz miski gorącej stawy i porządnego snu... Nasz przewodnik chce się jej pozbyć, ale niech sobie mówi, co chce!

– A co on powiedział na jej temat?

– Że nie pozwoli jej jutro ruszyć z nami w dalszą drogę, gdyż nie zamierza wlec chorej aż do samej Composteli!

Katarzyna zmarszczyła brew: Ten cały Gerbert chciał wszystkim narzucić swoją wolę! Najwyższy czas, żeby się temu ostro przeciwstawić!

– To się jeszcze okaże! – rzuciła gniewnie. – Jutro załatwię z nim tę sprawę! Obiecuję ci, Margotko, że nie ruszymy bez pani Gillette, chyba że sama postanowi zostać w schronisku!

I uśmiechnąwszy się do Margotki, która przysłuchiwała się jej słowom z podziwem, zniknęła w pokoju Ermengardy.

Była już głęboka noc, kiedy Katarzyna zakończyła swoją opowieść. Na romańskim dziedzińcu schroniska przez cały czas rozlegał się dzwon zabłąkanych, którego dźwięki podkreślały tragizm jej słów. Ermengarda słuchała nie przerywając, a kiedy Katarzyna zamilkła, stara dama westchnęła i pokręciła głową.

– Myślę, że gdyby ktoś inny opowiedział mi tę historię, nie uwierzyłabym ani jednemu słowu – rzekła. – Niezwykłe są koleje twego losu... Wierzę jednak, że uda ci się pokonać największe przeciwności. A czyż to, że spotkałyśmy się w tym miejscu, nie graniczy z cudem?... Mówisz więc, dziecino, że zamierzasz dotrzeć do Composteli? A co będzie, jeśli nie odnajdziesz tam swego Arnolda?

– Wtedy pójdę jeszcze dalej! Aż na koniec świata! Zrozum, Ermengardo, że nie spocznę, dopóki go nie odnajdę!

– A jeśli, zamiast oczekiwanego uzdrowienia, trąd poczynił na jego ciele dalsze spustoszenia?

– Co mi tam! Jak go tylko odzyskam, żadna siła nie zdoła mnie już więcej od niego oderwać! Sama dobrze wiesz, droga przyjaciółko, że zawsze żyłam tylko dla niego!

– Niestety, wiem to nazbyt dobrze! Od kiedy widzę, jak pakujesz się w najokropniejsze historie, jak rzucasz się na oślep w nieznaną, zastanawiam się, czy nie należy mieć za złe niebiosom, że dały ci spotkać Arnolda!

– Arnold to najwspanialszy dar niebios! – krzyknęła Katarzyna z takim żarem, że Ermengarda uniosła brwi.

Po chwili, udając obojętność, rzuciła jakby od niechcienia:

– I pomyśleć, że... mogłaś mieć władzę i panowanie... Czy wiesz, moja duszko, że książę Filip ciągle o tobie myśli?

Katarzyna poczerwieniła i odsunęła się gwałtownie od hrabiny. Wspomnienie księcia nie było jej miłe.

– Ermengardo – powiedziała spokojnie – jeśli chcesz, byśmy nadal pozostawały w przyjaźni, nie wspominaj nigdy więcej o Filipie! Chcę zapomnieć o tym etapie mego życia!

– A czy jesteś pewna, że potrafisz?

– Nie, nie jest to łatwe – przyznała Katarzyna i usiadłszy z powrotem obok zagłębionej po uszy w piernatach hrabiny, zmieniła temat: – Opowiedz

raczej, co sływać u mojej rodziny, co z matką, co z wujem Mateuszem? Jeśli, oczywiście, masz jakieś wieści.

– Oczywiście, że mam! – odburknęła Ermengarda. – Dobrze czują się oboje, lecz gorzej znoszą brak wiadomości niż ty. Kiedy ostatnio zjechałam do nich do Marsannay, stwierdziłam, że bardzo się postarzel. Na szczęście zdrowie dopisuje im nadal.

– Czy nie mieli kłopotów z mojego powodu? – spytała Katarzyna z zażenowaniem.

– Rychło w czas zaczynasz się o to martwić! – odparła hrabina z przekąsem, lecz widząc, że twarz przyjaciółki pochmurnieje, szybko dodała: – Nie, żadnych kłopotów, możesz być pewna! Nic złego im się nie przytrafiło. W końcu książę nie poniżyłby się do tego stopnia, żeby na nich mścić się za swój zawód miłosny! Przeciwnie, sądzę raczej, że... książę liczy na to, iż chęć zobaczenia rodziny sprowadzi cię kiedyś do jego włości. Nie mógł więc nierozważnie wypędzić ich, bo wtedy straciłby cię z oczu. Według mnie pragnie, byś przekonała się, jakie ma dobre serce. Dzięki temu interes twego wuja nadal spokojnie się kręci. Niestety, nie mogę tego samego powiedzieć o fortunie rodu de Châteauvillain...

– Co masz na myśli?

– To, że ja także w pewnym sensie jestem wygnana... Otóż widzisz, moja droga, mam syna, który jest do mnie podobny. Miał dosyć Anglików, a źle się czuł w skórze Francuza... i cóż zrobił? Ożenił się z Izabellą de la Trémoille, siostrą twego krwawego wroga, ekswielskiego szambelana!

– Mam nadzieję, że siostra nie jest do niego podobna! – krzyknęła Katarzyna z przerażeniem.

– Ani trochę! Jest czarująca! Dzięki niej mój syn odesłał swoją Podwiązkę księciu de Bedford, stając otwarcie w rzędach jego przeciwników. Skutkiem tego oddziały księcia napadły na nasz zamek de Grancey. Wtedy pomyślałam, że czas, bym ruszyła z miejsca swe stare kości, gdyż zakładnik byłby ze mnie nieznośny! Tak oto znalazłam się w drodze do Composteli, gdyż poważnie zaczęłam myśleć o zbawieniu duszy! I błogosławię ten przekłety wypadek, który pozwolił złamać mi nogę i kazał zatrzymać się w tym świętym miejscu. Gdyby nie on, byłabym już daleko stąd i nigdy bym cię nie spotkała!

– Niestety... – westchnęła Katarzyna. – Niebawem znowu się rozstaniemy. Twoja noga unieruchomi cię jeszcze na wiele dni, a ja jutro ruszam dalej.

Na te słowa Ermengarda spurpurowiała na twarzy.

– Nic z tego, moja droga! Nie po to cię odnalazłam, by cię natychmiast utracić! Otóż, dowiedz się, że ruszam razem z wami! Jeśli nie będę mogła utrzymać się w siodle, moi ludzie poniosą mnie w lektyce, lecz nie zostanę tu ani minuty bez ciebie! A teraz, pora spać! Połóż się obok mnie, starczy miejsca dla dwóch!

Katarzyna, nie dając się długo prosić, ułożyła się obok przyjaciółki. Siła charakteru Ermengardy, myśl, że dalej powędrują razem, nappełniły ją radością i nadzieją. Hrabina była niezniszczalna! Tryskała siłą i werwą bardziej niż zwykle. Wspólna wędrówka zapowiadała się więc bardzo przyjemnie.

Na kominku dogasał ogień. Hrabina zdmuchnęła świecę stojącą przy

łóżku i w pokoju zaległy ciemności. Katarzyna mimo woli uśmiechnęła się, wyobrażając sobie minę, jaką rankiem zrobi Bohat na widok zwalistej starszej pani, gdy dowie się, że od tej pory będzie musiał i ją zaliczyć do swojej gromady. Nie mogła doczekać się tej chwili.

– O czym rozmyślasz? – spytała Ermengarda. – Czuję, że jeszcze nie śpisz!

– Myślę o tobie i sobie, i o tym, jakie miałam szczęście, że mogłam cię spotkać na początku tej długiej drogi!

– Szczęście? To ja miałam szczęście, moja droga! Od wielu miesięcy, cóż mówię, od wielu już lat śmiertelnie się nudzę. Dzięki tobie moje życie, mam nadzieję, stanie się bardziej kolorowe i ciekawe. Do diaska! Potrzebuję odmiany! A już zaczęłam pokrywać się pleśnią, niech mi Bóg przebaczy! Lecz znowu czuję się jak nowo narodzona!

Na dowód czego hrabina niezwłocznie zapadła w głęboki sen, pochrapując z siłą zagłuszającą bicie dzwonu.

Zebrani w stareńskiej, romańskiej kaplicy schroniska pielgrzymi powtarzali za ojcem przeorem słowa modlitwy wędrowców:

„Panie Boże, który kazałeś Abrahamowi opuścić swój kraj i czuwałeś w czasie wędrówki nad jego zdrowiem i bezpieczeństwem, otocz opieką swoje dziatki! Oddalaj od nas niebezpieczeństwa i pomagaj w wędrówce! Bądź nam cieniem chroniącym od słońca, bądź płaszczem osłaniającym od deszczu i wiatru! Zdejmij z naszych ramion zmęczenie, chroń przed upadkiem. Bądź nam portem przyjmującym rozbitków...”

Głos Katarzyny nie mieszał się z innymi. W jej uszach brzmiały jeszcze ostre słowa Gerberta, które usłyszała przed wejściem do kaplicy. Otóż, Gerbert na widok Katarzyny podtrzymującej bladą Gillette poczerwieniał ze złości. Podbiegł do obu kobiet tak gwałtownie, że nawet nie zauważył idącej za nimi starej damy, podpierającej się na dwóch kulach.

– Ta kobieta nie nadaje się do dalszej drogi! – rzucił ostro. – Może najwyżej uczestniczyć we mszy, lecz musi zostać w schronisku pod opieką siostr!

Katarzyna obiecała sobie, że będzie spokojna i cierpliwością udobrucha Gerberta, lecz nagle poczuła, że długo nie wytrwa w swym postanowieniu.

– Kto tak zdecydował? – spytała starając się nadać swemu głosowi wyraz niezwyklej słodyczy.

– Ja! – odparł Gerbert.

– A z jakiej racji?

– Jestem przywódcą tej pielgrzymki i ja tu decyduję!

– A ja sądzę, że się mylisz, panie! – powiedziała Katarzyna, starając się ukryć narastające wzburzenie. – Przed wymarszem z Puy zostałeś wybrany przez biskupa na naszego przewodnika, gdyż wydałeś mu się człowiekiem mądrym i doświadczoneym. Nie jesteś jednak naszym przywódcą, tak jak ty to pojmujesz, panie!

– To znaczy?

– Nie jesteś kapitanem, a my nie jesteśmy twoimi żołnierzami! Powinieneś zadowolić się, bracie, prowadzeniem nas, a nie zajmować się ponad

miarę naszymi osobami. Jeśli pani Gillette pragnie udać się w dalszą drogę, to tak się stanie!

W szarych oczach Gerberta pojawił się znajomy Katarzynie błysk gniewu. Przewodnik zrobił krok w jej kierunku.

– Ośmielasz się podważać mój autorytet! – krzyknął rozjuszony. Katarzyna, opierając się sile jego spojrzenia, obdarowała go zimnym uśmiechem.

– Nie podważam go, lecz odmawiam uznania twojej woli, którą chcesz nam narzucić! Możesz być jednak spokojny, panie! Gillette nie sprawi żadnego kłopotu, gdyż będzie jechała konno!

– Konno? A skąd weźmiecie konia na tym pustkowiu? Ermengarda, która do tej pory przysłuchiwała się z uwagą tej wymianie zdań, doszła do wniosku, że czas wtrącić się do rozmowy, i dzielnie pokuśtykała w stronę przeciwników.

– Ja dam tej kobiecie konia, mój panie! Czy masz coś przeciw? Intruz najwyraźniej nie spodobał się Gerbertowi, gdyż zmarszczył gniewnie brwi i obrzuciwszy hrabinę spojrzeniem pełnym pogardy, zapytał:

– A to kto zacz? Skąd się tutaj wzięła ta baba?

Słowa te nie wyszły Klermontczykowi na zdrowie, gdyż hrabina poczerwieniała jak burak i wsparłszy się mocniej na kulach, wyprostowała się dotykając prawie swym nosem nosa Gerberta.

– To ciebie należałoby spytać, mój panie, skąd się tu wzięłeś, skoro jesteś takim nieokrzesanym prostakiem! Co za czelność! Nazwać mnie „babą”! Radzę ci, mój panie, aby było to pierwszy i ostami raz! W przeciwnym razie moi ludzie nauczą cię moresu! Tymczasem przyjmij do wiadomości, że właśnie mam zamiar dołączyć do mojej przyjaciółki, hrabiny de Montsalvy, i towarzyszyć jej w dalszej wędrówce! Dowiedz się też, gamoniu jakiś, że jestem hrabina Ermengarda, pani de Châteauvillain z Burgundii, i że sam książę Filip waży swe słowa, zwracając się do mnie! Czy coś jeszcze?

Gerbert, przytłoczony przemową starej damy, milczał obmyślając najwyraźniej jakąś uszczypliwość. Jednakże władczy ton nieznajomej musiał zrobić swoje. Łypiąc na nią złym okiem, otworzył usta, jakby ociągając się, wreszcie wymamrotał:

– Niestety, pani, nawet gdybym bardzo chciał, nie mogę ci przeszkodzić w dołączeniu do nas ani sprzeciwić się wyjazdowi pani Gillette...

– Dziękuję ci, bracie... – szepnęła nieszczęsna kobieta, uśmiechając się do swego prześladowcy z wdzięcznością. – Zrozum, ja muszę udać się do grobowca świętego Jakuba... aby mój syn odzyskał zdrowie...

– A róbcie sobie wszyscy, co chcecie! – odpowiedział zrezygnowany, po czym oddalił się, rzucając Katarzynie spojrzenie, które zapowiadało, że ten człowiek od tej pory będzie jej nieprzejednanym wrogiem. Nie potrafiła tylko zrozumieć jednego: otóż w jego oczach, obok wściekłości, czaiło się coś jeszcze... tym czymś, mogłaby przysiąc, był strach.

O tym wszystkim rozmyślała Katarzyna w lodowatej kaplicy pośród pielgrzymów, wtórujących fałszywymi głosami słowom przeora. Po skończonych modłach wraz z innymi wyszła machinalnie na zewnątrz. Na progu świątyni dostała kawałek chleba, który wśród odchodzących rozdzielał braciszek. Hrabina chciała dać jej konia, lecz Katarzyna odmówiła. Jej stopy, z

pękniętymi teraz bąblami, zostały zρέcznie opatrzone przez siostrę Leonardę, czuła się więc na siłach podjąć dalszą wędrówkę.

– Poproszę cię może później o pomoc – odpowiedziała na propozycję Ermengardy, którą dwie siostry miłosierdzia wsadzały na dużego konia, tak samo rudego jak ona. Dwie inne usadowiły Gillette na spokojnym mierzynku* [*Mierzynek – koń niewielkiego wzrostu.], do tej pory dosiadanym przez jedną z dwórek hrabiny. Obie dwórki, które wraz z czterema rycerzami stanowiły całą świtę hrabiny, jechały teraz na jednym koniu kończąc orszak.

Przed pokrzepionymi na ciele i duchu pielgrzymami znowu otworzyła się brama. Wczorajszy śnieg i wiatr były już tylko wspomnieniem. Na błękitnym, bezchmurnym niebie świeciło słońce, a świeżość poranka zapowiadała piękny, niezbyt zimny dzień. Za murami starego schroniska wila się kamienista droga, prowadząc wśród zazielenionych pól do głębokiej doliny rzeki Lot.

Josse Rallard i Colin des Epinettes szli u boku Katarzyny. Colin, „wytrawny jurysta i człowiek wielkiej umysłowości”, nie miał już takiej skwaszonej miny jak poprzedniego dnia. Rozglądał się z uśmiechem po okolicy.

– Przyroda!... – westchnął z rozrzewnieniem. – Co za piękno! Jak można wytrzymać w naszych zatęchłych miastach, kiedy wokół tyle świeżości, czystości i wolności!

– Zwłaszcza że w tych „zatęchłych” miastach jest tyle nieznośnych kobiet! – wtrącił Josse, szczerząc do towarzysza zęby z miną niewiniątka.

Na te słowa mieszczanin z Paryża nie wiedzieć czemu zachmurzył się i przyspieszył kroku. Katarzyna spojrzała pytająco na Jossego.

– O co chodzi?

Josse uśmiechnął się, mrugnawszy do niej porozumiewawczo, zarzucił z rozmachem worek na ramię i rzekł zniższy głos:

– Jeśli chcesz żyć w zgodzie z imć Colinem, nigdy nie wspominaj przy nim o kobietach, w szczególności zaś o jego połowicy.

– A to dlaczego?

– A dlatego, że to najokropniejsza megiera, jaką sam diabeł zesłał na ziemię! I jeśli nasz miły przyjaciel, który nie ma w sobie nic z błędnego rycerza, udał się na pielgrzymkę, to tylko dlatego, żeby od niej uciec! Albowiem imć Colin ma wszystko: zdrowie, bogactwo i szacunek u ludzi. Niestety, ma również swoją starą i myślę, że poszedłby na koniec świata, żeby tylko znaleźć się z dala od niej, a gdyby przyszło mu wybierać między kajdanami na galerach i wygodnym fotelem pod pantoflem imć Colinowej, bez zmrżenia oka wybrałby kajdany!

– O Boże! Czy aż tak jej nienawidzi? – zdumiała się Katarzyna. – Może jest kłótniwa, może ciosa mu kołki na głowie?

– Gorzej! – odparł Josse poufnym tonem. – Ona... go leje!

W tej chwili Gerbert na czele gromady zaintonował kolędę. Josse zaś, dla przeciwwagi, zanucił o całe niebo weselszą piosenkę biesiadną.

Rozdział drugi

RUBINY ŚWIĘTEJ FOY

W ciągu dwóch dni pielgrzymi przebyli trudną drogę przez dolinę rzeki Lot i wąskie wąwozy Dourdou, która prowadziła z Aubrac do świętego miasta Conques. Dwadzieścia długich mil z przerwą na krótki sen w Espalion, w starej komandorii templariuszy, gdzie żołnierze-mnisi, ojcowie świętego Jana z Jerozolimy, zajęli się strudzonymi pielgrzymami. Gerbert Bohat wydawał się opętany wściekłością i nie chciał słuchać jęków ani skarg swoich owieczek.

Te dwa dni były dla Katarzyny istnym piekłem. Mimo że zraniona noga srodze jej dokuczała, ona uparcie nie chciała wsiąść na konia, była bowiem przekonana, że jeśli nie przebędzie drogi jak prawdziwy pielgrzym, jeśli nie potraktuje jej jak pokuty, Bóg nie da się przebłagać. Swoje cierpienia ofiarowała Arnoldowi, prosząc Boga, by dał mu wyzdrowienie, a jej pozwolił go odnaleźć. Szłaby do niego nawet po rozpalonym żelazie.

Nadeszła jednak chwila, podczas rytualnego umywania stóp pielgrzymom przez mnichów, kiedy została zmuszona do skorzystania z pomocy. Staruszek mnich ulitował się nad jej pokrytymi pęcherzami, krwawiącymi stopami i namaścił je balsamem przyrządzonym z wosku świecy, oliwki z oliwek i alkoholu etylowego.

– To stary przepis kawalerzystów – wyjaśnił z uśmiechem. – Młodzi, którzy dopiero co wstąpili w nasze szeregi i mają jeszcze delikatną skórę na zadku, po pierwszych dłuższych kawalkadach używają tego całymi tonami!

Pomimo że lekarstwo okazało się skuteczne, wieczorem Katarzyna była na skraju omdlenia. Wtedy jej oczom ukazało się miasteczko z potężnym opactwem, zawieszonym na zboczach wąskiej doliny Ouche.

Katarzyna z obojętnością spojrzała na piękną bazylikę, przed która jej towarzysze zgodnie padli na twarz.

– Jesteś ledwo żywa! – zrzędziła Ermengarda. – Proszę, nie idź do opactwa! Zapewniono mnie, że jest w tej okolicy przyzwoita oberża i, Bóg mi świadkiem, mam zamiar w niej przenocować!

Katarzyna, obawiając się pogardy Gerberta, nie wiedziała, co odpowiedzieć, lecz przewodnik zadowolony się wzruszeniem ramion i powiedział:

– Rozłokujcie się, gdzie możecie! Opactwo i tak jest przepełnione, a ja sam nie wiem, dokąd poprowadzić ludzi. Niech każdy urządzi się, jak może: po stodołach i domach mieszkańców. Nie zapomnijcie jednak o uroczystej mszy i o procesji!

– O której godzinie wyruszymy? – spytała Katarzyna z niepokojem.

– Dopiero pojutrze! Święte sanktuarium zasługuje na to, by spędzić w nim na modłach choć jeden dzień!

Co rzekłszy, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę bramy opactwa, nie zważając na protesty Katarzyny, której, pomimo zmęczenia, perspektywa spędzenia całego dnia w jednym miejscu wydawała się wielkim marnotrawstwem czasu, nawet jeśli ten dzień miał jej przywrócić utracone siły.

– Co za strata czasu... – jęknęła, podając ramię Ermengardzie, którą właśnie służące w pocie czoła zsadzały z wierzchowca.

Hrabina, zmęczona długimi godzinami spędzonymi w siodle, miała zeszywniałe członki, nie straciła jednak ani werwy, ani zapału.

– Chyba zgaduję, o czym myślisz, moja droga! – powiedziała wesoło, prowadząc Katarzynę ku przedsionkowi rozłożystej oberży, osadzonej na solidnych podporach, które nadawały jej wygląd prawdziwej fortecy.

– Powiedz więc, o czym?

– Myślę, że wiele byś dała, aby jutro skoro świt wskoczyć na rączego konia i zostawiwszy za sobą tych wszystkich pobożnisiów, pogalopować na skrzydłach wiatru do pewnego galicyjskiego miasta, w którym ktoś na ciebie czeka!

Katarzyna nie miała siły protestować, więc uśmiechnęła się tylko blado i odparła:

– To prawda, Ermengardo... Ten powolny marsz zabija mnie... Lecz moim pragnieniem jest wytrwać do końca. A zresztą, drogi tu niebezpieczne i aż roi się od rzezimieszków. Lepiej więc być w gromadzie. Łącznie z twoimi rycerzami i dworkami byłoby nas zaledwie siedem osób.

Zakładając, oczywiście, że nasza liczba nie zmaleje po drodze. Wiadomo mi bowiem, że jeden z twoich ludzi dał drapaka!

Tak było w istocie. Kiedy bowiem o świcie pielgrzymi opuszczali komandorię w Espalion, eskorta hrabiny składała się już tylko z trzech osób: czwarty ulotnił się gdzieś jak kamfora. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu Katarzyny, wiadomość ta nie zdenerwowała starszej pani.

– Burgundczycy nie przepadają za podróżami – wyjaśniła ze stoickim spokojem. – A Franciszek nie był zachwycony wyprawą do Hiszpanii i widocznie wolał powrócić do domu!

Ta nieoczekiwana filozofia hrabiny zaintrygowała Katarzynę, znającą zbyt dobrze nieprzejednaną surowość Ermengardy wobec służby. Ta nagła zmiana w jej zachowaniu była co najmniej dziwna.

Oberża Świętej Foy przyjęła panią de Châteauvillain z wszelkimi należnymi jej honorami. Hrabina zresztą jak nikt inny uwielbiała być obsługiwana. Pomimo tłoku natychmiast znalazły się dla niej dwa pokoje: jeden dla niej i Katarzyny, drugi dla dwórek i Gillette de Vauchelles, którą stara dama ostatecznie wzięła pod swoje opiekuńcze skrzydła.

Zdrożone niewiasty żwawo spożyły wieczerzę, prawie wcale się przy niej nie odzywając, po czym Ermengarda udała się prosto do swego pokoju, runęła do łóżka i zasnęła kamiennym snem. Katarzyna zaś, pomimo zmęczenia, stanęła w oknie wychodzącym na niewielki plac i błędziła wzrokiem wśród kolorowego i dziwaczного tłumu zgromadzonego przed kościołem.

Jak to zwykle bywa na szlaku wielkich pielgrzymek, tak i tutaj ściągali komedianci, popisując się przed mieszkańcami miasteczka i pielgrzymami, którzy z braku miejsc ułożyli się na nocleg przed kościołem. Muzykanci grali na wiolach i lutniach, inni na harfach i fletach. Natchniony wierszokleta, odziany w kolorowe łachmany, zgromadził wokół siebie wianuszek dziewcząt i młodzieńców. Chuda, bosonoga dziewczyna w czerwonej sukience podrygiwała w takt muzyki przed wysoką, kamienną fasadą kościoła, na której majestatyczna postać Chrystusa wznosiła nad tłumem rzeźbionych postaci błogosławiącą dłoń. W blasku łuczyw ożywały wyrzeźbione na tympanonie* [*Tympanon *archit.* trójkatne

pole frontonu lub półkoliste pole nad nadprożem, często bogato rzeźbione.] postacie z Sądu Ostatecznego, jedne zmierzające prosto do nieba, inne wykrzywiające boleśnie twarze na mękach piekielnych...

Katarzyna zamknęła oczy. Dotarła więc do miejsca, przez które musiał przejeżdżać Arnold, a po nim biedny Walter! Tu, w tym miejscu przed kościołem, musieli zsiąść z koni, tu wmieszali się w tłum. Gdzie byli teraz trędowaty zbieg i syn dalekiej Północy? Co się z nimi stało? Czy uda jej się natrafić na ich siady...

Po chwili otrząsnęła się już jednak z zamyślenia, gdyż w tłumie gapiów zauważyła chudą sylwetkę Gerberta Bohata. Przewodnik zbliżył się właśnie do dziewczyny w czerwonej sukience, która ledwo dysząc przestała tańczyć i wyciągnęła w stronę publiki swój tamburyn, w oczekiwaniu na datki. Pomimo znacznej odległości, Katarzyna zrozumiała bez trudu sens ich rozmowy. Gerbert wymachiwał jej przed nosem kościstą ręką, wskazując raz na zuchwale wydekoltowaną sukienkę, raz na postać Chrystusa na fasadzie kościoła. Dziewczyna najwyraźniej przestraszyła się tego wysokiego mężczyzny, gdyż zakryła głowę ramionami, chcąc uniknąć spodziewanych razów. Zapędy obcego nie były jednak w smak młodemu wieśniakom, którzy otaczali wierszokletę. Nie widząc niczego złego w tym, że dziewczyna tańczy przed kościołem, ruszyli jej z odsieczą. Jeden z nich, tęgi osiłek, chwycił intruza za kołnierz, inni otoczyli go z groźnymi minami, a dziewczęta ciskały pod jego adresem wyzwiska. Bohat znalazł się w prawdziwych opałach.

Katarzyna sama nie wiedząc dlaczego, nie darzyła przecież tego mężczyzny sympatią, wybiegła z pokoju na podwórze, gdzie ludzie Ermengardy popijali wino przed udaniem się na spoczynek.

– Szybciej! – krzyknęła w ich stronę. – Nasz przewodnik jest w tarapatkach! Zaraz Sum go rozszarpie, jeśli natychmiast nie pospieszymy mu z pomocą!

Rycerze Ermengardy chwycili za broń i wybiegli na plac. Katarzyna pobiegła w ich ślady. Burgundzcy szybko uwinęli się z całym zajściem. Były to chłopcy jak dęby, szerokie w barach, z pięściami jak młoty. Mieli gęby poorane przez lata wojaczki i błyszczące broje. Tłum rozstał się przed nimi, jak morze przed dziobem statku i Katarzyna, pochłonięta falowaniem, znalazła się tuż obok Gerberta, nie opodal przedsionka kościoła. Pomrukujący groźnie tłum cofał się jak zły pies przed kijem, mieszając się z gromadą wystraszonych tym zajściem komediantów.

– Udało ci się im wywinąć, panie! – rzekł sierzant do Gerberta. – Udaj się więc teraz na spoczynek i zostaw w spokoju tych ludzi!

– A zwracając się do Katarzyny, spytał: – Spełniliśmy, pani, twoje życzenie. Czy mamy cię odprowadzić do oberży?

– Wracajcie beze mnie! – odparła. – Nie chce mi się spać! Rycerze Ermengardy odeszli w stronę oberży i Katarzyna została sama na sam z Gerbertem.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to tobie zawdzięczam pomoc, pani?

– spytał oziębło. – Nie przypominam sobie, żebym cię o nią prosił!

– Ponieważ jesteś zbyt zarozumiały! Raczej dałbyś się pokrajać na

kawałki! Zauważyłam, że znalazłeś się w opałach, więc pomyślałam...

– A od kiedy to kobiety myślą? – parsknął Bohat z taką pogardą, że Katarzyna zawrzała z gniewu.

Ten mężczyzna nie tylko był dziwny, był odrażający!

– Przyznaję, że często popełniamy głupstwa – odparła – zwłaszcza ratując życie takiemu inteligentnemu mężczyźnie jak ty, panie! Racz mi wybaczyć! Lepiej bym zrobiła, przyglądając się spokojnie, jak cię wieszają na bramie opactwa! Po czym, upewniwszy się, że umarłeś dla świętej sprawy, powinnam pomodlić się za spokój twojej wielkiej duszy! Trudno, zło się jednak stało! Wybacz więc, że cię teraz opuszczę! Dobrej nocy, panie!

I odwróciła się na pięcie, lecz Gerbert zatrzymał ją, a Katarzyna ze zdziwieniem spostrzegła, że z jego kamiennej twarzy zniknął wyraz gniewu.

– Czy możesz mi wybaczyć, pani? – spytał głucho. – Przyznaję, że bez twojej pomocy niechybnie straciłbym życie. Powinienem ci podziękować, lecz – dodał gwałtownie – ciężko mi dziękować kobiecie, tym bardziej że życie jest dla mnie nieznośnym ciężarem! Gdybym nie bał się Boga, już dawno skończyłbym ze sobą!

– Doprowadzić do tego, żeby inni zrobili to za ciebie, to oszustwo, panie, na które nie nabrałbyś pana Boga!

Gerbert nie odpowiedział, a Katarzyna ruszyła w stronę oberży, czując, że nieszczęśnik wlecze się za nią.

– Nienawidzisz kobiet, panie, nieprawdaż?

– Z całych sił! Z całej duszy! – odparł Gerbert z zapalem. – One są odwieczną pułapką, w którą wpadają mężczyźni!

– Skąd tyle nienawiści, panie? Co złego uczyniły ci kobiety? Czyż nie masz matki?

– To jedyna czysta kobieta, jaką znam. Wszystkie inne to... błoto, zbytek i fałsz!

Katarzyna, miast uczuć się urażoną tak okrutnym sądem, poczuła coś w rodzaju litości, gdyż pod płaszczykiem nienawiści drażącej tego człowieka, zgadywała jakieś cierpienie, którego nie potrafiła nazwać.

– Czy zawsze nienawidziłeś kobiet? A może... Gerbert jednak nie dał jej dokończyć.

– „A może kochałeś zbyt mocno”? Tak, właśnie tak było! Dlatego zawsze były moimi wrogami! Nienawidzę ich!

Jego oczy płonęły ogniem mrocznej pasji, a ręce drżały. Widząc to, Katarzyna zatrzymała się.

– Spójrz na mnie, panie! – rzekła. – I powiedz prawdę! Czy istotnie uważasz, że jestem błotem, zbytkiem i fałszem?

Stała nieruchomo, ukazując rozbieganemu spojrzeniu Gerberta swą jasną twarz, otoczoną złotymi puklami opadającymi miękko na szyję. Uśmiechała się życzliwie do swego prześladowcy, który stał nieruchomo jak posąg.

– Odpowiedz, panie!

Nagle Gerbert zasłonił twarz dłonią, jakby chciał przepędzić diabelską wizję, i cofnął się w mroczny kąt muru opactwa.

– Ty chyba jesteś demonem zesłanym specjalnie, aby mnie kusić! Ale nie ciesz się na zapas! Nie zdobędziesz mej duszy! Rozumiesz? Nie zdobędziesz!

Apage Satanas! – Ogarnięty świętym strachem rzucił się do ucieczki.

Katarzyna pojęła, że nigdy nie uda się jej przekonać tego chorego człowieka.

– Nie gadaj głupstw, panie! – powiedziała za odchodzącym. – Nie jestem żadnym demonem! Ty szukasz spokoju ducha, ja zaś czego innego... Nie ludź się jednak, że to coś ty mógłbyś mi dać! Ani ty, ani żaden inny nie da mi tego, z wyjątkiem jednego...

– Kim jest ten jedyny? – zapytał w drzwiach.

– To nie twoja sprawa, panie! – ucięła Katarzyna. – Dobranoc! Idź spać!

Katarzyna wróciła do oberży, a pielgrzym nie starał się jej zatrzymać. Noc była spokojna i życie w miasteczku zamarło. W oddali rozległ się dzwon, gdzieś zaszczekał pies. Czowała zmęczenie i zwątpienie. Miała nadzieję, że załagodzi wzajemne animozje, lecz po tej rozmowie pojęła, że to nigdy nie będzie możliwe. Człowiek ten nosił w sobie tajemnicę, której nie powinna zgłębiać.

Następny dzień włókł się w nieskończoność. Katarzyna postanowiła uczestniczyć w obowiązkowych nabożeństwach, ale zamiast skupić się na modlitwie, myślała, by jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę.

W czasie nie kończących się modłów wlepiała oczy w błyszczącą wśród dymu kadzideł złotą figurę świętej Foy, kapiącą wprost od drogocennych kamieni. Dziwna to była figura, która swoimi nieruchomymi oczami wzbudzała strach. Katarzyna patrzyła na nią z lękiem, nie mogąc doszukać się w niej obrazu małej, trzynastoletniej świętej, torturowanej za wiarę. Mówiono, że posąg ten posiada moc wyzwalania więźniów, toteż za statuą piętrzyły się liczne dowody wdzięczności: łańcuchy, kajdany i żelazne obręcze.

Katarzynie od klęczenia ścierpły nogi, wstała więc i odwróciwszy głowę napotkała utkwione w niej spojrzenie Gerberta Bohata. Ta krótka chwila wystarczyła, by dostrzec wyraz zaciętości i bojaźni w jego twarzy. Westchnęła ciężko.

– Nie możesz mieć mu tego za złe – szepnęła stojąca tuż obok Gillette. – Gerbert to nieszczęśliwy człowiek.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem... czuję to... Musi bardzo cierpieć, dlatego jest taki oschły. Katarzyna, pomimo dobrych chęci, nie czuła się na siłach, by wziąć udział w procesji, która miała zanieść posąg świętej na pola od wielu dni pozbawione deszczu. Wróciła więc do oberży, gdzie Ermengarda przywitała ją kwaśnym uśmiechem.

– Czy nie dość ci jeszcze zdrowasiek? Kiedy wreszcie okażesz rozsądek i przyjmiesz moje rady wraz z moim koniem? Czy naprawdę masz zamiar wlec się z tą gromadą, podczas gdy mogłybyśmy odbyć podróż o wiele szybciej?

Katarzyna zacisnęła wargi i, zdejmując płaszcz, spojrzała na hrabinę z ukosa.

– Nie nalegaj, Ermengardo. Wyjaśniłam ci już swoje powody. Droga jest niebezpieczna i trzeba być w gromadzie, by nie wpaść w ręce rozbójników.

Stara dama przeciągnęła się i ziewnąwszy potężnie, odparła:

– A ja utrzymuję, że lepszy szybki koń, by uciec przed bandytami, niż sto kijów żebraczych! Uprzedzam cię, że jeśli tak dalej pójdzie, to szybko

zwariujesz i ja razem z tobą!

W głębi duszy Katarzyna przyznawała jej rację, nie chciała jednak głośno się do tego przyznać. Bała się gniewu Pana Boga, który widząc, że ustała w marszu, mógłby nie dopuścić do odnalezienia Arnolda. Hrabina, potrafiąca jak nikt czytać w myślach przyjaciółki, szepnęła:

– Wiedz, Katarzyno, że Bóg jest wielki i miłosierny i z łatwością ci przebaczy, jeśli nie dotrzymasz danego mu słowa.

– Wiem, Ermengardo, lecz... wytrwamy razem z innymi!

Jej zdecydowany ton i głębokie przekonanie obaliły ostatni argument hrabiny.

Procesja świętej Foy przyniosła oczekiwane rezultaty, gdyż następnego dnia, kiedy o świcie pielgrzymi wyruszali w dalszą drogę, lało jak z cebra. Katarzyna zajęła swoje stałe miejsce u boku Jossego Rallarda i Colina des Epinettesa. Szła odważnie, nie oglądając się ani na Ermengardę, ani na jej świętę. Hrabinie udało się, nie wiadomo jakim sposobem, dostać dwa nowe konie w czasie ostatniego postoju. Na jednym z nich jechała teraz pokojówka, zaś drugi szedł wolno trzymany za uzdę przez sierżanta Bérauda. Katarzyna domyśliła się, że ten drugi koń jest przeznaczony dla niej, udawała jednak, że nic jej to nie obchodzi.

Droga wiała się wśród wzgórz i opadając do doliny rzeki Lot, prowadziła do Figeac. Ulewny deszcz dawał się coraz bardziej we znaki. Zaciemniał okolicę i zgasił delikatne pączki wrzosów; dokuczliwe krople kapały z każdego, najmniejszego nawet, liścia, wsiąkając w wełniane okrycia pielgrzymów i czyniąc je jeszcze cięższymi. Chwilami spokojny, chwilami niemiłosiernie siekający, pogłębiał wrażenie surowości tej okolicy, napęniając serce Katarzyny niezgłębionym smutkiem. Nikt tego ranka nie miał ochoty na śpiewy. Gerbert zgarbiwszy się i schowawszy głowę w ramionach szedł na przedzie, nie odwracając się za siebie.

Nagle, kiedy wędrowcy docierali do szczytu wzgórza, dały się słyszeć jakieś krzyki.

– Zatrzymajcie się!... Na miłość boską, zatrzymajcie się!

Tym razem Gerbert odwrócił głowę, a wraz z nim wszyscy inni. W stronę pielgrzymów pędziło trzech zdyszanych mnichów, pokonując w pocie czoła strome wzgórze. Co chwilę potykali się o kamienie i wpadali w dziury, lecz nie przestawali krzyczeć, wymachując przy tym rękami.

– Co się dzieje? – wymamrotał Colin z niezadowoleniem. – Czyżbyśmy zapomnieli czegoś, a może te święte dusze chcą się do nas przyłączyć?

– Nie sędzę – odpowiedział Josse Rallard zmarszczywszy brew. – Nie mają niczego, nawet kosturów pielgrzymich.

– Zapewne chcą nas prosić, żebyśmy się za nich modlili u grobu świętego! – wyjaśnił Colin z namaszczaniem.

W tej chwili jego towarzysz popatrzył na niego tak krzywo, że ten siłą rzeczy zamilkł, nie mając odwagi snuć dalej swoich przypuszczeń. Tymczasem Gerbert Bohat wyszedł na spotkanie przybyszy i stanął przed nimi w pobliżu Katarzyny, dzięki czemu mogła przysłuchać się ich rozmowie. Trudno byłoby ich zresztą nie słyszeć, gdyż mnisi, prawie tracąc oddech, wydzielali się tak, że

aż pękały bębenki.

– Zostaliśmy okradzeni! Pięć wielkich rubinów zniknęło z figury świętej Foy!

Nowina ta została przywitana pomrukiem oburzenia i gniewu.

– To ohydna zbrodnia! – odpowiedział Gerbert Bohat i przybierając agresywny ton dodał: – Nie pojmuję jednak, dlaczego biegliscie jak opętani, żeby nam to powiedzieć! Chyba nie podejrzewacie nikogo z nas! Wy jesteście sługami bożymi, lecz zważcie, że my jesteśmy pielgrzymami!

Najwyższy z mnichów otarł ociekającą kroplami deszczu różową twarz i rozłożywszy bezradnie ręce powiedział:

– Zdarza się często, że sługi szatana ukrywają się wśród najlepszych z nas. A uczestnictwo w pielgrzymce nie jest od razu świadectwem moralności. Znam przykłady...

– Nie tylko my byliśmy wczoraj w Conques, wczoraj... czy kiedy tam dokonana została kradzież. Ładne mi chrześcijańskie miłosierdzie, które najpierw atakuje biednych pielgrzymów, zamiast zająć się tym nędznym pospółstwem, oddającym się swym rozpasanym uciechom przed bramą waszego kościoła!

Katarzyna uśmiechnęła się w duchu; Gerbertowi najwyraźniej leżała na wątrobie przedwczorajsza przygoda. Jednak mnich, przybrawszy nieszczęśliwą minę, odpowiedział:

– Komedianci odeszli wczoraj rano, a później podczas procesji statua była jeszcze nie naruszona. Nie brakowało ani jednego rubinu!

– Czy jesteś tego pewien, mnichu?

– Jak najbardziej. To ja, wraz z przybyłymi tu ze mną braćmi, zostałem upoważniony przez przewielebnego przeora do sprawdzenia przed włożeniem do schowka, czy statua jest nie naruszona. Mogę cię zapewnić, panie, że wtedy nie brakowało ani jednego rubinu. A dzisiaj rano... brakuje ich pięć, i to największych... a wy byliście jedynymi obcymi w miasteczku ostatniej nocy!

Po wyjaśnieniach mnicha zapadła grobowa cisza. Wszyscy wstrzymali oddechy czując, że rozumowanie mnicha jest logiczne. Jednakże Gerbert postanowił nie dawać za wygraną, wprawiając Katarzynę w podziw mocą i uporem, z jakimi przystąpił do obrony swojej gromady.

– To wcale nie dowodzi naszej winy. Conques jest świętym miastem, lecz tylko miastem, w którym mieszkają zwykli ludzie, a wśród nich zapewne znajdzie się niejedna czarna owca!

– Znamy dobrze nasze owieczki, bracie, więc znacznie prościej byłoby udowodnić, że żadne z was nie ma przy sobie skradzionych rubinów!

– Co masz na myśli, mnichu?

– Że jest nas trzech i jeśli pozwolicie się przeszukać, uwiniemy się szybko.

– W tym deszczu? – spytał pogardliwie Gerbert. – I ośmielicie się przeszukiwać niewiasty?

– Zaraz dołączą do nas dwie siostry. A oto i one! Niedaleko stąd, za zakrętem, znajduje się kapliczka, gdzie moglibyśmy dokonać dzieła. Proszę cię o to, bracie! Tu chodzi o świętą sprawę!

Katarzyna, wspiąwszy się na czubkach palców, ujrzała nadciągające,

wielce zadyszane i przemoczone do suchej nitki dwie siostry. Gerbert nie odpowiadał, lecz można było wyczuć, że gotuje się ze świętego oburzenia. Po dłuższej chwili rozejrzył się po swojej gromadzie i spytał:

– Co myślicie o tym, bracia? Czy zgadzacie się poddać tej nieprzyjemnej formalności?

– Pielgrzymowanie nakłada na nas obowiązek pokory – powiedział Colin z namaszczeniem. – Pokora będzie naszą bronią i święty Jakub policzy nam ją jako zasługę!

– Oczywiście! – przerwała Katarzyna, płonąć z niecierpliwości.

– Błagam tylko, pośpieszmy się! Już dosyć czasu strawiliśmy po próżnicy!

Gromada skierowała się do małej, kamiennej kapliczki stojącej przy drodze na niewielkim wzniesieniu. Z tego miejsca rozciągał się widok na całe miasteczko, lecz nikomu nie było w głowie podziwianie pięknych widoków.

– Podróże w wielkiej gromadzie są rzeczą niezmiernie czarującą!

– powiedziała z rozdrażnieniem w głosie Ermengarda, podchodząc do Katarzyny. – Ci dzielni mnisi pilnują nas jak jakichś złoczyńców! Jeśli jednak sądzą, że pozwolę się przeszukiwać, to się mylą!

– Obawiam się, że będziesz musiała się zgodzić, droga przyjaciółko! Inaczej podejrzenia padną na ciebie i cały zły humor naszych towarzyszy skrupi się na tobie! Och!... cóżeś taki niezgrabny, mój panie!

Ostatnie zdanie było skierowane do Jossego, który, potknąwszy się na kamieniu, wpadł na Katarzynę i w jednej chwili oboje upadli na ziemię.

– O, jakże mi przykro! – powiedział paryżanin. – Ta przekłeta droga jest bardziej podziurawiona niż habit żebrzącego mnicha. Czy uczyniłem ci krzywdę, pani?

Pełen współczucia, rzucił się, by pomóc wstać Katarzynie, otrzepywał błoto z jej sukni i pelerynki. Miał przy tym tak nieszczęśliwą minę, że nie mogła się na niego gniewać.

– Ależ nic się nie stało! – powiedziała, uśmiechając się miło. – Jeszcze wszystko przed nami!

Następnie, wraz z Ermengardą, usiadła na głazie pod dachem kapliczki, do której weszły siostry zakonne. Zdecydowano, że niewiasty pójdą na pierwszy ogień po to, aby święte dziewice mogły szybko powrócić do klasztoru. Kilku mężczyzn na ochotnika poddało się nieprzyjemnemu zabiegowi na polu. Na szczęście, deszcz ustał na chwilę.

– Jak tu pięknie – westchnęła Katarzyna spoglądając na rozpościerające się u jej stóp zielone pola.

– Być może – odparła Ermengarda – lecz co do mnie, to wolałabym być już daleko stąd! O! Wychodzą już moje służące! Kolej więc na nas! Pomóż mi wstać, moja droga!

Podpierając się nawzajem, przyjaciółki weszły do kapliczki. Wewnątrz panowały przenikliwy ziąb, wilgoć i nieprzyjemny odór stęchlizny.

– Pośpieszcie się! – rzuciła Ermengarda w stronę zakonnicek. – Tylko się tak nie bójcie, jeszcze nigdy nikogo nie zjadłam! – dodała widząc ich zatrwożone miny.

Obie były młode i najwyraźniej ta zwalista i głośna kobieta wywarła na

nich wielkie wrażenie, co nie przeszkodziło im jednak obszukać ją z największą dokładnością. W czasie całej operacji hrabina sapała i prychała z niecierpliwości. Następnie starsza z nich zwróciła się do Katarzyny czekającej na swą kolej.

– Teraz ty, siostrze! – rzuciła, zbliżając się do niej. – Najpierw pokaż mi, co masz w sakiewce wiszącej u twego paska.

Katarzyna bez słowa odczepiła wielką, skórzaną kieszeń, w której trzymała różaniec, trochę złota, sztylet z krogulcem, z którym nigdy się nie rozstawała i grawerowany szmaragd królowej Yolandy, mający ją chronić na drogach Hiszpanii.

Zakonnica wysypała zawartość sakiewki na wąski, kamienny ołtarzyk i ujrzawszy sztylet, rzuciła na Katarzynę zdziwione spojrzenie.

– Jedyłą obroną niewiasty powinna być modlitwa! – rzekła z obrzydzeniem wskazując na sztylet.

– To sztylet mego męża! – odparła oschle Katarzyna. – Nigdy się z nim nie rozstaję i dzięki niemu wiele razy uszłam cało przed rzeźmieszkami!

– Którym bardzo by się to spodobało! – rzuciła siostra wskazując na szmaragdowy pierścień.

Katarzyna zatrzęsła się z gniewu. Ta kobieta działała jej na nerwy. Nie mogła opanować chęci, żeby zamknąć jej usta.

– Dostałam go od królowej Yolandy, księżnej Andegawenii i matki naszej królowej! Czy siostra widzi w tym coś złego? Jestem...

– Wielką panią, nieprawdaż? – przerwała tamta ze złośliwym uśmiechem. – Od razu można było zgadnąć widząc te rzeczy! A co powiesz na to... pani?

Ku zdziwieniu Katarzyny, siostra sięgnęła po małe zawiniątko, które do tej pory uszło jej uwagi, i wyjęła zeń pięć wspaniałych, czerwonych rubinów świętej Foy...

– Co to ma znaczyć? – krzyknęła Katarzyna. – Pierwszy raz je widzę!

– To jakieś diabelskie sztuczki! – zawtórowała jej Ermengarda. – W jaki sposób te klejnoty znalazły się w sakiewce?

– Sztuczki albo nie, mamy je! – krzyknęła siostra. – A ty, pani, odpowiesz za kradzież! – Chwyciła Katarzynę za ramię i wyciągnęła ją z kapliczki wołając: – Bracia! Rubiny się znalazły! A oto złodziejka!

Katarzyna, czerwona z gniewu i wstydu, nie mogąc znieść tych wszystkich nagle wpatrzonych w nią par oczu, wyrwała ramię z żelaznego uścisku, krzycząc ile sił w piersi:

– To kłamstwo! Ja niczego nie ukradłam! I nie mam najmniejszego pojęcia, skąd się wzięły klejnoty w mojej sakiewce! Ktoś musiał mi je podrzucić...

Przerwał jej pomruk gniewu pielgrzymów, który świadczył, że nikt nie daje wiary jej słowom. Z przestachem pomyślała, że rozdrażnienie wywołane nieustającym deszczem, opóźnieniem i ciężącym na nich oskarżeniem mogło zamienić tych poczciwych ludzi w wilki. Wokół niej zacieśniał się nienawistny krąg, a pilnująca jej zakonnica wykrzykiwała, że trzeba zaprowadzić złodziejkę do Conques, oddać ją pod sąd przeora i powiesić!

Ermengarda pokuśtykała w jej stronę tak szybko, jak tylko mogła, chwyciła świętą dziewicę za ramię i potrzęsła nią jak osiką.

– Przestań się wydzierać! – zawyla. – Chyba postradałaś zmysły, dobra dziewczyno! Czy wiesz, jaką szlachetną panią oskarżasz o kradzież? Czy zdajesz sobie sprawę o kim mówisz?

– O złodziejce! – odszczeknęła tamta. – O awanturnicy, ukrywającej w swych niewieścich szatach sztylet i jeszcze ten pierścień, który jakoby dostała od królowej Yolandy!

Ledwo wypowiedziała te słowa, Ermengarda uniosła swą piękną dłoń i z całej mocy uderzyła ją w policzek, zostawiając na nim czerwone, dokładne ślady palców.

– To cię nauczy lepiej ważyć słowa, siostro! Do diaska, jeśli w klasztorach są same takie megieiry jak ty, to z całego serca współczuję Panu Bogu! – Po czym, podnosząc głos, zagrzmiała: – Hola! Béraud i inni! Do broni!

W jednej chwili pięciu Burgundczyków na koniach zjawiło się przed kobietami. Béraud spokojnie wyciągnął szpadę, a jego ludzie napięli łuki. Pielgrzymi przyglądali się tym niepokojącym przygotowaniom w zupełnej ciszy. Na twarzy Ermengardy zakwili uśmiech zadowolenia.

– Ten, który ośmielił się ruszyć, nie zdaży zrobić nawet kroku!

– poinformowała zdecydowanym głosem, po czym, zmieniając ton na bardziej uprzejmy, dodała: – A teraz, kiedy siły są równe, możemy porozmawiać!

Pomimo groźby Gerbert Bohat zrobił dwa kroki do przodu i uniósłszy rękę spytał:

– Czy mogę coś powiedzieć?

– Możesz – odparła Ermengarda.

– Czy prawdą jest, że rubiny zostały znalezione u tej...

– Tak, u mnie! – krzyknęła Katarzyna, nie dając mu dokończyć.

– Ale klnę się na mą duszę, że nie wiem, skąd się wzięły w mojej sakiewce!

– Łże jak pies! – rzuciła zakonnica.

– Oj! Chyba się rozgniewam! – parsknęła Ermengarda. – Zamilcz, święta dziewico, bo nie odpowiadam za siebie! Ciągnij dalej, panie Bohat!

– Została złapana na gorącym uczynku...

– Bracie – przerwała zniecierpliwiona hrabina. – Jeśli i ty będziesz trwał w oskarżeniach, odbiorę ci głos! Czy możesz powiedzieć, co zamierzasz uczynić w tej sprawie?

Klermontczyk rzucił pełne pogardy spojrzenie na Katarzynę, następnie zwrócił się do hrabiny:

– Jedyne rozwiązanie, jaką należy uczynić, to oddać panią Katarzynę świętym mnichom. Niech zawiodą ją do Conques przed oblicze przeora!

– Gdzie niechybnie zostanie rozszarpana przez tłum, zanim dotrze do opactwa – przerwała hrabina. – Nie, mój panie! Nie wyślę jej do Conques! Tobie może nie wystarcza dane przez nią słowo, ale mnie tak, ponieważ dobrze ją znam! Tak więc słuchajcie: Odnaleźliście swoje rubiny. Tym lepiej! Zabierzcie je sobie, bracia mnisi, i oddajcie je swojej świętej... Weźcie też i to jako rekompensatę! – dodała cisnąwszy w stronę najbliższego stojącego mnicha pękaty mieszek, który ten chwycił w locie. – Co do nas, to pozwolicie nam

odejść w spokoju!

– A jeśli nie? – spytał Gerbert z wyższością w głosie.

– Jeśli nie – odpowiedziała spokojnie Ermengarda – to siłą utworzymy sobie przejście wśród waszych szeregów!

– Nie jesteście zbyt liczni!

– W rzeczy samej! Mamy jednak broń... i siłę! Każdy z moich ludzi wart jest dziesięciu! Gdybyśmy jednak przegrali, nasza śmierć drogo by was kosztowała i niewielu z was ruszyłoby w dalszą drogę do Composteli! A teraz, pobożna siostró, oddaj pani Katarzynie, co do niej należy!

– Nigdy! – wrzasnęła zakonnica, nie dając za wygraną. – Ten pierścień z pewnością też ukradła! Naszym świętym obowiązkiem jest przekazać go przeorowi!

Na takie dictum hrabina bez namysłu wyrwała sakiewkę z rąk zakonnicy i upewniwszy się, że niczego w niej nie brakuje, oddała ją bez słowa Katarzynie, po czym zwróciła się do jednej ze swych służących:

– Amiele! Konie! Zostawisz pani Gillette tego, na którym jedzie... Jednakże nieszczęsna kobieta zbliżyła się z determinacją i stanęła obok Katarzyny.

– Jadę z wami! Ja wierzę w niewinność pani Katarzyny. Ktoś, kto ma takie dobre serce jak ona, nie może być złodziejką!

– I ja też! I ja też! – krzyknęła Margotka. – Ja też chcę jechać z wami! A zresztą pani Gillette potrzebuje mnie.

Ermengarda roześmiała się hałaśliwie i spojrzała wymownie na Gerberta.

– Uważaj, panie, żebyś nie został sam!

– Nie obawiam się tego! Uczciwi ludzie nie zechcą iść ramię w ramię z kobietą wątpliwej kondyty, która tylko może sprowadzić na ich głowy przekleństwo! Ruszajcie... skoro nie można oddać winowajczyni w ręce sprawiedliwości bez przelewu krwi, jednak wiedzcie, że nie chcemy was więcej widzieć!

Bohat stał wyprostowany wśród swoich pielgrzymów, którzy stłoczyli się jeden obok drugiego, jakby bali się sąsiedztwa winowajczyni, a niektórzy nawet czynili znak krzyża... Oczy Katarzyny wypełniły się łzami. Miała ochotę wyć, widząc Gerberta wskazującego na nią w geście pełnym pogardy. Czuła, że płonie ze wstydu, jakby ktoś przypalał ją rozpalonym żelazem.

Kiedy Ermengarda ruchem dłoni zachęciła ją, by wsiadła na konia, nieszczęśliwa krzyknęła:

– Jak mogę odjechać nie udowodniwszy swojej niewinności?

– Gdyby to było możliwe, sama bym ci radziła, żebyś wróciła do Conques – odparła Ermengarda. – Ale ci ludzie nie dopuszczą do tego; albowiem są z gruntu źli i zaślepieni swoim fanatyzmem! Co zaś do ciebie, moja droga, to wiedz, że ktoś z takim nazwiskiem jak twoje nie powinien przejmować się ludzkim gadaniem! A teraz, hajda na koń!

Uspokojona słowami hrabiny, Katarzyna postawiła stopę na dłoni Bérauda i wsiadła na konia. Zbici w jedną masę pielgrzymi rozstąpili się przed małą grupą. Na twarzach wędrowców widać było strach i potępienie, co wywołało u hrabiny pogardliwe wzruszenie ramion. Przejeżdżając przed Gerbertem, Katarzyna zatrzymała konia i rzuciła z góry:

– Osądziłeś mnie, panie, nie chcąc nawet wysłuchać! Podejrzana, a więc winna! Ładna mi sprawiedliwość!

– Nie trać czasu po próżnicy na rozmowy z człkiem bardziej upartym niż osioł! – przerwała ze zniecierpliwieniem Ermengarda.

Tymczasem Gerbert spojrział na Katarzynę i rzekł:

– Mogłaś przecież działać w zмовie ze współnikiem... Lecz jeśli niewinna, odejdz w spokoju... choć osobiście uważam, że to niemożliwe. Co do mnie...

– Jesteś zadowolony, panie, że znalazł się powód, abym nie mogła podążać z wami dalej, nieprawdaż?

– Oj, prawda! – przyznał Gerbert ze szczerą ulgą. – Jestem szczęśliwy, gdyż przy tobie, pani, żaden mężczyzna nie może myśleć poważnie o zbawieniu duszy. Jesteś, pani, kobietą niebezpieczną. To dobrze, że nas opuszczasz!

Katarzyna uśmiechnęła się gorzko.

– Dziękuję za komplement, panie. Podążaj więc dalej swoją świętą drogą, lecz pamiętaj, że niebezpieczeństwo odsunięte na chwilę może się odrodzić, jeśli nie będzie w tobie siły, która pozwoli ci je pokonać. Coś mi mówi bowiem, że jeszcze się spotkamy... Może w Composteli?

Gerbert nie odpowiedział, tylko przeżegnał się pośpiesznie i z takim przestachem, że Katarzyna, pomimo swego gniewu, byłaby roześmiała mu się prosto w nos. W tej chwili zniecierpliwiona Ermengarda chwyciła konia Katarzyny za uzdę i pociągnęła go za sobą.

– Dostyc tego. Ruszajmy!

Katarzyna posłusznie ruszyła za przyjaciółką i klusem pomknęła przed siebie, zagłębiając się ponownie w dolinę rzeki Lot. Znowu zaczął padać drobny, lecz tym razem niezbyt dokuczliwy deszcz. Spojrzała z upojeniem na otwartą przestrzeń. W tej chwili miała ochotę spać wierzchowca i pogalopować przed siebie na skrzydłach wiatru, upajając się dzikim pędem... Jednak zarówno ciężar, jak i złamana noga Ermengardy nie pozwalały na takie brewerie.

Południowy wiatr przyniósł do jej uszu dźwięki pieśni, którą zaintonowali pielgrzymi:

Ave Maria, gwiazdo morza

Jaśniejsza od słońca

Na naszej ciemnej drodze

Prowadź nas, Ave Maria...

Katarzyna zagryzła wargi i mocniej przywarła do konia. Miała niejasne wrażenie, że ta pieśń w jakiś sposób jeszcze bardziej wyklucza ją z kręgu pielgrzymów. Czyżby wzywali imienia Matki Boskiej z taką żarliwością, ażeby ustrzec się od przekleństwa, którego w ich mniemaniu była nosicielką?

Po chwili śpiew osłabł, oddalił się, aż umilkł zupełnie. Ermengarda spięła konia, by dogonić Katarzynę, która wyprzedzała całą grupę. Przez chwilę obie kobiety jechały obok siebie w milczeniu. Katarzyna, która mocno przeżywała swoje upokorzenie, zauważyła, że hrabina szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu. Domyśliła się, że przyjaciółka rozkoszuje się swoim zwycięstwem.

– Jesteś z siebie zadowolona, jak myślę? – wybuchnęła wreszcie. –

Postawiłaś na swoim! Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że to ty sama wsunęłaś rubiny do mojej sakiewki!

– W rzeczy samej – obruszyła się Ermengarda – żałuję, że nie ja to zrobiłam! Zabrakło mi wyobraźni i sprytu. Ale, ale, moja droga, nie miejże już takiej nadętej miny. Dzięki temu zajściu szybciej znajdziesz się w Hiszpanii, a Pan Bóg nie będzie ci miał tego za złe, gdyż to nie twoja wina. Popatrz, złotko, przejaśnia się! Chmury rozwiał wiatr. Czy nie uważasz, że to dobry znak?

Pomimo złego humoru, Katarzyna nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Powinnam pamiętać, droga Ermengardo, że ty zawsze potrafiłaś przeciągnąć niebo na swoją stronę. Niemniej dałabym wszystko, żeby się dowiedzieć, jakim sposobem te przeklęte rubiny znalazły się przy mnie i kto mógł je ukraść!

Odpowiedź na to pytanie miała znaleźć się już tego samego dnia wieczorem. Katarzyna i jej kompania, zmęczeni szybką jazdą, stanęli w Figeac, w największej oberży w miasteczku, znajdującej się naprzeciwko sądu i starego „ostal de la Moneda”, królewskiej mennicy.

Po zainstalowaniu się część kobiet poszła do kościoła na adorację Najświętszego Sakramentu, jedynie Katarzyna z Ermengardą postanowiły zaczerpnąć świeżego powietrza i usiadły na podwórzu oberży pod rozłożystym platanem, rozkoszując się blaskiem zachodzącego słońca prześwitującego poprzez gąszcz gałęzi.

Kiedy tak odpoczywały, zauważyły nagle zbliżającego się do nich długimi krokami Jossego Rallarda, który rzucił się do stóp Katarzyny i wymamrotał:

– Pani! To ja ukradłem rubiny... A następnie udałem, że potykam się na kamieniu, by pociągnąć cię na ziemię, i korzystając z zamieszania, wsunąłem rubiny do twojej sakiewki... – dodał zniżając jeszcze bardziej głos na widok przechodzących nie opodal służących z koszami pełnymi bielizny. – Przyszedłem prosić cię o przebaczenie!

Katarzyna przypatrywała się w osłupieniu klęczącemu u jej stóp nieszczęśnikowi. Ermengarda zaś, usiłując podnieść się z ławy, krzyknęła z oburzeniem:

– I ty masz czelność, nicponiu, dopiero teraz nam to wyznać? W dodatku bez najmniejszej żenady? Ależ ja cię natychmiast pošlę do sędziego, który z pewnością poświęci dla ciebie kawał mocnego sznura! Hej, wy tam, do mnie!

Lecz Katarzyna położyła jej na ramieniu rękę, aby ją uspokoić.

– Zaczekaj! Chcę, by najpierw odpowiedział na dwa pytania.

– Pytaj, pani! Na wszystkie pytania odpowiem...

– A więc, dlaczego to uczyniłeś?

– Dlaczego ukradłem?... Pani, chciałbym wszystko ci wyznać... Otóż jestem tutaj tylko dlatego, że uciekłem z Paryża, gdzie czeka na mnie długi i gruby sznur... Moim domem był Dziedziniec Cudów, lecz nie mogłem wychylić z niego nosa, gdyż moje nieczne uczynki stały się powszechnie znane. Dlatego postanowiłem ukryć się wśród pielgrzymów... Wiedziałem, że w drodze nadarzy mi się niejedna okazja... I kiedy zobaczyłem ten złoty posąg, cały kapiący od drogich kamieni, pomyślałem, że jeśli uszczknę z nich kilka, to nikt nawet tego nie zauważy... a ja zapewnię sobie dostatek na stare lata. To była wielka pokusa!

– Być może, lecz dlaczego mnie obciążyłeś swoim uczynkiem? – krzyknęła Katarzyna. – Dlaczego pozwoliłeś, aby mnie oskarżono? Wiedziałeś chyba, że narażasz mnie na śmierć!

– O nie, pani! Tobie nie groziło takie niebezpieczeństwo jak mnie! Ja jestem tylko włóczęgą i zwykłym nędznikiem... Ty zaś wielką damą! Nie można cię, ot tak zwyczajnie, powiesić! No i masz do pomocy przyjaciółkę i jej rycerzy. Wiedziałem, że hrabina będzie cię bronić wszelkimi sposobami. A mnie nikt nie wzięby w obronę! Powiesiliby mnie bez sądu na pierwszym lepszym drzewie. Wpadłem w okropny strach, aż mi od niego skręcało wnętrzności... Liczyłem na to, że minie jakiś czas, zanim kradzież zostanie zauważona, że podejrzania nie skierują się na świętych pielgrzymów i że w tym czasie zdążymy już odejść daleko. Kiedy zauważyłem nadciągających mnichów, zrozumiałem, że jestem zgubiony... Wtedy...

– Wtedy postanowiłeś podrzucić mi swój łup – dokończyła spokojnie Katarzyna. – A gdyby mnie jednak powieszono?

– Klnę się na Boga, w którego nigdy nie przestałem wierzyć, że przyznałbym się do winy! A gdyby mi nie dano wiary, biłbym się za ciebie, pani, aż do ostatniej kropli krwi!

Katarzyna w milczeniu ważyła usłyszane przed chwilą słowa. Po chwili powiedziała:

– A teraz drugie pytanie: dlaczego dołączyłeś do nas? Dlaczego teraz przyznajesz się do winy, kiedy już nie grozi mi niebezpieczeństwo? Skąd wiesz, czy cię nie wydam?

– Wiem, że ryzykuję – odparł Josse nie tracąc rezonu. – Ale nie mogłem dłużej zostać wśród tych klepiących zdrowaśki, a jednocześnie żadnych krwi fałszywców! Dostyc miałem i Gerberta Bohata, i pana Golina. No i... droga bez ciebie wydawała mi się nie do wytrzymania, a poza tym...

– A poza tym – wtrąciła Ermengarda – postanowiłeś powetować sobie stratę rubinów! Przyznaj się, trutniu jeden, że chciałeś wykraść pani Katarzynie pierścień królowej Yolandy!

Josse nie raczył odpowiedzieć Ermengardzie, natomiast zwrócił się do Katarzyny:

– Jeśli takie jest i twoje zdanie, pani, możesz wydać mnie bez wahania. Chciałem tylko powiedzieć jedno: uczyniłem ci wielką krzywdę, chcąc ratować swą skórę, lecz teraz bardzo tego żałuję! Pragnę wymazać swoją winę, ofiarowując ci moje usługi. Pozwól, pani, abym mógł jechać za tobą i abym mógł cię bronić w razie potrzeby! To prawda, jestem tylko włóczęgą i zbiem, lecz nie brak mi odwagi, a szpadą umiem wymachiwać nie gorzej niż wielki pan. Na drodze, którą zmierzasz, solidne ramię może okazać się przydatne. Czy więc przebaczysz mi i weźmiesz mnie jako swego sługę? Na zbawienie duszy, klnę się, że będę ci wiernie służył!

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której Josse nie wstawał z klęczek, czekając ze spuszczoną głową na odpowiedź Katarzyny. Ona jednak wcale nie odczuwała gniewu, wręcz przeciwnie: ten dziwny człowiek, z jednej strony zwykły złodziejaszek, lecz z drugiej nie pozbawiony uroku młodzieniec, wzbudził w jej sercu dziwne rozczulenie. Spojrzała pytająco na Ermengardę, która zaciskając wargi, uparcie milczała, co nie wróżyło niczego dobrego.

– Co mi radzisz, droga przyjaciółko? Hrabina wzruszyła ramionami i bąknęła:

– A cóż ja mogę ci doradzić! Wydawałoby się, że jesteś podobna do wróżki Kirke, która zmieniła towarzyszy Ulissesa w świnie, z tą tylko różnicą, że twoje działanie ma odwrotny skutek. Tak więc, czyń, co uważasz za stosowne, lecz ja... i tak z góry wiem, co zrobisz!

Co mówiąc, sięgnęła po kulę i opierając się na niej z wielkim trudem uniosła się z ławy, przy czym ostentacyjnie odrzuciła wyciągniętą w jej stronę pomocną dłoń Katarzyny, która zapytała z niepokojem w głosie:

– Dokąd odchodzisz, Ermengardo? Proszę cię, nie weź sobie do serca tego, co ci powiem, lecz...

– A dokąd ja mogę pójść? – rozzłościła się stara dama. – Mam zamiar posłać Bérauda, żeby rozejrzał się trochę po mieście i znalazł nam jeszcze jednego konia! Twój nowy służący może i szybko biega, lecz nie do tego stopnia, żeby dorównać nam kroku w drodze do Galicji!

Po czym, podpierając się na kulach, podobna do wielkiego statku nabierającego niebezpiecznego przechyłu, Ermengarda de Châteauvillain odpłynęła majestatycznie z dziedzińca oberży.

Rozdział trzeci

POŚLANIEC Z BURGUNDII

Po piętnastu dniach wędrówki Katarzyna wraz z towarzyszącymi dotarła do stóp Pirenejów i przekroczyła starożytny most nad strumieniem Oloron. Wędrówka odbyła się bez przygód, gdyż na przebywanych ziemiach, należących w większości do potężnego rodu Armaniaków, nie musiano się obawiać angielskich zbirów. Ich stanowiska znajdowały się głównie w Gujennie, a nie chcąc zadzierać z hrabią Janem IV d'Armagnac, którego stosunek do najeźdźcy był od jakiegoś czasu dosyć pobłażliwy, Anglicy starali się raczej nie wdzierać na jego ziemię.

Poprzez Cahors, Moissac, Lectoure, Condom i Orthez Katarzyna, Ermengarda oraz ich ludzie dotarli wreszcie do pasma gór, oddzielającego ich od Hiszpanii. Jednak, po raz kolejny, niecierpliwość Katarzyny została wystawiona na ciężką próbę. Od chwili bowiem, kiedy oddzielili się od Gerberta Bohata i jego pielgrzymów, hrabinie jakby przestało się spieszyć. Ona, która jeszcze niedawno podsyciała niecierpliwość Katarzyny, namawiając ją do porzucenia zbyt powolnej gromady pielgrzymów, teraz znajdowała szczególną przyjemność w opóźnianiu wędrówki.

Z początku Katarzyna niczego nie podejrzewała. Należało zatrzymać się w Figeac, żeby znaleźć konia dla Jossego. W Cahors znowu spędzono dwa dni: była niedziela i Ermengarda stwierdziła, że wędrowanie w dzień święty nie przyniosłoby im szczęścia. Z tym Katarzyna też się pogodziła i powstrzymała swą niecierpliwość, lecz kiedy w Condom hrabina zarządziła postój, by móc wziąć udział w miejscowym świątku, Katarzyna wybuchnęła.

– Chyba zapomniałaś, moja droga, jaki jest cel mojej wędrówki! Wiesz przecież, jak spieszno mi do Galicji, a ty zawracasz mi głowę jakimiś miejscowymi świątkami!

Ermengarda, jak zwykle nie tracąc rezonu, wyjaśniła, że nadmierne napięcie umysłu jest zgubne dla ciała, więc przy zbyt dużym pośpiechu należy nieco zwolnić tempo. Katarzyna jednak nie chciała więcej o niczym słyszeć.

– Dlaczego wobec tego nie dopuściłaś, bym spełniła swoje śluby i pozostała w gromadzie Gerberta Bohata?

– Zapominasz, moja droga, że nie zależało to od twojej woli! Katarzyna spojrzała na Ermengarde ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem cię, Ermengardo. Do tej pory sądziłam, że pragniesz mi pomóc, lecz teraz zachowujesz się tak, jakbyś zmieniła zdanie.

– To właśnie dlatego, że chcę ci pomóc, pragnę, abyś była bardziej powściągliwa. Kto wie, czy tam, dokąd zmierzasz z takim uporem, nie czeka na ciebie okrutny zawód. A na to zawsze jest czas!

Katarzyna nie odpowiedziała. Ermengarda bowiem wyraziła głośno to, czego ona w skrytości ducha obawiała się najbardziej – lękała się, że nie odnajdzie Arnolda. Ileż to razy w środku nocy, w tą ciemną i straszną godzinę, kiedy strach nie pozwala zasnąć, powodując oszalałe bicie serca, którego nic nie jest w stanie uspokoić, leżała z otwartymi oczami, starając się zagłuszyć głos rozumu podpowiadający jej, żeby zrezygnowała ze swego zamiaru, żeby

powróciła do Montsalvy do syna i tam rozpoczęła nowe, inne życie całkowicie poświęcone małemu Michałowi. Czasem była już gotowa ustąpić, lecz kiedy wstawał świt przepędzając złe duchy, na powrót wracała nieodparta chęć spełnienia najskrytszego marzenia: ujrzeć Arnolda choćby przez chwilę, usłyszeć jego głos ten ostatni raz... A potem...

Tymczasem zamiast zachęty, której tak potrzebowała jej skołatana dusza, Ermengarda namawiała do ostrożności, wlewając w jej serce gorzkość wątpliwości. Hrabina nigdy nie lubiła Arnolda. Wprawdzie ceniła go za waleczność i rycerskie talenta, uważała jednak, że Katarzynę czeka przy nim tylko boleść i rozczarowanie.

Tego poranka Katarzyna wsłuchana w szmer spienionego strumienia, toczącego swe czyste wody u jej stóp, wpatrywała się z zachwytem, ale i z lękiem w pokryte nieskażonym śniegiem spiczaste szczyty gór. Dla kogoś takiego jak ona, pochodzącego z nizin i znajdującego co najwyżej łagodne pagórki Owernii, ten maszyn wydawał się przeszkodą nie do przebycia.

– Nigdy nie uda nam się przejść przez te góry... – wyszeptała sama do siebie.

– Zobacz pani, Katarzyno, że owszem! – usłyszała głos Jossego Rallarda. – Jak się idzie do przodu, droga pojawia się sama!

– Lecz w razie potrzeby znikąd nie doczekamy się tu pomocy... – odpowiedziała.

Pomyślała nagle o Walterze, którego te góry pochłonęły, chociaż ten olbrzym wydawał się niezniszczalny. Zanim jeszcze ujrzała przed sobą Pireneje, myślała, że tutaj go odnajdzie, lecz teraz, przytłoczona ich ogromem, zrozumiała, jak bardzo się myliła. Jak wyrwać zdobycz takiej potędy?

Josse spojrział na Katarzynę z zaciekawieniem i niepokojem zarazem, a wyczuwając, że potrzebuje pociechy, rzucił wesoło:

– Czy wiesz pani, że jesteśmy w krainie cudów?

– Co masz na myśli?

Rzuciwszy krótkie spojrzenie w kierunku hrabiny, która wraz ze swymi ludźmi jechała z tyłu i w tej chwili uiszczała opłatę za przejazd przez most, Josse wskazał na skłębione wody strumienia:

– Czy widzisz, pani, tę rzekę? Wydawałoby się, że kto wpadnie w jej spieniony nurt, nie wyjdzie z niego żywy. A jednak, blisko trzy wieki temu, król Nawarry kazał wrzucić do niego swoją młodszą siostrę, Sancie de Béarn, oskarżoną o zamordowanie własnego dziecka. Biedaczce związane ręce i nogi. Gdyby udało jej się z tego wyjść żywo, miano uznać ją za niewinną.

– Sąd boży! – krzyknęła Katarzyna spoglądając z przerażeniem na spienioną wodę.

– Tak, sąd boży! Młoda hrabianka była słabego zdrowia i do tego solidnie spętana. Stracono ją z tego mostu i nikt nie dałby złamanego sola, że z tego wyjdzie. A jednak woda wyrzuciła ją całą i zdrową na brzeg. Oczywiście, ludzie uznali to za cud... a ja myślę, że cud może się powtórzyć! Wystarczy, że Bóg tak zechce, pani Katarzyno! I cóż wtedy znaczą góry, dzikie żywioły, czy nawet nieubłagany czas? Trzeba tylko wierzyć...

Przepelnione wdzięcznością spojrzenie, jakim Katarzyna obdarowała swego nowego giermka, przekonało go, że utrafił w sedno i że udało mu się

spłacić przynajmniej część długu wdzięczności, jaki zaciągnął wobec tej kobiety.

Katarzyna utkwiała oczy w oślepiającej bieli lodowców rozświetlonych promieniami słońca, a jej myśli uleciały gdzieś daleko. Nagle z zamyslenia wyrwało ją kasłanie Jossego.

– Co się stało? – spytała oglądając się za siebie.

– Chyba musimy poczekać na panią de Châteauvillain. Hrabina ciągle jest na moście.

Katarzyna zatrzymała konia i odwróciła się. W istocie, Ermengarda prowadziła jakieś pertraktacje na samym środku mostu z pilnującym go strażnikiem.

– Co ona znowu wyprawia? Jeśli tak dalej pójdzie, to nie dojedziemy do Ostabat dziś wieczorem!

– Gdyby to tylko od niej zależało – zauważył Josse – to nawet jutro byśmy tam nie dotarli!

Katarzyna spojrzała na niego ze zdumieniem i spytała:

– Nie rozumiem! Co masz na myśli?

– Chcę powiedzieć, że pani hrabina czyni, co tylko w jej mocy, aby nas opóźnić. To jasne: ona na kogoś czeka!

– Na kogo? Mów, jeśli wiesz!

– Nie, tego nie wiem. Może na tego sierżanta, który tak nagle opuścił nas za klasztorem w Aubrac... Czy nie zauważyłaś, pani, jak często hrabina ogląda się za siebie?

Katarzyna przytaknęła. Rzeczywiście, już parę razy zauważyła tajemnicze zabiegi hrabiny. Ermengarda nie tylko nie miała ochoty dotrzeć do Galicji, ale na dodatek coraz częściej rzucała za siebie niespokojne spojrzenia. Katarzyna poczuła, jak krew zaczyna burzyć się w jej żyłach. Dłużej już nie pozwoli Ermengardzie wodzić się za nos, nawet gdyby powód jej manipulacji był jak najbardziej słuszny!

Hrabina ciągle jeszcze była zajęta rozmową z sierżantem. Katarzyna spięła konia i rzuciła do Jossego:

– W drogę! Ona nas dogoni, a ja postanowiłam dotrzeć do Ostabat dziś wieczorem. Trudno, jeśli chce, niech zostanie w tyle! Nie zamierzam dłużej tracić czasu!

Wielkie usta Jossego rozszerzyły się aż do uszu w uśmiechu pełnym aprobaty i giermek ochoczo ruszył śladem swojej pani.

Stary zajazd w Ostabat, po części forteca, po części szpital, dużo stracił ze swej niegdysiejszej świetności. Ciężkie czasy, a zwłaszcza wojna, która od wielu lat trawiła królestwo Francji, zniechęciły poczciwych ludzi do pielgrzymowania, które stało się zbyt niebezpieczne. Tylko będący w największej potrzebie lub pozbawieni wszelkich dóbr ziemskich odważali się podjąć trud wędrówki szlakami, z których często nie było powrotu. Tłumy, dawniej przewalające się przez zajazd usytuowany na skrzyżowaniu trzech wielkich szlaków: Owernii, Burgundii i Ile-de-France, teraz skurczyły się do nielicznych grup, wystraszone tym, co już widziały po drodze, i tym, co ich jeszcze czeka w górach ze strony słynnych baskijskich rozbójników, nie wspominając o przewodnikach górskich, wykorzystujących naiwność

podróżnych, aby lepiej ich oskubać. Najważniejsi hersztowie band mieli własne wieże forteczne na zboczach gór.

– Przy odrobinie szczęścia – powiedziała rankiem Ermengarda do Katarzyny – będziemy jedynymi gośćmi w zajeździe, dzięki czemu wygodnie się ulokujemy!

Kiedy jednak Katarzyna przekroczyła bramę zajazdu, jej oczom ukazała się wielka liczba koni i mulic, przy których uwijali się porządnie odziani giermkowie. Wokół płonącego pośrodku ogniska odpoczywało około dziesiątki rycerzy piekących wielki kawał mięsa. Przez szeroko otwarte drzwi dało się zauważyć kilku opasłych norbertanów usługujących zapewne znamienitemu biesiadnikowi. Słysząc też było potężne trzaskanie ognia w kominku.

Zdaje się, że nie grozi nam samotność – zmartwiła się w duchu Katarzyna. Żebyśmy chociaż dostali pokój!

W tej chwili zbliżył się do niej jeden z zakonników i powiedział:

– Pokój z tobą, moja sestro! Czym możemy ci służyć?

– Prosimy o dach nad głową i trochę strawy – odparła Katarzyna. – Ale jest nas więcej... Pozostali zaraz nadjadą i obawiam się, że...

Stary człowiek uśmiechnął się, a jego twarz zamieniła się w jedną wielką siatkę zmarszczek.

– Nie obawiaj się, nasz dom jest pojemny i starczy miejsca dla wszystkich. Czy zechcesz zsiąść z konia? Nasz brat zajmie się waszymi wierzchowcami.

Katarzyna już go jednak nie słuchała, gdyż właśnie spostrzegła stojącego nie opodal stajni rycerza w zbroi, a na niej znajomy herb...

Pomimo zapadającego zmierzchu nie mogła się pomylić! To był herb Filipa, księcia Burgundii!

Poczuła, że blednie, w jej głowie zawirował tabun myśli. To niemożliwe, żeby książę Filip znajdował się w tym miejscu! Owszem, ta eskorta mogła należeć do wielkiego pana, lecz z pewnością była zbyt skromna jak na Wielkiego Księcia Zachodu!... A jednak, przecież miała przed oczami znajome kwiaty lilii...

Z zaskoczenia wyrwał ją dopiero łagodny głos zakonnika.

– Czy jesteś cierpiąca, moja córko?

Katarzyna, nie mogąc odwrócić oczu od niepokojącego ją herbu, spytała:

– Kim jest ten wielki pan, który do was przybył?

– To osobisty wysłannik Filipa, księcia Burgundii.

– Wysłannik? Do kogo? Do jakiego kraju?

– A skąd ja mam to wiedzieć! Może do władcy Kastylii lub do króla Aragonii, chyba żeby... do króla Nawarry... Ale, ale... coś mi się widzi, moja córko, że źle się poczułaś! Wejdziesz do środka. Potrzebujesz odpoczynku.

Uspokojona nieco słowami starego zakonnika, Katarzyna zsiadła z konia. W tej samej chwili na dziedziniec wpadła w tumanach kurzu Ermengarda ze swoją świtą. Hrabina miała wielce niezadowoloną minę, jej oczy ciskały błyskawice.

– A więc to tak, moja droga! – rzuciła na widok Katarzyny. – Już od wielu godzin pędzimy za wami i nie możemy was dogonić!

– Wybacz, Ermengardo, lecz dłużej nie mogłam tracić czasu –

odpowiedziała Katarzyna bezbarwnym tonem. – A ty, pani, ciągle napotykałaś na swej drodze różnych ludzi, do których miałaś ochotę zagadać. Po prostu chciałam dzisiaj znaleźć się w tym zajezdzie, zanim zapadnie zmierzch, dlatego trochę przyspieszyłam. Ot i wszystko...

– Wydaje mi się jednak... – zaczęła hrabina, lecz w tej chwili słowa zamarły w jej ustach, a oczy zapłonęły jaśniejszym blaskiem. Ona także rozpoznała herb na zbroi oficera i w jednej chwili jej ocienione delikatnym meszkiem wargi rozszerzyły się w pełnym uśmiechu. – Coś mi się zdaje, że będziemy mieć dzisiaj towarzystwo! – rzekła z niezwykłym ożywieniem, które nie uszło uwagi Katarzyny. – To przyjaciele, bez wątpienia!

Katarzyna uśmiechnęła się z przekąsem.

– Jesteś pewna? Radziłabym ci raczej, droga przyjaciółko, byś nie pokazywała się panu, do którego należy ten herb! Czyżbyś zapomniała, że ksiązę Filip jest twoim wrogiem?

– Nie przesadzaj, moja kochana... – odparła Ermengarda beztrosko. – Tutaj jesteśmy daleko od Brugii i Dijon. Ponadto mam kilku wiernych przyjaciół przy księciu. Wreszcie, nigdy nie byłam strachliwa. Lubię stawić czoło niebezpieczeństwu!

Co mówiąc, pani de Châteauvillain zakasała welurową suknię i skierowała się w stronę stojącego przy stajni oficera, na którym widok tej potężnej kobiety nie zrobił jednak większego wrażenia.

– Powiedz no, przyjacielu, kto jest twoim panem? – zagadnęła uprzejmie.

– Ambasador Jego Wysokości księcia Filipa Burgundzkiego, hrabiego Flandrii...

– Podaruj sobie, złotko, dalsze tytuły księcia, gdyż nikt lepiej ich nie zna niż ja i nie skończylibyśmy z tym nawet do świtu! Powiedz mi raczej, kto jest tym ambasadorem?

– A kim ty jesteś, pani, żeby wypytywać mnie w taki sposób? Hrabina jednakże nie raczyła odpowiedzieć, lecz zdecydowanym gestem usunęła z drogi swego rozmówcę, gdyż w tej chwili na progu ukazał się młody jeszcze mężczyzna, ubrany w prosty, lecz nie pozbawiony pewnej elegancji, zamszowy strój w kolorze jesiennych liści. Jasne włosy, lekko przyprószone siwizną, szczupła twarz z długim, prostym nosem i wąskie usta dopełniały całości. Na widok Ermengardy człowiek ten roześmiał się, a jego zimne oczy rozbłyły.

– Droga hrabino! Już myślałem, że się minęliśmy, gdy tymczasem... Nagle zamilkł, widząc rozpaczliwe znaki, jakie dawała mu hrabina.

Było już jednak za późno: Katarzyna nie tylko usłyszała słowa mężczyzny, lecz także zauważyła dawane przez Ermengardę znaki.

– Czy obawiałeś się, Janie, że ze mną także się rozminiesz? – spytała zjadliwie.

Malarz Jan Van Eyck, pokojowiec księcia Filipa Burgundzkiego i jego tajny posłaniec w wielu delikatnych misjach, był człowiekiem szczerym z natury. Z wielką radością i otwartymi ramionami rzucił się w kierunku Katarzyny.

– Katarzyno!... Nie wierzę własnym oczom!

Jego szczęście było aż tak widoczne, że cała podejrzliwość Katarzyny znikła. Dawno temu byli przecież przyjaciółmi. W czasach, kiedy królowała

zarówno na dworze burgundzkim, jak i w sercu swego księcia, wiele razy pozowała do obrazów tego artysty, podziwiając jego geniusz i ceniąc sobie wielce jego wierną przyjaźń. Jan durzył się w niej i nigdy tego nie krył.

Katarzyna także nie mogła ukryć radości ze spotkania z przyjacielem z dawnych lat, którego dawno straciła z oczu. Związane z nim wspomnienia były wyłącznie miłe, a długie godziny pozowania przed jego sztalugami pozostały w jej pamięci jako chwile wytchnienia i spokoju... z wyjątkiem ostatniego razu... kiedy przyniesiono wiadomość o chorobie dziecka, które miała z księciem i którym opiekowała się Ermengarda de Châteauvillain. Postanowiła wtedy opuścić Brugię na zawsze... tym bardziej, że Jan Van Eyck wyjeżdżał także, i to aż do Portugalii, żeby prosić w imieniu księcia o rękę księżniczki Izabeli... Od tego czasu upłynęło sześć lat...

– Tak, to ja, drogi przyjacielu! Co za szczęście widzieć cię znowu! Co porabiasz tak daleko od Burgundii? Zdaje mi się... że byłeś tu umówiony z hrabiną de Châteauvillain!

Co mówiąc, rzuciła wymowne spojrzenie na Ermengardę, która zaczerwieniła się jak burak.

– Umówiony, to zbyt wiele powiedziane... Po prostu wiedziałem, że pani hrabina udaje się do Composteli w Galicji, a skoro i mnie wysłano w te strony, pomyślałem, że miło będzie podróżować we wspólnej kompanii.

– Czyżby księżę wysłał cię z misją do grobu świętego Jakuba z Composteli? – spytała Katarzyna z ironią, która nie uszła uwagi artysty.

– Pani, wiesz zapewne – odparł z uśmiechem – że moje misje są zawsze sekretne, więc nie mam prawa o nich mówić... Lepiej wejdźmy do środka, zapada noc, nie chciałbym więc, żeby tutaj, u stóp gór, zaskoczyła nas chłodem!

Wieczór spędzony pod starymi stropami sali biesiadnej, w której od lat gromadziły się całe zastępy ludzi zaślepionych przez wiarę, miał w sobie coś nierzeczywistego i zarazem niepokojącego. Katarzyna usadowiwszy się przy wielkim stole, pomiędzy Ermengardą i Janem, przysłuchiwała się rozmowom, sama nie włączając się do konwersacji. Sprawy Burgundii roztrząsane tutaj z takim zapałem już od dawna były jej obce. Cały ten świat dawno dla niej umarł.

Uwagę Katarzyny absorbowali teraz jej towarzysze podróży. Nie dalej bowiem, niż przed udaniem się na wieczerzę, kiedy to wychodziła ze swego pokoju, natknęła się na Jossego tkwiącego nieruchomo w ciemnościach, który na jej widok podskoczył jak oparzony i przykładając palec do ust wyszeptał:

– Ten szlachetny pan z Burgundii... miał umówione spotkanie z panią hrabiną!

– Skąd wiesz?

– Przed chwilą podsłuchałem ich rozmowę... w ogrodzie zielnym! Strzeż się, pani, on tu przyjechał z twojego powodu!

Ledwo wymówił te słowa, kiedy z ciemnych zakamarków wyłoniła się potężna sylwetka Ermengardy w towarzystwie Gillette i Margotki, która wydawała się być zafascynowana starą hrabiną. Na ten widok Katarzyna umilkła, a Josse zniknął w ciemnościach jak zjawą.

O tym właśnie dumiała Katarzyna podczas skromnego posiłku składającego się z grochu, mleka i jabłek, a jej wzrok przenosił się to na

szczupłą twarz Van Eycka, to na szeroką i ożywioną fizjonomię Ermengardy. Hrabina dawno już nie była taka radosna i Katarzyna zastanawiała się, ile było prawdy w słowach Jossego: czy hrabina miała spotkanie z malarzem i jaki związek mogło ono mieć z nią samą.

Ponieważ nie należała do kobiet, które długo pozostawiłyby tak denerwujące pytanie bez odpowiedzi, po wieczery postanowiła przejść do ataku. W końcu malarz był chyba jej przyjacielem. Tak więc, będzie musiał to udowodnić!

Kiedy zobaczyła, że hrabina ziewając zbiera się do wyjścia, a za nią Van Eyck ze świecą w dłoni, zagroziła mu drogę.

– Janie! Chciałam z tobą mówić!

– Tutaj? – spytał malarz, rzuciwszy niespokojne spojrzenie na grupę górali, którzy siedząc na podłodze w kącie izby posilali się grochem jedząc z jednej miski.

– Dlaczego nie? Ci ludzie to Baskowie, nie rozumieją naszej mowy. Popatrz na ich dzikie oczy i ponure twarze. Nie zwracają na nas uwagi. A zresztą, czy sądzisz, że nasze słowa mogłyby zainteresować każdego?

– Ambasador musi być ostrożny... dla zasady! – odparł Van Eyck uśmiechając się nieznacznie. – Masz jednak rację, pani: możemy porozmawiać. O czym pragniesz mówić?

Katarzyna nie odpowiedziała natychmiast. Powoli podeszła do prostego kominka, w którym już dogasał ogień. Miłe ciepło przeniknęło każdą cząstkę jej ciała. Lubiła ogień za to, że – w zależności od okoliczności, – jednym razem był najlepszym przyjacielem, drugim zaś najgorszym wrogiem człowieka. Ogień ogrzewający zziębnięte ciało, ogień pieczący chleb, ogień oświetlający drogę w środku najciemniejszej nocy, lecz także ogień niszczycielski i pustoszący, który dręczy i zabija... Katarzyna lubiła być blisko ognia, kiedy zanosilo się na jakąś bitwę.

Jan Van Eyck nie przerywał jej milczenia. Jego oczy artysty przykuwał widok szczupłej, czarnej sylwetki odcinającej się długim cieniem na gorejącym tle. W tej kruchej kobiecie ubranej w obcisłą, przylegającą do zgrabnego ciała sukienkę, w jej delikatnym profilu z długimi rzęsami ukrywającymi fiołkowe oczy było coś wzruszającego. Wydała mu się jeszcze piękniejsza, niż wtedy, przed laty... Życie i cierpienia zatarły w niej oznaki pierwszej młodości, lecz uczyniły jej urodę bardziej doskonałą i delikatną...

Jeśli książkę ją ujrzy, będzie się tarzał u jej stóp jak niewolnik... albo ją zabije! – pomyślał Van Eyck. Sam przed sobą bał się przyznać, jakie są jego własne uczucia. Wśród natłoku myśli jedna była pewna: przemożna chęć uwiecznienia na obrazie raz jeszcze tej kobiety pięknej aż do bólu. Na myśl o namalowaniu nowej Katarzyny ostatnie dwa jego obrazy przedstawiające młodego Arnolfini i jego piękną żonę, z których był taki dumny, wydały mu się teraz mdłe i bez znaczenia... Był tak pochłonięty swymi myślami, że aż podskoczył na dźwięk głosu Katarzyny.

– Powiedz prawdę, Janie... dlaczego tu przybyłeś? – spytała i nie odwracając głowy od żaru na kominku, pośpiesznie dodała: – Tylko nie zadawaj sobie trudu i nie kłam, proszę! Ja wiem to i owo... Wiem, że Ermengarda czekała na ciebie i że ja mam coś z tym wspólnego. Chcę się dowiedzieć co!

Katarzyna odwróciła się od kominka i stanęła twarzą w twarz z Van Eyckiem. Utkwiła w nim pytające spojrzenie, pod siłą którego malarz znowu zadrżał.

– To nie na mnie czekała hrabina, Katarzyno, lecz na... posłańca z Burgundii. Przypadek zaś sprawił, że jestem nim ja...

– Przypadek? Czyżbyś sądził, że całkiem zapomniałam o przyzwyczajeniach księcia Filipa? Jesteś jego ulubionym tajnym wysłannikiem... a nie jakimś tam pierwszym lepszym! Mów, co miałeś przekazać hrabinie!

– Nic! Zupełnie nic!

– Jak to... nic?

Van Eyck uśmiechnął się z rozbawieniem i dodał:

– Nic, piękna pani! Nie mam jej nic do przekazania!

– Czy... w takim razie masz coś do przekazania... mnie?

– Być może... Lecz na razie nic ci nie powiem, pani!

– Dlaczego?

– Ponieważ jeszcze nie nadszedł czas!

Malarz widząc, że Katarzyna zmarszczyła brwi, podszedł do niej i wziął ją za rękę.

– Katarzyno, wiesz dobrze, że zawsze byłem twoim przyjacielem... i że moim najskrytszym marzeniem było, żeby być kimś więcej... Przysięgam na honor szlachcica, że nadal jestem twoim sługą i że za nic w świecie nie pozwoliłbym ci uczynić krzywdy. Czy możesz mi zaufać?

– Zaufać? Wszystko to wydaje się takie dziwne i niejasne. Skąd wiadomo w Burgundii, że jestem z hrabiną de Châteauvillain? Czyżby książęcy astrolog wyczytał to z gwiazd?

Słyszając te słowa, malarz roześmiał się.

– Nie wierzysz mi ani trochę i masz rację! To pani Ermengarda wysłała swego posłańca z nowiną do Burgundii...

Katarzyna przerwała z gniewem jego słowa:

– Ermengarda! Jak ona śmiała?... I mieni się moją przyjaciółką!

– Jest twoją przyjaciółką, pani! Lecz tylko twoją, a nie mężczyzny, którego nazwisko nosisz. Widzisz, hrabina myśli szczerze i zawsze myślała, że stąpasz pani złą drogą i że nigdy nie znajdziesz szczęścia, zmierzając w obranym przez siebie kierunku. Musisz przyznać, pani, że los oddawał zbyt często rację hrabinie...

– Jednak nie do niej należy rozstrzygać o nim! Jest coś, czego ona nigdy nie zrozumie: mojej miłości do męża! Wiem, że na dworze księcia Filipa nazywa się miłością różne uczucia, wśród których najwięcej miejsca zajmuje pożądanie. Ale moja miłość jest inna. Arnold i ja jesteśmy jednością, jedną duszą i jednym ciałem! Cierpię, kiedy on cierpi i gdyby nawet krojono mnie na kawałki, to każdy fragment mego ciała krzyczałby, że kocham Arnolda. Niestety, ani Ermengarda, ani książę nie są w stanie zrozumieć takich uczuć!

– Tak sądzisz, pani? Możliwe... W hrabinie więcej jest uczuć macierzyńskich, a ciebie, pani, kocha jak własną córkę. Ciebie zaś dręczy to, że podobnym uczuciem darzy księcia Filipa. Co prawda, nigdy nie oszczędziła mu najsroźszej krytyki ani najgorszej prawdy, jednak kocha go jak matka i jej serce

krwawi, że jest potępiona z powodu własnego syna za to, że wyciągnął broń przeciw Filipowi. Sądziła, że posyłając mu wieści o tobie, zrobi mu przyjemność i udowodni, że nadal darzy go czułością... Co zaś się tyczy księcia...

Katarzyna zawrzała z gniewu i podnosząc dumnie swą jasną głowę krzyknęła:

– Co każe ci sądzić, panie, że mam ochotę słuchać o księciu? Van Eyck jednak, jakby udając, że nie słyszy tych słów, odwrócił się, odszedł nieco na bok i rzekł głuchym głosem:

– Twoja ucieczka, Katarzyno, rozdarła mu serce i wierzaj mi, że jeszcze krwawi! Ale nie pytaj o nic więcej, gdyż nic więcej ode mnie nie usłyszysz! Zapomnij o wszystkim, co cię dręczy, i pamiętaj o jednym: jestem tylko twoim przyjacielem i jako przyjaciel pojedę jutro za panią. Nie doszukuj się niczego poza tym! Życzę spokojnej nocy, piękna Katarzyno!

Zanim Katarzyna zdążyła powiedzieć choć słowo, Van Eyck otworzył drzwi i zniknął.

Rozdział czwarty

RONCEVAUX

Przez dobre osiem mil stara rzymska droga ciągle pięła się pod górę. Wąska i śliska z powodu pokrywającej ją cienkiej warstwy lodu, wznosiła się wśród coraz bardziej nieprzyjaznego chłodu wysokich gór, zatracając się w mroku nieprzychylnych szczytów okrytych mgłą. Katarzyna i jej towarzysze wybrali jednak właśnie ten szlak za radą namiestnika hrabiego, gdyż niestety łatwiejszy, prowadzący przez dolinę Val Carlos, był opanowany przez herszta rozbójników Viviena d'Aigremonta, dowodzącego dzikimi bandami Basków i rabusiów z Nawarry.

Co prawda burgundzkim rycerzom pani de Châteauvillain, jak i tym z eskorty Jana Van Eycka nie brakowało odwagi, jednak to, co opowiadano o bestialskim okrucieństwie ludzi Viviena d'Aigremonta i ich niespotykanej liczebności, czyniło z nich niebezpiecznego przeciwnika. Dlatego wybrano trudniejszą drogę.

W miarę jak posuwano się do góry, chłód stawał się bardziej przenikliwy. Wiał dokuczliwy wiatr przyganiający i odpędzający na przemian długie i gęste smugi lodowatej mgły, zasłaniającej widoczność na wyciągnięcie ręki.

Od kiedy wyruszono o świcie, nikt nie wypowiedział ni słowa. Trzeba było uważnie patrzeć pod nogi, ostrożnie prowadząc konie za uzdę, żeby nie spaść z oblodzonej skarpy. Długi szereg niezbyt wyraźnych w szarym świetle i powoli poruszających się wzdłuż zbocza góry postaci sprawiał wrażenie pochodu dusz potępionych.

Katarzyna usłyszała, jak wlokąca się z wielkim trudem z tyłu Ermengarda, wspomagana przez Gillette i Margotkę, narzeka głośno:

– Pieski kraj i pieska pogoda! Czyż nie mogliśmy, za przykładem Karola Wielkiego, jechać dołem! Ta dobra dla kozic droga jest gorsza od rozbójników! W moim wieku skakać ze skały na skałę jak jakaś koza, to przechodzi ludzkie pojęcie! Gdyby chociaż to miało jakiś sens!...

Katarzyna, nie mogąc powstrzymać uśmiechu, odwróciła się i powiedziała:

– Droga Ermengardo, nie narzekaj! Sama przecież tego chciałaś! Do tej pory nie pisnęła ani słowa starej przyjaciółce na temat swojej rozmowy z Van Eyckiem. Bo i po co? Ermengarda i tak nie zrozumiałaby, że jej postępowanie to była istna zdrada. Oczywiście, hrabina miała dobre zamiary, myślała, że działa dla dobra przyjaciółki... A wreszcie malarz i jego świta stanowili uzupełnienie ich skromnych sił w tej niebezpiecznej okolicy. I niezależnie od tego, jaką wiadomość przekazałby jej Van Eyck, gdyby kiedyś zdecydował się mówić, „kiedy nadejdzie odpowiednia chwila”, Katarzyna postanowiła, że nigdy nie da się sprowadzić z raz obranej drogi! A jednak tajemnica Van Eycka intrygowała ją. Skąd bowiem to oficjalne posłannictwo, skąd silna eskorta, jeśli chodziło o zwykłe przekazanie wiadomości? Pozostawało uzbroić się w cierpliwość... Lecz jeśli od samego rana maszerowała nie odzywając się, przybita smutkiem, to nie z powodu Van Eycka, lecz dlatego, że rozmyślała o Walterze... To tutaj, wśród tych niebotycznych szczytów, zawrotne przepaście musiały pochłonąć tego

olbrzyma, który wydawał się jej niezniszczalny. Jaki bowiem człowiek z krwi i kości byłby silniejszy od tych kamiennych i lodowych olbrzymów? Katarzyna do tej pory w głębi serca łudziła się, że jej wierny sługa wyszedł zwycięsko z tej walki i że odnajdzie go. Jednak teraz zrozumiała, że cud nie może się stać... Ciągnąc konia za uzdę nie myślała o sobie, lecz wydawało jej się czasem, że spostrzega we mgle twarz wiernego towarzysza ciężkich chwil, jego szare oczy, w których czasem płonął ślepy gniew starych nordyckich bogów północy, niekiedy zaś wyglądała z nich niewinność dziecka...

Gdy znikał cień Waltera, pojawiała się twarz Arnolda i powracał tak dojmujący żal, że miała ochotę położyć się na oblodzonych głazach i czekać na śmierć...

Kiedy doszli do przełęczy Bentarté, zapadł zmierzch. Zerwał się lodowaty wiatr, którego silne podmuchy prawie nie pozwalały wędrowcom posuwać się do przodu. Na szczęście podchodzenie do góry skończyło się i droga wiodła teraz poszarpanymi szczytami. Ciężkie niebo wisiało tak nisko nad głowami, że wydawało się, iż można go dotknąć. Z tyłu za nią ktoś powiedział:

– Przy ładnej pogodzie widać stąd morze i granice trzech królestw: Francji, Kastylii i Aragonii...

Katarzyny to nie obchodziło, gdyż zmęczenie coraz bardziej dawało się jej we znaki. W tym miejscu widać było setki małych drewnianych krzyży wbitych w ziemię przez pielgrzymów. Na ten widok Katarzyną wstrząsnął dreszcz grozy: zdawało się jej, że jest na cmentarzysku.

Dalsza część drogi aż do przełęczy Ibañeta, i dalej, do schroniska w Roncevaux, była prawdziwą męką, którą zapadająca noc uczyniła jeszcze bardziej nieznośną. Kiedy wreszcie ukazały się zarysy słynnego klasztoru, wybudowanego kilka wieków temu przez biskupa Sanche de la Rose i króla Alfonsa Kłótliwego, wstał księżyc rzucając swój zimny blask na zespół niskich budynków o grubych murach wzmocnionych solidnymi łukami przyporowymi, osadzonych u podnóża przełęczy Ibañeta. Katarzyna zauważyła, że przy zabudowaniach krzątają się ludzie z latarniami... Oznaczały one ciepło i życie. Zacisnąwszy zęby, ostatkiem sił dowlokła się do schroniska i padła bez czucia na dziedzińcu. Prawie zemdloną wnieśli do środka Van Eyck i Josse Rallard. Od dłuższego czasu nie było też słyhać narzekań pani Ermengardy, którą musiano wsadzić jak jakiś tobolek na konia.

Siedząc przy kominku w sali pielgrzymów, z nogami otulonymi kozią skórą, i trzymając w drżących jeszcze dłoniach miskę gorącej zupy, Katarzyna powoli wracała do siebie i zaczynała interesować się tym, co się wokół niej działo. Pod niskim i czarnym od sadzy sklepieniem kłębił się tłum pielgrzymów powracających z Composteli z przyszytymi do odzieży tradycyjnymi muszlami. Ich oczy wyrażały dumę ze spełnienia ślubów. Byli tu też pasterze, których przygnał strach przed wilkami i niedźwiedziami. Byli także chłopcy z Nawarry w czarnych, często potarganych koszulach, o gołych, brudnych stopach. Byli błędni rycerze w wysłużonych zbrojach. Pośród tego dziwnego i milczącego skutkiem zmęczenia tłumy krążyli bracia miłosierdzia z wyszytymi na piersiach czerwonymi krzyżami, których szczyt był zakrzywiony jak pastorał, a dół zaostrowany jak czubek szpady, co miało symbolizować ich charakter, zarówno religijny, jak wojskowy.

Nierzadko bowiem się zdarzało, że bracia augustianie musieli sięgać po broń, by wyrwać górskim rzeźmieszkom ich ofiary.

Bracia rozdawali zebrany chleb i zupę, nie czyniąc różnicy między biednym i bogatym. Katarzyna pomyślała, że ich twarze wyglądały jak wykute z górskiego granitu i nie przypominały okrągłych twarzy dobrze odżywionych mnichów z dolin. Siedząca obok niej Ermengarda chrapała oparłszy się o bok kominka. Inni, równie zmęczeni, jedli lub spali na podłodze. Od gór dochodziło wycie wilków.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież, wpuszczając do środka podmuch zimnego wiatru. Ukazało się w nich dwóch mnichów dźwigających na noszach jakiś ludzki kształt zawinięty w koc. Na ich widok kilka głów uniosło się z podłogi, lecz prawie natychmiast opadło z powrotem: w tych dzikich stronach widok chorego, rannego czy trupa był zwyczajną sprawą.

Mnisi z trudem przecisnęli się do kominka, – Zgubił drogę – powiedział jeden z nich do mnicha, który nadciągnął im na spotkanie. – Znaleźliśmy go w pobliżu wąwozu Rolanda.

– Żyw?

– Żyw, lecz bardzo słaby i w strasznym stanie! Musiał wpaść w ręce zbójników, którzy wszystko mu zabrali i na dodatek okrutnie poturbowali – co mówiąc, ułożyli nosze przy kominku.

Katarzyna ustąpiła im miejsca przysuwając się do Ermengardy i spojrzała odruchowo na leżącego, z którego mnisi zdejmowali koc... Nagle zadrżała, szybko wstała i pochyliła się nad leżącym, przypatrując się uważnie jego wychudzonej twarzy. Nie było wątpliwości!

– Fortunacie! – wyszeptała ze ściśniętym gardłem. – O mój Boże! Jakaś siła, potężniejsza od zmęczenia, rzuciła ją na kolana, gdyż w ciemnościach nocy zaślniła gwiazda nadziei. Fortunat musiał wiedzieć, gdzie jest Arnold!... Ale jeśli umrze, nie zdążywszy jej tego powiedzieć?

Jeden z mnichów spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Czy znasz tego człowieka, moja siostrze?

– Ależ tak, na Boga! Nie mogę uwierzyć własnym oczom! To giermek mego męża! Boże, co mogło mu się stać?

– Musimy poczekać, zanim go o to zapytamy. Najpierw damy mu lek na wzmocnienie, ogrzejemy go i nakarmimy. Musi przyjść do siebie. Pozwól nam działać, siostrze!

Katarzyna z przygnębieniem odsunęła się od rannego. Jan Van Eyck, który był świadkiem tej sceny, podszedł do przyjaciółki i ujął jej drżącą, lodowatą dłoń w swe ręce.

– Czy jest ci zimno, pani?

Katarzyna zaprzeczyła ruchem głowy, zresztą jej błyszczące z podniecenia oczy i czerwone policzki mówiły aż nadto wyraźnie, że nie kłamie. Jej napięcie sięgało zenitu, kiedy tak wlepiła wzrok w to wychudzone ciało, które mnisi nacierali jakimś balsamem. Jeden z nich podetknął mu teraz pod nos buteleczkę.

Szybciej, szybciej! Oni mnie zabiją – myślała.

Energiczne leczenie zaaplikowane Fortunatowi zaczęło szybko przynosić wyniki. Jego szare policzki stopniowo się zaróżowiły, usta zaczęły się poruszać,

a oczy otworzyły się, spoglądając ze zdziwieniem po nachylonych nad nim twarzach. Mnich uśmiechnął się do niego.

– Czy czujesz się lepiej, bracie?

– Tak... czuję się lepiej. Co mi się stało?

– Zostałeś napadnięty przez rozbójników i porzucony w ciężkim stanie.

Fortunat skrzywił się okropnie, chcąc unieść się z noszy.

– Te bestie waliły na oślep. Myślałem, że mi kości potrzaskają... Och, jestem cały obolały!

– To szybko minie – odparł mnich i pochyliwszy się nad uchem chorego wyszeptał: – Jest tutaj ktoś, kto chce z tobą mówić, mój synu...

Słyszając te słowa, Gaskończyk podniósł głowę i wtedy wśród otaczających go osób rozpoznał Katarzynę. Szybko uniósł się na łokciu i poczerwieniał na twarzy jak burak.

– Pani tutaj?... To niemożliwe!

Katarzyna osunęła się na podłogę u wezglowia chorego.

– Fortunacie! Ty żyjesz! Bogu niech będą dzięki, a co z panem Arnoldem?

Położyła swą dłoń w błagalnym geście na ramieniu Gaskończyka, lecz ten odrzucił ją ze złością, wykrzywiając twarz w diabolicznym uśmiechu radości.

– Czy naprawdę chcesz wiedzieć, pani? A cóż to może ciebie obchodzić?

– Jak to... co to mnie obchodzi? Ależ...

– Cóż panią obchodzi pan Arnold? Zdradziłaś go niecie, opuściłaś nikczemnie! Lecz czyżby twój kochanek znudził się tobą, że musisz szukać przygód na szlaku? Jeśli tak jest, to dobrze ci tak!

Katarzyna w niemym otępieniu patrzyła na pełną nienawiści twarz Gaskończyka, podczas gdy nad jej głową rozległy się okrzyki oburzenia.

– Zapominasz się, mój synu! Cóż to za język! – krzyczał mnich.

– Ten człowiek zwariował! – krzyczał Van Eyck. – Ja ci wcisnę swoją bezczelność do gardła!

Katarzyna podniósłszy się z klęczek chwyciła za rękę malarza, który już sięgał po sztylet zatknięty za pasem, i odepchnęła mnicha.

– Zostawcie go! – rzekła mocnym głosem. – To moja sprawa i nie mieszajcie się do tego!

Tymczasem Fortunat, widząc twarz malarza blednącą ze złości, rzucił kpiąco:

– Jeszcze jeden zalotnik, jak widzę! Twój następny kochanek, pani Katarzyno!

– Dosyć tych impertynencji! – odpowiedziała ostro Katarzyna. – Panie Van Eyck i ty, mój ojczu, odsuńcie się! – Następnie usiłując opanować gniew, zbliżyła się do chorego i spokojnie skrzyżowała ręce. – Ależ ty mnie nienawidzisz, Fortunacie! To coś nowego!

– Tak sądzisz, pani? – odparł, mierzając ją złym wzrokiem. – Dla mnie to nie żadna nowość! Nienawidzę cię od wielu miesięcy! Od tego przekłętego dnia, w którym pozwoliłaś odejść mu z mnichem, jemu, twojemu ukochanemu, jak utrzymywałaś, mężowi!

– Byłam tylko posłuszna jego rozkazom! To on tego chciał!

– Gdybyś go, pani, kochała, zatrzymałabyś go siłą! Gdybyś go kochała,

zabrałybyś go w jakieś odludne miejsce, opiekowałybyś się nim, umarłabyś cierpiąc za niego!

– Nie masz prawa oceniać mego postępowania, Fortunacie! Bóg mi świadkiem, że gdybym mogła sobą rozporządzać, niczego bardziej bym nie pragnęła! Mam jednak syna! A jego ojciec żądał, bym się nim zaopiekowała!

– Być może! Lecz w takim razie nie potrzebowałaś udawać się na dwór! A czy także chcąc być posłuszną mężowi pocieszałaś się w ramionach pana de Brézé, łamiąc serce pani Izabeli... i pana Arnolda, za którego przecież wyszłaś za mąż?

– To kłamstwo! Jestem nadal panią de Montsalvy i zabraniam komukolwiek w to wątpić! Pan de Brézé wziął swoje marzenia za rzeczywistość. Czy jeszcze masz mi coś do zarzucenia?

Ponieważ ich głosy stawały się coraz ostrzejsze, przeor postanowił położyć kres sprzeczce.

– Moja córko! Powinniście dokończyć rozmowę w spokoju. Zaprowadzę ciebie i tego człowieka do sali kapitulnej...

– To niepotrzebne! – przerwała dumnie Katarzyna. – To, co chcę powiedzieć, może usłyszeć cały świat, gdyż nic nie można mi zarzucić! A więc, panie Fortunacie, co jeszcze masz mi do powiedzenia?

– Ty nie wiesz, pani, co pan Arnold przez ciebie przeszedł! – rzucił Fortunat głosem pełnym nienawiści. – Od chwili kiedy go odrzuciłaś, jego życie stało się drogą krzyżową! Dni bez nadziei, bezsenne noce, przejmująca myśl, że jest żywym trupem! Ja to wiem, bo odwiedzałem go co tydzień. Był moim mistrzem, najlepszym, najwaleczniejszym i najbardziej lojalnym z rycerzy!

– A kto mówi coś innego? Czy sądzisz, że nie znam zalet ukochanego męża?

– Ukochanego? – parsknął Fortunat. – To mojemu sercu był bliższy.

– Jeśli twierdzisz, że go nie kocham, to powiedz mi, co tu robię? Nie rozumiesz, że go szukam?

– Pani go szuka? – Fortunat nagle zamilkł, przypatrując się Katarzynie złym wzrokiem, po czym wybuchnął dzikim, obraźliwym śmiechem, bardziej obraźliwym niż najgorsze zniewagi. – No to możesz dalej szukać, piękna pani! On dla ciebie jest na zawsze stracony! Rozumiesz! Na zawsze!

Wykrzyczał swoje słowa, jakby obawiał się, że straszna prawda nie dotrze do Katarzyny. Nie było to jednak konieczne. Katarzyna zrozumiała. Zachwiała się, ale znalazła dość siły, by nie przyjąć pomocnej dłoni Jana, który chciał ją podtrzymać.

– Umarł... – wyszeptała głucho. Fortunat roześmiał się znowu.

– Nie, nie umarł! Broń Boże! Jest szczęśliwy, wyzwolony od ciebie, uleczony!

– Uleczony? Dobry Boże! Święty Jakub dokonał cudu!

Teraz ona krzyczała w zachwycie, który Gaskończyk szybko postanowił zgasić.

– Nie było żadnego cudu. Przy całym szacunku dla świętego Jakuba muszę powiedzieć, że nie wysłuchał on modłów pana Arnolda. A zresztą, to nie było potrzebne, gdyż pan Arnold wcale nie był trędowaty!

– Nie był trędowaty? – wybełkotała Katarzyna.

– Pomyliłaś się, pani, zresztą tak jak wszyscy... Tego nikt nie może mieć ci za złe. Kiedy opuściliśmy Compostelę, pan Arnold ciągle myślał, że jest trędowaty. Był przygnębiony i zawiedziony. Chciał umrzeć, lecz nie tak zwyczajnie. – „Maurowie ciągle okupują Grenadę i walczą z rycerzami Kastylii” – powiedział raz do mnie. – „Tam mam zamiar się udać! Bóg nie chciał mnie uzdrowić, lecz nie odmówi mi, bym umarł w walce z innowiercą!” Tak więc ruszyliśmy na południe. Przebyliśmy góry, ziemie nieurodzajne i pustynne, aż dotarliśmy do miasta, które zwą Toledo... To właśnie tam wszystko się odmieniło...

Przerwał tak, jakby na nowo chciał przeżyć coś bardzo przyjemnego.

– Co wszystko? – nie mogła doczekać się Katarzyna. – Mówże wreszcie!

– Śpieszno ci dowiedzieć się, pani? A moim zdaniem nie powinno ci się tak śpieszyć. Chociaż, po prawdzie, to i mnie jest śpieszno, aby ujrzeć cię zwyciężoną. Słuchaj więc dalej: kiedyśmy dotarli do tego miasta na wzgórzu, ujrzeliśmy orszak ambasadora króla Grenady, który po spełnieniu swej misji u króla Jana Kastylijskiego wracał do swego kraju...

– O Boże! Mój mążnek wpadł w ręce niewiernych! I ty śmiesz się cieszyć!

– Można na różne sposoby „wpaść w czyjeś ręce” – stwierdził Gaskończyk z dwuznacznym uśmiechem. – Sposób, w jaki „wpadł” pan Arnold, ja uważam za... bardzo przyjemny!...

Gaskończyk usiadł, wlepiając w Katarzynę spojrzenie zwycięzcy, i dodał, wyraźnie artykułując każde słowo:

– Tym ambasadorem, pani Katarzyno, była kobieta, księżniczka, siostra króla Grenady... piękniejsza niż jutrzienka! Nigdy w życiu nie widziałem takiej piękności! Pan Arnold także!...

– Co masz na myśli, Gaskończyku, wytłumacz się! Natychmiast! – rzuciła Katarzyna czując suchość w ustach.

– Czyżbyś nie rozumiała, pani? Dlaczego pan Arnold miałby odrzucić miłość najpiękniejszej na świecie księżniczki, jeśli jego własna żona porzuciła go dla innego mężczyzny? Był wolny i mógł kochać, tym bardziej że do podziwu dołączyła wdzięczność!

– Wdzięczność?

– Mauretański medyk księżniczki wykurował pana Arnolda w trzy dni! Okazało się, że wcale nie był dotknięty trędem, lecz jakąś inną, uleczalną chorobą, której barbarzyńska nazwa wyleciała mi z głowy. To prawda, że była do trądu bardzo podobna. A teraz pan Arnold jest wyleczony i szczęśliwy, ty zaś, pani, utraciłaś go na zawsze!

W sali zapanowała głucha cisza, w której słyhać było tylko oszalałe bicie serca Katarzyny. Cierpienie i zazdrość wlały się gwałtownie i podstępnie do jej duszy. Wydawało się jej, że śni jakiś koszmarny sen, z którego nie może się obudzić... Arnold w ramionach innej kobiety... nie, to było nie do zniesienia! Miała chęć krzyknąć. Poczuli się zupełnie bezbronni w obliczu tego nowego cierpienia. Rzuciwszy Gaskończykowi przenikliwe spojrzenie, warknęła:

– Kłamiesz! Jak możesz sądzić, że ci uwierzę? Mój mąż jest chrześcijaninem i rycerzem! Nigdy nie zaparłby się swojej wiary, swojego kraju i swego króla dla innowierczy! Nie mogę cię słuchać, bo łżesz jak pies!

Kurczowo zaciskała pięści w fałdach sukni, powstrzymując się, żeby nie uderzyć tej nienawistnej i napastliwej twarzy. Tymczasem Fortunat zdawał się nic nie robić sobie z jej gniewu, przeciwnie, delectował się nim.

– Ja kłamię?... Ośmielasz się twierdzić, że ja kłamię?

Nie spuszczać oczu z Katarzyny, wyciągnął dłoń i przybierając uroczysty ton zadeklamował:

– Przysięgam na zbawienie mej duszy, że w tej chwili pan Arnold zażywa miłości i rozkoszy w pałacach Grenady! Przysięgam też, że...

– Dosyc tego! – zagrzmiał raptem gdzieś z tyłu tubalny głos Ermengardy.
– Pan Bóg nie lubi, żeby przysięgi raniły! Wylałeś już swoją żółć, to wystarczy, mój chłopcze!... Powiedz mi tylko jedno: jak to się stało, że ty, wierny sługa pana Arnolda, błądasz się po bezdrożach z narażeniem życia, zamiast zaznawać rozkoszy w ramionach jakiejś Mauretanki? Ta twoja księżniczka nie ma wśród swych dworów jakiejś pięknej dziewczyny, która wpadłaby ci w oko? Dlaczego nie zostałeś przy swoim panu, żeby dzielić jego szczęście?

Pokaźna sylwetka hrabiny de Châteaouvillain oraz jej ton nie znoszący sprzeciwu musiały wywrzeć na Gaskończyku wrażenie, gdyż w jego oczach pojawił się błysk obawy. Cały się skulił i pochylił głowę.

– Pan Arnold wysłał mnie z misją do swojej matki, abym przekazał jej dobre nowiny o wyzdrowieniu i o...

– I o tym, że on, kapitan królewski, chrześcijanin, zapomniał o swoich obowiązkach i przysięgach dla oczu jakiejś hurysy!* [*Hurysa – wg Koranu: wiecznie młoda i piękna mieszkanka rajy muzułmańskiego.] Piękna mi nowina dla szlachetnej pani! Jeśli pani de Montsalvy jest taka, jaką ją sobie wyobrażam, to ta wiadomość może ją zabić!

– Pani Izabela umarła i nic więcej nie może jej zranić – powiedziała cicho Katarzyna. – Twoja misja jest skończona, Fortunacie. Możesz wrócić do Francji... albo do twego pana, jak wolisz...

Twarz Gaskończyka zapłonęła nagle ciekawością zmieszaną z okrucieństwem.

– A ty, pani Katarzyno – spytał zachłannie – co teraz zamierzasz? Chyba nie udasz się po swego męża. Zresztą i tak nie udałoby ci się do niego dotrzeć! Musisz bowiem wiedzieć, że w tym kraju chrześcijanki są traktowane jak niewolnice i ciężko pracują pod uderzeniami bicia, albo też rzuca się je żołnierzom na uciechę... chyba że wcześniej zostaną poddane najgorszym torturom! Według mnie, zostało ci tylko jedno: klasztor i...

Ostatnie słowo uwięzło w gardle Gaskończyka i zakończyło się potwornym rżeniem, gdyż właśnie mocne ręce Ermengardy zacisnęły się na jego szyi.

– Mówiłam ci już raz, żebyś zamilkł, prostaku! I, na Belzebuba, nie zamierzam tego powtarzać dwa razy!

Katarzyna, jakby niczego nie zauważając, potoczyła mętnym wzrokiem po zwróconych w jej stronę zaniepokojonych twarzach, a następnie, odwróciwszy się, ruszyła w stronę drzwi, zamiatając końcami czarnej sukni żdźbła słomy płaczące się na kamiennej posadzce. Van Eyck rzucił się w ślad za nią, lecz ona, zwracając do niego bladą twarz, uśmiechnęła się łagodnie i wyszeptowała:

– Zostaw mnie, przyjacielu... Chcę być teraz sama. Myślę, że to zrozumiesz? Pójdę do kaplicy... Zostaw mnie, proszę!

Wyszła z sali, przebyła dziedziniec i udała się do małej kapliczki poświęconej świętemu Jakubowi. Co prawda, przed wieczerzą pokazano jej wielki kościół przyklasztorny, lecz ona pragnęła miejsca zacisznego, aby znaleźć się sam na sam z Panem Bogiem.

W kapliczce tej, gdzie w piwnicach grzebano pielgrzymów zmarłych w drodze, nie było nic oprócz statuy świętego wędrowca, przed którą płonęła lampka oliwna, kamiennego ołtarza i kamiennej, wytartej posadzki. Panowała w niej przenikliwa wilgoć, lecz Katarzyna nie czuła niczego. Miała wrażenie, że jest martwa. Arnold ją zdradził, więc jej serce nie miało już dla kogo bić... Mężczyzna, którego ubóstwiała, zerwał dla obcej kobiety łączące ich święte więzy. Została pozbawiona części siebie, tej najważniejszej, i została sama pośród bezkresnej pustyni. Jej ręce były puste i serce puste. Upadła ciężko na kolana na zimną posadzkę i ukryła twarz w drżących dłoniach.

– Dlaczego?... Dlaczego? – załkała.

Przez długi czas klęczała nieruchomo, nie myśląc, nie modląc się, nie czując chłodu. Nie potrafiła nawet płakać. Wewnątrz tej ciemnej i lodowatej kaplicy czuła się jak w grobie i nie miała ochoty z niego wyjść. Nie mogła myśleć, jedna tylko myśl katowała jej głowę: Zapomniał o mnie dla innej... Przysięgał, że będzie mnie kochał do końca życia, a tymczasem wziął w ramiona kobietę obcą jego rasie i Bogu... i z pewnością teraz szepcze jej czułe słowa, które dawniej szeptał jej. Jak wyrwać z pamięci i z serca jego imię?

Była tak przybita, że prawie nie poczuła uścisku dwóch silnych rąk, – które uniosły ją z posadzki i zarzuciły na drżące ramiona ciepły płaszcz.

– Chodź, Katarzyno! – usłyszała stanowczy głos Van Eycka. – Nie możesz tutaj siedzieć bez końca. Przeziębisz się!

Popatrzyła na niego jak na zjawę.

– Przeziębienie... Ależ ja jestem prawie martwa! Zabito mnie...

– Proszę, nie mów od rzeczy! Chodźmy stąd!

Van Eyck zmusił ją do wyjścia, jednak znalazłszy się na zewnątrz, wyrwała mu się i oparła o mur. Wiatr rozwiał jej włosy, lecz jego zimny powiew dobrze jej zrobił.

– Zostaw mnie, Janie... Muszę odetchnąć...

– Posłuchaj mnie, Katarzyno! Domyślam się, jak bardzo cierpisz, lecz zabraniam ci mówić, że umarłaś i że twoje życie jest skończone. Nie wszyscy mężczyźni tak łatwo zapominają. Są tacy, którzy potrafią bardziej kochać, niż sądzisz.

Co mówiąc, Van Eyck połuźnił kołnierz swej opończy i wyciągnął zza pazuchy zwinięty pergamin z pieczęcią i podał go Katarzynie.

– Masz! Czytaj!... Sądzę, że nadeszła odpowiednia chwila do spełnienia mej misji! Czytaj! To ci dobrze zrobi! – Po czym wsunął pergamin w zmarznięte dłonie młodej kobiety.

Katarzyna przez chwilę mięła go w palcach... Na tle pieczęci z czarnego laku odcinał się kwiat lilii...

– Otwórz! – podpowiadał Jan.

Katarzyna usłuchała machinalnie i pochyliła się, by odczytać kilka

skreślonych w liście słów. Jak dziecko sylabizowała słowo po słowie:

Okrutna żalność po Tobie ściska me serce i katuje duszę. W niczym nie znajduję pociechy ni ukojenia. Wróć do mnie, o słodka miłości, i wiedz, że to ja błagam Cię o przebaczenie!...

FILIP

Katarzyna uniósłszy głowę napotkała niespokojne spojrzenie Jana, który wyszeptał z wielkim przekonaniem w głosie:

– Widzisz sama, że ten nie zapomniał! A ty go opuściłaś, znieważyłaś! On żyje tylko miłością do ciebie! Gdy się zna jego wielką dumę, można zrozumieć, ile go kosztowało napisanie tego listu! Wróć ze mną, Katarzyno! Pozwól mi odwieźć się do niego. Może dać ci tyle miłości, że szybko zapomnisz o doznanym krzywdach. Na nowo będziesz królową... albo i więcej! Chodź!

Próbował ją pociągnąć ze sobą, lecz Katarzyna nie pozwoliła na to.

– Zostanę królową, mówisz, albo i więcej? A czy zapomniałeś o księżnej?

– Najjaśniejszy pan kocha tylko ciebie! Księżna, dając mu syna, spełniła jedynie swój obowiązek. On niczego więcej od niej nie żąda.

– Moja duma pragnie więcej! Jakiegokolwiek są przewinienia pana Arnolda, ja nadal noszę jego nazwisko, którego nie mogę sponiewierać na dworze nieprzyjaciela!

– Katarzyno, dawno odeszłaś od polityki i nie wiesz, że wkrótce król Karol VII i książę Filip pogodzą się, nikt już w to nie wątpi!

– Być może, lecz ja mam syna. Muszę go wychować zgodnie z jego urodzeniem! Jego matka nie zostanie uznana za kochankę księcia Filipa!

– Jesteś pod wrażeniem otrzymanego ciosu. Idź się przespać. Jutro wszystko ujrzysz w innym świetle. I zrozumiesz, że nie powinnaś odrzucać szczęścia zesłanego ci przez los. Do ciebie będą należały niezależne ziemie, całe księstwo! Twój syn będzie potężniejszy, niż kiedykolwiek marzyłaś. Uwierz mi! Książę kocha cię mocniej niż przedtem!

Katarzyna zatkała uszy rękami, potrząsając boleśnie głową.

– Zamilcz, Janie! Nie chcę dzisiaj nic więcej słyszeć! Pójdę się położyć, chociaż wątpię, bym mogła zmrużyć oczy... Przebaczone, lecz ty tego nigdy nie zrozumiesz...

Odepchnawszy wyciągniętą dłoń, udała się do wielkiej sali. W środku panował prawie zupełny mrok. Jedynie dogasający żar w kominku rzucał nieco światła na leżących pokotem wędrowców. Zobaczyła zwiniętego w kłębek, śpiącego nie opodal kominka Jossego. Jedynie Ermengarda czuwała jeszcze.

Na widok wchodzącej Katarzyny hrabina wstała, lecz tamta dała jej znak, by się nie ruszała. To, czego teraz najbardziej pragnęła, to chwila samotności. Nie po to, by rozmyślać o liście księcia, czy użalać się nad swym losem. Chciała zebrać myśli, postanowić coś... O tej godzinie klasztor powinien być pusty... Pomimo grubych murów słyhać było głosy braci miłosierdzia dochodzące z kaplicy. Owinawszy się szczelnie płaszczem Katarzyna pchnęła niską furtkę prowadzącą na dziedziniec i weszła pod ciężkie arkady oddzielone mocnymi przyporami podpierającymi ciężkie od śniegu dachy. Zimne światło księżycy oświetlało surową sylwetkę klasztoru i opustoszały o tej porze ogród.

Przesuwała się bezszelestnie wśród cieni arkad, chłonąc ciszę pirenejskiej nocy. W miarę jak pałacy ból ustępował miejsca gniewowi, zaczęła powoli nad sobą panować. Nagle poczuła rodzące się w niej dzikie pragnienie zemsty. Fortunat chciał ją zniszczyć, roztaczając przed nią obraz szczęśliwego Arnolda w ramionach innej kobiety, myślał, że ją przestraszy opisując, jaki los czeka chrześcijankę w kraju Maurów!

Ale on jej nie zna! Ten nieszczęśnik nie wie, że dla osiągnięcia celu była gotowa narazić się na najgorsze niebezpieczeństwa, była gotowa sprzedać się, jeśli tak trzeba, a nawet umrzeć!

Nie, nigdy nie odda Arnolda tej kobiecie! Zbyt drogo zapłaciła za prawo do niego! Ileż warte były pocałunki i uściski tej niewiernej w porównaniu z jej łzami, z jej cierpieniami? I jeśli Arnold sądzi, że pozbył się jej na zawsze, to się myli! To prawda, mógł przypuszczać, że wyszła za męża, lecz czy dlatego musiał utrzymywać ją w przekonaniu o swojej strasznej chorobie? Nie pomyślał o matce ani o swym synu i zrzuciwszy z barków balast przeszłości, bez skrępowań związał się z pierwszą lepszą...

Nawet gdyby musiała pracować w pocie czoła jako niewolnica, gdyby musiała znieść najcięższe tortury, odnajdzie go! Powie mu, że tylko jego jedyne go kocha, że jest nadal jego żoną i wtedy zobaczymy, która zwycięży, ona czy ta czarnucha?

W miarę jak jej myśli stawały się bardziej gwałtowne, przyspieszała kroku, tak że aż jej płaszcz zaczął fruwać.

– Pójdę tam! Pójdę do Grenady! I nikt mi w tym nie przeszkodzi!

– krzyknęła na głos.

– Psst! – usłyszała nagle czyjś głos zza filara. – Jeśli masz zamiar udać się do Grenady, to nie ogłaszaj tego zbyt głośno... I musisz się pośpieszyć!

Ku swemu zdziwieniu, Katarzyna ujrzała wyłaniającą się z ciemności wysoką postać Jossego Rallarda, który niósł pod pachą jakąś paczkę, oglądając się ostrożnie za siebie.

– Myślałam, że śpisz jak wszyscy! – rzuciła zdumiona.

– Wszyscy tak myślą, łącznie z panią Ermengardą i panem malarzem!

– odparł dumnie Josse. – I chociaż rozmawiali cicho, wszystko słyszałem!

– A o czym mówili?

– Że jak wszyscy pograżą się we śnie, a i ty udasz się na spoczynek... porwą cię i zawiozą do Burgundii!

– Co takiego? – wyszeptła oniemiała ze zdziwienia Katarzyna.

– Chcą mnie porwać? Siłą? Ależ to okropne!

– Nie, pani! – odparł Josse z tajemniczym uśmiechem. – Pominąwszy wszystko, chcą twego dobra. Najpierw myślałem, że mają złe zamiary, że chcą cię zabić! I o mały włos byłbym się zdradził. Ale nie o to chodzi. Oni chcą cię porwać, aby cię uratować przed tobą samą i wbrew tobie. Znają cię zbyt dobrze i obawiają się, że udasz się prosto do Grenady, gdzie, według nich, czeka cię pewna śmierć!

– Mogą jechać ze mną! – odpaliła Katarzyna. – Niebezpieczeństwo będzie mniejsze! Nawet księżę mauretański musi się zastanowić, zanim poturbuje ambasadora Burgundii!

– Który nie ma tam czego szukać! Nie, nie sądzę, by Van Eyck udał się

tam bez zgody swego pana! Nie, pani Katarzyno. Jeśli nie chcesz wracać do Dijon, jeśli chcesz się od nich wyzwolić, musisz uciekać... i to szybko!

Katarzyna przez chwilę przyglądała nieufnie się swemu dziwnemu słudze. Nie mogła uwierzyć w ten cały plan. Zbyt długo znała Ermengardę i Van Eycka, Josse zaś był zwykłym włóczęgą, o którym nie wiedziała zbyt wiele, oprócz tego, że jest zwinny i ma niestałe zasady. Postanowiła powiedzieć mu to wprost.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć, Josse? Oni są moimi starymi, wiernymi przyjaciółmi, a ty...

– Wiem, a ja jestem tylko drobnym paryskim rzezimieszkiem, wędrownym złodziejem, niewiele wartym opryszkiem, czy tak? Posłuchaj, pani! Ocaliłaś mi życie dwa razy; co prawda pierwszy raz niechcący, lecz drugi całkiem świadomie. Gdyby nie ty, pani, gniłbym teraz w lochu przeora z Figeac. My, ludzie z Dziedzińca Cudów, nie zapominamy nigdy o takich rzeczach! My też mamy swój honor!

Katarzyna zadumała się nad słowami Jossego, które przywołały w niej stare wspomnienia związane z Dziedzińcem Cudów, któremu przecież tak wiele zawdzięczała.

– Czy chcesz ruszyć ze mną do Grenady, aby spłacić dług wdzięczności? A czy wiesz, że czekają tam na mnie niebezpieczeństwa gorsze od śmierci?

– Jeśli ty umrzesz – odparł Josse – ja umrę przed tobą, pani. Inaczej, będę skończony!... Lecz czas nagli! Zdecyduj się. Albo mi zaufasz i ruszamy, albo... nie zaufasz, i wtedy sama zobaczysz! Ja znam trochę Hiszpanię... już raz tu byłem i znam trochę języka. Mogę służyć ci za przewodnika!

– O wiele przyjemniej byłoby ci jechać wraz ze mną do Burgundii!

– Nie wierzę! Ci ludzie, którzy chcą cię uratować przed samą sobą, nie kochają cię prawdziwie. Nie wiedzą, że nie będziesz szczęśliwa z żalem w sercu, nie uczyniwszy tego, co dyktowało ci serce. Ja wolałbym widzieć, jak narażasz się na niebezpieczeństwa i chciałbym dzielić je z tobą, gdyż jesteś podobna do mnie: nigdy się nie poddajesz. Wierzę, że uda ci się przezwyciężyć najsrozsze przeszkody. Wiem dobrze, na co się narażamy; że zrobią z nas niewolników, będą torturować, co będzie dla ciebie o wiele gorsze, gdyż jesteś niewiastą... lecz uważam, że gra jest warta świeczki. Być może odzyskasz męża, a ja być może zdobędę fortunę, która do tej pory nie chciała się do mnie uśmiechnąć. Powiada się, że w królestwie Grenady jest moc wszelkiego bogactwa... A więc? Ruszamy? Muszę się przyznać, że już osiodłałem konie... – dodał z niewinnym uśmiechem.

Poczuła przyływ nadziei. Dopiero z ust tego urwisa usłyszała słowa, których potrzebowała najbardziej. Był dzielny, inteligentny, zręczny...

Palił się, by jej pomóc! Nie, zdecydowanie nie będzie czekać, aby ją wręczono jak jakiś pakunek owinięty ładną wstążką księciu, tylko dlatego, że dwoje pomyślników uznało to za najlepszy sposób zapewnienia jej szczęścia! Uniosła na Jossego błyszczące nadzieją oczy.

– Ruszajmy! Jestem gotowa! – krzyknęła.

– Chwileczkę! – odparł Josse wyciągając zza pazuchy paczkę. – Jest tu męski przydziewek, który zwędziłem jakiemuś wojakowi. Załóż go, pani, a swoje szmatki włóż do paczki, bo jeszcze się przydadzą. Tylko pośpiesz się! Nie mamy czasu do stracenia, musimy ująć pogoni!

Katarzyna szybko chwyciła zawiniątko, postawiła Jossego na czatach, a sama schowała się za filar, by się przebrać, nie zważając na przenikliwe zimno. Rozgrzewał ją zapach. Teraz, kiedy znowu przystąpi do walki, może zapomnieć o zmartwieniu!

I nagle zdawało jej się, że słyszy szept melodyjnego i lekko sepleniącego głosu:

„Jeśli kiedyś nie będziesz wiedziała, co ze sobą zrobić ani gdzie się udać, przyjedź do mnie. W moim małym domku nad brzegiem Génilu cytrynowce i migdałowce rosną same, a róże pachną przez okrągły rok. Będziesz moją siostrą, ja zaś nauczę cię mądrości islamu...”

Oczami duszy ujrzała przed sobą małego człowieczka z długą, białą brodą i z wielkim, pomarańczowym, podobnym do dyni, turbanem na głowie. Jej usta bezwiednie wyszeptały jego imię:

– Abu!... Abu-al-Khayr!... Mały medyk!

Że też nie pomyślała o nim wcześniej! Przecież Abu, jej stary przyjaciel, mieszkał w Grenadzie! I był przyjacielem sułtana! Abu będzie wiedział, co należy czynić, pomoże jej! Była tego pewna!

Ogarnięta nieoczekiwaną radością, w pośpiechu dokończyła przebierania i zwinawszy swoje ubranie, pobiegła do Jossego.

– Możemy ruszać! Pośpieszmy się!

Josse popatrzył na nią ogromnie zdziwiony tak nagłą przemianą.

– Na Boga! Pani Katarzyno, wygląda pani jak prawdziwy wojak!

– Bo chcę się bić, drogi przyjacielu, używając w tym celu wszystkich możliwych sposobów! Muszę wyrwać mego męża ze szponów tej kobiety i dopnę swego! Na koń!

Wkrótce dwa tajemnicze cienie wymknęły się z klasztoru. Pod sklepieniem czekały na nich osiodłane konie, którym Josse przezornie poowijał kopyta szmatami. Nowy druh Katarzyny radośnie wznosił oczy do nieba, na którym zebrały się ciemne chmury, uniemożliwiając promieniom księżyca oświetlenie drogi ucieczki.

– Popatrz, Katarzyno! Niebo jest po naszej stronie! A teraz w drogę! Lecz uważaj, gdyż droga jest wąska i niebezpieczna!

– Nie bardziej niż ludzie w ogólności, a już przyjaciele szczególnie! – zauważyła Katarzyna.

Chwilę później dwaj nocni jeźdźcy zagłębili się w drogę prowadzącą do Pampeluny. Przejeżdżając obok skały Rolanda, którą według legendy rycerz ten przepołowił jednym cięciem szpady z góry na dół, Katarzyna uniosła rękę, by ją pozdrowić gestem, w którym widoczne było wyzwanie.

CZEŚĆ DRUGA

CIEŃ PRZESZŁOŚCI

Rozdział piąty

KLATKA

Josse Rallard zatrzymał konia i zatoczył ręką szeroki krąg.

– Dojeżdżamy do Burgos! Nadchodzi noc. Czy zatrzymamy się w mieście? Katarzyna spojrzała na rozciągające się u jej stóp miasto z uczuciem zawodu. Po bezkresnych przestrzeniach skutych lodem, na których tylko hulał wiatr, widok stolicy królów Kastylii nie wywarł na niej oczekiwanego wrażenia. Wielkie skupisko szarozółtych budowli, otoczone murem obronnym w takim samym smutnym kolorze, i górująca nad wszystkim groźna forteca. Nic szczególnego... Może oprócz potężnej katedry o pięknych kształtach podobnych do drogocennych koronek, która zdawała się sprawować pieczę nad miastem.

W dole rzeka toczyła leniwie swe muliste wody. Widok ten sprawiał przygnębiające wrażenie zimna i wilgoci. Katarzyna wzruszyła ramionami i westchnęła:

– Musimy się gdzieś zatrzymać. Ruszajmy!

Dwaj jeźdźcy ruszyli w dół zbocza, kierując się w stronę mostu na rzece, prowadzącego do bramy Santa Maria. Był to dzień targowy i na moście panował wielki ruch; byli tam wieśniacy o niskich czołach i wystających kościach policzkowych, okryci skórą baraniami i kozimi, kobiety w czerwonych lub szarych sukienkach z wełny, niosące często na swych owiniętych szalami głowach gliniane konwie lub wiklinowe kosze, rozczochrani żebracy w plugawych sukniach, wyrostki z bosymi nogami i oczami jak węgielki, osły i muły, krzywe wózki, uwijający się przy zakupach służący tego czy tamtego hidalgo*. [*Hidalgo – hiszpański szlachcic.]

Katarzyna i jej towarzysz odważnie wmieszali się w tłum, trzymając konie za uzdy. Cały ten kolorowy i hałaśliwy rozgardiasz nie wzbudził zainteresowania Katarzyny, podobnie jak widok kobiet piorących owczą wełnę w żółtym nurcie rzeki Arlanzon. Od kiedy opuścili klasztor w Roncevaux, nic jej nie obchodziło z wyjątkiem tego, ile mil pozostało im jeszcze do Grenady. Chciała, żeby koń dostał skrzydeł, a ona sama miała tyle sił, żeby w ogóle się nie zatrzymywać. Trzeba było jednak oszczędzać konia i własne siły, chociaż każda godzina dłużyła się jej w nieskończoność.

Zazdrość, którą obudził w jej sercu Fortunat opowiadaniem o zdradzie Arnolda, nie dawała jej spokoju i wywoływała na przemian to gniew, to czarną rozpacz. W nocy często zrywała się ze snu zlaną zimnym potem, zdając się słyszeć wypowiedane gdzieś daleko słowa miłości. Rano wstawiała z podkrążonymi oczami i zaciskając usta ruszała naprzód bez oglądania się za siebie...

Ani razu nie pomyślała o ewentualnej pogoni, o tych, których zostawiła w Roncevaux. Kim byli dla niej Van Eyck, książę Burgundii czy nawet poczciwa Ermengarda? Jedyne, co się teraz liczyło, to Grenada i ten dziwny Josse Rallard, który robił to, co jego pani. Obiecał jej, że zaprowadzi ją do królestwa sułtanów mauretańskich, i dotrzymywał słowa, nie starając się przebić przez mur ciszy, którym otoczyła się Katarzyna...

Po przekroczeniu bramy Santa Maria wędrowcy znaleźli się na

wybrukowanym okrągłymi kamieniami placu, otoczonym z trzech stron domami pod arkadami, którego czwarty bok zajmowała katedra. Tutaj też panowało wielkie ożywienie. Siedzący na ziemi chłopci sprzedawali swoje plony prosto z koszy. Wśród kupujących kręcili się żołnierze i mnisi.

– Niedaleko stąd jest schronisko dla pielgrzymów Santo Lesmes – powiedział Josse. – Czy zechcesz się tam udać, pani?

– Ja już nie należę do pielgrzymów! – odparła twardo Katarzyna.

– Widzę tu jednak oberżę. Chodźmy tam.

Istotnie, kilka kroków dalej, wsparta o mury obronne, stała oberża „Pod Trzema Królami”, otwierając swe podwoje pod niskimi arkadami z czarnego drewna. Katarzyna zsiadła z konia i zdecydowanie ruszyła w stronę wejścia, a za nią Josse trzymając w ręce uzdy obydwu koni. Już mieli wejść do środka, kiedy hałaśliwy co prawda, lecz względnie spokojny tłum zerwał się i ruszył jak nawałnica w stronę bramy miasta z potwornym wyciem. Zamieszanie było tak wielkie, że w końcu zwróciło uwagę Katarzyny. Tymczasem tłum popchnął ich w kierunku bramy Santa Maria, w której pojawił się dziwny orszak. Otoczony grupą jeźdźców z lancami w dłoniach nadjeżdżał prosty chłopski wózek, chybocąc się na wybojach. Na wózku znajdowała się drewniana klatka wzmocniona żelaznymi prętami. W środku widoczny był skuty łańcuchami człowiek...

Klatka była zbyt niska, by dało się w niej stanąć. Człowiek ten siedział więc z głową schowaną w ramionach, żeby osłonić się przed gradem pocisków rzucanych w jego stronę z okrzykami nienawiści przez nędzną hałastę – kaczany kapusty, odchody końskie, a zwłaszcza kamienie spadały jak deszcz na skazańca, nie czyniąc mu na szczęście większej szkody. Człowiek ten był cały pokryty ceglastym kurzem, spod którego nie było widać koloru skóry ani włosów. Pokrywały go lepkie od brudu strzępy odzienia, a na głowie miał świeżą ranę.

Dzika tłuszcza wrzeszczała coraz głośniejsze i stawała się coraz bardziej napastliwa, tak że strażnicy musieli użyć lanc, żeby ją odepchnąć, gdyż niechybnie wzięłaby klatkę szturmem. Katarzyna nie mogła oderwać oczu od tej sceny gwałtu, a jednocześnie w jej sercu narodziło się współczucie dla nieszczęśnika opluwanego przez pospólstwo.

– Mój Boże... – szepnęła – co takiego uczynił ten nieszczęśnik...

– Próżne twe współczucie, młody panie – usłyszała w pobliżu powolny głos o wyraźnym germańskim akcencie. – To tylko jeden z tych przeklętych rozbójników okupujących góry Oca na wschód od miasta... To krwiożercze wilki, rabusie i podpalacze, potrafiący zadrzeć na śmierć swoje ofiary, które nie mogą zapłacić okupu.

Katarzyna odwróciła się w stronę dobiegającego ją głosu i zobaczyła mężczyznę około czterdziestki o energicznej i zarazem otwartej twarzy okolonej rudą brodą, z jasnymi niebieskimi oczami. Mężczyzna był wysoki i postawny. Pod wełnianą tuniką, której brązowy kolor z trudnością można było odgadnąć pod warstwą białego pyłu zdradzającego kogoś pracującego w kamieniu, widać było kłębowisko potężnych mięśni. Jego szczery uśmiech spodobał się Katarzynie.

– Skąd znasz francuski, panie? – spytała.

– Och, nie znam go zbyt dobrze, lecz wszystko rozumiem – odpowiedział nieznamomy. – Nazywam się Hans, Hans z Kolonii i zajmuję się remontem katedry – dodał wskazując na widoczne stąd rusztowania.

– Z Kolonii, powiadasz... A co zagnało cię aż tutaj, tak daleko od twego kraju?

– Arcybiskup Alonso z Kartaginy, którego spotkałem w Bazylei podczas Konsylium, jakieś trzy lata temu zaproponował mi tę pracę... Ale ty, panie, też nie jesteś z tych stron...

Policzki Katarzyny zaróżowiły się lekko. Nie przewidziała tego pytania i nie przygotowała odpowiedzi.

– Nazywam się... Michał de Montsalvy – odparła pośpiesznie, przypominając sobie, że jest przebrana za mężczyznę. – Podróżuję z moim giermkim, żeby zwiedzić Hiszpanię!

– Powiada się, że podróże kształtują młodość! To świadczy o tym, że nie znasz się na rzeczy, gdyż w tej krainie nie ma nic przyjemnego. Przyroda tu nieprzyjazna, a ludzie na wpół dzicy...

Przerwał, gdyż tłuszcza nagle uspokoiła się i nastąpiła tak wielka cisza, że słychać było głuche jęki człowieka w klatce.

Zbliżała się grupa urzędników magistrackich, na których czele, na dorodnym andaluzie* [*Andaluz – koń andaluzyjski.], jechał groźnie wyglądający mężczyzna cały ubrany na czarno. W świetle otaczających go pochodni jego twarz miała wyraz nieugiętej surowości. Śledzony wieloma spojrzeniami, powoli zbliżył się do klatki.

– To zbrodniczy alkad* [*Alkad – wójt, burmistrz.], don Martin Gomez Calvo! – rzucił z bojażnią Hans. – Straszny człowiek! Arogancki i bardziej dziki niż rozbójnicy z Oca!

W istocie, tłum rozstępował się przed nim z pośpiechem wyrażającym niemy strach. Żołnierze z jego świty nie musieli nawet wyciągać broni, ludzie sami oddalali się od niebezpiecznej postaci.

Don Martin powoli okrążył klatkę, po czym sięgnąwszy po szpadę dźgnął jej czubkiem więźnia. Ten podniósł głowę, ukazując zarośniętą twarz. Katarzyna zadrżała i bezwiednie zrobiła kilka kroków do przodu, jakby przyciągana magnesem.

– Wody... wody... – jęknął człowiek po francusku. – Chce mi się pić! Prawie równocześnie z jękiem skazańca zgromadzeni usłyszeli krzyk Katarzyny.

– Walter!...

W tej bowiem chwili rozpoznała w tym zarośniętym łachmaniarzu utraconego przyjaciela. Ogarnięta szaloną radością, zapomniała na chwilę o tragicznym położeniu skazańca i już miała się rzucić w stronę klatki, kiedy na jej ramieniu spoczęła ciężka łapa Hansa, przygważdżając ją na miejscu.

– Uspokój się, panie! Chyba nie jesteś szalony!

– To nie jest złoczyńca! To mój przyjaciel! Zostaw mnie w spokoju!

– Pani Katarzyno! Na litość boską! – krzyknął Josse chwytając ją za drugie ramie.

Hans aż podskoczył.

– Pani Katarzyno?...

– Owszem! – odparła Katarzyna z wściekłością. – Jestem kobietą... panią

de Montsalvy! Ale co ciebie to obchodzi, panie?

– Nawet bardzo! O, to nawet wszystko zmienia!

Co mówiąc, chwycił Katarzynę, wsadził ją sobie bezceremonialnie pod pachę i zasłoniwszy jej usta dłonią, zaniósł do niskiego domku schowanego za katedrą.

– Idź za nami z końmi! – rzucił do Jossego, torując sobie drogę wśród tłumu.

Nikt nawet nie zwrócił na nich uwagi, gdyż wszystkie oczy były skierowane na alkada i jego ofiarę. Katarzyna usłyszała rzucane przez niego rozkazy, nie rozumiejąc jednak stów. Usłyszała tylko, jak z wszystkich piersi dobył się szmer zadowolenia... Pospółstwo na całym świecie jest do siebie podobne, więc Katarzyna domyśliła się, że alkad musiał obiecać tłumowi jakieś krwawe widowisko.

– Co on powiedział? – chciała krzyknąć, lecz Hans silniej przytknął dłoń do jej ust i pchnąwszy nogą niskie drzwi, wszedł do ciemnego korytarza. Wtedy odwrócił się i rzekł do Jossego:

– Zamknij drzwi i chodź!

Korytarz prowadził na podwórze, na którym piętrzyły się kamienne bloki, a pod zadaszeniem stały świeżo rozpoczęte, kamienne figury świętych. Na drewnianym słupie wisiał kaganek, oświetlając widoczną na środku podwórza rzymską studnię. Hans pokazał Jossemu, do którego słupa ma przywiązać konie, i w końcu postawił Katarzynę na ziemi nie siląc się na delikatność.

– No! Teraz możesz, pani, krzyczeć do woli! – rzucił z zadowoleniem. Katarzyna, lekko podduszona i czerwona ze złości, chciała skoczyć mu do oczu jak kocica, lecz Hans chwycił ją za dłonie uniemożliwiając jej zapędy.

– Rozkazuję, abyś natychmiast mnie stąd wypuścił! – krzyknęła. – Za kogo ty się uważasz, panie? Kto ci pozwolił traktować mnie w ten sposób?

– Po prostu, poczułem trochę sympatii do ciebie, ot i wszystko, panie rycerzu... czy pani Katarzyno, jak tam sobie wolisz! Gdybym patrzył beczynnienie na twoje brewerie, byłabyś w tej chwili związana i pod eskortą strażników wrzucona do lochu, gdzie czekałabyś na dobry lub zły humor alkada. I już z pewnością na nic nie przydałabyś się swojemu przyjacielowi!

Słyszając rozsądne słowa kamieniarza, Katarzyna w duszy przyznała mu rację, lecz nie chciała zbyt szybko przyznać się do przegranej.

– Nie miałby żadnego powodu, żeby mnie uwięzić! Po pierwsze jestem kobietą, po drugie nie jestem Kastylijką, lecz wierną poddaną króla Francji, Karola, a na dodatek damą dworu królowej Yolandy Aragońskiej... Popatrz! – krzyknęła sięgając do sakiewki i wyciągając z niej grawerowany szmaragd królowej. – Oto pierścień, który mi podarowała! Czy więc nadal wątpisz, że alkad zechce mnie wysłuchać?

– Nawet gdybyś była samą królową Yolandą, nie miałabyś pewności, że wyjdiesz żywa z jego szponów... tym bardziej że tutaj, w Kastylii, rodzina Aragońska nie jest dobrze widziana. Ten człowiek to dziki zwierz! Kiedy już ma swoją ofiarę, nigdy jej nie przepuści. Co zaś do tego klejnotu, to tylko mógłby wzbudzić jego pożądanie. Zabrawszy ci go, wrzuciłby cię do lochu i spokojnie wykończyłby twego przyjaciela!

– Nie ośmieliłby się! Jestem szlachetnie urodzona i jestem Francuzką!

Mogłabym wnieść skargę...

– Do kogo? Król Jan wraz z dworem przebywa w Toledo, a nawet gdyby tu był, z pewnością by ci nie pomógł. Władca Kastylii to niedołęga i każda decyzja go męczy! Jest tylko jedna osoba, która mogłaby cię wysłuchać: to prawdziwy władca królestwa, konetabl Alvaro de Luna!

– W takim razie udam się do niego!

Hans wzruszywszy ramionami sięgnął po dzban wina stojący na stołku i napełniając trzy kubki, powoli powiedział:

– To niemożliwe. Konetabl walczy u granic Grenady, więc tu niepodzielnie panują alkad i arcybiskup.

– Tak więc, udam się do arcybiskupa! Czyż sam nie mówiłeś mi, że to on przywiódł cię tutaj?

– W istocie. Jego świątobliwość Alonso jest człowiekiem dobrym i prawym, lecz żywi nienawiść do don Martina. Jeśli arcybiskup poprosi don Martina o łaskę dla twego przyjaciela, jest więcej niż pewne, że otrzyma odmowę. Zrozum, że Alonso ma tylko swoich mnichów do obrony, podczas gdy Martin ma zbrojnych ludzi. Don Martin zdaje sobie sprawę z własnej przewagi i nadużywa jej. A teraz chodź ze mną, jeśli chcesz coś zobaczyć... Najpierw jednak napij się wina. Dobrze ci zrobi.

Katarzyna spojrzała na nieznanego, który z całym spokojem podawał jej kubek wina. Dlaczego zachował się jak przyjaciel? Spontaniczna sympatia? Z pewnością... lecz także zauroczenie, jakie wyczytała w jego oczach, które nie było dla niej niczym nowym, gdyż widywała je niejednokrotnie u innych mężczyzn...

Machinalnie umoczyła usta w cynowym kubku. Wino było kwaśne, lecz mocne i rozgrzewające. Opróżniwszy kubek aż do ostatniej kropli, oddała go Hansowi.

– Wypiłam... a teraz, co masz mi do pokazania?

Hans zaprowadził ją do niskiej sali bez światła i kominka, gdzie w rzędach leżały na podłodze sienniki przykryte derkami. Jedyne światło dochodziło tu z małego, zakratowanego okienka, wychodzącego na plac przed katedrą. W powietrzu czuć było ludzki pot i kurz.

– Tutaj śpią robotnicy, których przywiozłem ze sobą – wyjaśnił Hans. – Ale teraz wszyscy wylegli na plac... Popatrz przez okno!

Z zewnątrz na nowo zaczęły dochodzić krzyki i złorzeczenia. Wychyliwszy się przez okno, Katarzyna zamarła z osłupienia. Za pomocą jednego z potężnych wciągników zainstalowanych na wieżach katedry podnoszono klatkę wzdłuż muru i teraz kołysała się gdzieś na wysokości trzeciego piętra. Poniżej zbiegł się tłum, zadzierając głowy do góry i ciskając w więźnia, czym popadło. Katarzyna skierowała pytające spojrzenie na Hansa.

– Dlaczego to zrobili?

– Żeby dostarczyć gawiedzi uciechy. I tak będzie aż do dnia kaźni. Aż do tego dnia ta dzika hałastra będzie mogła się napawać cierpieniem nieszczęśnika, który, oprócz wszystkich upokorzeń, nie dostanie ani jeść, ani pić...

– A kiedy...?

– Egzekucja?... Za osiem dni...

Katarzyna krzyknęła z przerażenia, a jej oczy napełniły się łzami.

– Za osiem dni? Ależ on umrze do tej pory!

– Nie umrze – usłyszeli z tyłu głos Jossego. – Człowiek w czerni powiedział, że skazaniec jest silny jak tur i z pewnością doczeka kąpieli...

– Co chcą z nim zrobić? – spytała Katarzyna czując, że ma sucho w gardle.

– Po co jej o tym mówić? – rozżłościł się Hans. – Sama zobaczy w dniu kąpieli.

– Pani Katarzyna umie spojrzeć prawdzie w oczy, przyjacielu! – odpalił Josse. – Nie łudź się, że zdołasz coś przed nią ukryć! – Po czym, zwracając się do swej pani, oznajmił: – Za osiem dni zostanie żywcem obdarty ze skóry, która posłuży tym zwyrodnialcom do wykonania statuy Chrystusa, a to, co z niego zostanie, rzucą na stos!

Pod Katarzyną ugięły się nogi; czując mdłości, oparła się o ścianę. Hans chciał ją podtrzymać, lecz ona odepchnęła go.

– Zostaw mnie, panie. To minie...

– Po coś ty jej o tym mówił, panie? – irytował się Niemiec.

– Dobrze zrobił... Josse mnie zna... – wyszeptała słabym głosem, po czym opadła bezwładnie na jeden z sienników i objęła głowę rękami. Dotychczas poznała dosyć zła i okropieństw, by nie przejmować się z byle powodu, lecz to, co usłyszała, przechodziło wszelkie wyobrażenie.

– Czy to ci ludzie poszaleli, czy to ja postradałam zmysły?... Przecież to barbarzyństwo!

– U tego Maura, który oblega Grenadę, musi być jeszcze gorzej. Muszę przyznać, że ludzie w tym kraju kochają widok krwi... – stwierdził Hans.

Katarzyna nie słuchała. Powtarzała w myśli słowa Jossego, jakby chciała lepiej zrozumieć ich znaczenie: „...ze skóry zrobią statuu Chrystusa”. Czy podobne świętokradztwo było w ogóle możliwe?

– W katedrze jest już taka jedna statua – powiedział spokojnie kamieniarz.

– A teraz musimy stąd odejść, gdyż zaraz wrócą moi ludzie!

Delikatnie ujął Katarzynę za ramię i zaprowadził do znajdującej się w głębi wielkiej kuchni. Wewnątrz rozchodził się miły zapach stawy, gotującej się w czarnym od sadzy kociołku. Nie opodał, oparta o beczkę wina, spała jak zabita służąca z rękami zwisającymi wzdłuż tułowia i otwartymi ustami. Hans usadowiwszy Katarzynę na ławie, wskazał na kobietę ruchem głowy i rzekł:

– Nazywa się Urraca. Jest głucha jak pień. Możemy rozmawiać. Powiedziawszy to podszedł do niej i potrząsnął energicznie jej ramieniem.

Stara ledwo otworzyła oczy, zaczęła potwornie jazgotać, odczepiła kociołek i postawiła go na stole. Następnie wyciągnęła ze skrzyni drewniane miski i napełniła je zupą, po czym natychmiast wróciła na swoje miejsce koło beczki.

– Jedzcie! – zachęcał Hans, podsuwając Katarzynie strawę pod nos, lecz ona odsunęła miskę i potoczyła błędnym wzrokiem po swoich towarzyszach.

– Muszę uratować Waltera! – powiedziała wreszcie. – Chyba sama bym umarła, pozwalając zginać mu w tak okropny sposób!

Nastąpiła cisza, w czasie której Hans spokojnie opróżnił swoją miskę, po czym otarłszy sobie usta rękawem, zaczął:

– Pani, nie chciałbym cię denerwować. Ten nieszczęśnik był twoim

wiernym sługą, lecz czas zmienia ludzkie serca. Rozbójnicy z Oca to nędzne kreatury, a twój przyjaciel był w ich gromadzie. Musiał popełnić takie same zbrodnie jak oni. Dlaczego chcesz narażać własne życie dla jednego z tych przeklętych bandytów?

– Nie rozumiesz, panie, bo nie znałeś Waltera. Otóż wiedz, panie Hansie, że w całej Francji nie znalazłbyś szlachetniejszej i lojalniejszej duszy! Straciłam go z oczu nie więcej niż parę miesięcy temu i nie wierzę, żeby przez ten czas mógł zmienić się do tego stopnia! Posłuchaj, co o nim powiem, a ocenę zostaw na potem!

Katarzyna w prostych słowach, nie starając się o łatwe efekty, opowiedziała, kim był Walter, ile razy uratował jej życie, jak wyruszył na poszukiwanie Arnolda, jak wreszcie zniknął w Pirenejach. Hans wysłuchał jej opowieści bez słowa.

– Czy wreszcie rozumiesz? Czy teraz rozumiesz, że nie mogę pozwolić, by zginął, i to w taki straszny sposób!

Po wysłuchaniu Katarzyny Hans przez dłuższą chwilę ważył swe myśli, nerwowo zaciskając palce, zanim odparł:

– Teraz rozumiem... W takim razie możesz liczyć, pani, na moją pomoc!

– Dlaczego chcesz nam pomagać? – przerwał gwałtownie Josse. – Przecież nawet nas nie znasz, więc po co miałbyś ryzykować dla pary nieznamych? Chyba... że liczysz na nagrodę w postaci pierścienia królowej Yolandy!

Słyszając te słowa, Hans zerwał się z ławy i podstawił zaciśniętą pięść pod nos Jossego.

– Powtórz, coś rzekł, przyjacielu, a rozkwaszę ci facjatę, jak się patrzy! Hans z Kolonii nigdy nie przyjmuje zapłaty za oddaną przysługę!

Katarzyna rzuciła się pomiędzy przeciwników i łagodnie odepchnęła pięść Hansa sprzed nosa Jossego, na którym nie zrobiła ona zresztą większego wrażenia.

– Przebacz mu, panie! – rzekła do Hansa. – W dzisiejszych czasach nie ufa się nikomu, lecz ja ci wierzę! Powiedz tylko, dlaczego chcesz nam pomóc, ryzykując własne życie?

– Sam dobrze nie wiem... Może dlatego, że mi się podobasz, pani... a może dlatego, że Walter, tak jak ja sam, jest synem Północy. Poza tym on zaczął mnie intrygować i nie będę patrzeć spokojnie, jak idzie pod nóż. Chyba nie zaznałbym potem spokoju. Musicie też wiedzieć, że nienawidzę alkada za to, że jednemu z moich robotników kazał odciąć dłoń, oskarżając go niesłusznie o kradzież. Z miłą chęcią spletał mu figła! – rzekł, po czym oddalił się w głąb kuchni, gdzie leżał zwinięty materac, rozłożył go blisko ognia i powiedział: – Połóż się na nim, pani, i staraj się zasnąć. Po północy, kiedy jest najciemniej, wyjdziemy na wieżę i spróbujemy dosięgnąć klatki.

– Czy sądzisz, że uda się nam go uwolnić? – spytała z nadzieją w oczach.

– Tej nocy nie, musimy najpierw przygotować plan ucieczki. Lecz na pewno uda nam się podać mu coś do jedzenia i picia!

Głos stróża nocnego dawno obwieścił północ, kiedy drzwi chaty kamieniarza otworzyły się bezszelestnie i wyszły z niej trzy cienie – dwa duże,

jeden mały. Na placu nie było żywej duszy, z wyjątkiem strażników stojących u stóp wieży. Czarny kot przebiegł drogę trzem nocnym markom.

Zamierzali dotrzeć do bocznej bramy del Sarmental, a w szczególności do jej małej furty, do której Hans miał klucz, jako że w tym miejscu budował kaplicę. Wstrzymując oddechy i bacząc, by się nie potknąć, powoli posuwali się do przodu.

Josse trzymał pod pachą dzban z wodą, a Hans poleć słoniny i bochenek chleba. Katarzyna nie niosła niczego, szła z oczami wbitymi w ziemię, bojąc się spojrzeć na wiszącą nad jej głową klatkę.

– Uważajcie! – szepnął Hans, kiedy stanęli przed schodami wiodącymi do bramy. – W katedrze panuje okropne echo, a zawsze jest w środku dwóch mnichów na modłach. Zmieniają się co noc. Podaj mi dłoń, Katarzyno, poprowadzę cię!

Katarzyna wsunęła drżącą dłoń do chropowatej łapy Hansa i ruszyła za nim posłusznie. Josse chwycił poły jej płaszcza. Kamieniarz bezszelestnie otworzył furtkę. Z chóru było widać dwóch mnichów, których łyse czaszki błyszczały w skąpym świetle lampki oliwnej. Klęcząc na kamiennej posadzce, powtarzali monotonię słowa modlitwy, odpowiadając sobie wzajemnie.

Hans przeżegnał się i poprowadził przyjaciół wzdłuż rozpoczętej przez siebie kaplicy, by w mroku filarów dotrzeć do schodów prowadzących na wieżę. Panowały tutaj egipskie ciemności i Hans musiał potrzeć krzesiwo. Na ziemi leżały sterty łuczyw, z których Hans podniósł jedno i zapalił.

– Kiedy dojdziemy na górę, zgaszę je – powiedział – a teraz szybko! Schody były strome. Kiedy wreszcie Hans zgasił łuczywo, wszyscy z trudnością łapali oddech. Katarzyna poczuła powiew świeżego powietrza. Znajdowali się na zewnątrz i choć niebo było pełne gwiazd, przez chwilę musiała przyzwyczajać wzrok do otoczenia.

– Uważajcie pod nogi, pełno tu kamieni i drewnianych bali.

W istocie, było to główne miejsce pracy kamieniarza, który ponad kwadratowymi wieżami wznosił iglice ozdobione kwiatonami* [*Kwiaton, *archit.* – element dekoracyjny w kształcie pęków stylizowanych kwiatów lub liści, charakterystyczny dla sztuki gotyckiej.] stanowiącymi powód jego wielkiej dumy. Katarzyna ujrzała wielkie koło, na którym kręcił się wciągnik, wyglądający w nocnej scenerii jak narzędzie tortur. Trzymając się ciągle ręki Hansa, podeszła do ażurowej balustrady i wychyliła się. Poniżej kołysała się klatka zawieszona na grubym sznurze wciągnika. Poprzez drewniane kraty dało się zauważyć skurczoną postać więźnia, który z głową uniesioną ku niebu pojękiwał cichutko. Katarzyna spojrzała błagalnie na Hansa.

– Wyciągnijmy klatkę i uwolnijmy go! Jest ranny!

– Wiem, lecz tej nocy nam się to nie uda. Wciągnik okropnie skrzypi. Gdybym go teraz ruszył, to zaraz mielibyśmy żołnierzy na karku i nic nie zyskalibyśmy.

– A znasz jakiś sposób, żeby nie skrzypiał?

– Oczywiście, trzeba go nasmarować, lecz tego nie można robić w nocy. A poza tym, mówiłem już, że najpierw musimy przygotować plan ucieczki. Tymczasem spróbujemy go pocieszyć i wzmocnić. Zawołaj go, pani... bardzo cicho. Pamiętaj o żołnierzach na dole.

Przytrzymywana przez Jossego, który kurczowo uczeplił się jej paska, Katarzyna wychyliła się najdalej jak mogła i cicho wyszeptała:

– Walterze... Walterze... To ja... Katarzyna...

Więzień powoli odwrócił głowę w kierunku, skąd dobiegał szept.

– Ka... ta... rzy... na... – odparł zduszonym głosem, jakby obudził się z głębokiego snu.

Potem nastąpiła cisza, w czasie której Katarzyna słyszała bicie własnego serca, a do jej uszu dobiegł jęk skazańca:

– Pić... pić...

Katarzyna zmartwiała... Czy był aż tak osłabiony, że nie usłyszał jej imienia?

– Walterze! To ja! Katarzyna de Montsalvy. Spójrz na mnie! Powiedz coś!

– Poczekaj! Dajmy mu najpierw pić! – przerwał jej Hans, po czym zwinnie przywiązał wąską szyjkę dzbana do żerdzi znalezionej na budowie i spuścił ją powoli do klatki, aż dotknęła rąk więźnia, lecz ten jakby niczego nie zauważył.

– Masz przyjacielu, pij!

Więzień powoli dotknął dzbana, a następnie chwycił go oburącz i wydając jakieś gardłowe dźwięki przywarł ustami do brzegu i zaczął łapczywie pić, zachłystując się jak zwierzę u wodopoju. Po opróżnieniu dzbana do ostatniej kropli z powrotem wpadł w otepienie. Katarzyna ze ściśniętym sercem wyszeptała:

– Nie poznaje mnie... Nawet nie wiem, czy mnie słyszy...

– To na pewno gorączka – stwierdził Hans. – Jest ranny w głowę. A teraz spróbujmy dać mu coś do jedzenia.

Chleb i boczek miały takie samo powodzenie jak woda, lecz po zaspokojeniu głodu nieszczęśnik nadal wydawał się być głuchy na wezwania Katarzyny. Co prawda podnosił głowę do góry, lecz patrzył na nią tak, jakby była przezroczysta, po czym odwracał głowę. Z jego ust dobywała się cicha, monotonna skarga.

– Boże! Czy on zwariował? – przeraziła się Katarzyna.

– Nie, nie sędzę – pocieszał ją Hans – ale ma majaki. Chodźmy, na razie nic więcej nie możemy dla niego zrobić. Jutro postaram się naoliwić wciągnik, żeby nie skrzypiał, a następnej nocy spróbujemy go stąd wyciągnąć.

– Ale czy uda nam się wyprowadzić go z miasta? Bramy są solidne i dobrze strzeżone.

– Wszystko w swoim czasie! I na to znajdzie się sposób!

– Za pomocą mocnego sznura – wtrącił milczący dotąd Josse – można by spuścić się po murze obronnym.

– Tak... ale to ostateczność! Ja mam coś lepszego w zanadrzu. W moim fachu wystarczy dobrze patrzeć, żeby nauczyć się wielu rzeczy – dodał uśmiechając się zagadkowo. – A teraz musimy wracać.

Katarzyna, rzuciwszy ostatnie spojrzenie więźniowi, dała się poprowadzić do schodów. W ciemnym wnętrzu katedry słychać było nadal monotonne głosy modlących się mnichów, nie podejrzewających niczyjej obecności. Brama zamknęła się cicho i trzy cienie na powrót znalazły się na ulicy.

Po powrocie do domu kamieniarz zrobił swoim gościom małą lekcję.

– Jakby was kto pytał, macie utrzymywać, że jesteście moimi kuzynami w drodze do Composteli. Nie rozmawiajcie tylko z moimi robotnikami, gdyż kilku z nich pochodzi z mojego kraju i mogłoby ich zdziwić, że nie znacie naszego języka. Poza tym, możecie wychodzić do miasta i robić, co się wam podoba.

– Dzięki ci, panie, ale nie mam ochoty wychodzić, gdyż na widok tej klatki czuję się chora. Zostanę w domu.

– A ja nie! – rzekł Josse. – Jak się planuje ucieczkę, trzeba mieć uszy i oczy otwarte!

Następny dzień był dla Katarzyny istną męką. Od samego rana siedziała w domu wsłuchując się w padające krople deszczu. Znowu dobiegały jej uszu złorzeczenia i okrzyki nienawiści pod adresem biednego Waltera. Jedynym jej towarzystwem była stara Urraca, która cały czas mamrotała jakieś niezrozumiałe wyrazy, krzątając się po kuchni. Gdy nadeszła pora posiłku, postawiła przed Katarzyną miskę pełną zupy, kilka prawie całkiem spalonych placków i dzbanek wody. Sama zaś odeszła do swojego kąta przy beczce i zaczęła przypatrywać się młodej kobiecie tak uporczywie, że Katarzyna, nie mogąc dłużej znieść świdrującego spojrzenia staruchy, wyszła na podwórze i usiadła na krużganku, postanowiwszy w tym miejscu czekać na powrót mężczyzn.

Pierwszy wrócił Josse, lecz jego mina nie wróżyła niczego dobrego.

– Ucieczka nie będzie łatwa – powiedział. – Miejscowi ludzie tak nienawidzą bandytów z Oca, że nie przepuszczą żadnemu z nich. Jeśli uprowadzimy ich więźnia, gotowi są wznieść rewolucję!

– A niechże rozniosą wszystko! – krzyknęła Katarzyna. – Co mnie to obchodzi, nie jesteśmy stąd! Liczy się tylko życie Waltera!

Josse popatrzył na nią jakoś dziwnie i rzekł:

– Czy aż tak go kochasz?

Katarzyna wyczuła uszczypliwość w jego głosie, spojrzała prosto w oczy dawnego włóczęgi i nie bez pewnej wyniosłości rzuciła:

– A tak! Kocham go jak brata... albo i więcej! To wieśniak, lecz jego dzielność i lojalność czynią go bardziej godnym złotych ostróg niż niejednego szlachetnie urodzonego! Więc jeśli myślisz, że uda ci się mnie namówić, bym opuściła to miasto zostawiając go samego na pastwę tej krwiożerczej gawiedzi, to tracisz czas, mój panie! Zrobię wszystko, by go uratować, nawet gdybym miała zginąć!

Usta Jossego rozszerzyły się w uśmiechu, a w jego oczach zatańczyły żartobliwe iskierki.

– A kto mówi inaczej? Ja tylko zauważyłem, że to będzie trudne i może nawet wywołać rewolucję, ale nic poza tym! Posłuchaj, pani!

W istocie, z zewnątrz dobiegały coraz bardziej napastliwe okrzyki domagające się śmierci skazańca.

– Alkad musiał podwoić strażę przy wieży – stwierdził Josse.

– Podwoić strażę?

– Ale to nie strażę mnie niepokoją, lecz tłum żądny krwi – rzucił Hans, który właśnie wrócił z miasta. – Jeśli deszcz ich nie przegoni z placu i będą tam sterczeć przez całą noc, pilnując skazańca, to nasz plan się nie powiedzie.

Otrząsnąwszy się jak kundel z błyszczących na nim kropli deszczu,

popatrzył na Katarzynę oczami pełnymi współczucia. Kobieta była blada jak papier i z trudem udawała spokój. Nie odzywała się, obserwując jak Hans zzuwa zabłocone buty. W końcu odważyła się zadać pytanie, które od dłuższej chwili cisnęło się jej na usta:

– A wciągnik?... Czy mogłeś się nim zająć?

– Oczywiście! Naoliwiłem go tak, że można by go usmażyć na patelni! Lecz nic nie poradzę na ten cały motłoch, który nie zamierza stąd odejść. Nawet nie będziemy mogli nakarmić twojego przyjaciela.

– Muszą odejść! – powiedziała Katarzyna przez zaciśnięte zęby. – Muszą!

– Tak, ale jak ich do tego zmusić? Jeśli nawet deszcz nie dał im rady i nie zmusił do schowania się w domach?

W tej chwili dało się słyszeć potężne uderzenie pioruna, od którego wszyscy troje aż podskoczyli. Równocześnie deszcz zamienił się w prawdziwy potop. W mgnieniu oka plac opustoszał. Ludzie pouciekali do domów, a żołnierze zbili się w kupkę, szukając schronienia pod murami katedry. Robotnicy w pośpiechu zeszli z wieży. Została tylko klatka targana podmuchami wiatru i sieczona deszczem.

– Och! Gdybyż nawałnica mogła trwać całą noc! – westchnęła Katarzyna.

– Czasem zdarza się, że burza trwa długo. W każdym razie zapowiada się ciemna noc. Chodźcie, moi ludzie wracają. Musimy się posilić i odpocząć. Mamy dziś w nocy sporo roboty!

Podczas wieczerzy cały czas słyhać było bębnienie deszczu o dach. Robotnicy jedli w ciszy, zmęczeni całym dniem pracy, po czym jeden za drugim poukładali się w swoich legowiskach. Dwóch czy trzech dotrzymało towarzystwa Hansowi, który sięgnął po piwo z beczki.

Katarzyna siedząc ze spuszczoną głową pomyślała, że niebiosy sprzysięgły się przeciw Walterowi, nie oszczędzając mu niczego, łącznie z deszczem. Wreszcie wszyscy robotnicy usnęli, a stara Urraca też gdzieś zniknęła. Powoli w zadymionej kuchni zapadł mrok, a dom nappełnił się chrapaniem. Tylko Katarzyna nie spała; siedząc z otwartymi oczami na ławie wsłuchiwała się w szaleńcze bicie swego serca. Kiedy z ciemności wyłonili się Hans i Josse, zerwała się gotowa do drogi.

– Chodźmy! – rzucił kamieniarz. – Teraz albo nigdy!

Po chwili wszyscy troje byli już przy studni na podwórzu. Niestety, deszcz prawie przestał padać, lecz noc była czarna choć oko wykol.

– Poczekajcie! Musimy zabrać ze sobą kilka rzeczy – powiedział Hans, po czym wręczył Katarzynie zawiniątko z szorstkiego materiału, a Jossemu ciężki worek, sam też zarzucił sobie na plecy ciężki wór.

– Co jest w tych workach? – spytała Katarzyna.

– Zobaczysz na wieży! A teraz w drogę!

W całkowitych ciemnościach przebyli drogę znaną z poprzedniej nocy. Katarzyna szła trzymając Hansa za pas, żeby nie upaść. Bez kłopotów dotarli do bramy i weszli do katedry. Podobnie jak wczoraj, zastali w środku dwóch mnichów pogrążonych w modlitwie, tym razem przy grobowcu Cyda. Katarzyna zaciskała dłoń na rękojęści sztyletu, gotowa zadać cios pierwszemu, który ośmieliłby się zawrócić ją z drogi.

Katarzyna pochyliła się, zmuszona do tego przez hulający na szczycie

wieży wiatr, lecz jej oczy szybciej niż poprzedniej nocy przyzwyczyły się do mroku.

Hans szybko przystąpił do działania. Podwinawszy rękawy, popluł w dłonie i chwycił wielkie koło wciągnika, na które Katarzyna spojrzała z obawą, że jednemu człowiekowi nigdy nie uda się go wprawić w ruch.

– Pomogę ci, panie! – zaproponowała.

– Nie. Nie trzeba. Lepiej zrobisz, jeżeli pomożesz Jossemu wciągnąć klatkę za balustradę, kiedy już znajdzie się na górze. Nie będzie to wcale łatwe. A z wciągnikiem poradzę sobie sam!

Nie zwlekając zaczerpnął głęboko powietrza i naparł na potężną korbę wciągnika. Klatka drgnęła, po czym bardzo powoli zaczęła unosić się w górę. Wszystko odbywało się bezszelestnie. Człowiek w klatce nie poruszał się, można było co najwyżej odgadnąć jego obecność.

– Żeby tylko nie był martwy! – szepnęła Katarzyna, którą przerażał nieruchomy zarys sylwetki Waltera.

– Żeby tylko Hansowi się udało! – odpowiedział Josse. – Podnieść samemu taki ciężar to zadanie dla Herkulesa!

Tymczasem oddech Hansa stał się krótki i napięty. Walka człowieka z potwornym ciężarem stawała się coraz bardziej dramatyczna. Klatka podnosiła się coraz oporniej.

– Mój Boże... Nie da rady... – jęknęła Katarzyna.

W tej chwili jęk uwiązł jej w gardle na widok wyłaniającego się ze schodów cienia. Nie zdążyła jednak nawet krzyknąć, kiedy nieznamoma postać dopadła do wciągnika, by połączyć swe wysiłki z Hansem.

– Kim jest ten człowiek? – spytała zaskoczona.

– Nie bój się, to mój pomocnik, Hatto. Domyślił się, co chcemy zrobić, i przyszedł nam z pomocą.

– Dlaczego?

– Mężczyzna, któremu don Martin kazał odciąć dłoń, to jego brat, Gottlieb. Możemy mu zaufać.

Dzięki nieoczekiwanej pomocy, klatka zaczęła szybciej unosić się do góry i wkrótce jej czubek wyłonił się nad balustradą. Josse za pomocą haka błyskawicznie przyciągnął ją do siebie.

– Ostrożnie! – szepnął Hans. – Ostrożnie... Trzeba ją postawić na posadzce nie czyniąc hałasu.

Zadanie było niezwykle trudne. Katarzyna powstrzymywała oddech i pomimo nocnego chłodu cała była spocona. Chwyciwszy chropowaty, drewniany pręt klatki doznała uczucia zwycięstwa. Jeszcze przez chwilę okropna klatka kręciła się nad posadzką, żeby wreszcie powoli na niej osiąść. Dwaj mężczyźni przy kołowrotku odetchnęli z ulgą i rękawami otarli pot z czoła. Tymczasem Josse rzucił się do otwierania klatki. Prosty, żelazny zamek nie sprawił mu większego kłopotu i kiedy tylko popuścił, Katarzyna natychmiast znalazła się w środku, dotykając niecierpliwymi rękami bezwładnego i przemokniętego przyjaciela.

– Nie porusza się... – szepnęła zaniepokojona.

– Zostaw go nam i wyjdź z klatki, pani – rozkazał Josse.

– Szybciej! – rozzłościł się Hans. – Popatrzcie na niebo! W istocie, zza

zasłony chmur pokazało się nikłe światło.

– Wystarczy, aby ktokolwiek zauważył, że klatka zniknęła, i będzie po nas! Całe miasto spadnie nam na głowę, a wtedy... niech Bóg ma nas w swej opiece!

– We wszystkich krajach na świecie kościół jest miejscem azylu – rzuciła gniewnie Katarzyna.

– We wszystkich być może... lecz tutaj nie byłbym tego taki pewny. Trzej mężczyźni z wielkim trudem wyciągnęli więźnia z klatki. Był zupełnie bezwładny, nie dawał żadnego znaku życia. Katarzyna położyła mu rękę na piersi i odetchnęła z ulgą.

– Żyje! – westchnęła. – Tylko jak długo?

– Prędeż! – rozkazał Hans. – Rozbierzcie go!

– Ale dlaczego?

– Zobaczycie! Pośpieszcie się wreszcie! Zaraz wszędzie księżyc! Jakby na potwierdzenie jego słów na dole jeden ze strażników zakaszłał, a potem doszedł ich uszu brzęk lancy. Czterej spiskowcy zamarli, czekając z obawą na alarm... Nadal jednak trwała cisza, więc z westchnieniem ulgi Josse, Katarzyna i Hatto zabrali się do rozbierania Waltera, a Hans sięgnął do ciężkiego wora i wyciągnął zeń kawał drewna, któremu pośpiesznie nadano kształt skulonej, ludzkiej postaci.

– Klatka musi nadal tak wyglądać, jakby ktoś w niej był – powiedział Hans – bo inaczej ludzie od świtu zaczną przeczesywać miasto i nie będziemy mogli przeprowadzić tego człowieka. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy zamiany przez kilka dni.

Katarzyna już wcześniej domyśliła się fortelu dzielnego Niemca. Strzępy ubrania dały się łatwo zdjąć z ciała Waltera i zostały zastąpione płaszczem, który przyniosła Katarzyna. Tymczasem Hans owinał swój kawał drewna zdjętymi z jeńca szmatami i umieścił go w klatce.

– Z dołu nikt nie zauważy różnicy, lecz gdyby ktoś spojrział z wieży... Najwięcej trudności sprawiły łańcuchy krępujące więźnia, najmniejszy krzyk bólu mógłby ściągnąć uwagę strażników. Kiedy Hans zaczął piłować łańcuchy przy kostkach, Katarzyna wstrzymała oddech. Kamieniarz był jednak naprawdę bardzo zręczny. Operacja zakończyła się sukcesem, a skazaniec nawet nie pisnął.

Łańcuchy szybko rozlokowano na kukle i zamknięto klatkę. Następnie Hans z pomocą Hatto zabrali się do spuszczenia klatki, a Katarzyna z Jossem uważali, żeby wszystko odbyło się bezszelestnie. Kilka minut później potworne narzędzie tortur zajęło swoje poprzednie miejsce. Był najwyższy ku temu czas!

W tej chwili bowiem księżyc, jakby tylko na to czekał, wyszedł zza chmur, roztaczając nad całą okolicą swoje zimne światło. Równocześnie na dole dały się słyszeć odgłosy rozmowy żołnierzy. Hans pokazał białe zęby w szerokim uśmiechu.

– Niebo nam sprzyja! – szepnął. – A teraz musimy znieść naszego pacjenta, a biorąc pod uwagę jego posturę, nie będzie to łatwe. Schody w wieży są strome i całe szczęście, że Hatto przyszedł nam z pomocą. Ruszajmy! Pani, Katarzyno, będzie szła przodem, oświetlając nam drogę łuczywem.

Po czym trzej mężczyźni chwycili Waltera, jeden za nogi, dwaj za

ramiona i pochód ruszył powoli. Walter, pomimo że wychudzony, ważył niemało, był wysoki, a schody wąskie. Krok po kroku, wstrzymując oddechy, grupa spiskowców zbliżała się do bramy, gdy w najmniej spodziewanej chwili Walter cicho jęknął. Jęk ten w panującej w katedrze ciszy, przerywanej jedynie monotonnymi głosami mnichów, zabrzmiał jak trąby Apokalipsy. Trzej mężczyźni mieli zaledwie czas, by schować się w cieniu filara przy zamkniętej kracie kaplicy. Katarzyna przytknęła dłoń do ust skazańca.

Ogarnął ich okropny strach. Katarzyna słyszała, jak wali jej serce. Hans oddychał z trudnością. Mnisi na chórze przerwali swe modły i zgodnym ruchem odwrócili głowy w kierunku, skąd dobiegł ich hałas. Katarzyna dostrzegła profil jednego z nich odcinający się w świetle świecy. Drugi z nich dał znak, żeby wstać, lecz jego towarzysz powstrzymał go.

– Es un gato* [*Es un gato, *hiszp.* – kot.] – powiedział.

I nie zwracając sobie więcej głowy, z powrotem zagłębili się w modłach.

Sytuacja spiskowców stawała się jednak coraz bardziej dramatyczna. Katarzyna czuła, jak pod jej dłonią ożywiają się usta Waltera. Więzień jęknął znowu. Uciekinierom śmierć po raz drugi zajrzała w oczy. Tym razem mnisi przyjdą sprawdzić, czy to rzeczywiście kot...

– Jeśli trzeba go będzie ogłuszyć, to ogłuszmy go! – oświadczył niewzruszenie Josse. – Musimy jednak za wszelką cenę stąd wyjść!

Nagle w czeluściach katedry zabrzmiał odgłos dzwonu, a po chwili rozległ się posepny chór złożony co najmniej z pięćdziesiątki męskich głosów.

– To odpowiedni moment! – powiedział Hans z radością. Uciekinierzy pochwycili bezwładne ciało na nowo i jakby nie czując jego ciężaru ruszyli prawie pędem wzdłuż bocznej nawy. Był już najwyższy czas, gdyż Walter nie przestawał jęczeć. Na szczęście, głosy mnichów wznosiły się aż pod samo sklepienie kościoła, zagłuszając jęki rannego. Wreszcie dotarli do bramy, którą przebiegli prawie jak huragan. Należało zdążyć przed procesją nadchodzącą z klasztoru. Pod murami było wystarczająco ciemno, by przemknąć bezpiecznie.

Kilka minut później za spiskowcami zamknęły się cicho niskie drzwi chaty kamieniarza Hansa. Wyczerpana, lecz szczęśliwa Katarzyna osunęła się na brzeg studni i rozplakała rzewnymi łzami, dając upust tłumionemu przez tak długi czas napięciu.

Rozdział szósty

KONIEC GRZESZNIKA

Hans, Josse i Hatto pozwolili Katarzynie wypłakać się do woli, sami zaś zanieśli Waltera pod wiatę, gdzie kamieniarz trzymał skalne bloki i ułożywszy go na słomie, przyglądali mu się uważnie. Katarzyna przestała płakać, wytarła zaczerwienione oczy i dołączyła do swoich towarzyszy. Łzy przyniosły jej ulgę i odprężenie. Nie czuła już nawet zmęczenia. Co za radość, że udało się jej wyrwać Waltera ze szponów don Martina! Nawet jeśli była to tylko połowa zadania, nawet jeśli Walter był umierający...

Radość zwycięstwa wkrótce jednak zamieniła się w przerażenie na widok bezwładnego ciała rozciągniętego na słomie. Nieszczęśnik był przeraźliwie chudy i brudny. Od czasu do czasu otwierał oczy, lecz jego spojrzenie błędziło w pustkę i kiedy nawet padło na młodą kobietę, zdawało się jej nie rozpoznawać. Katarzyna na próżno pochylała się nad nim, wymawiając jego imię. Normandczyk patrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

– Czyżby postradał zmysły? – spytała z niepokojem. – Zdaje się, że niczego nie pamięta. Musi być bardzo chory! Należało go raczej zanieść do kuchni!

– To niemożliwe – odparł Hans. – Niebawem wstanie dzień; lepiej żeby Urraca go nie zobaczyła!

– Przecież jest głucha!

– Co z tego, że głucha. Ale nie jest ani ślepa, ani niema i z pewnością nie taka głupia, na jaką wygląda. A teraz trzeba umyć tego człowieka, ubrać go i dać mu coś na wzmocnienie. Kiedy wstanie dzień, musimy bezzwłocznie wyprowadzić go z miasta!

– Jak zabierzemy go w tym stanie?

– Mam na to sposób – przerwał niecierpliwie Hans – a gdy mój plan się powiedzie, twoim zadaniem, Katarzyno, będzie zaopiekować się nim. Co do mnie, to nie mogę ani schować go u siebie, ani iść z wami. Naraziłbym własną głowę i moich ludzi... Pomogłem wam z sympatii i nienawiści do don Martina, ale kocham życie i swoją pracę. Musicie więc wiedzieć, że po opuszczeniu miasta nie będziecie mogli więcej na mnie liczyć. Żałuję, lecz nic na to nie poradzę...

Katarzyna słuchała uważnie słów Hansa, nie dowierzając, że na tym kończy się jego pomoc, chociaż w głębi duszy przyznawała mu rację. Uśmiechnęła się więc i wyciągnęła do niego dłoń.

– I tak wiele dla mnie uczyniłeś, drogi przyjacielu, dla nieznajomej, i jestem ci za to gorąco wdzięczna! Bądź o mnie spokojny! Umiem sobie radzić, więc i z tym sobie poradzę!

– Tym bardziej, że masz, pani, mnie! – wtrącił Josse. – Ale przejdźmy do dzieła! Powiedziałaś mistrzu Hansie, że masz sposób na wyprowadzenie nieszczęśnika z miasta. Co to za sposób?

– Wózek z kamieniami. Mam za zadanie zawieźć ładunek do Hospital del Rey, położonego nie opodal klasztoru Las Huelgas, gdzie kazano mi wykonać kilka napraw. Wyruszymy zaraz po otwarciu bram. Wasz przyjaciel zostanie

ukryty wśród kamieni, gdzie nie dosięgną go lance strażników. Do wózka zaprzęgniemy wasze konie. W klasztorze załatwię wam inny wózek, a dla siebie konie. Potem się rozstaniemy...

– Jak mam ci dziękować, mistrzu Hansie?

– Dosyć gadania. Lepiej zajmijmy się chorym i przygotujmy wózek!
Zaczyna świtać!

Nie mówiąc nic więcej, czworo spiskowców zabrało się do dzieła. Zdjąwszy z Waltera jego ła chy, umyli go i ubrali w wiejski, czysty przyodziewek. Straszna rana na głowie została opatrzona baranim łojem. Obcięto mu brodę i ogolono, tak by nie można go było poznać. Walter nawet nie protestował, tylko od czasu do czasu cichutko pojękiwał. Następnie wypił chciwie miskę gorącej zupy i dzban czerwonego wina. Josse przyglądał się bacznie, jak pije, i rzekł:

– Trzeba mu dać więcej wina, żeby zasnął. Wtedy nie będzie jęczał i strażnicy nic nie usłyszą.

– To nie jest konieczne – odparł na to Hans. – Mam ziarna maku, które łagodzą ból. Wsypię mu ich trochę do wina, a będzie spał jak niemowlę!

Kiedy skończyli, zewsząd dało się słyszeć pianie kogutów. Hans rzucił niespokojne spojrzenie na pojaśniałe niebo.

– Przygotujmy wózek. Urraca za chwilę wyjdzie ze swojej nory! Szybko wlał w Waltera wino zaprawione makiem, owinął go derką i zaniósł do prostego wózka, który stał w szopie nie opodal chaty. Następnie, przy pomocy Jossego i Hatto, poukładał na nim bloki skalne w taki sposób, by nie zrobić mu krzywdy, a wszystkie dziury poutykał słomą. Skończyli w samą porę, gdyż z chaty zaczęły dobiegać głosy rozbudzonych robotników. Stara Urraca wyszła na podwórze po wodę do studni i po drewno do paleniska. Wkrótce w kociołku zabulgotała woda, a starucha postawiła na stole grube pajdy czarnego chleba i cebule, które wisały u powały. Jeden za drugim powstawali robotnicy, którzy przeciągając się i ziewając po kolei przemywali ciała w wiadrze zimnej wody, po czym zabierali swoją porcję jedzenia. Katarzyna ziewając usiadła przy palenisku, gdyż poranek był zimny. Josse udawał, że dopiero co się obudził, i wyszedł na podwórze, chcąc sprawdzić, jak wygląda zawartość wózka w świetle dziennym. Hans obserwował go z niepokojem i uspokoił się dopiero wtedy, kiedy Josse mrugnął do niego porozumiewawczo. Odwrócił się do swoich robotników i powiedział coś do nich w ich ojczystym języku. Katarzyna usłyszawszy słowa „Las Huelgas”, domyśliła się, że mistrz mówi im o swoim wyjeździe na cały dzień do słynnego klasztoru. Wreszcie, kiedy robotnicy poszli na budowę, Hans uśmiechnął się do Katarzyny i rzekł:

– Zjedz coś, pani, i ruszajmy. Zaraz otworzą bramy.

W istocie, sły chać już było skrzywienie wielkiej kraty znajdującej się nie opodal bramy Santa Maria, a krzyki i nawoływania powoli zapełniły plac.

– Gdzie podział się Josse? – spytał Hans. – Czy jest na placu?

– Chyba tak...

– Pójdę po niego.

Katarzyna, pogryzając chleb z cebulą, ruszyła za mistrzem. Znaleźli Jossego niedaleko chaty; oparty o mur przyglądał się widowisku, które wkrótce zainteresowało także Hansa i Katarzynę. Otóż na plac wjeżdżała z impetem

kawalkada jeźdźców, którym przewodził na swym andaluzyjskim koniu don Martin Gomez Calvo z czarnymi piórami przy kapeluszu. Równocześnie nadbiegło kilku robotników niosąc belki, deski, drabiny i młotki. Dyrygował nimi olbrzymi mężczyzna w ciemnopurpurowym stroju.

– To kat! – rzucił Hans. – Donnerwetter*! [*Donnerwetter!, niem. – do pioruna!] Czy to ma znaczyć, że... Nie dokończył, gdyż to, co się działo na placu, było aż nadto jasne.

Z niezwykłą zręcznością robotnicy sklecili niskie rusztowanie, poganiani energicznymi gestami kata i trzaskaniem biczów trzech nadzorców.

– To są mauretańscy niewolnicy! – rzucił Hans. – Musimy natychmiast uciekać! Popatrz, co robi don Martin!

Katarzyna popatrzyła na zbrodniczego alkada, który uniósłszy się w strzemionach, rozkazał kościstym palcem, żeby spuszczo klatkę na ziemię.

W tej chwili Josse ruszył pędem w stronę chaty. Był błydy aż po czubek głowy.

– Gwałtu, rety! Don Martin obawiając się, że zła pogoda za bardzo osłabi skazańca, kazał przyśpieszyć egzekucję!

Istotnie, w tej chwili nadciągnęła następna grupa mauretańskich niewolników w żółtych turbanach, dźwigając polana i wiązki chrustu przeznaczone na stos, na którym miano spalić ciało skazańca po obdarciu go ze skóry.

Cała trójka rzuciła się do wózka, do którego Hatto zaprzągnął konie. Katarzyna usiadła obok Hansa, który, nie zwlekając, chwycił za lejce, a Josse usiadł z tyłu z dyndającymi nogami i nasunął czapkę na czoło jak zwyczajny robotnik udający się do pracy. Hans strzelił z bicza i wózek ruszył w stronę bramy Santa Maria.

Przejechać jednak nie było łatwo. Przygotowania do egzekucji przyciągnęły na plac wszystkich mieszkańców miasta; każdy chciał zająć jak najlepsze miejsce. W oknach domów pojawiała się coraz więcej głów. Zajmowano także miejsca na dachach. Mieszkańcy Burgos przygotowywali się gorączkowo do wyborczego widowiska!

Katarzyna spojrzała z przestachem na szafot, na którym kaci wznosili teraz słup w kształcie krzyża oplątany łańcuchami, na prawie skończony stos, potem na klatkę, która powoli opuszczała się wzdłuż wieży i była już prawie w połowie drogi. A tymczasem wózek z coraz większym trudem torował sobie drogę wśród gęstniejącego tłumu.

– Paso! Paso! – wykrzykiwał Hans strzelając z bicza. – Paso* [*Paso! paso!, hiszp. – z drogi!]. Jednak tłum, zbyt zaabsorbowany podniecającymi przygotowaniem, nie zwracał uwagi na jego okrzyki. Co najwyżej, jeden z drugim rzucił Hansowi pogardliwe spojrzenie, nie zamierzając jednak ustąpić ani na krok, nawet gdyby miały ich stratować konie. Niemiec zawrzał z gniewu.

– Cuidado*! [*Cuidado!, hiszp. – uwaga!] – wrzasnął smagając biczem na lewo i prawo. Jednocześnie pociągnął z całej siły za lejce, aż konie stanęły dęba, uderzając kopytami po głowach gawiedzi. Tyra razem tłum rozstał się z okrzykiem grozy i Hans pognął konie w kierunku bramy. Niestety, w tej samej chwili klatka dotknęła ziemi, a don Martin natychmiast się zorientował, że więzień mu umknął. Pozieleniawszy ze złości, zeskoczył z konia i począł

wydawać rozkazy, wściekając się przy tym jak morze podczas sztormu.

Gdy wózek podjechał pod bramę, przed pędzącymi końmi spuszczone kratę. Otóż Don Martin wydał rozkaz zamknięcia bram i przeszukania całego miasta!

Katarzyna osunęła się na swym siedzeniu. Usłyszała jak przez sen cichy głos Hansa:

– Odwagi, na Boga! To nie chwila na omdlenia! Musimy stawić im czoło. To nasza jedyna szansa!

I począł łajać strażników po kastylijsku za to, że przeszkadzają mu udać się do pracy i że te wszystkie historie nic a nic go nie obchodzą! Za pomocą sugestywnych gestów, których nie powstydziłby się sam don Martin, starał się przekonać strażników, że powinni go przepuścić. Lecz oni, oparci niedbale na pikach, nawet nie chcieli o niczym słyszeć. Hans z rezygnacją opadł na ławkę.

– I co teraz zrobimy? – spytała Katarzyna, czując, że zbiera się jej na płacz.

– A cóż nam pozostało? Musimy tutaj zaczekać, a nie wiadomo, jak to się wszystko skończy...

Przybita Katarzyna spuściła głowę, złączyła dłonie i zaczęła się modlić, nie zważając, co się wokół dzieje. Tymczasem na placu wrzało. Ludzie kwiczelili jak zarzynane świnie, rozpychani przez strażników, którzy waląc lancami na oślep torowali sobie drogę w stronę domów. Wybuchwały kłótnie i bijatyki. Wkrótce ludzie don Martina wpadli do pierwszej oberży, wypytujac oberżystę i podróżnych. Każda nieznajoma twarz wydawała się podejrzana; każdy nieznajomy mógł być jednym z tych strasznych bandytów z gór Oca, którzy mieli zamiar odbić więźnia. Narastał ogólny strach.

Nagle od strony zamkniętej bramy dał się słyszeć śpiew religijny, tak znajomy, że Katarzyna uniosła głowę.

E ul treia!

E sus eia!

Deus aia nos!

Była to stara, odwieczna pieśń pielgrzymów z Composteli. Pieśń intonowana przez wędrowców w chwilach wielkiego zmęczenia, pieśń, którą ona sama śpiewała jeszcze tak niedawno, zaledwie kilka tygodni temu, kiedy wraz z innymi opuszczała Le Puy i na bezludnych ścieżkach Aubrac. Nagle w jej duszy pojawiła się iskierka nadziei. Wydało się jej, że ta stara kantylena* [*Kantylena, *lit.* – dawna epicka pieśń francuska, wykonywana zwykle z towarzyszeniem muzyki.] jest odpowiedzią Pana Boga na jej żarliwą modlitwę. Zeskoczywszy z wózka, podbiegła do kraty, uczepiła się jej obydwoma rękami i wcisnęła twarz pomiędzy pręty.

Mostem sunęła grupa obszarpanych i zakurzonych pielgrzymów, z trudem prostujących zmęczone plecy i obolałe ramiona. Na przedzie gromady, z oczami wzniesionymi do nieba, kroczył Gerbert Bohat, wymachując kosturem dla nadania pieśni rytmu. Stanąwszy przed spuszczonej kratą, rzucił spojrzenie na strażników stojących na murach i nie zauważywszy starych towarzyszy wędrowki, rzucił gromkim głosem:

– Dlaczego brama jest zamknięta? Otwierajcie przed wędrowcami Pana Boga!

Następnie powtórzył to samo po hiszpańsku, lecz jeden ze strażników odpowiedział coś, co musiało oznaczać, żeby pielgrzymi trzymali się z daleka od tego miejsca, gdyż Klermontczyk rozgniewał się i odrzekł coś podniesionym tonem.

– Co mówi? – spytała Katarzyna.

– Że do tej pory żadne chrześcijańskie miasto nie ośmieliło się nigdy zamknąć swych podwoi przed pielgrzymami z Composteli, że jego ludzie są wyczerpani, niektórzy nawet chorzy i ranni, że pilno im dotrzeć do schroniska, gdyż po drodze zostali napadnięci przez rozbójników, i że stanowczo domaga się otwarcia bramy!

– I co mu odpowiedziano?

– Że don Martin nie pozwolił!

Wymiana zdań była coraz bardziej gwałtowna i trwała jeszcze jakiś czas. Wreszcie Gerbert Bohat wbił w ziemię kostur i powiedział, że nie ruszy się z miejsca, dopóki nie zobaczy się z don Martinem.

Wkrótce przy bramie pojawiła się czarna postać zbrodniczego alkada, który po kamiennych schodach wspiał się na mury.

– Chyba jest jakaś szansa... – szepnął Hans. – Don Martin powiedział, że rozbójnicy, którzy zaatakowali pielgrzymów, mogli być bandytami z Oca, należy więc przepytać pielgrzymów na tę okoliczność.

W istocie, po chwili nastąpiła wymiana zdań pomiędzy don Martinem a Gerbertem Bohatem. Głos alkada dziwnie złagodniał, aż wreszcie przysłuchujący się uważnie jego słowom Hans wyszeptał:

– Oznajmił, że każe otworzyć bramę przed świątobliwymi pielgrzymami, lecz... nie podoba mi się taka nagła zmiana... Don Martin nie przebiera w środkach, by wyciągnąć z ludzi zeznania... Wszystko jedno, gdy tylko podniosą kratę, musimy to wykorzystać! Jeśli zaś odkryją, co znajduje się w naszym wózku, wszyscy podzielimy los Waltera! Trudno, kto nawarzył sobie piwa... Ale, ale... czy słyszycie tę wrzawę za nami? Przeszukują domy! Wszystko mi jedno! Wolę strzałę w plecy niż śmierć na stosie!

W tej chwili pod sklepieniem ukazał się don Martin z zastępem żołnierzy. Na widok wózka alkad stanął w strzemiączkach i skierował konia prosto na niego. Widząc, jak zbliża się nieodwołalnie z twarzą poszarzałą z wściekłości, Katarzyna poczuła, że za chwilę wyzionie ducha. Przez jej głowę przebiegła myśl, że teraz już nic nie uratuje ani jej, ani przyjaciół od tego strasznego stosu, który czekał nie opodal na swą ofiarę.

Nie doceniała jednak mistrza kamieniarskiego! Otóż Hans na złość alkada odpowiedział ze stoickim spokojem, że bezwzględnie musi zawieźć kamienie do Las Huelgas, gdzie ma do wykonania pracę, którą zlecił mu sam konetabl Alvaro de Luna. Nazwisko władcy Kastylii wywarło na alkadzie zamierzony skutek. Jego złość nieco opadła. Jeszcze tylko zmierzył po kolei każdego z siedzących na wózku swoim przenikliwym i nieufnym spojrzeniem. Nastąpiła chwila nieznośnej, pełnej napięcia ciszy, po czym don Martin rozwarł swe wąskie wargi i rzucił kilka ostrych słów. Katarzyna poczuła, że siedzący za nią Josse zdrzął. Hans zaś ani drgnął, lecz widząc, jak mocniej ścisną lejce, młoda

kobieta domyśliła się, że zaraz pojedą.

W rzeczy samej, krata wreszcie drgnęła i powoli zaczęła unosić się do góry. Don Martin wjechał na most i dał znak pielgrzymom, by się zbliżyli.

– Ruszajmy! – rzucił Hans. – Zaczekamy na moście, aż przejdą pielgrzymi.

Wózek ruszył powoli i na moście Hans ustawił go z boku, zostawiając przejście pielgrzymom. Pokutnicy szli z trudem, ciężko powłócząc nogami, wyczerpani przejściem przez góry. Katarzyna i Josse rozpoznali kilka osób, lecz znaczna większość była zmieniona nie do poznania przez trudy wędrówki. Ich ciała, odziane w strzępy sukien, pokrywały rany i skaleczenia. Rozbójnicy musieli krwawo się z nimi rozprawić! Żadne z nich nie miało już siły śpiewać.

– Biedni ludzie... – wyszeptła przejęta do żywego Katarzyna. – Nasze miejsce jest wśród nich... Powinniśmy wyglądać tak jak oni...

– Ale na szczęście nie wyglądamy! – burknął Josse z wyraźnym zadowoleniem, które jednak nie trwało zbyt długo.

Oto bowiem w momencie gdy pielgrzymi dotarli do bramy Santa Maria, otoczyły ich zastępy żołnierzy krwawego don Martina.

– Na rany Chrystusa! – krzyknął Josse. – Aresztują ich!

– Don Martin chce postawić im kilka pytań – wyjaśnił ponurym głosem Hans. – Wolał mieć pewność co do nich... przynajmniej na jakiś czas...

– To niegodne! – oburzyła się Katarzyna. – Czego chce się dowiedzieć od tych biednych ludzi? Oni potrzebują medyka, a nie policji!

– Będą ich wypytywać, czy bandyci z Oca odbili swego kompana i gdzie znajduje się ich kryjówka. Nie wiadomo, kogo ci nieszczęśnicy powinni bać się bardziej: zemsty rozbójników z Oca czy nienawiści don Martina!

Katarzyna nie odpowiadała, lecz z niepokojem przyglądała się, jak żołnierze popychali pielgrzymów do przodu. Niektórzy z nich stawiali opór, oczywiście na czele z Gerbertem Bohatem, który wykrzykiwał bez opamiętania:

– Zdrada! Zdrada! Brońmy się, bracia!!!

Sam pierwszy rzucił się do boju, wymachując groźnie kosturem przed nosami uzbrojonych w lance i szpady żołnierzy. Na moście lała się krew, a don Martin przyglądał się temu oblizując wargi.

Ta nierówna walka nie mogła trwać długo i pielgrzymi musieli się poddać, a Katarzyna ku swemu przerażeniu usłyszała śmiertelny krzyk Gerberta ugodzonego lancą w pierś. Na rozkaz don Martina żołnierze wrzucili ciało Klermontczyka do rzeki, której żółte wody pochłonęły go na zawsze.

Pozostałych pielgrzymów pognano do miasta, a potężna krata opadła z powrotem. Katarzyna potrząsnęła ramieniem Hansa, który wyglądał jak sparaliżowany.

– Ruszajmy szybciej! Może uda się nam go wyłowić.

– Kogo? – spytał przybitym głosem.

– Ależ Gerberta, którego ci nędznicy wrzucili do wody! Może jeszcze żyje!

Hans posłusznie zaciął konie i wózek zaturkotał po bruku. Na szczęście droga do Las Huelgas wiła się wzdłuż rzeki Arlanzon. Josse opuścił swoje miejsce na tyle i przesiadł się do przodu. Paryski rzezimieszek także był przejęty wypadkami przy moście, miał ściągnięte rysy i błędny wzrok.

– Tak potraktować pielgrzymów... bożych wędrowców proszących jedynie o schronienie, jakie im się należy! – wymamrotał.

– Mówiłem wam przecież, że tutejsza ludność to dzikie bestie! – rzucił z nagłą gwałtownością Hans. – A don Martin jest najgorszy ze wszystkich. Obym jak najszybciej skończył tu pracę! Chciałbym już wrócić do mego kraju, nad brzeg Renu... To wielka, prawdziwa rzeka! Majestatyczna i wspaniała! Nie ma porównania z tą małą i brudną...

Katarzyna nie odzywała się, pozwalając Hansowi wyładować złość, gdyż czuła, że bardzo tego potrzebuje. Sama nie spuszczała oczu z rzeki, wypatrując ciała Gerberta. Nagle dostrzegła długi, czarny kształt dryfujący na błotnistej wodzie. Wstała i wskazała ręką w tamtą stronę.

– Patrzcie! Jest tam! Zatrzymajcie wózek!

– Przecież on nie żyje! – odrzekł Hans. – Nie ma po co się zatrzymywać.

– A może jeszcze nie jest martwy? Nawet gdyby był, ma prawo do chrześcijańskiego pochówku!

Hans wzruszył ramionami.

– Brudna woda warta jest tyle samo co ziemia w tym zgniłym kraju! – odparł. – Skoro jednak tak ci na tym zależy, pani, możemy się zatrzymać.

Hans zatrzymał wózek na skraju drogi. Katarzyna zeskoczyła zwinnie na ziemię i pobiegła w stronę zakola rzeki, do którego zmierzał nurt niosący ciało. Josse, który ruszył w jej ślady, bez wahania wlaźł do wody, chwycił Gerberta i wyciągnął go na brzeg. Z pomocą Katarzyny ułożył ciało na przybrzeżnych kamieniach. Klermontczyk miał zamknięte oczy, nozdrza i pobielale usta zaciśnięte, a jednak czuło się, że jeszcze oddycha. Na jego piersi widać było głęboką, lecz nie krwawiącą już ranę. Josse pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Nie pożyje już długo, pani Katarzyno... Stracił zbyt dużo krwi. Katarzyna nic nie mówiąc usiadła na kamieniach i delikatnie położyła sobie głowę Gerberta na kolanach. Hans podszedł do niej i bez słowa podał jej manierkę z koziej skóry, w której było wino. Katarzyna zwilżyła nim bezbarwne wargi pielgrzyma. Gerbert wzdrygnął się, otworzył oczy i ze zdziwieniem spojrzął na młodą kobietę.

– Katarzyno! – wybełkotał. – Czy ja śnię... czy ty też nie żyjesz?... Dużo myślałem o tobie...

– Nic nie mów, Gerbercie! Ja żyję i ty także!

– Muszę mówić! I masz rację, żyję jeszcze... bo cierpię, ale już niedługo... Chciałbym... księdza... żeby nie odejść z moim grzechem!

Z największym wysiłkiem próbował wstać, czepiając się ramienia Katarzyny. Josse klęknął za nim i podniósł go ostrożnie. Gerbert potoczył mętym wzrokiem po nachylonych nad nim twarzach i westchnął:

– Nikt z was nie jest księdzem, prawda?

Katarzyna zaprzeczyła, z trudem powstrzymując łzy. Gerbert próbował się uśmiechnąć.

– W takim razie ty mnie wysłuchasz, Katarzyno, wszyscy troje mnie wysłuchacie! Przegnałem cię wtedy, pani, skazałem na samotną wędrowkę... gdyż myślałem, że cię nienawidzę... tak jak nienawidziłem wszystkich kobiet... Potem jednak zrozumiałem, jak bardzo się mylę! Nie mogłem przestać myśleć o tobie, Katarzyno... i dalsza wędrowka stała się dla mnie istnym piekłem!... Pić!

Dajcie mi jeszcze wina! Przywraca mi siły!

Katarzyna ostrożnie dała mu się napić. Gerbert z powrotem przyszedł do siebie i otworzył oczy.

– Wkrótce umrę... i tak będzie najlepiej... Nie byłem godzien przystąpić do grobowca Apostoła, ponieważ... ja... zabiłem swoją żonę! Zabiłem ją z zazdrości! Zabiłem... bo kochała innego! Byłbym zabił każdą kobietę!

Zamilkł, opadając ciężko do tyłu i Katarzyna pomyślała, że już po nim, lecz po chwili uniósł znowu powieki, ciężkie od powiewu śmierci. Głos nieszczęśnika osłabł, słowa płątały się bez składu, usta gorączkowo chwyciły powietrze.

– Przebaczcie... Trzeba przebaczyć... Cierpiałem... Och! Jak ja cierpiałem... Alysia! Kochałem ją! Wtedy potrafiłem jeszcze kochać...

Ostatnie słowa były niezrozumiałe. Słaba iskierka życia, wlana w bezkrwiste ciało wraz z winem, szybko zgasła. Gerbert pobielał jak papier, jego sine wargi poruszały się już bez słów. Katarzyna poczuła, że ciało Gerberta sztywnieje w skurczu agonii. Z ust nieszczęśnika dobyło się jeszcze jedno słowo:

– Boże...

Było to ostatnie westchnienie Gerberta i po chwili jego oczy zamknęły się na wieki. Katarzyna ostrożnie położyła jego głowę na kamieniach i ocierając wilgotne oczy, spojrzała na Hansa, który stał obok jak skamieniały.

– Gdzie możemy go pogrzebać?

– Mnisi z Hospital del Rey powinni się tym zająć. Ułóżmy go na wózku. Hans i Josse zawinęli ciało pielgrzyma w jego podarty płaszcz i położyli na stercie kamieni, pod którymi ukryty był Walter. Ten tymczasem nie ruszał się, powalony solidną dawką wina z makiem, które wlał w niego Hans. Strzelił bicz i wózek potoczył się drogą, która wedle zapewnień Hansa nie była już długa.

W istocie, po kilku chwilach ukazały się białe mury i kwadratowa wieża potężnego klasztoru cystersów, otoczonego solidnym murem, w którym widoczne były tylko dwie bramy.

– Las Huelgas! – wyjaśnił Hans. – Najsłynniejszy klasztor w Hiszpanii. Założony przez króla Alfonsa VIII i królową Anglii, Alienor, dla szlacheckich panien i jako miejsce wiecznego spoczynku dla ludzi ich pokroju. Ale jak wieść niesie, klasztor podupadł w ostatnich czasach.

Jakby na potwierdzenie tych słów z romańskich okien klasztoru doszły ich dźwięki muzyki, nie mające w sobie nic religijnego. Dające się rozróżnić wiole, lutnie i harfy towarzyszyły młodemu kobiecemu głosowi śpiewającemu pieśń miłości wśród wesołych śmiechów. Błękitne niebo i blask słońca przydawały temu niezwykłemu klasztorowi nastroju wesołości.

– Co to wszystko znaczy? – spytała ze zdumieniem Katarzyna.

– A to, że zakonnice z Las Huelgas wybierane są teraz nie pod względem cnót czy pobożności, lecz pod względem urody i zręczności w sztuce kochania – odparł zgryźliwie Hans. – Król Jan, miłujący sztuki piękne, a w szczególności muzykę, oraz konetabl, miłośnik pięknych dam... często tu zajeżdżają, spędzając wiele miłych chwil. Dlatego nie tutaj zostawimy naszego zmarłego, lecz udamy się do starych mnichów w Hospital del Rey, którzy zresztą nie znoszą tego perfumowanego sąsiedztwa.

Stary przytułek znajdował się nie opodal i sprawiał o wiele skromniejsze wrażenie, a reperacje, których miał w nim dokonać Hans, były mu bardzo potrzebne. Pielgrzymi z Composteli już dawno przestali się tutaj zatrzymywać, wybierając schronisko Santo Lesmes w centrum Burgos. Hospital del Rey popadł w niepamięć.

Kiedy wózek przejechał przez bramę znajdującą się w wieży i znalazł się na wewnętrznym podwórzu, na spotkanie przybyszów wyszedł stary furtian o twarzy poranej zmarszczkami jak stary pergamin.

– Mistrzu Hansie! – ucieszył się staruszek na widok kamieniarza. – Niebo cię nam zsyła! Przybywasz w samą porę, gdyż dzwonnica w naszej kaplicy lada chwila może się nam zwalić na głowy. Zawiadomię wielebnego przeora!

Podczas gdy mnich podreptał przez porośnięte chwastami podwórze, Katarzyna ześlizgnęła się powoli z wozu.

Kiedy godzinę później Katarzyna i Josse opuszczali Hospital del Rey, ich samopoczucie, pomimo udanej ucieczki, nie było najlepsze. Śmierć Gerberta mocno dotknęła serce młodej kobiety. Wyrzucała sobie, że pozwoliła mu umrzeć, tak jakby to była jej wina. W dodatku stan Waltera bardzo ją niepokoił.

Kiedy przed chwilą, po krótkiej naradzie z przeorem, Hans zdjął ciało Gerberta z wozu, stała się rzecz dziwna i straszna: Walter, którego położono na ławie, ocknął się z otępienia spowodowanego oparami wina, lecz natychmiast popadł w jakiś dziwny stan. Przewrócił oczami, zeszywniał i tak zacisnął szczęki, że aż zazgrzytał zębami. Następnie stoczył się z ławy na podłogę skracając się i waląc o nią głową, wijąc się przy tym w konwulsjach. Po chwili zaś zapadł w głęboki letarg, a na jego usta wystąpiła piana. Przerazona Katarzyna cofnęła się aż pod mur i przycisnęła się do niego, jakby chciała się z nim stopić. Hans i Josse nie ruszyli się z miejsca. Przeor przeżegnał się pośpiesznie kilka razy i wybiegł z sali, lecz nie na długo. Po chwili wrócił uzbrojony w wiadro święconej wody, którą chlusnął na chorego. Wraz z nim przybył młody mnich z wielkim kadzidłem, z którego dobywał się gęsty, duszący dym.

Hans nawet nie miał czasu, by nie dopuścić do oblania Waltera zimnym tuszem, lecz natychmiast przystąpił do ostudzenia gniewu przeora, który życzył sobie, by nieznajomy, opętany bez wątpienia przez demony, został natychmiast zabrany z ich świętego przybytku. Hans rzucił na Katarzynę pełne zakłopotania spojrzenie.

– Musicie zaraz wyjechać! Dostaniecie od nas mały powóz, żebyście mogli go zabrać. Przeor jest przekonany, że w ciele Waltera zaległy się demony... i nic nie mogą na to poradzić...

– Czy naprawdę... opętały go demony? – Katarzyna spytała Hansa z niedowierzaniem.

Odpowiedzi nieoczekiwanie udzielił Josse.

– Starożytni Rzymianie nazywali tę chorobę świętą chorobą. Utrzymywali, że w ciele ogarniętym konwulsjami zamieszkał sam Bóg. Ja natomiast poznałem ongiś mauretańskiego medyka, który twierdził, że jest to zwykła choroba, której siedlisko znajduje się w głowie.

– Gdzie poznałeś owego mauretańskiego medyka? – spytał z zaciekawieniem Hans.

Ogorzała twarz Jossego zaczerwieniła się.

– Och... ja wiele podróżowałem – odpowiedział niedbale.

Nie miał ochoty wyjawić prawdy i Katarzyna wiedziała dlaczego. Kiedyś, w chwili szczerości, Josse zwierzył się jej, że pech życiowy kazał mu spędzić dwa lata na barbarzyńskich galerach, stąd jego zaskakująca wiedza.

– Medyk mauretański...? – zastanawiał się Hans przystępując do ponownego zawijania Waltera, który przestał się rzucać, po czym zaniósł go do powozu przygotowanego przez mnicha. Następnie powtórzył swoim towarzyszom, co opowiadają ludzie w Burgos o dziwnym arcybiskupie Sewilli, Alonso de Fonseca. Chytry, żyjący w zbytku, wielki kolekcjoner drogich kamieni, opętany alchemią, utrzymuje w swej fortecy w Koce dziwaczny dwór, na którym więcej przebywa astrologów i alchemików niż zakonników! Ozdobą tego dworu jest, jak wieść niesie, pewien mauretański medyk znany z ogromnej wiedzy i nadludzkiej wręcz zręczności.

– Kiedy zausznicy konetabla Alvaro de Luna są daleko, ludzie w Burgos szepcą między sobą, że medyk ten czyni cuda. Może byście go odwiedzili? Jeśli udajecie się w stronę Toledo, to nie nadłóżycie wiele drogi wstępując do Koki!

– Arcybiskup nie zechce nas przyjąć – odparła powątpiewająco Katarzyna.

– Na pewno zechce. Jego gościnność jest wręcz przysłowiowa, a poza tym, czyż nie wspomniałem już, że kocha drogie kamienie!?

Katarzyna wreszcie zrozumiała. Jeśli nawet nie znajdzie się żaden sposób, by poddać Waltera leczeniu u słynnego maga z Koki, to klejnot królowej Yolandy z pewnością otworzy przed nią bramy fortecy. Dla uratowania Waltera była gotowa na większe poświęcenia, niż to niewielkie nadłożenie drogi czy utrata jakiegoś tam klejnotu, nawet tak drogiego jej sercu jak ten. Podziękowała Hansowi za jego bezinteresowną pomoc z taką żarliwością, że nieszczęsny Niemiec poczerwieniał jak burak. Odruchowo przytknęła usta do jego nieogolonego policzka.

– Może się jeszcze kiedyś spotkamy, pani Katarzyno?

– Kiedy ty skończysz tutaj swoją robotę, a ja wrócę do dóbr Montsalvych, przyjedziesz do nas wykonać wiele pięknych rzeczy!

– Przysięgam, że przyjadę!

Ostatni uścisk dłoni Jossego, ostatni gest pożegnania i powóz zaczął się toczyć drogą na południe. Z tyłu na sianie ułożono wygodnie Waltera. Josse trzymał lejce poganiając nie przyzwyczajone do jazdy w zaprzęgu konie, które wymagały bezustannej uwagi i mocnej ręki. Katarzynie nie pozostało nic innego jak oglądać pejzaże.

Pomimo jasnego słońca i błękitu nieba, wyschnięta i dzika okolica, bez jednego drzewa, sprawiała wrażenie niesłychanego smutku, który pogłębiały odgłosy dzwonów, bijące zmarłemu pielgrzymowi. Katarzyna myślała o tajemnicy Gerberta, o jego zbrodni, o tym, jak zamknął się w swojej pysze i w swoim cierpieniu niczym w jakiejś spiżowej zbroi. Wreszcie zrozumiała, że pod jego nieczułą powłoką ukryta była cierpiąca dusza, i żałowała, że nie starała się go nigdy lepiej zrozumieć. Ofiarowując mu trochę przyjaźni, może udałoby się otworzyć jego zamknięte serce... Jakiś głos podpowiadał jej jednak, że przyjaźń z tym człowiekiem nie była możliwa. Dla takiego mężczyzny jak Gerbert tylko

dwa uczucia wchodziły w rachubę: miłość lub nienawiść. Wolał jej nienawidzić ze strachu przed miłością, a teraz śmierć przyniosła na wieki ulgę jego udręczonemu sercu. Może zamiast potępiać się, należało podziękować Bogu za łaskę?

Następnie myśli Katarzyny skierowały się ku Walterowi, którego stan napawał ją bólem, mogącym osłabić tak potrzebną obecnie odwagę. Nie mogła się rozczulać w chwili, kiedy pojawiła się szansa uratowania przyjaciela. I tak miała szczęście, że go odnalazła, że udało się jej wyrwać go ze szponów najstraszliwszej śmierci, kiedy już myślała, że na zawsze go utraciła. Może mauretańskiemu medykowi arcybiskupa uda się przywrócić mu zmysły i może któregoś dnia, odzyskawszy siły, wkroczy triumfalnie do słynnego królestwa Maurów, by wyrwać zeń Arnolda?

Arnold!... Katarzyna stwierdziła ze zdumieniem, że od kilku dni, zajęta Walterem, ani razu nie pomyślała o mężu. Teraz, kiedy znowu mogła o nim pomyśleć, jej gniew odrodził się nietknięty, może tylko już nie tak palący, od czasu gdy odnalazła Waltera. Tyle cierpienie dla męża lekkoducha, który prawdopodobnie w tej chwili, kiedy ona z sercem przepelnionym goryczą przemierza pustkowia starej Kastylii wlokąc ze sobą człowieka, który postradał zmysły, zażywa rozkoszy w ramionach niewiernej w upajających wnętrzach mauretańskiego pałacu...

– Co za okropna kraina! Czy tak jest aż do samej Grenady?

– Na szczęście nie! – odparł Josse uśmiechając się dziwnie.

– Chociaż jeszcze nie koniec pustkowia.

– Gdzie zatrzymamy się na spoczynek?

– Sam jeszcze nie wiem. Jak sama, pani, widzisz, niewiele tu miasteczek, a te nieliczne są opustoszałe i zniszczone. Wielka czarna dżuma zniszczyła w zeszłym stuleciu miasta i spustoszyła wsie.

– Są tu chyba jednak jacyś ludzie! – rozzłościła się Katarzyna.

– Nie starczyło im stu lat, żeby posiać zboże na swej ziemi?

– Gdyby nie la Mesta...

– A co to takiego?

– To związek hodowców baranów. W zależności od pory roku przepędzają swoje potężne stada z regionu do regionu i nic nie jest w stanie ich zatrzymać. W takich warunkach niczego nie można posiać. Popatrz tylko!

Josse rączką bicia wskazał na blady horyzont, na którym zdawała się falować jakaś brązowa, szeroko rozlana plama.

– Jest ich tam co najmniej kilka setek, lecz popatrz, jak są dobrze pilnowane!

W istocie, oprócz zwykłych pastuchów w długich pasterskich płaszczach pojawili się jeźdźcy na mulicach z szerokimi nożami za pasem.

– Barany są prawdziwym bogactwem nielicznych. Większość wieśniaków żyje na skraju nędzy. Ale przy odrobinie szczęścia może napotkamy na swej drodze jakiś zamek czy klasztor.

– Spróbujmy znaleźć jakieś źródło, rzekę lub choćby staw, żebyśmy mogła się umyć.

Josse obdarzył Katarzynę kpiącym spojrzeniem i wzruszył ramionami.

– Nie będzie to łatwe. W tych stronach woda należy do rzadkości,

podobnie jak strawa. Katarzyna westchnawszy opadła z rezygnacją na siedzenie.

– A kiedy dotrzemy do Koki?

– Za pięć dni, jeśli tylko te dwa bydłeta zechcą iść równym krokiem. I ulegając zwodniczej nadziei zaczarowania krnąbrnego zaprzęgu, Josse zaintonował piosenkę biesiadną, fałszując jak się patrzy.

– Na co liczysz, mój panie? – spytała Katarzyna szyderczo. – Że zacnie padać, czy że te bestie w końcu ruszą z kopyta?

Prawdę mówiąc, wcale nie była zła, a nawet zaczęła podśpiewywać razem z Jossem, dzięki czemu dalsza droga wydała się jej mniej monotonna.

Rozdział siódmy

ALCHEMIK Z KOKI

Pomimo wyraźnie złej woli okazywanej przez konie, Josse dotrzymał słowa. Podróż trwała pięć dni. Pięć dni bez kłopotów i mniej dokuczliwych niż obawiała się Katarzyna. W nielicznych miasteczkach, osadach czy od pasterzy udawało się kupić za kilka monet parę sztuk sera, placków gryczanych i mleka. Katarzynie udało się nawet znaleźć wymarzoną rzekę. Przepływała nieopodal małego miasteczka Lerma, gdzie spod każdego dachu zwieszały się bukłaki z koziej skóry schnąc w słońcu. Woda była jeszcze zimna, choć nieoczekiwanie nastąpiła letnia pogoda. Po deszczach i ostrych wiatrach przyszły upały, kiedy brak wody i możliwości umycia stał się jeszcze bardziej nieznośny. Na widok wody Katarzyna prawie oszalała. Ledwo zdążyła powiedzieć Jossemu, żeby się odwrócił, i nie troszcząc się, że ktoś może ujrzeć jej nagość, zerwała z siebie szaty, rzuciła się do wody głową do przodu i za chwilę jej szczupłe ciało zniknęło pod wodą.

Chociaż woda nie była zbyt przejrzysta, kąpiel ta była dla Katarzyny najwspanialszą ze wszystkich, jakie dotąd wzięła. Przepływała z rozkoszą raz w jedną, raz w drugą stronę, po czym schowała się za głazem, aby dokładnie umyć każdy zakamarek swego ciała. W tej chwili wiele by dała za kawałek perfumowanego mydła, jakie ongiś we Flandrii fabrykowano specjalnie dla niej, pięknej kochanki księcia Zachodu. Była to zresztą jedyna rzecz, jakiej żałowała ze swego dawnego życia. Brak mydła nie zniweczył wszakże przyjemności kąpieli. Od czasu do czasu rzucała okiem w stronę Jossego i zaprzęgu. Niedysiejszy włóczęga wyglądał jak zaklęty; siedząc sztywno na ławce, wpatrywał się uparcie w końskie uszy. Nieposłuszne bestie stały tym razem spokojnie, wyskubując z ziemi rzadkie źdźbła trawy.

Kiedy Katarzyna uznała, że jest wystarczająco czysta, wyszła z wody, narzucając na siebie pośpiesznie koszulę. Nie założyła jednak męskiego stroju. Nie sposób było przy tym upale włożyć wełniane szaty, tym bardziej że lepily się od brudu. Wyciągnęła ze swego zawiniątka popielatą sukienkę z cienkiej wełny, czystą koszulę i parę pończoch, po czym oddaliła się w ustronne miejsce, by się ubrać.

Kilka chwil później, kiedy sucha i uczesana wróciła do zaprzęgu, stwierdziła, że Josse nie drgnął ani o milimetr.

– No i co tam, Josse? – rzuciła ze szczyptą drwiny. – Nie miałeś ochoty na zimną wodę po tyłu znojach i zakurzonych drogach?

– Nie cierpię wody! – odparł z tak ponurą miną, że aż Katarzyna wybuchnęła śmiechem.

– Wiem, nie cierpisz jej pić! Ale do umycia nadaje się doskonale! Dlaczego to nie wykąpałeś się wraz ze mną?

Zadała to pytanie zupełnie bezwiednie i ku swemu zdziwieniu spostrzegła, że Josse poczerwieniał jak burak. Zaczął odchrząkiwać raz po raz, lecz mimo to jego głos wydawał się dziwnie ochryply.

– Bardzo dziękuję, pani Katarzyno... ale nie miałem ochoty!

– A to dlaczego?

– Dlatego, że... – Zawahał się na chwilę, po czym nabrawszy powietrza w płuca w końcu wyrzucił z siebie z najwyższą desperacją:

– Dlatego że... jest niebezpieczna!

– Niebezpieczna? Jak więc mogłeś pozwolić, bym się w niej zanurzyła?

– naigrawała się w żywe oczy, widząc, w jaki ambaras wpędziła nieszczęsnego chłopaka.

– Niebezpieczna! Taak! Ale nie dla ciebie, pani!

– Dalej nic nie pojmuję!

Josse wił się jak piskorz pod obstrzałem pytań, unikając przy tym wzroku Katarzyny, wreszcie nie wytrzymał, odwrócił głowę i wlepiwszy gały w rozbawione oczy Katarzyny, oświadczył z niezwykłą godnością:

– Pani Katarzyno! Zawsze byłem człkiem rozumnym, dzięki czemu żyję po dzień dzisiejszy i mam nadzieję dożyć sędziwego wieku! Długo włóczyłem się o pustym żołądku i w potarganych łapciach po paryskim bruku. I nawet gdy przymierałem głodem, a właściwie, zwłaszcza wtedy, z daleka omijałem smaźalnie, w których nad ogniem opiekały się, wydzielając niebiański zapach, rzędy tłusciutkich kapłonów, których nie miałem prawa tknąć. Nie wiem, czy dobrze mnie rozumiesz, pani?

– To zupełnie jasne! – odparła Katarzyna wskazując na swe miejsce obok Jossego.

Przestała się uśmiechać, a w spojrzeniu, jakie rzuciła kompanowi, tliło się coś na kształt szacunku i przyjaźni. Po czym, nie siląc się już na uszczypliwość, dodała:

– Przebacz mi, Josse! Naszła mnie chęćka, żeby ci trochę podokuczać!

– Podokuczać... czy wypróbować?

– Może i jedno, i drugie – przyznała szczerze. – Lecz muszę stwierdzić, że wyszedłeś z tej próby zwycięsko! A teraz, ruszajmy!

Dalsza podróż odbyła się bez sprzeczek. Walter, zagrzebany w słomie, nadal tkwił w swoim półśnie, popadając od czasu do czasu w ten straszliwy stan, który tak niepokoił Katarzynę. Trzeba go było karmić jak niemowlę. Wieczorem, ostatniego dnia drogi, Katarzyna spytała ocierając łzy:

– Jeśli ta wędrówka szybko się nie skończy, nie dowieziemy go żywego do mauretańskiego medyka.

– Jutro o zachodzie słońca – obiecał Josse – ujrzymy wieże Koki! Istotnie, następnego dnia, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, mały zaprzęg stanął przed słynnym zamkiem arcybiskupa Sewilli. Na jego widok Katarzynie zapało dech w piersi: pośrodku czerwonej ziemi wznosiła się kamienna forteca, rzucająca krwawe blaski na okolicę. Prawdziwy pałac z Tysiąca i Jednej Nocy. Fantastyczny klejnot sztuki mudejaru* [*Sztuka mudejaru – sztuka rozwijająca się w chrześcijańskiej Hiszpanii między XE a XVI wiekiem, charakteryzująca się wpływem islamu.], zrodzony w pierwszych latach stulecia w romantycznym umyśle mauretańskiego więźnia. Na jasnym lazurze nieba rysowały się strzeliste, cienkie wieżyczki przylegające do potężnych, ceglanych wież. Wysokie saraceńskie blanki* [* Blanki, arch. – zwieńczenie średniowiecznych murów obronnych w formie szeregu zębatach nacięć, których występy ułatwiały załodze obronę.] przyozdabiały mury i przydawały lekkości kwadratowej wieży obronnej. Forteca przypominała raczej pałac emira, niż siedzibę chrześcijańskiego biskupa, chociaż jej splendor nie pomniejszyła wrażenia grozy,

jakie sprawiała budowla w zestawieniu z ciągnącą się wzdłuż jednej strony przepaścią. Z drugiej strony, forteca zdawała się przylegać do wzgórza, od którego oddzielona była głęboką fosą.

Katarzyna i Josse w milczeniu podziwiali czerwone zjawisko, tymczasowy cel ich wędrówki. Nagle serce Katarzyny ścisnęło się ze strachu. Nie wiedzieć dlaczego zobaczyła oczami wyobraźni inną fortecę, pod innym niebem, może mniej obcą, lecz za to o wiele groźniejszą ze swoimi czarnymi, gładkimi murami i niebotycznymi wieżami, zamek Sinobrodego, cudowny i zarazem straszny, za którego murami tyle wycierpiała. Dlaczego przypomniła sobie o nim przed fortecą Koki? Przecież tutaj nic jej nie groziło... Przybyła, by prosić o pomoc dla śmiertelnie chorego przyjaciela... A jednak na widok tego zamku zawahała się, jakby przeczuwając jakąś nieokreśloną, ukrytą groźbę...

– A więc, Katarzyno? Próbujemy szczęścia? – spytał Josse nieśmiało.

Zamiast odpowiedzi Katarzyna wzruszyła ramionami, tak jakby chciała zrzucić z nich nieznośny ciężar.

– Nie mamy wyboru! – rzuciła wreszcie.

– To prawda!

Josse zaciął konie i mały zaprzęg ruszył w stronę wąskiej bramy zwieńczonej łukiem arabskim, której broniło dwóch nieruchomych strażników, wtopionych w otaczającą ich dekorację. Pasowali dokładnie do panującej tu pustynnej ciszy, pogłębiając wrażenie nierealności, jakie stwarzał ten niemy zamek. Jedyne porzecz powiewający leniwie na wieży obronnej zdradzał jakieś takie oznaki życia. Ku wielkiemu zdziwieniu Katarzyny i Jossego, żołnierze nawet nie drgnęli na widok nadjeżdżającego zaprzęgu. A kiedy Josse, starając się jak najlepiej wyrazić swą myśl po hiszpańsku, oznajmił im, że szlachetna pani Katarzyna de Montsalvy prosi o widzenie z wielbnyim arcybiskupem Sewilli, po prostu kiwnęli głowami, wskazując wędrowcom drogę na główny dziedziniec pałacu, którego wspaniałości można było dostrzec już z tego miejsca.

– Niezwykle słabo strzeżony zamek! – zauważył Josse.

– To się jeszcze okaże! – odparła Katarzyna. – Przypomnij sobie minę wieśniaka, którego przed godziną spytaliśmy o drogę do pałacu! Pamiętasz, jak się wystraszył? Posłuchaj tej ciszy! Czyżby w tym zamku nie było żadnego życia? Obawiam się, że zamieszkujące go złe duchy bronią lepiej swej siedziby niż cała armia... Zastanawiam się, czy idziemy na spotkanie sługi bożego... czy samego diabła!

Ciężka atmosfera działała na Katarzynę bardziej, niżby chciała się do tego przyznać, natomiast Jossego, przynajmniej z pozoru, nie ogarniały tego rodzaju obawy.

– Naprawdę nie rozumiem, pani Katarzyno, co mamy do stracenia!

Biskup Alonso de Fonseca okazał się równie niesamowity jak jego zamek, niestety nie tak piękny. Mały, chudy i przygarbiony, przypominał roślinę, którą niedbały ogrodnik zapomniał podlewać. Sądząc po jego bladej cerze i zaczerwienionych oczach, nieczęsto wychodził na słońce i prowadził nocny tryb życia. Rzadkie, czarne włosy, rzadka broda i do tego nerwowy tik głowy, którą cały czas potrzasał, dopełniały obrazu. Po dziesięciu minutach

rozmowy z nim Katarzyna miała ochotę też potrząsać głową. Miał natomiast delikatne, wypielegnowane ręce i przyjemny, niski głos.

Bez większego zdziwienia przyjął podróżującą damę, której zarówno wygląd, jak i zaprzęg nie odpowiadały ani jej nazwisku, ani pozycji. Jego kurtuazji nie można było niczego zarzucić. Było ówczasie w zwyczaju, podczas długiej i znoej podróży, prosić o gościnę w zamkach czy klasztorach, a gościnność biskupa Sewilli była wręcz legendarna. Jednak kiedy Katarzyna wspomniała o Walterze i o spodziewanej w Koce pomocy medyka, obudziła ciekawość, ale i nieufność biskupa.

– A kto ci powiedział, moja córko, że mam u siebie medyka innowiercę? Jak mogłaś sądzić, że ukrywam pod swym dachem...

– Nie widzę w tym nic dziwnego, wasza wielbność – przerwała Katarzyna. – Ongiś w Burgundii sama znałam wielkiego medyka pochodzącego z Kordoby, który był moim prawdziwym przyjacielem! A powiedział mi o nim kamieniarz z Burgos!

– Ach! Mistrz Hans z Kolonii! Wielki artysta i mądry człowiek. Ale wróćmy do twojego medyka. Jak się nazywał?

– Abu-al-Khayr.

Na dźwięk tego nazwiska biskup aż zagwizdał, dając do zrozumienia, jak jest słynne w jego stronach.

– Wasza wielbność go zna? – spytała.

– Wszystkie co bardziej światłe umysły słyszały o Abu, prywatnym medyku, przyjacielu i doradcy kalifa Grenady. Obawiam się, że mój medyk, choć bardzo zręczny, nie dorównuje mu wiedzą, dziwi mnie więc, moja córko, że przybywasz tutaj zamiast udać się prosto do niego.

– Droga do Grenady jest długa, a mój sługa, panie, jest bardzo cierpiący. Nie mam przy tym pewności, czy wpuszczono by mnie do królestwa kalifa...

– Nie mogę nic zarzucić twemu rozumowaniu – odparł biskup i wstając z wysokiego krzesła, klasnął w dłonie. Na ten znak z zakamarków komnaty wybiegł wysoki, szczupły paź. – Tomaszu! – zwrócił się do niego biskup. – Na dziedzińcu znajduje się wózek, na którym leży ranny. Zdejmiesz go z wozu i najostrożniej, jak tylko potrafisz, zaniesiesz do Hamzy, by go zbadał. Za parę chwil sam przyjdę dowiedzieć się, co mu jest. Następnie dopilnujesz, by pani de Montsalvy i jej giermek zostali rozlokowani z najwyższymi honorami. Tymczasem szlachetna pani pozwoli do stołu.

I z galanterią, której nie powstydziliby się świecki książę, don Alonso podał dłoń Katarzynie, by poprowadzić ją do stołu. Katarzyna zaczerwieniła się, widząc kontrast pomiędzy swoimi skromnymi, zakurzonymi szatami a purpurowymi i lazurowymi brokatami biskupa.

– Nie jestem godna zasiąść przy stole z waszą wielbnością... – tłumaczyła się.

– Jak ma się takie oczy jak twoje, moja droga, jest się godną zasiąść choćby i przy cesarskim stole! A po przebyciu tylu mil po naszych strasznych drogach musisz pani umierać z głodu – rzekł biskup z uśmiechem.

Katarzyna oddała mu uśmiech i w końcu z zadowoleniem przyjęła wyciągniętą dłoń, gdyż mogła odwrócić się od Tomasza, który działał jej na nerwy, od kiedy tylko pojawił się w komnacie. Nie, żeby był brzydki. Chłopiec

ten mógł mieć jakieś piętnaście lat, a jego rysy były szlachetne i regularne. Jednak w matowej bladej twarzy i chudości długiego, odzianego na czarno korpusu było coś z wygłodniałego zwierzęcia, a zarazem coś nieugiętego. Jego wzrok zaś, zwłaszcza u tak młodego człowieka, był dla Katarzyny nie do zniesienia. Lodowate, niebieskie oczy pod bezrzesymi powiekami błyszczały fanatycznym, trudnym do wytrzymania ogniem. Wreszcie jego ponura sylwetka nie współgrała z tymi przepysznymi wnętrzami. Katarzyna przechodząc wraz z biskupem wąską, marmurową, ażurową galerią prowadzącą na główny dziedziniec, nie mogła powstrzymać się od uwagi.

– Czy nie obrazisz się, panie, jeśli powiem, że twój paż nie pasuje do ciebie ani do otaczających nas wspaniałości? – rzekła wskazując dłonią dziedziniec arkadowy cały z marmuru, o murach pokrytych bajecznie kolorowymi kafelkami.

– Toteż długo u mnie miejsca nie zagrzeje! – westchnął biskup. – Tomasz pochodzi z dobrego domu, a duszę ma twardą, nieprzejednaną, całkowicie oddaną Bogu. Obawiam się, czy nie ocenia surowo mego stylu życia i mego otoczenia. Jego nie interesują ani nauki, ani piękno, podczas gdy dla mnie są one istotą życia. Nienawidzi Maurów bardziej niż samego szatana, ja zaś cenię wielce ich geniusz.

– Dlaczego więc, panie, zabrałeś go do siebie?

– Jego ojciec jest moim starym przyjacielem. Miał on nadzieję, że u mnie młody Tomasz nabierze nieco dystansu do spraw religii, wydaje mi się jednak, że poniosłem klęskę. Nie śmie prosić mnie o zwolnienie, choć wiem, że gorąco pragnie wstąpić do zakonu dominikanów w Segowii. Możesz być pewna, pani, że nie odmówię mu swej zgody. Jest u mnie dopiero trzy miesiące. Gdy minie szósty, odeślę go! Jest zbyt ponury!

– Jak on się nazywa?

– Tomasz de Torquemada. Jego rodzina pochodzi z Valladolid. Ale zapomnijmy o nim i chodźmy do stołu!

Dawno Katarzyna nie uczestniczyła w podobnej uczcie. Widać było, że spiżarnie arcybiskupa są dobrze zaopatrzone, a jego kucharze znają się na wszelkich wyrafinowanych sztukach kulinarnych Zachodu, jak i na orientalnych przysmakach. Do złożonej z ryb i różnorodnej dziczyzny kolacji usługiwała cała armia służących w czerwonych turbanach, podając grzane, pachnące wina pochodzące z dóbr dostojnika, a na koniec wnosząc górę ociekających miodem ciasteczek. Po skończonym posiłku Katarzyna zapomniała o trudach podróży.

– Pora, byśmy odwiedzili Hamzę! – rzekł don Alonso wstając od stołu. Katarzyna ruszyła za biskupem, przemierzając wiele olbrzymich, urządzonych z wielkim przepychem komnat i zimnych korytarzy prowadzących do środkowej wieży obronnej. Obfita kolacja i opary wina sprawiły, że wejście po stromych schodach, wiodących na samą górę, gdzie don Alonso zainstalował swego nieocenionego medyka, okazało się dość trudnym przedsięwzięciem.

– Hamza bada również gwiazdy – wyjaśnił arcybiskup. – Przeto musiałem umieścić go jak najbliżej nieba.

W rzeczy samej pokój, do którego don Alonso wprowadził Katarzynę, miał wycięcie w dachu i zamiast sklepienia widać było niebo usiane gwiazdami.

Na wielkim hebanowym kufrze znajdowały się dziwne przyrządy, słoje, fiołki, zlewki, zakurzone zwoje pergaminu, pęki suszonych ziół i jakieś barbarzyńskie narzędzia. Katarzynie jednak rzucił się w oczy wielki marmurowy stół, na którym leżał Walter, przywiązany mocnymi, skórzanymi pasami. Przy nim stał człowiek cały w bieli – łącznie z turbanem – i golił mu głowę cienkim ostrzem, lśniącym w płomieniu kilku dziesiątek żółtych świec. Wydzielane przez nie ciepło oraz zapach rozgrzanego wosku były nieznośne. Katarzyna jednak interesowała się wyłącznie medykiem, zaledwie zwróciwszy uwagę na stojącego z drugiej strony stołu Jossego. Mauretański medyk był pokaźnej postury i miał białą i jedwabistą brodę, podobną do tej, którą podziwiała często u Abu-al-Khayra. W swoich śnieżnobiałych szatach i z dominującym wzrokiem przywodził na myśl jakiegoś proroka, natomiast jego drobne, zwinne ręce, uwijające się wokół głowy Waltera, przypominały szpony drapieżnego ptaka, wbijające się w ofiarę.

Po wejściu gości medyk nie przerwał pracy, jedynie skinieniem głowy pozdrowił swego pana, a na Katarzynę rzucił obojętne spojrzenie. Zaniepokoił ją widok błyszczących instrumentów leżących przy trójnogu wypełnionym żarem. Don Alonso i Hamza wymienili ze sobą kilka krótkich zdań, których sens biskup przetłumaczył Katarzynie.

– Choroba tego mężczyzny pochodzi od rany na czole. Zauważ, że w tym miejscu kość czaszki jest wklęsła i uciska mózg.

– A więc nie ma szans? – jęknęła Katarzyna.

– Hamza jest zręczny! – zapewnił ją uśmiechając się doń Alonso. – Już nie takie rany w swoim życiu operował!

– Co mu zrobi?

Ku zdumieniu Katarzyny, sam wielki medyk udzielił na jej pytanie odpowiedzi, i to w prawie bezbłędnym francuskim:

– Za pomocą tego trepanu* [*Trepan *tae. gr.*, przyrząd do wiercenia otworów i cięcia tkanki kostnej w czasie trepanacji czaszki.] – oznajmił wskazując na coś w rodzaju świdra o końcówce ostrej jak strzała – wytnę część kości czołowej wokół zagłębienia, żeby usunąć uszkodzoną część. Dzięki temu zobaczę, czy nie został naruszony mózg, i być może uda mi się wyprostować uszkodzone kości. Jeżeli nie uda mi się, to zostanie tylko mieć nadzieję we Wszechmogącym... Tak czy owak, poleje się krew, a nie jest to widok dla kobiety. Lepiej, żebyś stąd odeszła! – podsumował rzucając szybkie spojrzenie na młodą damę.

Katarzyna zeszywniała i zacisnęła pięści.

– A gdybym wołała zostać?

– Obawiam się, że mogłabyś stracić świadomość... i utrudniłabyś mi i tak ciężkie zadanie. Wolę, żebyś odeszła! – nalegał medyk spokojnie, lecz zdecydowanie.

– Ten człowiek jest moim przyjacielem i będzie cierpiał tortury pod twoim nożem. Mogłabym ci pomóc...

– Sądzisz, że będzie cierpiał? Naprawdę?... Popatrz, jak smacznie śpi! W rzeczy samej, spętany skórzanymi pasami Walter spał jak dziecko, nie poruszając nawet palcem.

– Obudzi się, gdy zaczniesz ciąć!

– Ten rodzaj snu, w który on zapadł, naigrawa się zarówno z noża, jak

plamieni. On nie zapadł w sen pod wpływem jakiegoś narkotyku... on śpi, ponieważ ja kazałem mu zasnąć! Obudzi się dopiero wtedy, kiedy mu każę!

Katarzyna poczuła, że włosy stają jej na głowie. Rzuciwszy na Maura przerażone spojrzenie, przeżegnała się kilka razy. Widząc to wielki medyk roześmiał się.

– Nie, nie sądz, że jestem diabłem, którego wy, chrześcijanie, tak się boicie! Otóż, studiowałem wiedzę medyczną w Bucharze i Samarkandzie. Tamtejsi magowie potrafią używać mocy, zrodzonej z ludzkiej woli i rozprawianej przez światło, którą nazywają magnetyzmem. Jest to jednak zjawisko trudne do wytłumaczenia, zwłaszcza... białogłowie! A teraz, będę zaczynać!... Tak więc, musisz odejść!

Wypowiedziawszy te słowa, unieruchomił za pomocą skórzanego pasa głowę chorego, następnie ująwszy w dłoń skalpel o błyszczącym ostrzu, wykonał błyskawicznie okrężne nacięcie skóry. Krew najpierw zaperliła się, po czym trysnęła obficie. Katarzyna pobladła. Don Alonso poprowadził ją delikatnie w stronę drzwi.

– Udaj się do swoich apartamentów, droga córko! Tomasz wskaże ci drogę. Kiedy Hamza skończy, pozwoli ci zobaczyć chorego.

Katarzyna poczuła nagłe zmęczenie. Ciężła jej głowa. Kiedy znalazła się na schodach wieży, ujrzała chudą sylwetkę pazia, który pojawił się tam nie wiedzieć skąd. Szedł przed nią, nie czyniąc najmniejszego hałasu i nie odzywając się. Miała wrażenie, że podąża za duchem. Wreszcie, kiedy doszli przed niskie drzwi zdobione rzeźbionymi i malowanymi cyprysami, usłyszała, jak paź, usuwając się z drogi, powiedział:

– Jesteśmy na miejscu.

Katarzyna zatrzymała się przed młodzieńcem.

– Zawiadom mnie, jak już... będzie po wszystkim! – powiedziała, siląc się na uśmiech.

Jednak spojrzenie Tomasza pozostało tak samo lodowate jak dotychczas.

– Nie, to niemożliwe! Ja już nie wrócę do komnaty medyka! To siedlisko diabła, a cała ta jego medycyna to świętokradztwo! Kościół zabrania przelewu krwi!

– Ale twój pan nie ma nic przeciwko temu!

– Mój pan?

Wąskie, blade wargi młodego Torquemady wykrzywiły się z niewyobrażalną pogardą.

– Moim jedynym panem jest Bóg! Na szczęście, już wkrótce będę mógł mu służyć. Niech będzie pochwalony! Zapomnę o tym siedlisku szatana!

Znudzona uroczystym tonem i fanatyczną dumą, uczuciami tak nienaturalnymi u młodego chłopca, już miała mu przypomnieć o szacunku, jaki jest winien don Alonsowi, kiedy jej uwagę zwróciła nagle postać czarnego mnicha nadciągającego galerią. Był wysoki, kościsty, miał włosy wystrzyżone wokół głowy i wielką tonsurę. Na pierwszy rzut oka w jego wyglądzie nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie czarna przepaska na oku... W miarę jak się zbliżał, Katarzyna poczuła, że w jej żyłach krzepnie krew, a w głowie zawirowały setki wspomnień. Nagle z jej gardła dobył się krzyk trwogi i na oczach zdumionego Tomasza rzuciła się do swego pokoju, zatraskując za sobą

drzwi i opierając się o nie z całych sił, podczas gdy drżącą ręką starała się rozerwać duszący ją kołnierz. Pod postacią czarnego mnicha z czarną opaską na oku ujrzała wyłaniającego się z mroków przeszłości... Garina de Brazeya...

Stała nieruchomo myśląc, że oszaleje. Wszystko zaczęło się zamazywać: czas, godzina, miejsce. Został tylko ten straszny obraz, ta zapomniana od tylu lat twarz, która ongiś zginęła na zawsze, a teraz pojawiła się nieoczekiwanie...

Katarzyna osunęła się na podłogę ująwszy w dłonie głowę, jakby chciała uciszyć rozpetaną w mózgu burzę. Okrutne obrazy z przeszłości, gorzkie jak cykuta, wróciły z odległych pokładów jej pamięci. Znowu ujrzała Garina w więzieniu, w łańcuchach i kajdanach. Znowu usłyszała, jak błaga ją o truciznę, żeby tylko nie być wleczonym na plecionce i uniknąć hańby. Słyszała też głos Abu-al-Khayra, podającego mu kielich z zatrutym winem: „Zaśnie... i już się nie obudzi”. Potem ujrzała siebie samą, jak następnego dnia z nosem przyklejonym do szyby spoglądała w szarugę deszczowego poranka. Obrazy przewijały się tak dokładne, jakby wyszły spod dłuta; rozwścieczony tłum, wielkie, szarobure konie zaprzęgnięte do plecionki, kałuże brudnej wody oraz atletyczna, czerwona postać kata niosącego na ramieniu nagie, bezwładne ciało mężczyzny... „Nie żyje!” – powiedziała wtedy Sara. Jakże było wątpić w to choć przez chwilę? Tak, to było z pewnością ciało Garina odjeżdżające na plecionce, ponuro wstrząsane nierównościami bruku...

W takim razie... kim był ten na galerii, który miał twarz Garina i takąż samą czarną przepaskę na oku? Czy możliwe, aby wielki skarbnik Burgundii nie zginął i za sprawą jakiegoś niesamowitego cudu uniknął przeznaczenia? Nie, to nie było możliwe! Nawet gdyby Abu-al-Khayr zamiast trucizny podał mu wtedy tylko silny narkotyk, to przecież ciało skazańca zawisło na szubienicy! Żywy czy martwy, Garin został powieszony! Przecież całe miasto, Ermengarda, Sara i wszyscy mieszkańcy Dijon widzieli jego smętne zwłoki wiszące na szubienicy... Wszyscy widzieli... z wyjątkiem niej...

Jej zmieszanie było tak wielkie, że w tej chwili zaczęła wątpić w siebie samą i prawdziwość własnych odczuć. Czy rzeczywiście widziała ciało Garina oddalające się na plecionce? Tamtego dnia nie była sobą! A może jej przepełnione łzami oczy nie widziały wszystkiego? Ale, w takim razie, dlaczego jej przyjaciele i całe otoczenie kłamało, jeśli coś wydało się im podejrzanym? Czyżby złudzenie było tak idealne, że całe miasto dało się na to nabrać?

Nagle okrutna myśl przebiegła jej przez myśl. Jeżeli Garin nie umarł, jeżeli to on ukrywał się teraz pod habitem mnicha, to jej małżeństwo z Arnoldem było nieważne! Ona była bigamistką, a Michał, jej mały Michał, był zwykłym bękartem!

Ze wszystkich sił odepchnęła od siebie tę okropną myśl, buntując się całą siłą swego jestestwa przeciw sobie samej. Nie, to nie było możliwe!

Boże, przecież nie mogłeś mi tego zrobić! Garin oznaczał same cierpienia i rozpacz! To było życie, do którego nie chciałyby wrócić za żadne skarby świata!

– Chyba zwariuję! – powiedziała głośno.

I wtedy cienka zasłona szалу pękła, powodując nagłą, brutalną reakcję. Wstała, chciała uciec, natychmiast opuścić ten zamek, gdzie napotkała cienie

przeszłości, natychmiast znaleźć się na słonecznej drodze wiodącej do Arnolda. Żywy czy martwy, człowiek czy bezcielesna zjawa, Garin nie miał wstępu do jej życia! Umarł raz na zawsze! Na wszelki wypadek należało jednak uciekać...

– Dama*! [*Dama, *hiszp.* – pani] – usłyszała za sobą słodki głos.

Odwróciła się jak oparzona. W głębi komnaty przy oknie z kolumnami dwie młode służące klęczały przy pięknie zdobionym kufrze ze skóry, wypełnionym aż po brzegi błyszczącymi jedwabiami, które wyciągały po kolei, rzucając na czerwoną posadzkę... Katarzyna przetarła oczy, nie wiedząc – sen to czy jeszcze jawa.

Nie, nie mogła uciec! Był przecież Walter, jej przyjaciel Walter, którego nie mogła opuścić! Boże, czy zawsze będzie niewolnicą swoich uczuć i związków łączących ją z ludźmi?

Zła, że widziano jej chwilę słabości, odpowiedziała uśmiechem na nieśmiałe uśmiechy służących, które proponowały jej złocone i posrebrzane brokaty, błyszczące satyny i miękkie welury. Stroje te pochodziły z garderoby zmarłej siostry arcybiskupa. Dwie młode dziewczyny podeszły do niej i chwyciwszy za ręce posadziły na niskim taborecie, po czym bez żadnych wstępów zaczęły ją rozbierać. Katarzyna pozwalała robić ze sobą, co chciały, odnajdując swe dawne przyzwyczajenia, kiedy to całymi godzinami poddawała się zręcznym zabiegom służących, którymi dyrygowała Sara.

Przypomniawszy sobie wierną przyjaciółkę, poczuła nagle bezmiar swej samotności. Wiele by dała, żeby mieć ją tego wieczoru przy sobie! Jaka byłaby jej reakcja na ukazanie się tak niepokojącej zjawy? Odpowiedź przyszła natychmiast sama. Sara z pewnością rzuciłaby się za nieznanym i przyparłszy go do muru, wyrwałaby mu z gardła całą prawdę.

Ja też, powiedziała do siebie, muszę poznać prawdę!

Było to oczywiste! Przecież nie zaznałaby spokoju, gdyby nie poznała tej tajemnicy. Przed chwilą mnich nie zwrócił na nią uwagi, gdyż pogrążony był w lekturze. A więc ona sama musi się mu pokazać, i to w pełnym świetle! Jego reakcja na jej widok będzie dla niej wskazówką. Następnie...

Katarzyna nawet nie chciała myśleć, co by było potem. Wiedziała tylko, że znowu była gotowa do walki. Nic ani nikt, nawet zjawa powracająca z królestwa umarłych, nie przeszkodzi jej w dotarciu do Arnolda. Garin musiał umrzeć raz na zawsze, żeby jej miłość mogła żyć! A nawet jeśli cudem uniknął śmierci, na pewno nie chciałby wrócić do dawnego życia, no bo skąd ten mnisi habit i to ukrycie się w kastylijskiej fortecy? Teraz należał do Boga, był z nim tak mocno związany jak ona z ukochanym mężem. Jednak należało dowiedzieć się prawdy!

Chłodne nocne powietrze owionęło jej ciało wywołując drzenie. Służące umyły ją i natarły jej ciało olejkami i pachnidłami. Katarzyna wskazała palcem pierwszą z brzegu sukienkę. Przetarła głowę przez masę żółtego jedwabiu, która z szelestem niezliczonych fałdów opadła aż do jej stóp. Ona jednak czuła w sercu zbyt wielką trwogę, aby docenić pieśczętę miękkiego materiału. Zawsze kochała piękne stroje, pyszniące się kolorami i złotem materiały, ale to było tak dawno... Na co zda się kobiecie najwspanialsza toaleta, jeśli w pobliżu nie ma ukochanego mężczyzny?

W głębi komnaty służące otworzyły haftowane zasłony wysokiego,

hebanowego łoża inkrustowanego kością słoniową i przygotowały posłanie, lecz ona dała im znak, że nie ma jeszcze ochoty iść spać. Nie mogłaby zasnąć z tyloma pytaniami wymagającymi natychmiastowej odpowiedzi. Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę drzwi, szeleszcząc długą suknią. Za progiem stał Josse. Jego oczy na widok wystrojonej Katarzyny stały się okrągłe jak szklanki, lecz za chwilę na ustach pojawił się uśmiech.

– Już po wszystkim! – oznajmił. – Niewolnicy medyka zanieśli chorego do łoża. Czy chcesz go, pani, zobaczyć przed udaniem się na spoczynek?

Katarzyna przytaknęła i ująwszy Jossego pod ramię ruszyła przez długą, oświetloną płonącymi łuczywami galerię, w której niedawno zginęła niepokojąca zjawą. Katarzyna szła szybko, z wyprostowaną głową i z oczami utkwionymi przed siebie. Josse obserwował ją kątem oka, wreszcie powiedział:

– Coś mi się widzi, pani, że masz jakieś zmartwienie.

– Martwię się o Waltera, to normalne!

– Nie. Kiedy opuszczałaś komnatę medyka, nie miałaś takiej napiętej twarzy, ani spojrzenia zaszczutego zwierzęcia. Coś musiało ci się stać. Ale co?

– Powinam pamiętać – odparła z cieniem uśmiechu na ustach – że twoje oczy widzą nawet w nocy.

Natychmiast podjęła decyzję. Josse był inteligentny, bystry, zwinny i miał głowę pełną pomysłów. Co prawda, nie mógłby całkowicie zastąpić Sary, jednak z pewnością można mu było zaufać.

– Tak, masz rację, Josse! Przed chwilą w tej galerii spotkałam kogoś... właściwie mnicha, wysokiego, chudego, z popielatymi włosami, o twarzy jakby wyciosanej z kamienia, z czarną przepaską na oku... Chciałabym się dowiedzieć, kim jest ten mnich. Otóż przypomina mi on do złudzenia kogoś, kogo ongiś dobrze znałam i myślałam, że dawno nie żyje.

– Zrobi się! – odparł Josse z uśmiechem. – Zaprowadzę cię do Waltera, a sam pójdę zasięgnąć języka!

I zostawiwszy ją przed pokojem w wieży, w którym ułożono Waltera, Josse zniknął za zakrętem schodów jak duch. Katarzyna wsunęła się ostrożnie do pokoju.

Był o wiele mniejszy niż zajmowany przez nią i wyposażony w łóżko, w którym potężne ciało Normandczyka z ledwością się mieściło, oraz dwa taborety... Zbliżyła się na palcach. Walter spał leżąc na plecach, z głową owiniętą bandażami. Na jednym z taboretów stał mały ogarek, rzucający skąpe światło na głowę chorego. Jego twarz była spokojna i odprężona, lecz Katarzynie wydała się niezwykle czerwona. Pomyślała, że być może miał gorączkę i pochyliła się, chcąc ująć jego dłoń, lecz czyjaś ręka powstrzymała ją. Z głębi ciemnej komnaty wyłonił się Hamza, trzymając palec na ustach.

– Dałem mu silny środek nasenny – wyszeptał. – W przeciwnym razie ból uniemożliwiłby mu wyzdrowienie. Zostaw go w spokoju. Gorączka rośnie.

– Wyzdrowieje?

– Mam taką nadzieję! Mózg nie był uszkodzony, jednak nigdy nie wiadomo, czy nie zostaną jakieś ślady.

Oboje wyszli z pokoju. Hamza doradził młodej kobiecie, by udała się na spoczynek, zapewniając, że don Alonso też już dawno śpi. Pożegnawszy się podążył do swego laboratorium, pozostawiając Katarzynę samą sobie. Przeszła

przez dziedziniec, wdychając nocne zapachy uśpionej wsi.

Wszystkie dzikie rośliny, wygrzane w ciągu dnia na słońcu, wydzielają silną woń. Powietrze pachniało tymiankiem i macierzanką. Po silnych wrażeniach tego wieczoru potrzebowała spokoju i ciszy. Czerwona masa zamczyska stopiła się z ciemnościami nocy. Nie było słyhać żadnych odgłosów, tylko od czasu do czasu wolne kroki strażnika albo krzyk nocnego ptaka. Przez chwilę zatrzymała się pod arkadami, gdzie kafelki błyszcząły w blasku księżyca, starając się uspokoić szaleńcze bicie serca. Następnie, pomyślawszy, że Josse może już wrócił z wiadomościami, skierowała się w stronę schodów prowadzących do jej pokoju, kiedy nagle zza kolumny wyskoczył niespodziewanie Tomasz de Torquemada. Niemile zaskoczona Katarzyna wzdygnęła się, lecz tym razem zaskoczenie było obopólne. Na widok młodej kobiety w aureoli złocistych pukli i świetlistej lekkości jedwabiu sukienki młodzieniec stanął jak wryty.

Przez chwilę stali nieruchomo naprzeciw siebie. Katarzynie zdawało się, że w lodowatym spojrzeniu dostrzega coś na kształt niedowierzania zmieszanego z zabobonnym strachem. Zaciśnięte usta pazia otworzyły się, lecz nie padły z nich żadne słowa. Tomasz oblizął się tylko, podczas gdy jego wzrok omiótł młodą kobietę od szyi, poprzez głęboki dekolt, zatrzymując się w słodkiej dolinie piersi, których kształt podkreślała złota, zaciśnięta pod nimi wstęga. Najwidoczniej chłopiec ten nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego, ponieważ stał jak kołek, nie myśląc zejść jej z drogi. Katarzyna zasłoniła piersi i uśmiechnąwszy się oziębło zapytała:

– Czy zechcesz mnie przepuścić, panie?

Na dźwięk głosu paż podskoczył jak obudzony ze snu. Na jego poczerwieniałej twarzy malował się strach. Przeżegnał się szybko kilka razy, wyciągnął ramiona przed siebie, jakby chcąc odepchnąć zbyt kuszące zjawisko, po czym krzyknąwszy gardłowym głosem „Vade retro Satanas”^{*} [*Vade Retro Satanas! – Idź precz, szatanie!], odwrócił się i czmychnął ile sił w nogach. Po chwili pochłonęły go ciemności nocy. Katarzyna wzruszyła ramionami i poszła swoją drogą. Przed pokojem czekał już na nią Josse, oparty o framugę drzwi.

– No i jak? Dowiedziałeś się, kim jest ten mnich?

– Zwą go Fray Ignacio, ale ludzie arcybiskupa niechętnie o nim mówią. Zdaje się, że wszyscy panicznie się go boją. Chyba nawet bardziej niż Maura i czarnego pazia o twarzy złego ducha.

– A skąd pochodzi? Skąd się tu wziął? Od kiedy mieszka w zamku?

– Pani Katarzyno – odpowiedział Josse spokojnie. – Myślę, że don Alonso, który, jak zauważyłem, bardzo ceni sobie twoje towarzystwo, poinformuje cię lepiej niż ja na temat tego dziwnego osobnika, gdyż tylko on tutaj kontaktuje się z Fray Ignacio, zajmującym się alchemią i przemianą metali. Poszukuje on, jak wielu innych, słynnego kamienia filozoficznego. Głównym jego zajęciem jest pilnowanie skarbcza arcybiskupa, nadzwyczajnej kolekcji drogocennych kamieni. Pewna zaufana osoba don Alonsa powiedziała mi, że nikt tak jak Fray Ignacio nie zna się na klejnotach... ale, ale... co się z panią dzieje? Chyba nie zemdlejesz?

W istocie, Katarzyna pobladła i oparła się o mur. Czują, że ziemia usuwa się spod jej nóg. Josse nie mógł przecież wiedzieć, że pasją Garina było

gromadzenie klejnotów i że znał się na nich wybornie.

– Nie... nic mi nie jest, to tylko zmęczenie, ledwo trzymam się na nogach...

– A więc trzeba iść spać! – powiedział Josse dobrodusznie. – Zresztą, ja już więcej nic nie wiem... Chyba tylko to, że Fray Ignacio rzadko wychodzi z prywatnych komnat don Alonsa, gdzie ma swoje laboratorium alchemiczne i gdzie znajduje się skarbiec.

Co mówiąc, wepchnął delikatnie Katarzynę do pokoju oświetlonego blaskiem czerwonych świec. Katarzyna weszła doń z uczuciem prawdziwego przygnębienia. Josse zauważył, że się zgarbiła i była jakaś nieswoja. Nie mógł tylko pojąć, dlaczego ten tajemniczy Fray Ignacio tak głęboko wpływał na nią, i nagle poczuł litość dla tej kobiety, tak pięknej i zarazem tak nieszczęśliwej, której życie miał być usłane różami, było nieustanną walką na miarę silnego mężczyzny. Poczuł niejasno, że uczepiając się jej, dokonał najlepszego uczynku w życiu. Powodowany jakąś nieokreśloną mocą, zapatrzony w przygnębianą postać, stojącą bez ruchu na środku pokoju, dawny rzeźmieszek wyszeptał:

– Odwagi, pani Katarzyno! Pewnego dnia odnajdziesz swe szczęście... będziesz taka szczęśliwa, że zapomnisz o wszystkich czarnych godzinach!

Katarzyna powoli odwróciła się w stronę Jossego. Powiedział coś, czego bardzo potrzebowała. Spojrzawszy na twarz swego towarzysza wyczytała w jego oczach prawdziwą, szczerą przyjaźń. Taką, jaką mężczyzna może dać drugiemu mężczyźnie. Dzięki tej przyjaźni los uczynił ich prawdziwymi towarzyszami walki, co dawało poczucie bezpieczeństwa i pewności.

– Dziękuję ci, Josse! – powiedziała z uśmiechem.

Rozdział ósmy

WIOSENNA NOC

W długich i cienkich palcach don Alonsa lśnił tajemniczy szmaragd, rzucając w płomieniu łuczywa blaski, które arcybiskup podziwiał z prawdziwym upojeniem. Bez końca bawił się klejnotem, a na widok roztaczanych przez niego niebieskozielonych iskier wykrzykiwał w najwyższym zachwycie. Przemawiał do niego jak do kobiety słowami miłości, których Katarzyna słuchała ze zdziwieniem.

„Piękności mórz głębokich, cudzie dalekiej krainy, gdzie oczy bóstw błyszczą twoim tajemniczym blaskiem! O, niezrównany szmaragdzie! Czyż jest klejnot piękniejszy od ciebie, bardziej pociągający, bardziej sekretny i niebezpieczny? Gdyż mówi się, że jesteś przewrotny i złowrogi...”

Nagle arcybiskup odwrócił się w stronę Katarzyny i siłą włożył jej pierścień do ręki.

– Zatrzymaj go! Schowaj! Nie wolno mnie kusić tak pięknym klejnotem, gdyż wobec niego staję się bezwolny.

– Miałam nadzieję – wyszeptała Katarzyna – że Wasza Wielbność przyjmie go w podzięcie za wyleczenie mojego przyjaciela i za wszystkie dowody gościnności.

– Byłbym podły i niegodny swego nazwiska, moja droga, gdybym nie ofiarował jednego i drugiego tak szlachetnej damie. Mój honor nie zniósłby żadnej zapłaty. A ten klejnot byłby iście królewską zapłatą, gdyż nosi herb królowej...

Katarzyna z westchnieniem zawodu włożyła pierścień na palec. Zdecydowała się podarować go don Alonsowi w nadziei, że ten pokaże jej kolekcję pilnowaną przez Fray Ignacia. Mijał już bowiem dziesiąty dzień, od kiedy przybyli do Koki, a jej nie udało się ponownie ujrzeć tej niepokojącej twarzy. Fray Ignacio zniknął, jakby pochłoneły go czerwone mury twierdzy. Czowała, że z każdym dniem pożera ją coraz większa ciekawość. Musi się dowiedzieć prawdy! I to za wszelką cenę! Lecz co powiedzieć don Alonsowi? Jaki powód wymyślić?

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł i z braku lepszego, nie zastanawiając się, postanowiła zamienić go w czyn. Musiała pod jakimś pozorem dostać się do sekretnych apartamentów alchemika! Obracając pierścień wokół palca, wyszeptała utkwivszy wzrok w kamieniu:

– Oczywiście, ten kamień jest może niedoskonały... niegodny, bez wątplenia, by znaleźć się wśród pereł twojej kolekcji... o której się powiada, że nie ma sobie równej!

Twarz arcybiskupa pokraśniała z dumy. Uśmiechnął się zyczliwie do Katarzyny i rzucił gorączkowo:

– Istotnie, moja kolekcja jest piękna! A czy nie ma sobie równej?... Nie sądzę. Są księżęta ukrywający większe skarby, lecz i mój wart jest tego, żeby go zobaczyć. Mogę cię zapewnić, że nie pogardziłbym twoim klejnotem, broń mnie Panie Boże! Jeśli odmawiam przyjęcia go, to tylko z przyczyn, o których już ci wspomniałem, nie zaś z żadnych innych! Chcesz dowodu: oto on. Jeśli zechcesz

mi sprzedać swój pierścień, z radością go od ciebie kupię!

– Dostałam go w prezencie – westchnęła Katarzyna, widząc, że szanse na wejście do imperium alchemika maleją – i nie mogłabym go sprzedać.

– To oczywiste. Co zaś się tyczy mojej kolekcji, z radością ci ją pokażę... żebyś mogła porównać i przekonać się, jak bardzo twój pierścień pasowałby do niej.

Katarzyna wstrzymała okrzyk radości i pośpiesznie ruszyła za don Alonso poprzez labirynt korytarzy i komnat zamku. Arcybiskup prowadził ją schodami wiodącymi do piwnic. Małe drzwi w sali przyjęć pokryte niebieskimi kafelkami prowadziły do krętych schodów zagłębiających się we wnętrzu ziemi. Schody te musiały być często używane, gdyż oświetlały je liczne łuczywa. Były szerokie i wygodne, a jedwabny sznur przymocowany do muru pozwalał oprzeć rękę. Ściany były pokryte haftowanymi tapetami. Weszli do komnaty, której przepych zapierał dech w piersi. W oczy rzucały się drogocenne dywany, brokatowe poduchy zaścielające krzesła i pozłacany stół, na którym stały czary wysadzone drogimi kamieniami. Na posadzce z czerwonego marmuru zalegały jedwabne dywany sprowadzone z dalekiego Cathay. Sądząc po ilości złożonych świeczników, w których płonęły setki długich, białych świec, don Alonso musiał często odwiedzać to pomieszczenie, zaglądać do tego czy innego kufra z pachnącego drewna sandałowego lub cedrowego, wysadzanego złotymi ćwiekami i zaopatrzonego w mocne zamki z brązu.

W głębi komnaty Katarzyna zauważyła duży, ceglany piec, na którym stała wysoka retorta, wypełniona zieloną, bulgocącym cieczą. Była ona połączona za pomocą węża z wielkim, miedzianym zbiornikiem, z którego dobywały się jakieś opary: z pewnością było to laboratorium alchemika. Serce Katarzyny zaczęło bić jak szalone, a w ustach zrobiło jej się sucho, kiedy w cieniu wąskiej kolumny z zielonego marmuru odkryła surową sylwetkę Fray Ignacia. Tajemniczy mnich stał przed jednym z otwartych kufrów, badając wnikliwie topaz wyjątkowej wielkości i niezwykłego koloru. Był tak tym pochłonięty, że nawet nie zauważył ich wejścia do skarbcza. Dopiero kiedy don Alonso położył mu dłoń na ramieniu, mnich ocknął się i odwrócił głowę w stronę przybyłych. Na jego twarz padł blask łuczywa. Nie miała już żadnych wątpliwości! To był Garin de Brazey!

Katarzyna zeszywniała, a na jej skroniach zaperliły się kropelki potu. Starając się ukryć emocje, kurczowo zacisnęła dłonie. Don Alonso, całkowicie tego nieświadom, rozmawiał z Fray Ignaciem, a po chwili odwrócił się do swojego gościa i rzekł:

– Oto Fray Ignacio, pani Katarzyno. To nieoceniony człowiek, a zarazem święta dusza, chociaż przez swoje alchemiczne doświadczenia zyskał sobie u innych mnichów opinię czarownika. U mnie natomiast znalazł spokój i skupienie potrzebne do pracy, a także odpowiednie środki. Nie znam nikogo, kto znałby się na kamieniach tak jak on. Pokaż mu swój pierścień, pani.

Katarzyna, schowana dotąd za kolumną, zbliżyła się kilka kroków i stanąwszy w kręgu światła odważnie podniosła głowę, by spojrzeć mnichowi prosto w twarz. Chociaż strach ścisnął jej serce, kiedy jedyne oko Fray Ignacia spojrzało na nią, nie pokazała po sobie niczego. Przyglądała się tej twarzy wyłaniającej się z nicości z dziką zachłannością, spodziewając się zaskoczenia,

może niepokoję?..

Jakież było jej zdziwienie, kiedy zamiast oczekiwanej gwałtownej reakcji Fray Ignacio z surową poprawnością schylił przed nią głowę, nie zdradzając żadnych oznak, że rozpoznał żonę.

– No więc? – zniecierpliwił się don Alonso. – Pokaż mi szmaragd! Katarzyna podniosła posłusznie drobną dłoń zakrytą w połowie rękawem z białej satyny i wyciągnęła szmaragd w stronę światła, cały czas nie spuszczając oczu z mnicha. Ten, bez najmniejszej emocji, ujął jej wyciągniętą dłoń, by przyjrzeć się klejnotowi. Jego palce były suche i ciepłe. Katarzyna czując ich dotyk zdrzała. Fray Ignacio spojrział na nią pytająco, lecz natychmiast wrócił do swych oględzin, które musiały wypaść pozytywnie, gdyż z satysfakcją kiwnął głową, co doprowadziło napięcie Katarzyny do zenitu. Czyżby ten człowiek był niemy? Kiedy wreszcie usłyszysz jego głos?!

– Czyż nie mówiłem, że niesłusznie obawiasz się, iż szmaragd jest niedoskonały? – rzucił wesoło don Alonso.

– A czy Fray Ignacio sam nie mógłby czegoś powiedzieć? A może jest niemy? – spytała niecierpliwie.

– Nie jest niemy, lecz nie mówi w twoim języku. W istocie, na pytanie swego pana Fray Ignacio odpowiedział powoli i poważnie, głosem, który mógł być głosem Garina zniekształconym przez użycie języka obcego lub przez siłę woli albo... głosem kogoś zupełnie innego.

– Pokażę ci moje szmaragdy! – powiedział arcybiskup. – Prawie wszystkie pochodzą z Djebel Sikait i są niezmiernie piękne!

Skierował się w stronę kufra stojącego na środku pokoju, zostawiając Katarzynę samą na samą z jednookim mnichem. Katarzyna nie potrafiła dłużej powstrzymać palącego ją pytania.

– Garin... – wyszeptała – czy to ty? Odpowiedz mi, na litość boską! Przecież mnie rozpoznałeś! Nie udawaj, że nie wiesz, kim jestem!

Mnich popatrzył na nią ze zdziwieniem. Jego zaciśnięte usta rozszerzyły się w smutnym uśmiechu. Przecząco pokręcił głową.

– No comprendo...!* [*No comprendo, *hiszp.* – nie rozumiem.] – wyszeptał i natychmiast wrócił do swego topazu.

Katarzyna ruszyła za nim, jakby i ona chciała przyjrzeć się bliżej imponującemu klejnotowi. Jedwab jej sukni musnął surowy habit mnicha. Zbierało się jej na gniew. Nawet z bliska podobieństwo było uderzające! Mogłaby przysiąc, że ten człowiek to Garin... chociaż miał takie powolne ruchy i mówił z taką powagą w głosie, która mogła zmylić.

– Popatrz na mnie! – rzuciła błagalnie. – Nie udawaj, że nie wiesz, kim jestem. Przecież nie zmieniałam się do tego stopnia! Dobrze wiesz, że to ja, Katarzyna!

Wszystko na próżno. Tajemniczy mnich cofnął się przed natarciem i przecząco kręcił głową. Tymczasem don Alonso zachęcał ją do podziwiania klejnotów, które wyjął ze skrzyni. Fray Ignacio ze stoickim spokojem włożył ogromny topaz do małego kuferka, jakby zapominając o niezwykle goście. Żaden gest, najlżejsze drżenie nie zakłóciło pewności jego ruchów.

Katarzyna patrzyła na klejnoty arcybiskupa, nie widząc żadnego z nich i kierując całą uwagę na tajemniczą sylwetkę, starając się zauważyć jakiś ruch,

wyraz twarzy czy spojrzenie, które pozwoliłoby jej odnaleźć klucz do tej żywej zagadki. Niestety! Fray Ignacio wrócił do pracy, jakby był zupełnie sam. A kiedy Katarzyna i don Alonso opuszczali skarbiec, skinął jedynie głową podobnie jak na przywitaniu.

– Odprowadzę cię, pani, do twoich apartamentów! – zaproponował uprzejmie arcybiskup.

– Nie, dziękuję waszej wysokości. Chciałabym przed udaniem się na spoczynek dowiedzieć się o zdrowie mojego sługi. – Już miała się oddalić, lecz nagle zawahała się. – Chciałabym jeszcze dowiedzieć się jednego: Fray Ignacio wydaje się niezwykłym człowiekiem. Czy od dawna pilnuje skarbcza?

– Od jakichś siedmiu czy ośmiu lat – odpowiedział don Alonso. – Moi ludzie znaleźli go umierającego z głodu na drodze. Został wyrzucony z klasztoru w Nawarze z powodu swoich alchemicznych praktyk. Już pani mówiłem: uważali go tam za czarownika... a zresztą, czyż nie jest nim w pewnym sensie? Lecz jakie to ma dla pani znaczenie? Zostawiam cię teraz. Czuję się bardzo zmęczony.

Katarzyna zauważyła, że oglądanie skarbów wzmogło nerwowość arcybiskupa, gdyż kiedy się oddalał, jego tiki były bardziej widoczne niż zazwyczaj.

Ostatnie słowa arcybiskupa dźwięczały jeszcze w jej głowie. Wytarła spocone czoło drżącą ręką. Siedem czy osiem lat!... A Garin został powieszony dziesięć lat temu. Czy jakimś cudem dostał się do klasztoru w Nawarze, z którego go wyrzucono? Czy może nigdy nie było żadnego klasztoru? A zresztą to osądzenie o czary nie pasowało do Garina. Owszem, kochał klejnoty i w tym był podobny do mnicha, lecz w ich domu nigdy nie było żadnego laboratorium. Czy należało wnioskować, że poświęcił się alchemii po stracie fortuny? Znaleźć słynny kamień filozoficzny, co za pokusa dla człowieka, którego wszystkiego pozbawiono!

Nagle Katarzyna otrząsnęła się ze swych myśli i ruszyła w stronę wieży, udając, że nie widzi Tomasza, który nagle pojawił się na dziedzińcu. Od kiedy przyjechała do Koki, nieustannie napotykała na swej drodze ponurego pazia. Czy szła do kaplicy, czy do wieży, czy do innej części zamku, ciągle pojawiał się na jej drodze. Nigdy się do niej nie odezwał, tylko pożerał ją wzrokiem. Katarzyna, na którą źle działało jego zachowanie, postanowiła więcej nie zauważać jego obecności. Udała się więc do pokoju Waltera, nie oglądając się za siebie.

Normandczyk szybko wracał do zdrowia. Jego wrodzona siła w połączeniu z doskonałym jedzeniem i nienaganną czystością panującą w zamku pozwoliły mu przezwyciężyć śmiertelne niebezpieczeństwo, na jakie narażony był chory przy tego typu operacji. Niestety, wszystkim wydawało się, że olbrzym stracił pamięć.

Odzyskał jasność widzenia, pełną świadomość, lecz tego wszystkiego, co się z nim działo, zanim po raz pierwszy otworzył oczy po operacji, nie pamiętał. Nie pamiętał nawet, jak się nazywa, co przyprawiło Katarzynę o czarną rozpacz. Kiedy mauretański medyk oznajmił, że Walter odzyskał świadomość, rzuciła się do niego, lecz jaki był jej smutek, kiedy przekonała się, że jej nie poznaje. Olbrzym patrzył na nią oczami pełnymi zachwyty, jednak wszystko wskazywało

na to, że nie wie, kim jest. Na próżno przemawiała do niego, powtarzała swoje imię. Olbrzym kręcił tylko głową.

– Przebacz, pani... – szeptał. – Jesteś piękna jak poranek, niestety nie wiem, kim jesteś... skoro nie wiem nawet, kim jestem ja sam – dodał ze smutkiem.

– Nazywasz się Walter Malencontre. Jesteś zarazem moim sługą i przyjacielem. Czyżbyś o wszystkim zapomniał? O naszych znojach, o Montsalvych, o Michale, o Sarze... i o panu Arnoldzie?

Wymawiając imię męża, Katarzyna wybuchnęła szlochem, lecz we wzroku olbrzyma nie pojawiła się żadna iskierka pamięci. Znowu potrząsnął głową.

– Nie, niczego nie pamiętam!

Wtedy Katarzyna odwróciła się w stronę Hamzy, który z pewnej odległości obserwował scenę.

– Czy nic nie da się zrobić? – spytała rzucając na niego błagalne spojrzenie.

Medyk skinął na nią, by się zbliżyła, po czym wyprowadziwszy ją z pokoju, powiedział:

– Niestety, nic więcej nie mogę uczynić. Jedyne natura może wrócić mu pamięć.

– W jaki sposób?

– Musi przeżyć szok. Miałem nadzieję, że będzie nim spotkanie z tobą, ale tak się nie stało.

– A przecież był do mnie bardzo przywiązany... Mogę nawet powiedzieć, że chyba skrycie kochał się we mnie...

– Spróbuj więc obudzić na nowo tę miłość. Może zdarzy się cud, a może też nigdy nie nastąpi. Wtedy ty staniesz się jego pamięcią i będziesz musiała nauczyć go wszystkiego o jego przeszłości.

Katarzynie dźwięczały te słowa w uszach, kiedy wchodziła do małego pokoju oświetlonego jedną świecą. Walter siedząc przy oknie patrzył w niebo. Gdy weszła, odwrócił głowę, ukazując twarz napiętowaną cierpieniem. Pomimo wychudzenia, jego sylwetka pozostała nadal imponująca. Ongiś Katarzyna często powtarzała mu w żartach, że wygląda jak machina obłącznicza. Teraz, kiedy już nie leżał w łóżku, pokój wydawał się dla niego za ciasny.

Chciał wstać, lecz Katarzyna powstrzymała go, kładąc rękę na jego kościstym ramieniu.

– Nie... nie ruszaj się! Dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Nie chce mi się spać. Duszę się w tym pokoju! Jest taki mały.

– Długo tu nie zostaniesz. Jak tylko nabierzesz sił i będziesz mógł wsiąść na konia, ruszymy w drogę.

– My?... To znaczy, że zabierzecie mnie z sobą?

– Zawsze jeździłeś ze mną – odpowiedziała smutno Katarzyna. – Było to dla ciebie naturalne... Czy nie chcesz więcej mi towarzyszyć?

Walter milczał i serce Katarzyny ścisnęło się boleśnie. A jeśli odmówi? Jeśli wybierze inną drogę? Ponieważ nic nie pamiętał, w tej chwili nie była dla niego nikim więcej, jak tylko ładną kobietą. A nigdy, tak jak teraz, nie potrzebowała jego siły i jego obecności. Zawsze oddzielała ją od cierpienia

szeroka pierś Waltera. Czy dlatego wyrwała przyjaciela z objęć śmierci, by stracić go na zawsze? Do jej oczu napłynęły łzy.

– Nie odpowiedziałeś... – powiedziała ochryłym głosem.

– Bo sam nie wiem... Jesteś, pani, taka piękna, że chciałbym iść za tobą... jak za gwiazdą. Lecz jeśli chcę odnaleźć swoją przeszłość, może trzeba, żebym odszedł sam. Coś mi mówi, że zawsze byłem sam i że powinienem zostać sam...

– To nieprawda! Nie opuszczałeś mnie przez trzy lata. Razem walczyliśmy, razem broniliśmy się, razem cierpieliśmy, uratowałeś mi życie wiele razy! Co pocznę, jeśli mnie opuścisz? – Opadła ciężko na łóżko, uginając się pod ciężarem rozpacz. Ukrywszy twarz w drżących dłoniach, wyszeptała z boleścią:

– Błagam cię, Walterze! Nie opuszczaj mnie! Bez ciebie jestem zgubiona... zgubiona...

Gorzkie łzy popłynęły po jej policzkach. Poczowała się okropnie samotna, opuszczona przez wszystkich. A na dodatek ten mnich, ten żywy koszmar nawiedzający mury tego zamku, tęsknota za dzieckiem, za krajem. Była też zazdrość, która ją dręczyła za każdym razem, gdy wspomniała o mężu. A teraz Walter chciał się od niej odwrócić; to było więcej, niż mogła znieść.

– Nie płacz, pani – rzekł Walter. – Jeśli sprawia ci to taką przykrość, to pójdę za tobą!

Katarzyna uniosła mokrą od łez twarz z oczami pałającymi gniewem:

– Czy to ma być litość czy rezygnacja? Przecież kiedyś kochałeś się we mnie, człowieku! Żyłeś tylko dla mnie, tylko przeze mnie!... Jeśli szwankuje ci pamięć, to przynajmniej serce powinno podpowiedzieć ci prawdę!

Walter pochylił się nad jej słodką, mokrą od łez twarzą.

– Tak bardzo chciałbym sobie przypomnieć! – westchnął smutno. – Kochać ciebie to musi być łatwe... Jesteś taka piękna! Jakbyś była ulepiona ze światła. Twoje oczy są słodsze niż noc...

Nieśmiało ujął Katarzynę za podbródek, żeby spojrzeć w fiołkowe oczy, błyszczące od łez. Kiedy jego twarz znalazła się blisko jej twarzy, przypomniała sobie głos Hamzy szepczący: „Spróbuj wzbudzić w nim miłość...” I wówczas, nie mogąc opanować impulsu, wyszeptała:

– Pocałuj mnie... Walter zawahał się. Wtedy ona przywarła do jego ust, oplatając mocną szyję ramionami. Zaciśnięte usta Waltera nie odpowiedziały od razu na pieśczętę, jakby wahając się nad brzegiem rozkoszy. Po czym nagle Katarzyna poczuła, że jego usta ożyły, że stały się gorące i brutalne i że Walter ścisnął ją w swych ramionach. Spleceni potoczyli się na łożo.

Katarzyna poczuła budzące się pożądanie, które przyszło jak burza w jej zbyt długo uśpionym ciele. Zawsze darzyła Waltera głęboką czułością, a przed chwilą, podając mu usta, myślała tylko, że musi spowodować wstrząs, który przywróciłby mu pamięć. Jednak w miarę jak budziło się pożądanie w tym ciele przyciśniętym do jej ciała, w niej także zrodziło się pożądanie. Przez jej mózg przebiegła jak błyskawica myśl o mężu, lecz odepchnęła ją z gniewem. Nie, nawet obraz męża nie powstrzyma jej! A czyż jego powstrzymał obraz ich miłości przed oddaniem pocałunków i uścisków obcej kobiecie? Nadeszła pora zemsty, potęgująca uczucie oczekiwanej rozkoszy. Czowała niewprawne ręce Waltera szamocące się ze skomplikowanym zapęciem jej sukni. Odepchnęła go

łagodnie.

– Poczekaj! Nie śpiesz się tak!

Zgrabnym ruchem bioder wyprostowała się i wstała. Skąpy blask świecy wydał się jej niewystarczający. Nie chciała oddać się ukradkiem, w ciemności. Chciała dużo światła, na twarzy i na ciele, kiedy będzie ją posiadał... Chwyciwszy świecę, pobiegła zaświecić dwa kandelabry stojące na kufrze przy ścianie. Walter siedząc na brzegu łoża przyglądał się jej, nie rozumiejąc, co czyni.

– Po co to wszystko? Chodź do mnie... – prosił wyciągając niecierpliwe ręce, gotowy rzucić się na nią.

Katarzyna jednak powstrzymała go wzrokiem.

– Zaczekaj – powiedziała, po czym chwyciwszy leżący na stole nóż, jednym ruchem rozcięła sznurówki sukienki i zrzuciła ją z radosnym pośpiechem, następnie pozbyła się halki z białej satyny i cienkiej koszulki. Walter śledził chciwie każdy jej ruch, ześlizgując się wzrokiem po nagim ciele Katarzyny. Czują jego płonące spojrzenie na swych piersiach, na brzuchu i udach, rozkoszując się nim jak pieczętą. Kiedy opadła z niej ostatnia sztuka bielizny, przeciągnęła się jak kot w ciepłym świetle świec, wskoczyła do łóżka i otworzywszy ramiona wyszeptała:

– A teraz chodź! Wtedy Walter skoczył...

– Katarzyno...! – krzyknął w chwili największej rozkoszy, a teraz, dysząc, patrzył rozwartymi oczami na słodką twarz, którą trzymał w dłoniach.

– Katarzyno – powtórzył. – Pani Katarzyno! Czy ja śnię?

Fala radości zalała Katarzynę. Hamza miał rację! Obudzona miłość uczyniła cuda... Mężczyzna, którego obejmowała, nie był już obcym człowiekiem, ciałem o nieobecnej duszy. Znowu był sobą... a ona już dawno nie czuła się taka szczęśliwa. Teraz chciał się odsunąć, lecz ona mocniej przyciągnęła go do siebie.

– Zostań!... Tak, to ja... To nie sen, ale nie opuszczaj mnie!... Później ci wyjaśnię! Zostań i kochaj mnie... Tej nocy należę do ciebie.

Walter na powrót oddał się pieczętom. Spełniło się jego stare marzenie, by zdobyć tę uwielbianą kobietę. Upajał się nią jak mocnym winem z zachłannością człowieka, który cierpiał z pragnienia przez wiele nie kończących się dni. A Katarzyna, szczęśliwa i zaspokojona, oddawała się z niekłamanym entuzjazmem huraganowi namiętności.

W środku nocy zdarzyło się jednak coś dziwnego. W pewnej chwili zdawało się jej, że ktoś próbuje otworzyć drzwi. Wyprostowała się, nasłuchując przez chwilę i dając znak Walterowi, by nic nie mówił. Świece dogasały, ale dawały dosyć światła, by stwierdzić, że drzwi się nie ruszają. Nie było słyhać żadnego dźwięku... Wreszcie Katarzyna pomyślała, że coś się jej przywidziało, i z powrotem przytuliła się do kochanka.

Walter zasnął nad ranem. Zapadł w ciężki, głęboki sen, wypełniając wieżę potężnym chrapaniem. To były istne trąby triumfalne. Katarzyna patrzyła, jak śpi spokojny i odprężony z półotwartymi, miękkimi ustami. Jego potężne, leżące bezwładnie w poprzek skotłowanego łóżka ciało miało w sobie coś dziecięcego. Poczwała głęboką czułość. Jego miłość do niej, wiedziała o tym, była wyjątkowej

jakości. Walter kochał ją dla niej samej, niczego nie żądając dla siebie, i ta miłość rozgrzała jej zziębnięte serce.

Pochyliwszy się nad śpiącym, pocałowała go w zamknięte powieki, następnie szybko założyła ubranie, zamierzając wrócić do swych apartamentów przed świtem. Nie było to łatwe; rozcięte sznurówki sukienki nie dawały się związać, jednak w końcu jakoś się z tym uporała. Wyślizgnęła się na zewnątrz bez butów, żeby nikogo nie zbudzić i zesłała na palcach po kamiennych schodach. Nad zamkiem pojaśniało już niebo. W korytarzach, jedno po drugim, dogasały łuczywa, wydzielając kłęby dymu. Tu i ówdzie spali strażnicy oparci na pikach. Wreszcie dotarła do swej komnaty i z rozkoszą wsunęła się do czystej pościeli, zrzuciwszy sukienkę, którą przez całą drogę musiała przytrzymywać rękami. Czuła miłe zmęczenie po płomiennej nocy, jednocześnie pozbyła się majaków i była prawie szczęśliwa. Oczywiście, nie było to wspaniałe upajające uniestwienie, jakie tylko Arnold potrafił jej dać. W ramionach jedyne go mężczyzny, jakiego kiedykolwiek kochała, Katarzyna zapominała o całym świecie, rezygnowała z własnej osobowości i własnej woli, tworząc z nim jeden umysł i jedno ciało. Jednak tej nocy jej czułość dla Waltera, jej gorące pragnienie, by wyrwać przyjaciela ze szponów niepamięci i bolesny głód własnych zmysłów zastąpiły doskonale prawdziwą pasję. Odkryła, jak wielkie uspokojenie dla ciała i ducha może dać kobiecie mężczyzna zakochany i gorący... tak że nawet niepokojący obraz Fray Ignacia rozmył się i prawie przestał się liczyć.

Katarzyna nie chciała myśleć, jakie zmiany przyniosą najbliższe dni po wypadkach ostatniej nocy. Nie teraz... Później... Jutro! Na razie była taka zmęczona, zmęczona... Tak bardzo chciało jej się spać! Jej powieki opadły i wkrótce pogrążyła się w błogim niebycie.

Kiedy już smacznie spała; zbudził ją lekki dotyk ręki przebiegający po piersiach i udach. Było jeszcze dosyć wcześnie. Za oknem zaledwie wstawał dzień. Rozchyliwszy nieco powieki ujrzała siedzącą na brzegu łóżka postać. Nie mogła jej rozpoznać. Jednak świeżość poranka i coraz bardziej natarczywy dotyk dłoni brutalnie przywróciły jej świadomość. Zerwana z łóżka pościel i nakrycia leżały na podłodze, odkrywając jej nagie, drżące ciało. Równocześnie postać poruszyła się, pochylając się nad nią. Z przerażeniem ujrzała twarz Tomasza de Torquemady, choć z trudem można było go rozpoznać, gdyż w tej chwili przypominał demona. Z wytrzeszczonymi oczami i pianą na wargach zgrzytał zębami. Chciała krzyknąć, lecz brutalna ręka zatkała jej usta. Chciała ją zerwać. Na próżno. Gwałtowny cios kolana zmusił jej nogi, by się rozwarły, a nagie, pokryte zimnym i lepkiem potem ciało zważyło się na nią.

Nieprzytomna z obrzydzenia, starała się odepchnąć pazia, lecz ten wymierzył jej taki policzek, że aż jęknęła.

– Po co to udawanie, nierządnicu!... – syknął tuż nad jej uchem. – Widziałem cię tej nocy w wieży z twoim sługą! Z jakąż rozkoszą mu się oddawałaś! Lubisz mężczyzn, nieprawdaż? No, dalejże, pokaż mi, co potrafisz!... Teraz moja kolej... Pocałuj mnie, mała ladacznico!

Swoje obelgi przerywał wilgotnymi pocałunkami, od których zrobiło się Katarzynie niedobrze. Stękał przy tym i sapał, co było równie odrażające.

Trzymając Katarzynę w żelaznym uścisku, starał się gorączkowo osiąść swoją ofiarę, ale nie udawało mu się. To gryzł jej usta, to przyciskał je kościstą ręką. Katarzyna wyteżyła wszystkie siły, by odepchnąć to wilgotne obrzydlistwo, ten koszmar wywołujący mdłości. Demon rozpusty, jaki opanował chłopca, był gorszy i bardziej odpychający niż sam Gilles de Rais.

Kiedy jego ręka znów ciężko opadła na jej usta, Katarzyna z wściekłością wbiła weń zęby; Tomasz krzyknął i odruchowo wyszarpnął rękę. To wystarczyło, by krzyknęła z całych sił, by zawyła jak ranne zwierzę... Tomasz zaczął okładać ją na oślep, lecz nie potrafił jej uciszyć i sam teraz krzyczał głośniejsze niż ona, opanowany gorączką nienawiści. Na wpół ogłuszona Katarzyna usłyszała walenie do drzwi, a potem trzask łamanego drewna i pęknięcie zamków, które z hukiem potoczyły się po posadzce. Zobaczyła Jossego odrzucającego precz potężny pał, którym wyważył zamknięte przez Tomasza na klucz drzwi. Stary włóczykij rzucił się na łożo, chwycił Tomasza i zaczął go okładać bez opamiętania. Schowana za zasłonami łoża Katarzyna zamknęła oczy, słysząc tylko głuche dudnienie pięści Jossego i stek najoryginalniejszych paryskich obelg.

Jeszcze ostatni cios pięści, ostatni kopniak wymierzony w chudy tyłek młodego satyra i Tomasz, nagi jak go pan Bóg stworzył, wyleciał z hukiem na korytarz. Zaledwie dotknął posadzki, zerwał się jak oparzony i uciekł w popłochu. Tymczasem Josse wskazał Katarzynę służącym, które przybiegły usłyszawszy krzyki.

– Zajmijcie się panią Katarzyną. Ja tymczasem udam się do don Alonsa, żeby mu powiedzieć, co myślę o jego cennym paziu! Czy kto kiedy widział podobne śmierdzące ścierwo? Nic ci się nie stało, pani? Walił na oślep, kiedy przybiegłem.

Spokojny głos Jossego dodał Katarzynie odwagi.

– Muszę mieć spore siniaki – odparła, siląc się na uśmiech. – Ale to nic... Dziękuję ci, Josse! Nie wiem, co by się stało, gdyby nie ty... Co za koszmar! Taki młody chłopiec! Nieprędko uda mi się to zapomnieć... – dodała tłumiąc łzy.

– Młodość nie ma tu nic do rzeczy! – odparł Josse. – Myślę, że ten Tomasz jest opętany przez szatana. Wystarczy na niego spojrzeć, aby domyślić się, że ma okrucieństwo we krwi... i niezłe zadatki na zboczeńca. Współczuję klasztorowi, do którego chce wstąpić... współczuję samemu Panu Bogu! Co za przeraźliwy sługa!

Josse zamyślił się, zmarszczył brwi i dodał:

– Spuściłem paziowi porządne lanie, pani Katarzyno, lecz myślę, że co rychlej musimy stąd wyjeżdżać. Jak tylko Walter dojdzie do siebie...

– Sądzę, że już doszedł do siebie – przerwała Katarzyna. – Odzyskał pamięć.

Josse uniósł brwi, rzucając na nią spojrzenie pełne szczerzego zdziwienia.

– Wyzdrowiał?... A jeszcze wczoraj, kiedy poszedłem do niego przed gaszeniem świateł, był ciągle w takim samym stanie.

– Tej nocy zdarzył się cud – powiedziała Katarzyna i czując, że się czerwieni, odwróciła głowę.

Nastąpiła chwila ciszy, która spotęgowała zmieszanie Katarzyny.

– Chyba że tak! – powiedział w końcu Josse. – Więc będziemy mogli ruszyć wkrótce w dalszą podróż.

Po czym spokojnie opuścił komnatę, pozostawiając Katarzynę w rękach służących.

Godzinę później don Alonso kazał zaanonsować się u Katarzyny. Był niezwykle wzburzony. Jego piękne ręce drżały, a głęboki głos co chwilę przechodził w pisk. Przeprosiny gospodarza były wylewne, lecz mało zrozumiałe, Katarzyna domyśliła się jednak, że arcybiskup zamierza pozbyć się Tomasza.

– Ten przykry incydent każe mi się zdecydować, przyjaciółko. Jutro odeślę tego nicponia do klasztoru dominikanów w Segowii, ponieważ tak mu do tego pilno! I niechaj pobożni ojcowie mają się na baczności!

– Ja także, Wasza Wielbność, chciałabym jutro odjechać, jeśli pozwolisz.

– Jakże to? Tak szybko? A twój sługa?

– Jest w stanie podjąć trud podróży wraz z nami. Będę ci dozgonnie wdzięczna za twoją dobroć, za szczodrość...

– No, no... moja droga. Nie trzeba...

Przez chwilę przyglądał się młodej niewieście. Ubrana w czarną sukienkę zakrywającą jej szyję aż do podbródka i dłonie aż po same palce, siedziała w wysokim, prostym krześle, wydając się wcieleniem godności i wdzięku. Arcybiskup uśmiechnął się do niej po ojcowsku.

– A więc, odtruwasz, piękna ptaszyno! Będę za tobą tęsknić! Twoja obecność była jak promień słoneczny w tym ponurym zamku... Cóż... Takie jest życie. Dopilnuję przygotowań do podróży.

– Wasza Wielbność, dziękuję za tyle dobroci... – powiedziała Katarzyna, chcąc ukryć wzruszenie.

– Dobroć nie ma tu nic do rzeczy – odparł don Alonso z uśmiechem. – Wiesz przecież, że jestem starym estetą, zakochanym jedynie w pięknie i harmonii. Kiedy pomyślę, że taka dama jak ty podróżowała w zwykłym wozie wypełnionym sianem, dostaję gęziej skórki! Chyba nie chcesz, by do końca życia dręczyły mnie wyrzuty sumienia i koszmarne sny?

Zamiast odpowiedzieć, Katarzyna osunęła się na kolana i ucałowała z szacunkiem pierścień arcybiskupa. Jego dumną twarz przeszył dreszcz emocji. Uczynił nad głową klęczącej szybki znak błogosławieństwa, po czym położywszy na niej swą dłoń, rzekł:

– Nie wiem dokładnie, w jakie strony się udajesz, moje dziecko, i nie pytam o to. Jednak... intuicja podpowiada mi, że idziesz na spotkanie niebezpieczeństwa. Pamiętaj w ciężkich chwilach, że masz tutaj dom i przyjaciela i że jeden i drugi zawsze przyjmą cię z otwartymi ramionami – dodał, wycierając głośno nos, by ukryć wzruszenie, po czym z głośnym szelestem purpurowych szat Jego Wielbność arcybiskup Sewilli oddalił się, uprzedzając, że idzie wydać rozkazy, i zakazując Katarzynie mieszać się do przygotowań... Oznajmił tylko, że za dwie godziny pragnie spotkać się z nią przy posiłku.

Kiedy zniknął, Katarzyna ruszyła zwawo ku wieży. Śpieszno jej było

ujrzeć Waltera, a jednocześnie czuła się zawiedziona, że ten do tej pory nie starał się z nią spotkać. A może jeszcze spał? Unosząc suknię obiema rękami, szybko wspięła się po stromych schodach, popchnęła nie domknięte drzwi i stanęła naprzeciw przyjaciela. Siedział na brzegu łóżka z głową schowaną w dłoniach i nie było widać, czy myśli, czy śpi, czy może płacze. Z jego wyglądu przebijało straszne przygnębienie, co Katarzynę zbiło z tropu. Spodziewała się zastać go szczęśliwego i radosnego. A tymczasem było na odwrót.

Katarzyna przywarła do olbrzyma i objęła swymi dłońmi jego ręce. Były wilgotne.

– Walterze! – jęknęła z przejęciem. – Co ci jest?

Walter podniósł głowę, a na jego zalanej łzami twarzy malowało się niedowierzanie i rozpacz. Spojrzał na Katarzynę, jakby była zjawą.

– Mój Boże! – wybuchnęła gotowa do płaczu. – Nie strasz mnie!

– A więc to nie był sen... – wybełkotał powoli. – To byłeś ty... Dziś w nocy to byłeś ty! Tyle dziwnych rzeczy działo się w mojej głowie od tak dawna... Dziwnych rzeczy... Nie wiedziałem, kiedy kończy się sen, a zaczyna jawa.

Katarzyna odetchnęła z ulgą. Już bowiem myślała, że jego choroba wróciła.

– Nie. Tej nocy – powiedziała łagodnie – stałeś się na powrót sobą. I... zostałeś też moim kochankiem – dodała szczerze.

Walter chwycił ją za ramiona, wpatrując się badawczo w śliczną buzię.

– Ale dlaczego? Dlaczego nagle wpadłeś w moje ramiona? Co się stało? Jak do tego doszło? Zostawiłem cię w Montsalvy i odnalazłem w... prawda, przecież nie wiem nawet, gdzie jesteście.

– W Koce w Kastylii. Na zamku arcybiskupa Sewilli, don Alonsa de Fonseci.

Walter powtarzał jak we śnie:

– W Koce... w Kastylii. Skąd się tu wzięliśmy? Tracę głowę! Nic nie rozumiem.

– A co dokładnie pamiętasz?

– Przypominam sobie jakąś bitwę. Rozbójnicy z lasu Oca, którzy mnie wzięli, zostali zaatakowani przez żołnierzy. Zostałem wzięty za jednego z bandytów. Broniłem się. Zostałem ranny. Dostałem cios w głowę. Myślałem, że pęknie mi czaszka. A potem... nic nie pamiętam. Chociaż nie... Było mi zimno i chciało mi się pić... Pamiętam też silny, przenikliwy wiatr...

Klatka – pomyślała Katarzyna, uważając, by nie wspominać o tym okropnym narzędziu tortur. Trzeba było jednak za wszelką cenę pomóc Walterowi w pełnym odzyskaniu pamięci.

– A w jaki sposób wpadłeś w ręce bandytów z Oca? Pewien florencki minstrel* [*Minstrel – średniowieczny wędrowny śpiewak i poeta.], którego spotkałam na drodze do Roncevaux, powiedział mi, że widział, jak zginąłeś z rąk górali z Nawarry. Widział na własne oczy, jak wrzucili twoje ciało w przepaść bez dna... i, szczerze mówiąc, myślałam, że nie żyjesz!

– Ja też tak myślałem. Byłem ranny. Napadli na mnie jak stado os. Zdarli ze mnie ubranie i strącili w przepaść. Powinienem skrócić sobie kark, ale Bóg czuwał nade mną. Spadłem na krzak, który złagodził siłę upadku, a kiedy

otrzeźwiałem, wisiałem nagi wśród gałęzi, trzęsąc się z zimna. Zapadała noc. Byłem słaby jak dziecko, jednak chciałem żyć.

Pomimo upływu krwi, nie straciłem głowy. Nie wiedziałem, co robić: wracać na drogę było zbyt niebezpiecznie. Mogli tam czekać moi napastnicy czyhający na następną ofiarę. Tym razem na pewno by mi nie przepuścili... Wisiałem więc tak, nie wiedząc, co czynić, kiedy pode mną, w dolinie, spostrzegłem jakieś światło. To mi dodało otuchy. Przekonany, że spotkam tam pasterzy lub drwali, zląłem powoli na dół, czepiając się skał i korzeni. Nie wiem, jak długo to trwało i jak udało mi się zejść na dół nie skręcając karku.

– I co, pasterze przyjęli cię i zaopiekowali się tobą?

– Przyjęli i zaopiekowali się, owszem... tyle tylko, że to nie byli pasterze!

– A kto taki?

– Ludzie rozbójnika panującego nad okolicą, niejakiego Viviena d'Aigremonta.

Katarzyna zmarszczyła brwi. Już raz słyszała to nazwisko. Wymawiali je z wielkim strachem mnisi z Roncevaux i okoliczni wieśniacy.

– Jak się im wywinąłeś?

– Właśnie, że się nie wywinąłem. Ten cały Vivien d'Aigremont to dzika bestia. Przyjął mnie tylko dlatego, że przedstawiałem w jego oczach wartość handlową! Zostałem wyleczony, a gdy tylko odzyskałem siły, skuto mnie łańcuchami, zawleczono do Pampeluny i sprzedano jak niewolnika! I to bardzo drogo, wierz mi! – dodał Walter z goryczą. – Kupił mnie biskup z tego miasta do pilnowania swej psiarni. Były to prawdziwe bestie, a największą z nich był ich pan. W dniu, kiedy rzucił im młodego chłopca na pożarcie, postanowiłem uciec. Nie było to łatwe. Nie znałem ani krainy, ani tego przeklętego języka. Niestety, ponownie wpadłem w szpony rozbójników z Oca i zostałem skuty łańcuchami. Wtedy na bandytów napadli żołnierze. Może z powodu mojej pokażnej postury zostałem wzięty za ich herszta. Zresztą, nic nie rozumiałem z tego, co mówili. Dalszy ciąg z pewnością znasz lepiej ode mnie...

– To prawda.

Katarzyna łagodnie pogładziła olbrzyma po szorstkiej twarzy.

– Okropnie cierpiałeś, Walterze, lecz ja byłam pewna, że śmierć nie da ci rady: jesteś niezniszczalny... jak nasza matka-ziemia.

– Nie, Katarzyno, jestem tylko człowiekiem, takim jak tysiące innych! – Zdjął dłoń Katarzyny ze swej twarzy i dodał: – A teraz ty...

Jeśli chcesz, żebym zrozumiał, musisz wszystko mi powiedzieć, wszystko – bez owijania w bawełnę, słyszysz?

Katarzyna przeniosła się na ławę przy oknie. Przecież nigdy nie zamierzała ukrywać przed nim prawdy. Nie dalej niż podczas ostatniej szalonej nocy obiecała mu: „Jutro wszystkiego się dowiesz!”

– Wszystkiego się dowiesz! Nie zamierzałam niczego przed tobą ukrywać! – powiedziała. – Tak więc, kiedy florencki minstrel opowiedział mi, że był świadkiem twojej śmierci...

Opowieść trwała długo. Katarzyna mówiła powoli, starając się niczego nie pominąć. Nie oszczędziła mu żadnego szczegółu. Po kolei, od ucieczki z Montsalvy, przez pielgrzymkę do Dziewicy z Puy, wędrówkę z pielgrzymami, spotkanie z Ermengardą i Jossem Rallardem, kradzież rubinów Świętej Foy,

następnie powiedziała o spotkaniu z Janem Van Eyckiem i liście od księcia Burgundii, o nienawiści Fortunata i ucieczce z Roncevaux z Jossem, wreszcie o uratowaniu Waltera w Burgos i o przyjeździe do czerwonego zamku arcybiskupa de Fonseca.

Walter słuchał uważnie, nie przerywając ani razu. Nie spuszczał też oczu z Katarzyny, jakby chcąc mieć pewność, że jej słowa zgadzają się z myślami. Kiedy skończyła, westchnął głęboko, wstał i podszedłszy do okna postawił nogę na zajmującej kąt pokoju ławie.

– Tak więc, pan Arnold jest więźniem Maurów! W jednej chwili fala zazdrości ogarnęła Katarzynę.

– Więźniem z własnej woli! Przecież ci powiedziałam, że poszedł za tą kobietą nie przymuszony przez nikogo! Powtórzyłam ci słowa Fortunata: „Niewierna jest piękna jak jutrzienka, a twój mąż zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia”.

– I ty w to uwierzyłaś? Ty, inteligentna kobieta? A więc przypomnij sobie o fanatycznym przywiązaniu Fortunata do swego pana! Przypomnij sobie o jego cotygodniowych wyprawach do przytułku dla trędowatych w Calves w deszcz i niepogodę! Ty nie wiesz, bo cię tam nie było, w jaką wpadł wściekłość, kiedy pan de Brézé przyjechał do Montsalvy i wszyscy myśleli, że wyjdiesz za niego! Wrzeszczał wtedy jak opętany, że drogo każe ci zapłacić za tę zdradę. Fortunat nienawidził cię, Katarzyno! Powiedziałyby cokolwiek, żeby cię zranić!

– Nie mógłby chyba kłamać do tego stopnia? Przecież przysiągł na zbawienie swej duszy, że Arnold trzyma teraz księżniczkę w ramionach!

Kto odważyłby się narażać własne zbawienie dla zaspokojenia zwykłej nienawiści?

– Więcej ludzi, niż ci się zdaje! W każdym razie, jest całkiem możliwe, że pan Arnold znalazł miłość, lecz czy możesz mieć pewność, że sam jest zakochany? A zresztą... – Walter wstał i zbliżywszy się do Katarzyny stanął przed nią. – Nie wyruszyłabyś, Katarzyno, w tę bezsensowną podróż, gdybyś nie miała nadziei. Wróciłabyś do Montsalvy, może na dwór królewski, gdzie pan de Brézé gotów jest paść ci do stóp... chyba że przypomniłabyś sobie o miłości księcia Filipa. Taka kobieta jak ty nigdy nie przyznaje się do przegranej, wiem to najlepiej! Nie uwierzę nigdy, że na zawsze straciłaś Arnolda!

– A może ja tylko mam zamiar wytknąć mu jego zdradę? Cieszyć się z jego zmieszania, rzucając mu prosto w twarz, że on, chrześcijanin i królewski kapitan, czołga się u stóp niewiernej!

Katarzyna poczerwieniała ze złości i wyglądała jak prawdziwy, nastroszony kogut.

– Nie rób ze mnie głupca, Katarzyno! Nie uwierzę, że udajesz się tam tylko po to, żeby zrobić scenę mężowi!

– A dlaczego nie?

– Bo to nie jest prawda! Ponieważ nigdy nie kochałaś innego, ponieważ usychasz z zazdrości, wyobrażając sobie Arnolda w ramionach innej i ponieważ nie ustanieś, nawet gdyby cię przypiekano rozpalonym żelazem, dopóki go nie odnajdziesz i... ponownie nie zdobędziesz!

– Tylko po to, by zapłacił za zdradę!

– A jakim prawem? A kto zdradził pierwszy? Chcesz, żebyśmy

porozmawiali o panu de Brézé? Żeby mówić z takim zapalem o twych wdziękach, musiał je dobrze znać! Gdybyś mu nie obiecywała, nie przypuszczałby, że oddasz mu rękę? A czy wtedy pomyślałaś o trędowatym nieszczęśniku z Calves i o tym, co poczuł, kiedy się o tym dowiedział. A dowiedział się od Fortunata, który niczego przed nim nie ukrywał. Gdybym to ja był na jego miejscu, chyba bym uciekł z przytułku, wyrwałbym cię z ramion twego pięknego kawalera i zabiłbym was oboje gołymi rękami, a potem sam skończyłbym ze sobą!

– Może dlatego, że mnie kochasz! – odparła gorzko Katarzyna. – Arnold nie rozumował tak jak ty...

– Bo on kochał cię jeszcze bardziej! Bardziej niż siebie samego, ponieważ zamknął się sam ze swoim cierpieniem, ażebyś ty mogła przeżyć nowe szczęście. Wierzaj mi, że płomień zazdrości, który cię spala, jest niczym w porównaniu z zazdrością, która musiała go pożerać w jego potwornej samotni.

Katarzyna zamknęła oczy i zadrżała.

– Zamilcz, na litość boską!

– Więc przestań okłamywać siebie i mnie! Dlaczego to robisz? Czy z powodu ostatniej nocy?

Otworzyła nagle oczy błyszczące od łez.

– Być może... Być może nie mam już ochoty jechać do Grenady!

– Od wielu dni walczysz sama z sobą – powiedział Walter ze zmęczeniem – raz gnana zazdrością do miasta, w którym żyje twój mąż, raz gotowa dać temu spokój, wrócić do syna i do spokojnego, bezpiecznego domu, do normalnego życia. A to, co się stało tej nocy, niczego nie zmienia...

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo wiem... Tej nocy ofiarowałaś mi rzecz cudowną, nieoczekiwaną... lecz uczyniłaś to z dwóch powodów: pierwszy to litość.

– Walterze! – obruszyła się Katarzyna.

– Ależ tak! Z litości! Ponieważ za wszelką cenę chciałaś mnie uzdrowić. Drugi powód to zemsta i uspokojenie skołatanego serca i wyobraźni, nie dającej ci zmrużyć oczu w czasie bezsennych nocy, zaludnionych okrutnymi obrazami Arnolda i niewiernej!

– Nie, to nieprawda! – jęknęła głosem drżącym od łez. – To nie to! To... nie tylko to... – poprawiła się nagle. – Tej nocy ja także byłam szczęśliwa, przysięgam!

Normandczyk uśmiechnął się łagodnie.

– Dziękuję za te słowa! Myślę w istocie, że bardzo mnie lubisz, Katarzyno, lecz czy odważyłabyś się wyprzeć miłości do Arnolda? Twego męża i pana! Sama najlepiej wiesz, że będziesz go kochać tak długo, jak długo starczy ci życia.

Katarzyna umilkła. Spuściwszy głowę, pozwoliła łzom spływać powoli na ciemną sukienkę.

– Sama widzisz... Dlatego więcej nie wspominajmy o tej szalonej i wspaniałej nocy, której nigdy nie zapomnę, lecz ty, błagam cię, musisz zapomnieć!

– Czy już mnie nie kochasz? – spytała cienkim głosem. Nastąpiła ciężąca cisza, którą przerwał Normandczyk szepcząc ochryłym głosem:

– Bogowie moich przodków widzą, że nigdy nie kochałem cię mocniej! Ale to właśnie z powodu tej miłości błagam cię, byś zapomniała. Jeśli tego nie zrobisz, moje życie stanie się piekłem... i będę musiał cię opuścić... A ja chcę ruszyć w drogę do Grenady wraz z tobą. Pomogę ci odnaleźć pana Arnolda!

– Są jednak sprawy, o których nic jeszcze nie wiesz – nieśmiało wtrąciła Katarzyna. – Być może nie mam prawa, aby nazywać swoim... mężem Arnolda de Montsalvy...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że... może wcale nie miałam prawa wyjść za niego... ponieważ obawiam się... że mój pierwszy mąż jeszcze żyje...

Walter uniósłszy brwi, spojrzał na Katarzynę pytająco. Wtedy ona, bardzo szybko, jakby dla uwolnienia się od nieznośnego ciężaru, opowiedziała o swoim spotkaniu z jednookim mnichem, o dziwnej zgodności wielu faktów, wreszcie o swej wizycie w skarbcu i o okropnej niepewności. Byłaby ciągnęła dalej, żeby wyjawic swoje obawy i skrupuły, gdyby Walter nie chwycił jej nagle za ramiona i nie potrząsnął, jakby chciał ją obudzić z koszmarne go snu. Był bardzo błądy.

– Zamilcz, Katarzyno! I posłuchaj mnie! Wyjedziemy, rozumiesz, wyjedziemy natychmiast z tego zamku nie oglądając się za siebie! Inaczej ty oszalejesz! To za wiele jak na kobietę! Przestań słuchać swej wyobraźni, porzuć krainę snów i złych czarów! Kontynuuj swą drogę i myśl tylko o jednym: przed Bogiem i przed ludźmi jesteś żoną Arnolda de Montsalvy, nosisz jego nazwisko, masz z nim syna! Czy można jeszcze coś dodać? Zapomnij o całej reszcie!

– A jeśli ten mnich to rzeczywiście Garin de Brazey?

– Nie musisz o tym wiedzieć! Dla całego świata i dla niego samego został powieszony. Jeśli udało mu się uciec, stworzył sobie nowy świat, zgodny z jego gustami. Nie wątp ani przez chwilę, że gdyby chciał to zmienić, już dawno wyprowadziłby cię z niepewności. Jego postępowanie dyktuje ci, co masz robić. Garin umarł, słyszysz? Umarł! Jest tylko Fray Ignacio, nie mający z nim nic wspólnego! A teraz pora przygotować się do drogi i opuścić *co rychlej ten* przeklęty zamek!

W tej chwili w słonecznej ciszy zabrzmiały trąbki, przywołując Katarzynę do rzeczywistości.

– Sądzę, że zawsze będziesz mieć rację, przyjacielu! A teraz muszę udać się do don Alonsa na wieczerzę. Nie chcę, żeby na mnie czekał.

– Zawiadom go o swoim wyjeździe.

– To już zrobione. Ponieważ jednak powiedziałam mu, że wyruszamy jutro, musimy poczekać do świtu. Jeszcze tylko jedna noc, Walterze! To już niedługo!

– Niedługo? Ja nie podzielam twojego zdania. Przez jedną noc tyle może się zdarzyć! Ale masz rację: zbyt wiele zawdzięczamy arcybiskupowi, żeby zachować się po grubiańsku. Tak więc, do świtu!

Katarzyna pośpiesznie zeszła ze schodów. Kiedy przechodziła przez niskie drzwi wieży, zdawało się jej, że jakiś cień schował się za filarem. I że bardzo przypominał sylwetkę Tomasza de Torquemady. Na wspomnienie pazia zadrżała bojaźliwie, lecz po chwili była już na zalanym słońcem dziedzińcu, na którym grupka żołnierzy i kilku służących próżnowała po służbie, szukając cienia przed palącymi promieniami słońca. A jej gorące słońce dawało poczucie

pewności. Przepędzało złe duchy i perwersyjne cienie! Katarzyna lekkim krokiem podążyła do jadalni.

W środku nocy obudził ją upał i silny blask. Jak w złym śnie ujrzała, że otaczają ją płomienie ognia. Drzwi jej komnaty płonęły, a rozrzucone przed kominkiem polana wydzielają gryzący dym. Zerwała się z łoża, podbiegła do okna i pchnawszy okiennice, zaczerpnęła świeżego powietrza. Jednak pod wpływem przeciągu płomienie skoczyły żywiej do góry, zajmując drewniane kufry i krzesła stojące przy kominku. Ogień obejmował już tapetę za łożem, grożąc zapaleniem zasłon.

– Na pomoc! – krzyknęła z przerażeniem. – Pali się! Na pomoc! Za zasłoną ognia dały się słyszeć jakieś odgłosy, wśród których wydawało jej się, że rozpoznaje śmiech!

– Na pomoc! – krzyknęła czując, że jest u kresu sił. – Na pomoc! Wychyliła się przez okno: musiało znajdować się jakieś pięćdziesiąt stóp nad ziemią, jednak w ciemnościach nocy odległość ta wydawała się przepaścią. Ogień rozprzestrzeniał się z zawrotną szybkością. Duszący dym miał jakąś dziwną gryzącą woń. Katarzyna stojąc w oknie, na próżno starała się łyknąć trochę powietrza, gdyż gęsty, czarny dym walił prosto na nią. Nie mogąc już krzyczeć czuła, że za chwilę się udusi i że nie będzie miała siły, by wyskoczyć przez okno. Nogi ugięły się pod nią. Zaczęła kaszleć, mając wrażenie, że jej płuca również ogarnęły płomienie. Zrozumiała, że to już koniec i starała się odnaleźć w pamięci jakieś strzępy modlitwy...

Kiedy otworzyła oczy, była cała mokra, zziębnięta na kość i szczykała zębami. Czuła, że czyjeś szorstkie ręce nacierają jej ciało. Potem zawinięto ją w coś równie szorstkiego, lecz ciepłego. Wreszcie, poprzez czerwoną mgłę przesłaniającą jej oczy poznała nachyloną nad sobą twarz Jossego. Widząc, że Katarzyna odzyskuje świadomość, Josse uśmiechnął się.

– Przybyłem w samą porę! – powiedział. – Myślałem, że nie uda mi się pokonać ściany ognia. Na szczęście zawalił się kawał muru, otwierając mi drogę, dzięki czemu mogłem wyciągnąć cię z płomieni!

Uniósłszy się na łokciu, Katarzyna spostrzegła, że leży na posadzce w galerii, a na drugim jej końcu, tam gdzie były jej drzwi, szaleje jeszcze ogień, lecz nie było widać żywej duszy...

– Nie ma nikogo? Czyżby pożar nie postawił na nogi całego zamku? – spytała niepomiernie zdziwiona.

– Dlatego, że pali się także u arcybiskupa. Cała służba gasi pożar, żeby uratować don Alonsa! Zresztą drzwi tej galerii zostały zabarykadowane od zewnątrz!

– W takim razie jakim sposobem ty się tu znalazłeś?

– A takim, że w nocy przyszedłem tutaj, aby zdrzemnąć się pod kamienną ławą. Po porannym zajściu miałem złe przecucia. Chciałem pilnować twego pokoju, a pod ławą nikt nie mógł mnie zauważyć. Zasnąłem jednak jak kamień. Ze mną tak zawsze! Kiedy jestem zmęczony, śpię jak zabity. Podpalacz nie widział mnie, gdy rozrzucał polana, a ja też nic nie słyszałem.

– Podpalacz?

– Chyba nie sądzisz, że ogień wybuchnął sam! Również u don Alonsa!

Zresztą chyba wiem, czyja to sprawka...

Jakby na potwierdzenie jego słów, drzwi przy końcu galerii otworzyły się, ukazując długą, białą postać z łuczywem w ręku. Katarzyna, ku swemu przerażeniu, rozpoznała Tomasza. W stroju mnicha, z rozbieganymi oczami, zbliżał się jak zjawą w kierunku pożaru, niewrażliwy na gęstniejący w galerii dym.

– Popatrz, Katarzyno – szepnął Josse. – On nawet nas nie zauważył. W istocie, chłopiec wyglądał jak lunatyk ze swoim łuczywem, jak upadły anioł zemsty i nienawiści. Jego usta drgały spazmatycznie. Katarzynie udało się wyłowić słowo „fuego”^{*}... [^{*}Fuego, *hiszp.* – ogień.] Tomasz przeszedł obok, nie widząc jej. Zakaszłała. Nie usłyszał, kierując się w stronę ognia wśród czarnych jęzorów dymu.

– Co on mówi? – spytała.

– Że ogień jest piękny, że ogień jest święty! Że ogień oczyszcza! Że wznosi się aż do Boga. Że ten zamek, siedlisko diabła, musi spłonąć, by uwolnione dusze jego mieszkańców wróciły do Boga... Całkiem oszalała. Skorzystajmy, że nie zamknął za sobą drzwi, i uciekajmy.

Katarzyna ruszyła za Jossem, lecz odwróciwszy się jeszcze na progu spostrzegła, jak kłęby dymu wchłonęły prawie zupełnie białą sylwetkę.

– Ależ... on się spali! – powiedziała.

– Nic lepszego nie może go w życiu spotkać! – rzucił gniewnie Josse i bez ceremonii pociągnął Katarzynę na zewnątrz.

Katarzyna ledwo szła, potykając się o płaczące się wokół nóg rogi koca, w który była zawinięta. Nagle potknęła się i uderzyła głową o mebel. Krzyknęła z bólu i zgięła się wpół, tracąc oddech. Josse zaklął pod nosem, lecz widząc, że kobieta ma w oczach łzy, podniósł ją i pomógł przebyć ostatnie metry, dzielące ich od wyjścia na dwór. Zastali spanikowany tłum paziów, żołnierzy, mnichów i służących, którzy biegali tam i z powrotem, lamentując i zanosząc do nieba modły. Pomiedzy wielką studnią a wejściem do apartamentów biskupa niewolnicy utworzyli szereg i podawali wiadra wody, gdyż z okien na piętrze buchały wysokie płomienie.

Panikę wywołały pogłoski, że ogień został podłożony w czterech rogach zamku. Dziedziniec, otoczony czerwonymi, błyszczącymi murami, w których odbijały się płomienie, z rozszalałym tłumem pośrodku, wyglądał jak obraz piekła, tak że Katarzyna drząc bardziej z przejęcia niż z zimna, gdyż noc była ciepła, a pożar podniósł jeszcze temperaturę, zawinęła się szczelniej w koc, skrywając swą nagość, i schowała się pod arkadami, kierując niespokojny wzrok w stronę wieży, cichej i ciemnej, która wyglądała, jakby stała na uboczu.

– Walter! Gdzie jest Walter? – wyszeptała. – Czyżby nic nie słyszał?

– Mury tej wieży są bardzo grube – zauważył Josse – a poza tym chyba ma mocny sen...

W tej chwili łańcuch niewolników upadł na ziemię jak domek z kart. Maurowie popadali jeden na drugiego przy szczęku wiader i rozlewaniu wody, a na progu ukazał się Walter. Z zabandażowaną głową i w długiej dzellabie^{*} [^{*}Dzellaba, *arab.* – długa do ziemi szata arabska, często z kapturem.], był podobny do niewiernych, których właśnie poprzewracał, a którzy przy tym olbrzymie wyglądali jak karły. Walter prowadził przed sobą chwiejącą się, białą sylwetkę, która stanawszy

przed Katarzyną, osunęła się na ziemię...

Po chwili paż podniósł wzrok lunatyka na Katarzynę. Kiedy ją rozpoznał, w jego oczach pojawił się błysk gniewu, a twarz wykrzywił grymas nienawiści.

– Żyje! – syknął. – Chyba sam szatan cię ochrania, przeklęta! Nawet ogień się ciebie nie ima! Ale nie ujdiesz karze!

W tej chwili Josse wyrwawszy zza pasa sztylet, rzucił się z rykiem wściekłości na chłopca i chwycił go za gardło.

– Ty w każdym razie nie ujdiesz karze, i to natychmiast!

Już miał zadać cios, kiedy wielka łapa Waltera spadła na ramię paryżanina i uniosła go w powietrze.

– Zostaw go! – ryknął olbrzym. – Ja również, jeszcze przed chwilą, kiedy go zastał przed płonącymi drzwiami pani Katarzyny, chciałem złamać mu kark, lecz zrozumiałem, że jest szalony, chory... Takich ludzi nie wolno zabijać! Niech Niebo się nim zajmie. A teraz, w drogę!

Katarzyna wskazała koc, w który była owinięta, i zrobiła zakłopotaną minę.

– W takim stroju? I boso? Czy ty też oszalałeś?

Walter bez słowa rzucił jej zawiniątko, które trzymał pod pachą i oświadczył:

– Oto twoje ubranie i sakiewka. Znalazłem je w twoim pokoju zamiast trupa, którego się spodziewałem! Ubierz się szybko!

Nie trzeba jej było tego powtarzać dwa razy. Schowawszy się w ciemnym zakamarku dziedzińca, pośpiesznie nałożyła strój podróżny i przytwierdziła sakiewkę do pasa, upewniwszy się najpierw, czy w środku jest sztylet i szmaragd królowej Yolandy. Kiedy wróciła do swych towarzyszy, stwierdziła, że Tomasz zniknął i że Josse też gdzieś przepadł.

– Gdzie Josse? – spytała Waltera, który skrzyżowawszy ramiona, przyglądał się ze stoickim spokojem, jak niewolnicy radzą sobie z gaszeniem pożaru.

– W stajni. Przygotowuje konie. Wczoraj wieczorem don Alonso wydał w tym względzie rozkazy.

W rzeczy samej, dawny rzezimieszek wkrótce się pojawił, prowadząc okulbaczone konie i mulicę dźwigającą worki z jedzeniem i ubraniami. Arcybiskup pomyślał o wszystkim. Toteż kiedy Walter zaczął ponaglać, by dosiadać koni, Katarzyna zachnęła się.

– Co ty sobie myślisz? Że wyjadę stąd chyłkiem, nie upewniwszy się, czy nasz gospodarz jest cały i zdrow?

– Nie będzie ci miał tego za złe. Sama zaś widzisz, że nie jesteś tu bezpieczna. Doniesiono mi, że o mały włos nie stałaś się ofiarą... – ciągnął dalej, lecz Katarzyna przerwała mu gwałtownie.

Jej fiołkowe oczy zapłonęły gniewem, przenosząc spojrzenie na zmianę z jednego mężczyzny na drugiego.

– Wy dwaj chyba uwzięliście się na mnie, żeby dyktować mi, co mam robić! A przecież tak niedawno się znacie!

– Natury takie jak nasze wyczuwają się na odległość – oznajmił Josse z wdziękiem. – Jesteśmy stworzeni, żeby wzajemnie się rozumieć!

– A jeśli chodzi o twoje bezpieczeństwo, Katarzyno, sądzę, że zawsze

będziemy jednego zdania. Nie jesteś zbyt ostrożna...

W słowach Waltera zabrzmiał wyrzut, który był jeszcze bardziej widoczny w jego wzroku. Katarzyna odwróciła głowę. Nie było wątpliwości: Walter miał jej za złe, że przez nią ożyły marzenia, które nigdy nie powinny się spełnić. Teraz rzeczy przedstawiały się inaczej, choćby nie wiadomo jak chceć je przywrócić do poprzedniego stanu. Pocałunki i miłosne uniesienia często pozostawiają w duszy bardziej bolesne i trwałe ślady niż rozpalone żelazo.

– I to właśnie ty mi to zarzucasz! – wyszeptała z gorzkim uśmiechem, po czym, zmieniając nagle ton, dodała: – Tak czy inaczej, nie wyjadę bez pożegnania z don Alonsem!

Nie przejmując się obydwojoma mężczyznami, szybko oddaliła się w stronę drzwi prowadzących do pokoi arcybiskupa. Nie było już przy nich niewolników, gdyż ogień został ugaszony, jedynie w porannym powietrzu unosił się nieprzyjemny odór spalenizny.

Jak we wszystkich południowych krajach, dzień wstawał szybko. Noc zniknęła niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, niebo zaróżowiło się, a zamek lśnił od rosy jak wielki rubin. Z apartamentów dochodziły jeszcze jakieś głosy i słychać było tupot nóg. Katarzyna zatrzymała się na progu, nie wiedząc, co czynić. Jak porozumieć się ze służbą, nie znając języka?

Właśnie miała zawrócić i poprosić Jossego, by poszedł z nią do don Alonsa, kiedy nagle wyrosła przed nią jak spod ziemi długa, czarna sylwetka. Cofnęła się powodowana zabobonnym strachem, jaki zawsze ją ogarniał na widok Fray Ignacia.

Jednooki mnich spojrział na nią bez zdziwienia, po czym skłonił się nieznacznie.

– Jestem szczęśliwy, że cię widzę, szlachetna pani! Jego wielebność wysłał mnie, abym dowiedział się o twoje zdrowie, pani, i zaopiekował się tobą.

Pod Katarzyną ugięły się nogi. W jej oczach widoczny był strach zmieszany z rozpaczą.

– Ty, panie, znasz... nasz język?

– W razie potrzeby rzeczywiście mówię twoim językiem... znam też angielski, niemiecki i włoski.

Katarzyna poczuła nagle, że jej wątpliwości i złe przeczucia wracają ze zdwojoną siłą. Przecież Garin również znał kilka języków... Znowu wróciła niezdolna niepewność, zamieniając się po chwili w wielką złość.

– Dlaczego więc tamtego dnia w skarbcu udawałaś, że mnie nie rozumiesz?

– Ponieważ to nie było konieczne. A także nie rozumiałem, co masz na myśli...

– Jesteś tego pewien?

Ileż by dała, żeby móc rozszyfrować zagadkę tej tajemniczej twarzy, tego jednego oka unikającego jej wzroku, błędzącego gdzieś daleko ponad jej głową! Wyrwać prawdę z tej czarnej zjawy! Kiedy usłyszała, że mnich mówi po francusku, próbowała przypomnieć sobie głos Garina, jego sposób mówienia... i w dalszym ciągu nie miała pewności, czy słyszy głos byłego męża, czy głos obcego człowieka...

Tymczasem mnich powiadomił ją, że arcybiskup został lekko ranny, gdyż

spadła na niego cedrowa kolumnienka, i teraz śpi po zaaplikowaniu mu przez medyka mocnego środka nasennego, jednak przed zaśnięciem polecił mu sprawdzić, czy Katarzynie nic się nie stało, i Fray Ignacio osobiście miał dopilnować, by jej wyjazd się nie opóźnił z powodu nocnego pożaru, tak jakby uczynił on sam.

– Don Alonso prosił, abyś zachowała w swoim sercu jego wspomnienie, szlachetna pani... i żebyś modliła się za niego, tak jak on będzie modlił się za ciebie.

Katarzyna wyprostowała się w nagłym przyływie dumy. Jeśli ten człowiek był Garinem i tylko udawał, to grał swoją rolę doskonale. Katarzyna nie chciała być gorsza.

– Powiedz, panie, jego wielebności, że nie omieszkam i że nigdy wspomnienie jego dobroci mnie nie opuści. Powiedz też, że wielce jestem mu wdzięczna za okazaną pomoc i że dziękuję za jego modły, gdyż tam, gdzie się udaję, niebezpieczeństwa czyhają na każdym kroku!

Przerwała przyglądając się uporczywie czarnemu mnichowi. Nic! Żadnej reakcji! Jakby był z kamienia, nie poddającego się najmniejszemu uczuciu, niezdolny do krzty współczucia.

– Co do ciebie, panie... – zaczęła znów Katarzyna drżącym z gniewu głosem, lecz w tej chwili czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu. Był to Walter, który podobnie jak przed chwilą rozdzielił Jossego i Tomasza, tak teraz stanął między nią a mnichem.

– Wystarczy, Katarzyno! Przypomnij sobie, co ci powiedziałem! Chodźmy! Czas nagli!

Katarzyna tym razem usłuchała go posłusznie i dołączyli do Jossego prowadzącego zwierzęta. Pozwoliła wsadzić się na koń i bez słowa ruszyła w stronę bramy. Przejeżdżając pod kratą, odwróciła głowę, lecz ujrzała jedynie szerokie bary Normandczyka zasłaniające cały widok.

– Nie odwracaj się! – rzucił rozkazującym tonem. – Musisz iść swoją drogą, prosto przed siebie... nie oglądając się nigdy więcej do tyłu! Pamiętaj, co ci powiedziałem: przed Bogiem i ludźmi jesteś żoną Arnolda de Montsalvy! Zapomnij o całej reszcie!

Katarzyna znowu usłuchała, choć za ramieniem Waltera dostrzegła w oddali czarną sylwetkę mnicha, stojącego nieruchomo, z rękami schowanymi w rękawach, w miejscu, w którym go zostawiła. Sztywny i zagadkowy patrzył za odjeżdżającymi. Katarzyna poczuła, że nigdy nie zapomni tego widoku, który zawsze będzie ranił jej miłość... jeśli kiedykolwiek uda się jej ją odzyskać.

Długo jechała nie odzywając się, z lejcami opuszczonymi na szyję wierzchowca. Josse jechał na przedzie, wyznaczając szlak. Jechała zamyślona, nie zauważając pejzażu skapanego w palącym słońcu Kastylii. Po długiej wspinaczce przed wędrowcami pojawiła się rozległa panorama dolin z ziemią czerwoną jak ochra, usianą nędznymi chatami, strzegącymi pól konopi. Czasami ukazywała się im przysadzista sylwetka romańskiego kościółka, czasami dumne mury klasztoru, innym razem wysmukły zamek ze strzelistą wieżą wzniesiony na skale, podobny do melancholijnej czapli, stojącej na jednej nodze... Jednak Katarzyna nie dostrzegała niczego, oprócz sylwetki jednookiego mnicha, którego milczenie mogło być oskarżeniem...

U stóp Dziewicy z Puy błagała Pana Boga, aby oddał jej męża. Czyżby Najwyższy tak zakpił z jej serca, z jej miłości? Czy Bóg mógł być tak okrutny, że wskrzesił tego, którego od dawna uważała za zmarłego, podczas gdy ona rozpaczliwie poszukiwała żyjącego? Co teraz powinna zrobić? Walter powiedział, że należy iść naprzód za wszelką cenę, nie oglądając się za siebie... Ale Walter nie wierzy w Boga. A kto mógłby powiedzieć, czego Bóg oczekuje od niej, Katarzyny?

W jej umyśle obraz Garina nakładał się na obraz Fray Ignacia. Wszystkie obrazy pierwszego męża, jakie zachowała w pamięci, zaczęły wirować wokół sztywnej postaci czarnego mnicha. Garin w noc poślubną, twarz Garina zniekształcona w więzicy w Malain, wreszcie Garin w lochu z kajdanami na nogach, straszny oczodół bez przepaski. Pomimo upalnego słońca, Katarzyna poczuła tamtą piwniczną wilgoć na ramionach, a w nozdrzach odór zgnilizny i pleśni. Ujrzała, jak Garin zwraca do niej swą twarz, kiedy weszła do więzienia. I nagle podskoczyła.

– O mój Boże! – szepnęła. – Jak mogłam nie pomyśleć o tym wcześniej?

Zatrzymała konia na samym środku ścieżki i spojrzała na swych towarzyszy, którzy także zatrzymali konie. Nagle roześmiała się na cały głos śmiechem jasnym, radosnym, młodym... śmiechem wyzwolenia. Boże, jak mogła nie zauważyć tego natychmiast, zamiast dręczyć się w taki głupi sposób? Śmiała się i śmiała aż do utraty tchu.

– Ależ, ona chyba oszalała! – krzyknął wreszcie Josse, na co pocziwy olbrzym odpowiedział z powagą:

– To z pewnością od słońca! Nie jest przyzwyczajona...

Kiedy jednak chcieli zsadzić ją z konia i umieścić w cieniu, przestała się śmiać tak nagle, jak zaczęła. Miała zaczerwienione policzki, a z jej oczu spływały łzy. Spojrzawszy wesoło na Waltera powiedziała:

– Przypomniałam sobie coś, Walterze! Fray Ignacio nie ma prawego oka, a mój nieżyjący mąż Garin, wielki skarbnik Burgundii, stracił lewe w bitwie pod Nicopolis! Jestem wolna! Rozumiesz? Wolna i mam prawo upomnieć się u niewiernej o swoje!

– A nie chcesz trochę odpocząć? – zaryzykował Josse, nie rozumiejąc nic a nic z tej historii.

Katarzyna na nowo wybuchnęła śmiechem.

– Odpocząć? Ani mi się śni! Wręcz przeciwnie! Hajda na Grenadę! Na Grenadę!

CZEŚĆ TRZECIA

ALHAMBRA

Rozdział dziewiąty

DOM ABU-AL-KHAYRA

Dwa tygodnie później trójka obdartych i zakurzonych żebraków, trzymając się za ręce, przeszła przez bramę Górską w Grenadzie. Wmieszani w tłum udający się na targ, nie zwrócili niczyjej uwagi, tym bardziej że w mieście roiło się od żebraków. Największy z nich, istny olbrzym, szedł na przedzie nie odzywając się. Z pewnością niemowa. Za nim postępowała kobieta, ale poza brudnymi stopami w wytartych łapiach i błyszczącej pary ciemnych oczu niczego nie było widać spod czarnej, poszarpanej płachty okrywającej jej ciało. Trzeci z nich, krępy i czarniawy, był ślepcem, sądząc po chwiejnym kroku i sposobie czepiania się dwojga pozostałych. Idąc, starał się wzbudzić litość przechodniów, lamentując na cały głos i powtarzając kilka tych samych wersetów z Koranu. Z pewnością nikt nie rozpoznałby w tych obszarpańcach trójki dziarskich rycerzy, którzy dwa tygodnie temu opuścili mury Koki. Tak właśnie postanowił Josse.

– Jeśli zobaczą, żeśmy chrześcijanie, to po nas! Nasze głowy ozdobią mury Czerwonej Grenady, a ciała wrzucone do fosy rozszarpia psy. Jedyne sposob, aby przejść niezauważenie, to udawać żebraków.

Dawny rzeźmieszek okazał się istnym artystą w dziele przebierania. Paryski Dziedzinię Cudów, którego przez wiele lat był ozdobą, okazał się w tym względzie najlepszą szkołą.

Potrafił na przykład tak przewracać oczami, żeby widoczne było tylko białko, a ślepcę odgrywał po mistrzowsku.

– Wśród wyznawców islamu ślepcy cieszą się pewnym poważaniem – wyjaśnił. – Zostawią nas w spokoju.

Co się zaś ryczy Katarzyny, od chwili przekroczenia granic Grenady nie spuszczała oczu z niczego i dosłownie wszystko pożerała wzrokiem. Szybko też zapomniała o ciężkich chwilach ostatnich dni wędrówki, kiedy to musieli uciekać z Toledo, ogarniętego przez dżumę i gdzie Żydzi po raz kolejny stali się ofiarą ataków. Chciano ich wygnać z miasta, na placach palono ich święte księgi, zajmowano ich dobytek i mordowano ich pod byle pretekstem. Stare miasto Wizygotów, tak stare, że Adama uważano za jego pierwszego króla, zamieniło się w krwawą jatkę, z której Katarzyna i jej towarzysze uciekli w popłochu.

Niestety, wkrótce wpadli w nowe tarapaty. Otóż po bezowocnych utarczkach u granic Grenady, armia konetabla Kastylii, Alvara de Luna, powracała do Valladolid, wyładowując po drodze swój zły humor, spowodowany klęską, łupiąc i równając wszystko z ziemią jak w podbitym kraju. Miejscowa ludność, najczęściej tak biedna, że za strawę służyła im trawa wyrwana z nieurodzajnych wyżyn, na ich widok czmychała, jak gromada wróbli na widok krogulca. Katarzyna i jej towarzysze zrobili podobnie. W pobliżu Jaen zostali zatrzymani przez oddział zwiadowczy konetabla, lecz dzięki sile Waltera oraz zwinności i sprytowi Jossego udało im się uciec, tracąc jedynie konie. Zresztą, jak zauważył Josse, granica mauretańska była niedaleko, więc tak czy inaczej należałoby porzucić konie, jako że żebracy rzadko z nich korzystają.

– Mogliśmy je sprzedać! – zauważył Walter, praktyczny jak każdy Normandczyk.

– Ale komu? W tym słodkim kraju nie znajdziesz człowieka, który by miał dosyć pieniędzy, żeby kupić sobie choć osła! Ziemia jest bogata, lecz od wielu lat nękają ją wojny i nawet trawa niechętnie tu rośnie. Raz Saraceni pną się na północ, raz Kastylijczycy dążą na południe w nadziei wykończenia rekonkwisty. A dla miejscowej ludności skutek jest zawsze ten sam: spalona ziemia i zniszczony dobytek.

Troje towarzyszy ruszyło więc w dalszą drogę pieszo, ledwo widocznymi ścieżkami, idąc nocą, a ukrywając się w dzień, kierując się podług gwiazd, które zarówno dla paryskiego zbója, jak i olbrzyma z normandzkich lasów nie miały żadnych sekretów. Ten ostatni etap wędrówki był najtrudniejszy i wyczerpujący, Katarzyna jednak zniosła go dzielnie. Pod tym obcym niebem, tak intensywnie niebieskim, kiedy nadchodziła noc, pod tymi gwiazdami większymi i bardziej błyszczącymi niż te oglądane dotychczas, czuła, że jest już blisko tego niebezpiecznego, lecz pociągającego miejsca, w którym żyje Arnold.

Wszędzie widać było ślady wojny, cierpienia i śmierci. Czasami w ciemności natykali się na trupa gnijącego pod ciernistym krzakiem, czasami podczas dziennego odpoczynku do ich uszu dochodził ponury krzyk sępów. Wielkie, czarne ptaszyska krążyły nad okolicą, po czym ciężko jak kamień spadały na upatrzony cel.

Jednak kiedy wreszcie któregoś dnia o świcie Katarzyna ujrzała Grenadę, otoczoną wianuszkiem ośnieżonych szczytów gór, jakby była zamknięta we wnętrzu olbrzymiej, perłowej muszli, stanęła w miejscu zachwycona. Niezliczone źródła na zboczach, tworzące w dole dwa strumienie o wodach szybkich i przejrzystych, nadawały świeżości tej bajecznej krainie, gdzie spośród soczystej zieleni strzelał w niebo najbardziej różowy i najbajeczniejszy z mauretańskich pałaców, zbudowany na czerwonych skałach. Wysoki łańcuch murów najeżonych kwadratowymi wieżami otaczał czule zespół pawilonów wtopionych w drzewa i kwiaty. Miejscami lśniła woda w fontannach i w sadzawkach. Wszystko, łącznie z ceglanyimi murami obronnymi, przydawało harmonii tej szczęśliwej dolinie, w której bogactwo i obfitość rozpościerały się jak zadziwiający, jedwabny dywan.

Wokół zaczarowanego zamku na wzgórzach leżało miasto. Białe i czerwone minarety strzelały w niebo obok zielonych i złotych kopuł meczetów. Powyżej domów wznosiły się pałace i górująca nad nimi sylwetka Medersy, islamskiego uniwersytetu, rywalizująca z ciężkim budynkiem Maristanu, w tym czasie najlepiej wyposażonego szpitala w Europie.

O tej porannej godzinie z każdego minaretu rozlegał się głos muezina*
[*Muezin, *arab.* – duchowny muzułmański, wzywający wiernych do modlitwy z galeryjki minaretu.], nawołującego wiernych do modlitwy.

Górska ścieżka tworzyła coś w rodzaju balkonu, skąd roztaczał się rozległy widok na tę wspaniałą krainę. Katarzyna usiadła na kamieniu nad brzegiem występu, a obaj mężczyźni, odgadując jej uczucia, oddalili się, pozwalając kobiecie medytować w spokoju.

Katarzyna nie mogła oderwać oczu od przepięknej doliny rozciągającej się u jej stóp. Wreszcie miała przed sobą wyśniony cel swej wędrówki, podjętej

przeciw zdrowemu rozsądkowi, i była wzruszona do łez, znajdując tę krainę tak piękną. Wymarzona kraina ze snów, istna kraina miłości! Czyż można byłoby w niej żyć inaczej niż w szczęściu i radości?

Tak długo cierpiała, przeżywała katusze, wylała morze łez i krwi, lecz w końcu dotarła do celu. Za nią były drogi i horyzonty bez końca. Skończyły się noce wypełnione zwątpieniem i dręczącym pytaniem, czy kiedykolwiek dotrze do tego miejsca, które w chwilach zwątpienia wydawało się jej nierealne. Grenada leżała u jej stóp jak oswojone zwierzę, więc radość Katarzyny była tak wielka, że zapomniała o niebezpieczeństwach, które mogły tu na nią czekać. Teraz Arnold znajdował się zaledwie kilka kroków od niej, czyżby w tym cudownym pałacu, tak dobrze strzeżonym?

Zdecydowanie zbyt dobrze strzeżonym!... Ta myśl ostudziła nagle radość kobiety. Przecież te bajeczne ogrody wyhodowano wewnątrz fortecy! Te wspaniałe pióropusze drzew, to gęste listowie ukrywało żołnierzy i broń. A nieznamiona kobieta, której nienawidziła, musiała być dobrze strzeżona i sama musiała dobrze strzec swojej zdobyczy. Jak dotrzeć do bram pałacu, jak je przekroczyć? Jak odnaleźć Arnolda w plątaninie uliczek?

Trzeba by mieć armię, aby pokonać to miasto, skoro nawet żołnierze dzikiego konetabla Kastylia połamali sobie na nim zęby. Nikt nie mógł się poszczycić pogwałceniem granic Grenady, a przynajmniej nie żył na tyle długo, aby się tym chwalić.

Czując pilną potrzebę przezwyciężenia wątpliwości, które tak szybko ją ogarnęły po radości sukcesu, upadła na kolana, złączyła dłonie i zamknęła oczy. Przez długie minuty, tak jak przed posągami czarnej Dziewicy z Puy, modliła się błagając niebios, żeby wreszcie zlitowały się nad nią i oddały jej człowieka, który – obok dziecka – stanowił jedyny jej skarb na ziemi. „Nie pozwól, Panie, abym dotarłszy do tego dalekiego kraju, została odepchnięta! Nie pozwól, aby moja boleść była próżna i abym tu przyszła tylko po to, by na zawsze stracić serce i miłość, ponieważ ty jesteś sprawiedliwy! Nawet jeśli zbyt często zasłużyłam na twój gniew, nie dopuścisz do tego, gdyż jesteś miłosierdzim i ja cię błagam o łaskę”.

Z modlitwy wyrwało ją delikatne dotknięcie dłoni Jossego, który pochyliwszy się nad nią usiłował podnieść ją z klęczek.

– Modlić się na głos, pani Katarzyno, co za nieostrożność! Zapominasz, że jesteśmy w kraju niewiernych? Przecież widzisz, że nie ma tu ani jednego domu bożego, jedynie meczety, w których te niedowiarki modlą się do własnego boga. Wstań szybko! Gdyby ktoś cię zobaczył...

Nie bawiąc się dłużej w ceregiele, Josse podniósł ją z klęczek. Katarzyna uśmiechnęła się do niego zza czarnej chusty zasłaniającej twarz.

– Przebac mi, Josse! Masz rację, zapomniałam o tym. Tutaj wszystko jest takie piękne! Czy ta kraina nie jest rajem na ziemi? I to mnie właśnie przeraża, przyjacielu. Kiedy się żyje wśród takich wspaniałości, wspomnienia muszą się zacierać. Człowiek nie może już oddychać z dala od tych gór, tych strumieni i tych ogrodów. A mój mąż, zanim opuścił nasz kraj, znał tylko okropieństwa przytułku dla trędowatych, jakbym więc mogła mu mieć za złe, że nie będzie chciał stąd odjechać?

– Pan Arnold nie przepada za łatwym życiem i kwietnymi ogrodami –

przerwał Walter. – Nie wyobrażam go sobie grającego na lutni ani wachającego róże na poduchach z jedwabiu czy satyny. Szpada i kolczuga, oto, co miłuje, a nade wszystko surowe obozowe życie i szerokie pola. Co zaś do tego, jak powiadasz, raju...

– Dziwnego raju! – przerwał szyderczo Josse. – Ten zamek, a raczej miasto-zamek nazywany Alhambra, czyli „czerwonym zamkiem”, jest podobny do róży. Pod jej pachnącymi płatkami ukryte są ostre kolce. Popatrzcie zresztą sami!

Paryżanin chudą dłonią wskazał najpierw na szczyty górskie najeżone fortami, których mury nie miały w sobie nic łagodnego. Żadnych kwiatów, żadnych drzew, których zielone pióropusze poruszałby wiatr pachnący kwiatem pomarańczy, żadnych szemrzących palm – zamiast nich w otworach strzelniczych ponury błysk stali i połyskliwe, spiczaste hełmy mauretańskich żołnierzy. Następnie ręka Jossego skierowała się w stronę podwójnego muru obronnego Grenady, wskazując na filary parapetu, na których zatknięto jakieś dziwne kule.

– To obcięte ludzkie głowy! – wyjaśnił.

Katarzyna zadrżała, lecz nie opuściła jej odwaga. Pułapka była czarująca, ukwiecona i z pewnością niebezpieczna, a mimo to nie wahała się gołymi rękami, mając jedynie swą miłość za broń, stawić jej czoło.

– Ruszajmy! – rzuciła krótko.

Łachmany dla całej trójki Josse zdarł z trupów napotkanych w górach. Były tak brudne, że Katarzynie zrobiło się niedobrze, kiedy je zakładała, lecz tylko w takim stroju mogła czuć się bezpiecznie. W kraju, gdzie kobiecie nie przystało pokazywać niczego oprócz oczu, można było łatwo się ukryć.

Nie spuszczać oczu z masy zieleni, na tle której wyróżniały się ciepłe tony murów Alhambry, Katarzyna dała się prowadzić z sercem wezbranym nadzieją i obawą. Ongiś krzyżowcy musieli odczuwać coś podobnego u wrót Jerozolimy... Wmieszana w hałaśliwy i żywo gestykulujący tłum, zalatujący jaśminem i zjełczałą oliwą, przekroczyła pierwszy rząd zniszczonych murów obronnych i znalazła się na placu tak zaludnionym, jakby to był dzień targowy. Handlowano tutaj ziarnem, paszami i przyprawami. Worki z towarem ustawione były wprost na ziemi, a siedzący przy nich muzułmanie w ziemistych dzellabach krzykiem zachwalali swój towar. Wokół wałęsały się osły, muły, barany i leniwe wielbłądy. Dalej handlowano drewnem na opał i węglem, gdzie indziej słomą, sianem i zielonkami. Po przekroczeniu drugiej bramy oczom wędrowców ukazały się stosy mirtu, bazylii, estragonu i liści laurowych, sąsiadujących z koszami oliwek, cytryn, pistacji i kaparów, a także z bukłakami z koziej skóry wypełnionymi stopionym masłem i miodem... To czerwone miasto, którego białe serce, składało się z domów o płaskich dachach i ścianach pobielonych wapnem, było jak olbrzymi róg obfitości, z którego spływał dobrobyt, naznaczając ten koniec Europy pazurem olbrzymiej, tajemniczej i płodnej Afryki, rozciągającej się nie opodal za wielkim morzem. Z hiszpańskich podbojów strasznych sułtanów z dynastii Almorawidów i Almohadów, ludzi o obliczach zasłoniętych czarnymi woalami, którzy dotarli tu z wielkiego Atlasu czy słynnego Marakeszu, nie pozostało wiele: królestwo Grenady o niewielkiej

powierzchni, czerwone i słodkie jak owoc, którego imię nosiło i w którym streszczał się cały Orient i cała Afryka.

– Co za wspaniały kraj! Jakie bogactwa! – szepnęła olśniona Katarzyna.

– Nie należy mówić po francusku – wtrącił Josse. – Nasz język jest mało znany wśród Maurów. Czy orientujesz się, gdzie możemy odnaleźć twego przyjaciela, medyka?

– Powiedział, że jego dom stoi nad rzeką...

Nagle przerwała wytrzeszczając oczy. Wąską uliczką, wijącą się wśród białych domów bez okien, zbliżał się orszak, poprzedzany przez biegaczy, którzy kijami przepędzali z drogi wędrownych handlarzy, wypełniających powietrze swymi krzykami i dźwiękiem dzwoneczków. Za nimi jechali rycerze w białych burnusach* [*Burnus, arab. – długie, szerokie okrycie z kapturem, zwykle z grubej białej wełny, noszone w krajach arabskich.]. Wreszcie nadciągnęła grupa sześciu niewolników czarnych jak heban i nagich do pasa, niosących na ramionach złoconą lektykę, która unosiła się nad głowami w turbanach jak karawela na falach morskich. Katarzyna i jej towarzysze w porę przywarli do muru jakiegoś domu i uniknęli kijów. W chwili gdy lektyka mijala Katarzynę, muślinowe zasłony uniósł podmuch wiatru, ukazując na moment wsparte na złotych poduszkach wiotkie i szczupłe stworzenie, spowite w niebieskie jedwabie, z czarnymi, długimi włosami usianymi złotymi cekinami, które pośpiesznie zasłoniło twarz woalką. Katarzyna zauważyła, że kobieta jest bardzo piękna, spostrzegła jej dumny profil i ogromne czarne oczy, ocienione długimi rzęsami, a także piękne klejnoty zdobiące jej szyję.

– Kim jest ta kobieta? – spytała ze strachem.

Josse żebraczym tonem powtórzył jej pytanie stojącemu obok nosiwodzie. Usłyszawszy odpowiedź, Katarzyna zbladła. Josse nie potrzebował jej tłumaczyć słów mężczyzny, gdyż od czasu przekroczenia Pirenejów, wykorzystywał każdą wolną chwilę, by uczyć Katarzynę arabskiego. Opanowała go już w takim stopniu, że zrozumiała, co powiedział nieznajomy.

– To najcenniejsza perła Alhambry, księżniczka Zobeida, siostra kalifa! Siostra kalifa! Kobieta, która ukradła jej Arnolda! Jak to się stało, że zaledwie postawiła pierwsze kroki w tym mauretańskim mieście, spotkała swoją rywalkę? I to jaką rywalkę!... W jednej chwili upadła nadzieja, którą Katarzyna pielęgnowała w sercu przez cały czas trwania długiej wędrówki. Uroda niewiernej spostrzeżona przez ułamek sekundy dołała goryczy do zazdrości, zatruwając nawet świeże powietrze poranka. Katarzyna oparła się o rozpalony od słońca mur. Poczuła ciężące zmęczenie nagromadzone podczas wędrówki, na które nałożył się szok przeżyty przed chwilą. Jej oczy napełniły się łzami... Arnold był dla niej na wieki stracony! Utwierdził ją w tym przekonaniu olśniewający obraz, cały ze złota i lazuru, który zaledwie przed chwilą zobaczyła. Walka była z góry skazana na niepowodzenie...

– Umrzeć... – pomyślała.

– Natychmiast umrzeć – dodała ledwo dosłyszalnym szeptem. Chociaż powiedziała to tak cicho, Walter dosłyszał jej słowa. Podczas gdy Josse, zakłopotany na widok jej rozpaczy, udał się rozpytać wędrownego handlarza oferującego „pełne migdały i soczyste granaty!”, Normandczyk stanął przed Katarzyną i potrząsnął ją gwałtownie za ramiona.

– No i co się stało? Co takiego się zmieniło? Dlaczego chcesz umrzeć? Dlatego, że ujrzałaś tę kobietę? To ją właśnie chcesz pokonać, czy nie tak?

– Pokonać! – krzyknęła śmiejąc się boleśnie. – Pokonać? Ale czym? Walka nie jest w ogóle możliwa! Głupia byłam myśląc, że jestem do niej zdolna. Widziałeś ją, księżniczkę niewiernych? Fortunat miał rację. Jest piękniejsza niż jutrzienka, i ja nie mam przy niej żadnych szans.

– Żadnych szans? A to dlaczego?

– Przypomnij sobie jej obraz i przyjrzyj się mnie...

Walter chwycił ją za rękę w chwili, kiedy już miała zerwać z twarzy czarną, brudną chustę, pod którą się dusiła.

– Jesteś wykończona, ale musisz się trzymać! Patrzą na nas. To zbyt niebezpieczne, a nasz język nas zdradza!

Katarzyna starała się całym wysiłkiem woli przewyciężyć nagłą słabość. Walter uświadomił jej bowiem bardzo ważną rzecz: otóż swoim zachowaniem narażała wszystkich troje na niebezpieczeństwo. Tymczasem wrócił Josse. Trzymając się muru, fałszywy ślepiec wyszeptał:

– Wiem, gdzie mieszka medyk. To niedaleko stąd. Pomiedzy wzgórzem Alcazaba a murami Alhambry, nad brzegiem rzeki. Sprzedawca migdałów powiedział mi: „pomiedzy mostem Cadi a hammamem” [*Hammam, arab. – łaźnia arabska.], wielkim domem, z którego wystają wysokie palmy”.

Bez słowa cała trójka, trzymając się za ręce, ruszyła w drogę. Dotyk chropowatych męskich dłoni, a może myśl o spotkaniu z Abu dodały Katarzynie sił. Mały medyk znał sekret słów przynoszących ulgę i pocieszenie. Wiele razy jego maksy filozoficzne wyrwały ją ze szponów smutku, a nawet śmiertelnej rozpacz.

Nagle zrozumiała, że jak najszybciej musi znaleźć się w domu medyka, i przestała interesować się miastem, które jeszcze przed chwilą wzbudzało jej zachwyty. Tymczasem szli dziwną ulicą, osłoniętą przed słonecznym żarem rozwieszonymi plecionkami z trzciny. Stały przy niej warsztaty bez drzwi, w których pracowali kotlarze. Uderzenia młotów napępiały uliczkę wesołym zgiełkiem, a w cieniu kramików błyszcząły misy, konwie, kotły z miedzi żółtej lub czerwonej, zamieniające te małe sklepiki w groty pełne skarbów.

– To suk* [*Suk, arab. – targ w krajach arabskich.] kotlarzy – wyjaśnił Josse.

Katarzyna jednak niczego nie widziała ani nie słyszała. Ciągłe bowiem miała przed oczami ten dumny profil, jak wyrzeźbiony z kości słoniowej, wielkie czarne oczy błyszczące w cieniu długich rzęs i to zwiewne ciało, pyszniące się wśród złotych poduszek.

– Jest zbyt piękna... – powtarzała sobie w myślach. – Zbyt piękna... To okrutne zdanie stało się dla niej prawdziwą torturą. Powtarzała je jeszcze w chwili, kiedy nad spienionym potokiem ujrzała dom medyka Abu, zwieńczony pióropuszem zielonych palm, które zdawać by się mogło, wyrastały w samym jego środku.

– Jesteśmy na miejscu! – powiedział Walter. – Oto cel naszej wędrówki.

Ona jednak, spojrzawszy na wzgórze z drugiej strony potoku, na którym wznosił się różowy zamek, pomyślała, że jej cel jest tam, wysoko, i że nie ma ani sił, ani odwagi sforsować jego bram.

Jednak kiedy otworzyły się ładne, rzeźbione, dwuskrzydłowe drzwi wysadzone ćwiekami, czas nagle cofnął się dla niej. Poczowała, że ma o dziesięć lat mniej, zobaczywszy wielkiego Murzyna w białym turbanie, jednego z dwóch niemych służących Abu!

Niewolnik zmarszczył brwi, patrząc na przybyłych z niechęcią i już miał zamknąć drzwi, lecz przeszkodziła mu w tym stopa Waltera wetknięta w szczelinę, gdy tymczasem Josse powiedział głosem nie znoszącym sprzeciwu:

– Powiedz swojemu panu, że pragnie go widzieć stary przyjaciel. Przyjaciel przybyły z chrześcijańskiego kraju!

– On nie może nic powiedzieć, ponieważ jest niemy! – przerwała Katarzyna.

Murzyn słysząc, że mówi po francusku, popatrzył na nią ze zdziwieniem i ciekawością. W jego wybałuszonych oczach zaświeciły płomyki radości.

– Popatrz! – rzuciła Katarzyna zdejmując chustę. – Pamiętasz mnie? Niewolnik upadł na kolana i chwyciwszy koniec jej zgrzebnych łachmanów, uniósł je do ust. Następnie rzucił się w stronę wewnętrznego ogrodu, który widać było za dziedzińcem ozdobionym smukłymi kolumnkami. Ogród składał się z kęp kwiatów i trzech palm. W środku widać było przezroczystą, alabastrową fontannę, w której przelewała się kryształowo czysta woda, chłodząc całe obejście. Wśród roślinności przeważały róże i drzewa pomarańczowe, obsypane mocno pachnącym białym kwieciem, w których zasadzał się cały przepych domostwa, nie licząc wysmukłych kolumnek o czystych liniach, przezroczystej, alabastrowej koronki zdobiącej galerię na pierwszym piętrze czy świeżości przejrzystej wody szemrzającej w ogrodzie. Abu cenił prostotę w życiu codziennym, nie uważając wszakże komfortu za coś złego...

Na posadzce dały się słyszeć czyjeś szybkie kroki i po chwili pojawił się Abu-al-Khayr we własnej osobie – tak podobny do wizerunku sprzed lat, że Katarzyna aż westchnęła z ulgą. Twarz medyka – okolona białą, jedwabistą brodą – była, jak ongiś, gładka i czysta. Medyk był też tak samo ubrany jak podczas ich pierwszego spotkania, w suknię z gęstego niebieskiego jedwabiu, a na głowie miał wielki czerwony turban, zamotany na perską modłę. Nie postarzał się nawet o jeden dzień. W jego czarnych oczach tliła się, jak dawniej, iskierka ironii, a uśmiech był tak znajomy, że bliska łez Katarzyna miała wrażenie, jakby wróciła do domu.

Abu, pominawszy obojętnie ceremonialne ukłony Jossego i Waltera, stanął przed Katarzyną, obrzucił ją od stóp do głów badawczym spojrzeniem i oznajmił z prostotą:

– Nareszcie jesteś! Długo dałaś na siebie czekać!

– Ja?

– No tak, ty! Nigdy się nie zmienisz, kobieto jednej miłości! Jak ćma, wolisz spalić się w płomieniu, niż żyć w ciemności. Połowa twego serca jest tutaj. A czy ktoś może żyć tylko z jedną połową?

Katarzyna słysząc te słowa, zaczerwieniła się. Abu nie stracił zdolności odgadywania najgłębszych tajników jej serca. Odrzucając formułki grzecznościowe, przeszła do sedna sprawy.

– Widziałeś go?... Gdzie jest? Co robi? Czy...

– Hola, hola, moja panno! Nie tak szybko! – Drobne, delikatne ręce medyka ujęły drżące z podniecenia dłonie młodej kobiety i trzymały je w silnym uścisku. – Kobieto niecierpliwa, po co ten pośpiech? – spytał łagodnie.

– Właśnie po to, że dłużej już nie mogę czekać! Nie mogę już dłużej wytrzymać, Abu!... Jestem zmęczona, zrozpaczona! – krzyknęła nerwowo.

– Nie, Katarzyno! Nie jesteś zrozpaczona. W przeciwnym przypadku nie byłoby cię tutaj! Ja to wiem. Posłuchaj słów poety: „Kiedy wreszcie, Boże Wszechmogący, spełnisz moje życzenie: zaznać odpoczynku przy jego twarzy?”. A ty przemawiasz jak poeta, to takie naturalne!

– Teraz już nie, poczułam się nagle taka stara...

Dziecinny śmiech Abu-al-Khayra przeszył powietrze, tak że Katarzyna zawstydziała się nagle swego przygnębienia.

– Komu chcesz to wmówić? Oczywiście, że jesteś zmęczona, przebyłaś przecież szmat drogi. Czujesz się lepka i do cna zbrukana. Ale to przejdzie... Nawet w żebraczych łachmanach jesteś tak samo piękna jak zwykle. Chodź ze mną, potrzebujesz kąpieli, odpoczynku i jedzenia. Potem porozmawiamy, nie wcześniej!

– Ale... ja naprawdę widziałam tamtą... widziałam ją... jest taka piękna!

– Nie będziemy o niej rozmawiać, dopóki się nie wzmocnisz i nie posilisz! Od tej pory ten dom jest twoim domem i sam Allah wie, jaki jestem szczęśliwy, że mogę cię w nim gościć, moja sestro! A teraz, chodź za mną... ale, ale... kim są tamci dwaj? Twoi słudzy?

– Więcej, Abu! To moi przyjaciele!

– W takim razie są również moimi! Chodźcie wszyscy za mną! Katarzyna posłusznie dała się poprowadzić w stronę wąskich, kamiennych schodów prowadzących do galerii na pierwszym piętrze. Walter i Josse, będąc pod wrażeniem małego medyka, jego wyglądu i kwiecistego języka, bez sprzeciwu podążali za nimi. Josse wreszcie nie musiał udawać niewidomego i maszerował dziarskim krokiem.

– Bracie... – szepnął do Waltera – myślę, że pani Katarzyna odniosła już połowę sukcesu. Ten mały człowieczek zdaje się wiedzieć, co to jest prawdziwa przyjaźń.

– Dobrze gadasz... lecz co do zwycięstwa, to byłbym mniej pewny... nie znasz pana Arnolda. Dumny jak lew, uparty jak osioł, waleczny jak orzeł... ale również okrutny. Należy do tych, którzy woleliby raczej wyrwać sobie serce, niż zapomnieć doznanej obrazy.

– A co, nie kochał swojej żony?

– Uwielbiał ją. Nigdy nie widziałem bardziej zakochanej pary. Ale doniesiono mu, że oddała się innemu, i dlatego uciekł. Nie wiem, co teraz o tym myśli.

Josse zamyślił się. Od chwili gdy spotkał Katarzynę, miał ochotę poznać tego, który potrafił tak mocno przywiązać do siebie serce podobnej kobiety. A teraz, kiedy cel był bliski, jego ciekawość sięgała zenitu.

– To się okaże... – wymamrotał pod nosem.

Nie powiedział nic więcej, gdyż w tej chwili medyk otworzył przed mężczyznami małe czerwono-zielone drzwi obszernego pokoju, zapowiadając, że za chwilę przyśle im służących. Następnie klasnął trzy razy w rękę, zanim

otworzył przed Katarzyną następne drzwi. Był to z pewnością najpiękniejszy pokój w całym domu: czerwono-złoty sufit z drzewa cedrowego, malowany niczym dywan, ściany ze złożonymi mozaikami, na marmurowej posadzce puszyste, miękkie dywany, gotyckie nisze z lustrami, świeczniki i naczynia niezbędne do toalety: misa i konewka. Do tego cztery miedziane kufry na stroje w każdym rogu i oczywiście niewidoczne łoże, na sposób muzułmański zwinięte i schowane gdzieś w kącie, poza zasięgiem ludzkiego wzroku, za to rzucająca się w oczy olbrzymia okrągła kanapa zarzucona mnóstwem kolorowych poduszek. A także okna wychodzące oczywiście na wewnętrzną dziedziniec.

Abu pozostawił Katarzynie czas, by mogła przyzwyczaić się do widoku komnaty, w której nic, co mogłoby urzec kobietę, nie zostało pominięte. Następnie powoli zbliżył się do jednego z kufrów i otworzywszy go wyciągnął zeń naręcze jedwabiu i kolorowych muślinów, które ostrożnie rozłożył na kanapie.

– Uwierz Katarzyno, że ja naprawdę czekałem na ciebie! Te wszystkie jedwabie zakupiłem na suku następnego dnia, kiedy dowiedziałem się, że twój mąż jest w naszym mieście!

Przez chwilę Katarzyna i jej przyjaciel stali nieruchomo naprzeciw siebie, po czym ona schyliła się, schwyciła dłonie medyka i zanim Abu zdążył jej w tym przeszkodzić, przywarła do nich ustami, nie starając się już nawet powstrzymać łez, które trysnęły z jej oczu. Abu łagodnie wyciągnął swoje dłonie.

– Gość zesłany przez Boga jest zawsze u mnie mile widziany – powiedział uprzejmie. – A kiedy tym gościem jest osoba bliska memu sercu, wtedy nie ma radości większej ni czystszej dla mnie, prawdziwego wiernego! To ja powinienem ci podziękować!

Godzinę później, wykąpana i odziana w stroje ofiarowane jej przez Abu, obszerne suknie z cienkiej wełny w biało-czarne paski, ściśnięte w talii szerokim, jedwabnym pasem przeznaczonym dla mężczyzn i w skórzanych papuciach haftowanych srebrną nicią, wraz z odświeżonymi i przebranymi w czyste szaty towarzyszami, Katarzyna usiadła na poduszkach leżących na podłodze wokół wielkiej srebrnej tacy stojącej na nóżkach, a służącej jako stół. Był on obficie zastawiony. Obok plastrów pieczonej baraniny piętrzyły się cienkie placuszki nadziewane farszem z gołębiego mięsa, jajek i migdałów oraz wielka rozmaitość owoców i jarzyn, wśród których część nie była znana gościom z północy.

– Osobiście przedkładałam nad wszystko produkty ziemi – uśmiechnął się Abu rozcinając wielki, pachnący melon i rozdzielając wkoło jego soczyste kawałki. – W nich jest tyle słońca.

Na stole leżały też pomarańcze, cytryny, jabłka, dynie i świeży przyprawiony bób, bakłazany, groch, banany, winogrona, migdały i oczywiście granaty, ułożone w kolorowe stosy. Josse i Walter, popijając wino z wysmukłej butelki, próbowali zachłannie wszystkiego, zajadając z takim apetytem, że wywołali uśmiech na twarzy medyka, który sam jadł niewiele.

– Czy u ciebie, panie, zawsze tak się jada? – spytał Josse połykając kolejny smakowity kąsek.

– Nie nazywaj mnie panem, lecz po prostu Abu. Jestem tylko zwykłym człowiekiem. A co do twego pytania, to w istocie, tak się tu zawsze jada. W tej krainie nie wie się, co to głód. Słońce, woda i ziemia dają nam wszystkiego w nadmiarze. Pozostaje jedynie dziękować za te dobra Allahowi. Wiem, że w zimnych krajach ludzie nawet nie przypuszczają, że może istnieć taka kraina jak nasza. To zapewne z tej przyczyny – dodał ze smutkiem – Kastylijczycy chcieliby nas stąd wygonić, tak jak wygonili nas z Walencji, ze Świętej Kordony i z innych miejsc tego półwyspu, które uczyniliśmy szczęśliwymi i bogatymi. Oni nie rozumieją, że nasze bogactwa pochodzą także ze Wschodu i z Afryki, skąd przyplływające statki swobodnie dobijają do naszych brzegów... lecz kiedy upadnie królestwo Grenady, wszystko się skończy!

Abu mówiąc, obserwował Katarzynę kątem oka. Pomimo długiej drogi prawie nie tknęła jedzenia. Zjadła parę kęsów kawona, kilka migdałów i fistaszków, a teraz małą, złotą łyżeczką machinalnie wyjadała sorbet różany, który niemowa postawił przed nią. Utkwiwszy wzrok w masie zieleni, nawet nie słuchała rozmowy. Jej myśli błądziły daleko stąd, wokół pałacu-fortecy, tak bliskiej i tak niedostępnej, za której różowymi murami serce Arnolda biło dla innej.

Abu zauważył, że zbiera jej się na płacz. Wezwał jednego z niewolników i szepnął mu coś na ucho. Murzyn skinął głową na znak, że rozumie, i szybko wyszedł. Po chwili na progu dał się słyszeć przenikliwy skrzek:

– Dobrrrrrry... książę! Dobrrrrrry książę!

Katarzyna, wyrwana z zamyślenia, podskoczyła, jakby użądliła ją osa, kierując zdziwione spojrzenie na Murzyna, który postawił przed nią srebrny stojak, na którym pyszniła się wspaniała, niebieska papuga z długimi piórami w czerwone plamy.

– Gedeon! – krzyknęła w osłupieniu. – Ja chyba śnię!

– Nie śnisz, Katarzyno! Zapomniałaś, że dałaś mi go, kiedy wyjeżdżałem z Dijon? To pamiątka po tobie i cenny przyjaciel. Jak widzisz, opiekowałem się nim sumiennie.

Katarzyna z dziecinną radością głaskała pióra ptaka, który na swojej żerdzi przestępował z nogi na nogę, gruchając niczym turkawka i wlepiając w swą panią okrągłe ślepka. Otworzywszy na powrót czerwony dziób krzyknął:

– Allah jest wielki, a Mahomet jest jego prrrrrroorrrrrrokiem!

– Widzę, że zrobił postępy! – powiedziała Katarzyna wybuchając śmiechem, po czym posmutniawszy nagle, pomyślała: Ileż wspomnień przywołuje ten ptak...

Gedeon w istocie był pierwszym prezentem, jaki dostała od księcia Filipa Burgundzkiego, kiedy się w niej zakochał. Był wiernym towarzyszem od chwili, w której schwytałszy księcia w swoje sieci, sama pokochała na śmierć i życie Arnolda de Montsalvy...

Z zamyślenia wyrwał ją głos Abu, który zamierzał rozwiązać jej smutek.

– Nie po to kazałem przynieść ci ptaka, by obudzić twoją melancholię – rzekł łagodnie – lecz po to, abyś zrozumiała, że ani czas, ani ludzie nie zmieniają się tak bardzo. Zdarza się, że czas powraca.

– Czas księcia Filipa umarł dawno temu!

– Nie jego miałem na myśli, lecz te szczęśliwe godziny, jakie dała ci

miłość.

– Dała mi ich tak niewiele!

– Wystarczająco, aby ich wspomnienie wypełniło twe życie... i aby nie wymazało się łatwo z serca twego małżonka.

– Skąd to wiesz?

– Od niego samego.

Wzrok Katarzyny zapłonął, a jej policzki poczerwieniały.

– Czy... widziałeś się z nim?

– Oczywiście! – odparł Abu z uśmiechem. – Zapominasz, że ongiś byliśmy wielkimi przyjaciółmi. Przypomniał sobie, że mieszkam w tym mieście, i zaledwie przybył do Alhambry, wezwał mnie do siebie.

– I udało ci się do niego dotrzeć?

– Jestem medykiem... i skromnym przyjacielem kalifa, który dobrze mnie traktuje. Muszę jednak ci wyznać, że księżniczka Zobeida, która więzi twego męża, nie cierpi mnie od chwili, kiedy uratowałem od śmierci małżonkę sułtana, Aminę, której ona nienawidzi, tak więc wyobrażam sobie, jak bardzo chce się przypodobać „francuskiemu panu”, skoro zgodziła się, by mnie wezwano. Dzięki temu miałem sposobność rozmawiać z panem Arnoldem przez całą godzinę.

– Powiedziałeś, że Arnold jest jej więźniem – rzuciła Katarzyna z zazdrością. – Dlaczego kłamiesz? Dlaczego nie użyłeś właściwego słowa, ty, który tak dobrze znasz się na znaczeniu słów? Dlaczego, zamiast „więzień”, nie użyłeś słowa „kochanek”?

– Ponieważ... nic mi o tym nie wiadomo! – odparł Abu z prostotą. – To sekret nocy w Alhambrze... gdzie wielu służących jest niemych.

– Czy rzeczywiście... uleczony jest z trądu?

– Nigdy nie miał trądu! Są choroby podobne do tego przeklętego choróbka, lecz wasi europejscy medycy nie znają ich. Medyk księżniczki, Hadzi Rahim, to święty człowiek, odbył też Wielką Pielgrzymkę, co nie przeszkadza, że według mnie jest patentowanym osłem. Jednakże to on od razu zauważył, że twój Arnold nie ma trądu. Aby się upewnić, zbliżył ramię pana Arnolda do płomienia. Twój mąż zawył, co udowodniło, że nie stracił czucia.

– Więc co to była za dziwna choroba? Sama widziałam na jego ramionach białawe plamy.

– Słynny Trotula ze szkoły salerneńskiej nazywał tę chorobę vitiligo lub biała plama i obawiam się, że w waszych leprozoriach przebywa wiele osób dotkniętych tym, z reguły niegroźnym, schorzeniem, które wasi niedouczeni medycy mylą często z trądem.

Znowu nastąpiła cisza. Walter i Josse stali nieruchomo jak posągi, nie mówiąc ani słowa. Nadstawiali tylko uszu, czekając na moment, kiedy ktoś zapyta ich o zdanie. Tymczasem Katarzyna zbierała siły. Pytania, które cisnęły się jej na usta, były jeszcze okrutniejsze.

– Dlaczego Arnold poszedł za tą kobietą? – spytała głucho.

– A dlaczego jeniec musi iść za zwycięzcą?

– Właściwie czym jest jeńcem, siły czy... miłości?

– Siły, jestem tego pewien, gdyż opowiadał mi, jak Nubijczycy Zobeidy pojмали go pod Toledo. Co do miłości, to nic mi o tym nie mówił. Ale wątpię

szczerze...

– Dlaczego?

– Nie powinnaś mnie o to pytać. Odpowiedź bowiem nie sprawi ci przyjemności: otóż dlatego, że Arnold de Montsalvy nie wierzy już w prawdziwą miłość. Powiedział, że jeśli potrafiłaś dla innego zapomnieć o łączącym was uczuciu, żadna inna kobieta nie potrafi dać mu czystej i szczerzej miłości.

Katarzyna zniosła dzielnie ten nowy cios. Potrafiła być uczciwa wobec siebie samej i niełatwo było jej zapomnieć o zalotach Piotra de Brézé. Zbyt często wyrzucała sobie zbytnią wobec niego kokieterię, w szczególności zaś tamtą fatalną noc w ogrodzie w Chinon, gdzie Bernard d'Armagnac zaskoczył ją w ramionach pięknego rycerza.

– Zasłużyłam na to! – powiedziała szczerze. – Ale siła miłości jest wielka... Czy ta kobieta kocha go?...

– Do szaleństwa! Z siłą, która przeraża jej otoczenie. „Francuski pan” ma nad Zobeidą całkowitą władzę. I ma wszelkie prawa... nie wolno mu tylko spojrzeć na inną kobietę. Biada tej, do której by się uśmiechnął czy skierował choć jedno słowo. Natychmiast zostałaby oddana w ręce kata. Już dziesięć kobiet spotkał ten los. Nawet służące Zobeidy nie śmiały podnieść oczu na mężczyznę, którego kocha tą dziką miłością. Usługują mu na klęczkach i z całkowicie zasłoniętymi twarzami, jakby znajdowały się na ulicy. Pan Arnold bowiem ma pawilon w ogrodzie Zobeidy, chociaż według naszych zwyczajów mężczyźni żyją odseparowani od kobiet.

– I kalif zgodził się na to? Abu wzruszył ramionami.

– A dlaczego nie? Dopóki Arnold nie przyjmie islamu, jest dla niego tylko chrześcijańskim niewolnikiem. Traktuje go jak zabawkę swojej siostry, nic więcej. Zresztą, sułtan Muhammad zbyt dobrze zna fantazje Zobeidy, żeby się jej sprzeciwić. Nasridowie to dziwna rodzina... gdzie łatwo się umiera, jak się dowiesz później. Utrzymanie się na tronie oznacza bezustanną walkę, wystarczy wspomnieć, że Muhammad VIII musiał swój zdobywać dwa razy. Ten różowy pałac to gniazdo żmij. Kto tam wejdzie, naraża się na ciągłe niebezpieczeństwa.

– To właśnie chcę zrobić. Mam zamiar tam wejść...

Abu zamilkł z osłupienia. Kiedy wreszcie przyszedł do siebie, spytał:

– Masz zamiar wejść do Alhambry? Czy straciłaś rozum? Musimy zrobić inaczej. Chociaż Zobeida nienawidzi mnie, ja sam muszę się do niej udać pod jakimś pretekstem, żeby powiedzieć panu Arnoldowi o twoim przybyciu. Zresztą uprzedziłem go, że możesz się pojawić w Grenadzie.

– I co powiedział na to?

– Pokręcił głową z powątpiewaniem: „A po co miałyby przyjść?”

– odpowiedział. – Przecież ma wszystko, czego zawsze szukała: miłość, zaszczyty, bogactwo... a mężczyzna, którego wybrała, potrafi zatrzymać kobietę. Nie, ona nie przyjdzie”.

– Ależ on mnie źle osądza – westchnęła z goryczą Katarzyna.

– Miałaś, panie, rację.

– I jestem z tego powodu szczęśliwy! Tak więc, ja udam się do niego i... Katarzyna przerwała mu, kładąc dłoń na ramieniu medyka.

– Nie, Abu, nie może tak być, a to z dwóch powodów: pierwszy to ten, że

dowiadując się o mojej obecności, Arnold nie zechce mnie widzieć... i wtedy umrę, albo będzie chciał do mnie wrócić, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– To jeden powód, a drugi?

– Drugi to ten, że chcę sama zobaczyć, co rzeczywiście łączy go z tą kobietą. Chcę się przekonać, czy rzeczywiście ją kocha, pojmujesz, panie? Czy naprawdę udało się jej wygnać moje imię z jego serca, chcę zliczyć ich pocałunki, dojrzeć ich pieszczoty. Wiedz, panie, że nie mam żadnych złudzeń. Wiem, że nie jestem już młoda. A olśniewająca uroda tej Zobeidy napełniła moje serce rozpaczą... całkiem możliwe, że zdobyła go.

– A jeśli ta kobieta, podbiwszy serce pana Arnolda, uczyniła zeń swego niewolnika? Co wtedy byś zrobiła? – rzucił odważnie Walter.

Katarzyna pobladła. Zamknawszy oczy, starała się przepędzić obraz Arnolda w ramionach księżniczki, obraz zbyt wyrazisty, od kiedy ujrzała Zobeidę w lektyce.

– Sama nie wiem... – odpowiedziała. – A jednak powinnam wiedzieć! Więc jeśli nie udam się do pałacu, to nigdy się nie dowiem!

– Pozwól mi tam pójść, Katarzyno! – rzekł Walter. – Sam się dowiem, czy twój małżonek odwrócił się od ciebie. A ty unikniesz niebezpieczeństwa!

W tej chwili Abu przyłączył się do wymiany zdań.

– A jak dotrzesz do niego, człowieku z Północy? Apartamenty księżniczki stanowią część haremu i choć znajdują się na uboczu, są pilnie strzeżone przez strażników kalifa. Żaden mężczyzna nie ma doń wstępu, z wyjątkiem eunuchów.

– A czyż pan Arnold jest eunuchem?

– On to co innego. Jest więźniem księżniczki, która zazdrośnie strzeże swego skarbu. Nie zyskując niczego, stracisz życie w całym przedsięwzięciu!

Walter chciał się sprzeciwić, lecz medyk nakazał mu milczenie i zwrócił się do Katarzyny.

– Pod jakim pretekstem zamierzasz wejść do Zobeidy?

– Nie wiem... Może jako służąca... Czy to niemożliwe? Dzięki Jossemu mówię waszym językiem i potrafię udawać.

Na poparcie swoich słów Katarzyna opowiedziała medykowi o swoim pobycie wśród Cyganów i jak przez wiele dni odgrywała swą trudną i niebezpieczną rolę.

– Wtedy myślałam tylko o tym, żeby się zemścić za siebie i za Arnolda. A teraz zrobię wszystko, by odzyskać moją jedyną rację bytu. Błagam cię, Abu, musisz mi pomóc dostać się do Alhambry! Muszę się z nim zobaczyć, muszę się dowiedzieć!

Wyciągnęła do niego dłonie w błagalnym geście, lecz Abu odwrócił głowę, czując zażenowanie na widok kobiecych łez.

– To czyste szaleństwo! – westchnął – chociaż wiem od dawna, że potrafisz postawić na swoim, jeśli bardzo czegoś pragniesz. Obiecuję ci, że poważnie się nad tym zastanowię. Musisz jednak dać mi trochę czasu. Takie przedsięwzięcie wymaga ciszy i zastanowienia. Tymczasem odpocznij w moim domu i ogrodzie. Zobaczysz, jak szybko przyjdzie ukojenie w moim obejściu.

– Mam czekać? – krzyknęła Katarzyna. – Mam odpoczywać, kiedy pożera mnie zazdrość i spalam się z niecierpliwości, by ujrzeć Arnolda?

Abu wstał i wsunawszy dłonie w szerokie rękawy, popatrzył na nią surowo.

– Musisz jeszcze wytrzymać parę dni. Przed chwilą wspomniałaś o niebiańskiej urodzie Zobeidy... Czy masz więc zamiar pokazać się twemu mężowi z włosami bez połysku, ze skórą usianą piegami, z dłońmi o skórze stwardniałej od lejców i z wychudzonym ciałem?

Katarzyna spuściła głowę pod tym nagłym atakiem i poczerwieniała jak granaty piętrzące się na tacy.

– Jestem taka brzydka?... – wybełkotała.

– Sama dobrze wiesz, że nie... lecz u nas kobieta żyje tylko po to, by przypodobać się mężczyźnie. Jej ciało powinno być flakonem cennych perfum, które on będzie wdychał z lubością, harfą, której czułe struny z upodobaniem będzie trącać, ogrodem różanym i pomarańczowym, zaspokajającym jego najskrytsze żądze. Tę broń, którą posiada Zobeida... musisz teraz zdobyć ty... albo raczej odzyskać. Dopiero wtedy będziesz mogła stanąć do równej walki z twoją rywalką. Przypomnij sobie o pewnej damie z czarnym diamentem, która zawojowała serce księcia! Jutro sam zaprowadzę cię do pobliskiej łaźni i oddam w ręce Fatimy, która zajmuje się częścią kobiecą. To najokropniejsza starucha, jaką znam i królowa stręczycielek, lecz potrafi jak nikt inny uczynić z wychudłej szkapy ognistą klacz o lśniącej maści. Jest mi wielce oddana i zobaczysz, że z tobą także uczyni cuda! A teraz zostawiam cię. Muszę odwiedzić moich chorych. Zobaczymy się wieczorem!

Abu wyszedł ze zwykłą sobie godnością, pozwalając Katarzynie odpowiedzieć samej sobie na pytanie, czy „wychudła szkapa” ma z nią jakiś związek. Targające nią wątpliwości musiały być dobrze widoczne, gdyż nagły atak śmiechu wstrząsnął jednocześnie Walterem i Jossem.

– Jeszcze nigdy nie spotkałem tak śmiesznej postaci jak ten mały medyk – wydusił wreszcie Josse, dławiąc się i klepiąc po udach.

Katarzyna spojrzała na obu mężczyzn pokładających się ze śmiechu i tarzających się na poduszkach, rozważając, czy nie powinna się pogniewać. Ponieważ jednak śmiech jest zaraźliwy, wkrótce i ona wybuchnęła śmiechem.

Co słysząc Gedeon uznał, że grzeczność wymaga, by dołączyć do koncertu, i zaskrzeczał najgłośniej, jak potrafił:

– Ka! Ka! Ka!... tarzyna! Dobrrrrry... książę!

Na co Walter celnym rzutem poduszki zamknął mu dziób.

Rozdział dziesiąty

KĄPIELOWA FATIMA

Leżąc na marmurowej ławie przykrytej czerwonym kąpielowym ręcznikiem, starając się, zgodnie z zaleceniem, o niczym nie myśleć, Katarzyna poddawała się zabiegom Fatimy i jej pomocnic. Przymknęła oczy, żeby nie widzieć wyłupiastych, bezbarwnych oczu kąpielowej, która wydawała się jej jeszcze brzydsza, niż zapowiadał Abu.

Fatima była olbrzymią Etiopką, czarną jak węgiel i silną jak koń. Jej gęste, czarne i zmierzwione włosy, krótkie jak u mężczyzny, zaczynały siwieć. Podobnie jak pomocnice była naga aż do pasa, cała błyszcząca od potu, jej wielkie jak dynie piersi kołysały się ciężko w rytm jej ruchów. Od czasu do czasu wydymała grube, czerwone wargi, ukazując białe zęby, po czym na nowo miętosila ciało Katarzyny rękami szerokimi jak łopaty.

Kiedy owinięta w szeroką, zieloną dzellabę przyjechała na ośle do hammamu w towarzystwie samego Abu i dwóch niemych Murzynów, Fatima wykonała przed medykiem głęboki ukłon, po czym wdała się z nim w rozmowę, wymawiając słowa tak szybko, że gdyby Abu nie uprzedził jej, iż najpierw wyjawi powód obecności białej kobiety w swoim domu, Katarzyna nie zrozumiałaby ani w ząb, o co chodzi.

Pomysł medyka był prosty, choć nieco dziwny, biorąc pod uwagę jego nieufność do kobiet: otóż kupił ze statku, który właśnie przybił do Almerii, tę piękną, białą niewolnicę, aby umilała mu życie na stare lata, oczywiście po cudownych zabiegach Fatimy, które miały ją uczynić godną łoża takiego jak on wyrafinowanego mężczyzny. Prosił jedynie, chcąc uniknąć plotek, by Fatima odseparowała jego piękną niewolnicę od pozostałych kobiet. Mały medyk robił przy tym miny pełne pruderii i spuszczał oczy tak, że Katarzyna z trudem zachowywała powagę, lecz Fatima, na widok złotych dinarów, którymi sypnął hojnie klient, nie zauważyła niczego, przekonana, że uczony Abu-al-Khayr zakochał się na stare lata.

Nie zwlekając zabrała się do dzieła. Najpierw dwie chude Arabki wprawnym ruchem zdjęły z niej okrycie i posadziły na niskim drewnianym taborecie w pomieszczeniu o ścianach pokrytych mozaikami i wypełnionym parą. Pozwolono jej się tam wypocić przez jakieś pół godziny, po czym na wpół uduszoną obie kąpielowe przeniosły do masażu na ławę, przy której stała już Fatima, podparłszy się pod boki jak kat czekający na swą ofiarę.

Olbrzymka naciągnęła na prawą dłoń rękawicę z szorstkiej wełny, w lewą chwyciła słoje z maścią w kolorze ochry i w zawrotnym tempie zaczęła wcierać ją w ciało klientki, która w mgnieniu oka zamieniła się w figurę pokrytą błotem. Widać było tylko oczy i usta. Następnie Fatima energicznie wklepała błoto w jej ciało, po czym zmyła je silnym strumieniem wody. Po tym zabiegu Katarzyna została zawinięta w prześcieradło z cienkiej wełny i przeniesiona na inny stół, wyposażony w podpórkę na szyję, dzięki której włosy mogły zwisać na zewnątrz.

Głowa Katarzyny została obficie namydłona i spłukana wiele razy,

nabalsamowana pachnącym olejkiem i ponownie wypłukana, wreszcie natarta esencją jaśminową. Przez cały czas trwania zabiegów Fatima nie wypowiedziała ani jednego słowa. Przemówiła dopiero wtedy, kiedy klientka z głową owiniętą suchym ręcznikiem, otulona miękkim, białym szlafrokiem, została ułożona na leżance wypoczynkowej pośrodku wielkiej ilości poduszek. Fatima klasnęła w dłonie, na co pojawił się eunuch z okazałą miedzianą tacą zastawioną mnogością przekąsek, którą postawił na małym stole przy leżance. Fatima, która nie raczyła zakryć swej nagości na widok eunucha, wskazała na tacę i rzekła:

– Masz to wszystko zjeść!

– Wszystko? – krzyknęła Katarzyna z przerażeniem.

Na tacy leżały różnorakie dymiące kulki mięsne, dwa rodzaje zupy, w tym jedna również z kulkami, kiszzone ogórki, smażone bakłażany, pachnący gulasz, wreszcie kilka gatunków ciastek ociekających miodem i najeżonych migdałami. Nawet dla Waltera byłoby tego za dużo!

– Nigdy nie pochłonę takiej ilości jedzenia... – powiedziała nieśmiało, czując respekt przed wielką posturą Fatimy. Ale kąpielowa, nie przejąwszy się wcale słowami kobiety, odparła:

– Będziesz tak długo jadła, aż to wszystko zniknie! Zrozum mnie dobrze, Poranna Jutrzenko: twój pan, Abu-al-Khayr, oczekuje, iż uczynię z ciebie najpiękniejsze stworzenie całego islamu! Muszę dbać o reputację i dlatego nie wyjdiesz stąd, dopóki twoje ciało nie stanie się równie słodkie jak sorbet różany!

– Nie wyjdę stąd? Co masz na myśli?

– Że wyjdiesz stąd dopiero, by wejść do łóżka twego pana i dostarczyć mu rozkoszy – oznajmiła spokojnie Etiopka. – Pozostaniesz tutaj aż do tego dnia. Tu będziesz obsługiwana, poddawana zabiegom i pilnowana jak...

– Jak tuczona gęś! – uniosła się Katarzyna. – Ależ ja nie chcę! Chyba umrę z nudów!

– Nie będziesz mieć czasu na nudy! Jesteś piękna, lecz okropnie chuda i masz przesuszoną skórę. Jest wiele do zrobienia. Będziesz mogła zażywać spacerów w ogrodzie, odpoczywać na tarasie, wdychając wieczorne powietrze. Wreszcie, ukryta pod woalem i pod odpowiednią eskortą, będziesz mogła czasem wyjść do miasta. Uwierz mi, nie będziesz miała ani chwili na nudę! Zresztą czas twego tu pobytu zależeć będzie od twojej dobrej woli. Im szybciej będziesz gotowa, tym szybciej stąd wyjdiesz... choć, prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego tak ci śpieszno do karesów starego medyka, który jest tęgi na umyśle, ale pewnie mięśnie ma sflaczałe i kiepski musi być z niego kochanek. Jedz!

Zakończywszy swą przemowę, Fatima wyszła, zostawiając Katarzynę samą z jej gniewem, lecz zarazem z ochotą do śmiechu. Jak Abu śmiał zamknąć ją u tej strasznej kobiety? Rozmyślnie nie uprzedził, że nie wyjdzie z jej szponów, dopóki nie odzyska dawnego uroku, wiedząc, jaka byłaby jej reakcja. Zamykając ją u olbrzymki, chciał ochronić ją przed nierozważnymi czynami, a samemu zyskać czas do namysłu. W istocie, to było sprytne. Pozostawało poddać się jego woli...

Posłusznie, kęs za kęsem, pochłonęła zawartość tacy, wypiła, najpierw nieufnie, potem z coraz większą przyjemnością, miętową herbatę, mocną i

słodką... po czym zapadła w głęboki sen. Kiedy się obudziła, Fatima stała u jej wezłowia, szczerząc białe zęby.

– Spałaś dwie bite godziny, Jutrzenko! – oznajmiła triumfalnie. – I wszystko zjadłaś. To dobrze! Widzę, że się rozumiemy. A teraz możemy działać dalej.

Dwie służące podniosły ją z leżanki i ostrożnie, jakby była ze szkła, zanosły do salonu epilacji, gdzie specjalistka pozbawiła jej ciało zbędnego puszku za pomocą gęstej mazi zrobionej z wapna i aury pigmentu, podczas gdy inna pokryła jej włosy lekką henną, która po spłukaniu pozostawiła cudowny odcień rudego złota. Po tych zabiegach oddano ją z powrotem w ręce Fatimy. Ta natarła całe ciało swej klientki pachnącą oliwką i zabrała się za masowanie. Katarzynie sprawiło to tym razem prawdziwą przyjemność. Czarne dłonie Fatimy potrafiły być bezwzględne, ale potrafiły też być zadziwiająco delikatne. Masując brzuch młodej kobiety, Etiopka stwierdziła dobitnie:

– Kiedy skończę z tobą, będziesz mogła rywalizować z samą księżniczką Zobeidą, perłą haremu!

Katarzyna nadstawiła ucha i udając obojętność spytała:

– Słyszałam o niej. Znasz ją? Ludzie powiadają, że jest bardzo piękna.

– Pewnie, że znam! Kiedyś, po przebytej chorobie, opiekowałam się nią. To najpiękniejsza pantera na całym Wschodzie! Jest okrutna i dzika, lecz bardzo piękna! Zresztą, ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Zobeida jest dumna ze swego ciała, ze swoich piersi, na których można by formować puchary... i wcale się z tym nie kryje. W swoich apartamentach przechadza się prawie naga, zaledwie okryta przezroczystymi muślinami, aby radować oczy swego kochanka.

Katarzyna poczuła, że zaschło jej w gardle.

– Jej kochanka?...

Fatima przewróciła Katarzynę na drugą stronę jak naleśnik i zabrała się do ugniatania jej pleców, po czym zaśmiała się szyderczo.

– Powinnam raczej rzec „kochanków”, gdyż ludzie powiadają na bazarach, że widziano, jak nocą niejedyn piękny wojak wchodził przez tajemne drzwi do apartamentów księżniczki, by zaspokoić jej miłosne żądze. Podobno Zobeida potrafi czasami zadowolić się nawet jakimś muskularnym niewolnikiem... którego ciało znajdowano potem w fosach Alhambry.

Katarzyna nie wiedziała, czy ta opinia ma ją cieszyć czy martwić. Z jednej strony, jeśli Zobeida była taką Messaliną, może łatwiej przyjdzie jej wyrwać zdobycz... Z drugiej strony jednak, kto mógłby zaręczyć, czy Arnolda nie czeka okrutny los tamtych niewolników...

– Ale od kilku miesięcy – ciągnęła Fatima – wszystkie plotkarskie języki przekazują sobie, że Zobeida ma tylko jednego kochanka, jakiegoś francuskiego jeńca, za którym szaleje, i że od dawna żaden inny mężczyzna nie przekroczył tajemnego wejścia do jej sypialni.

– Widziałaś tego mężczyznę? – spytała Katarzyna z bijącym sercem.

– Jeden raz. Jest przystojny, męski, wyniosły i cichy, a swoją dzikością przypomina Zobeidę. Miłosne uniesienia tych dwojga muszą być gwałtowne jak burza na morzu, a ich pieszczoty...

Tego już Katarzyna nie mogła znieść spokojnie.

– Zamilcz! – krzyknęła. – Rozkazuje ci, byś zamilkła! Fatima, zaskoczona gwałtownością tej spokojnej klientki, przestała ją masować, spojrzała na nią z zakłopotaniem i bezwiednie zaczęła wycierać dłonie w bawełnianą ściereczkę wiszącą u pasa. Katarzyna ukryła twarz w dłoniach. Fatima sądząc, że domyśla się powodu rozpaczki swojej klientki, roześmiała się, pochyliła nad jej leżącym ciałem i zniżając głos tak, żeby nikt nie usłyszał, wyszeptała:

– Zgaduję, dlaczego rozpaczasz, Jutrzenko. Ciężko ci na myśl, że Zobeida ma pięknego kochanka, podczas gdy tobie przeznaczone są pieszczoty starca. Moim zdaniem masz rację, gdyż twoja uroda zasługuje na coś lepszego niż łożo medyka... Pociesz się jednak, moja piękna. Możliwe, że trafi ci się coś lepszego!

Katarzyna podniosła załzawione oczy.

– Co masz na myśli?

– Nic! Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić! Popatrz, co zrobiłaś ze swoją twarzą, niemądre stworzenie! Muszę się teraz nią zająć...

Z zapadnięciem nocy tarasy domów w Grenadzie zamieniały się w dziwne, zwiewne ogrody. Wszystkie kobiety w jasnych lub ciemnych woalach, połyskujących cekinami, jedne obwieszane klejnotami, inne mające jedynie swą urodę za ozdobę, gromadziły się na dachach, by wdychać świeże wieczorne powietrze, zajadać słodkości i wymieniać między sobą ploteczki. Nawet służące miały prawo wyjść na taras. W tym czasie mężczyźni wylegali na place, gdzie oddawali się rozmowom, słuchali bazarzy lub oglądali popisy linoskoczków.

Tego wieczora, kiedy Fatima ulokowała klientkę na miękkich poduszkach pod nocnym niebem, ta miała dziwne uczucie, że jest inną kobietą. Czuliła się wspaniale w swojej obecnej skórze, a nowa twarz wydawała się jej obca, lecz pociągająca. Przez ponad godzinę leniuchowała w wielkim basenie wypełnionym letnią wodą, a niewolnica przykucnięta nad brzegiem podawała jej obrane owoce. Potem nałożono jej makijaż. Zęby wyszczotkowano specjalną pastą, usta pomalowano na piękny czerwony kolor, przyczernione oczy zdawały się zachodzić aż na skronie, pomalowane paznokcie zaś błyszcząły jak różowe klejnoty. Nowe ubranie było bardzo wygodne: szerokie spodnie z różowego muślinu, związane na biodrach ciężkim, srebrnym pasem i pozostawiające odkryty brzuch i talię, do tego bluzka w tym samym kolorze z krótkimi rękawami, a na głowie okrągły wianek przytrzymujący olbrzymi różowy woal, w który musiała się zawinąć, zanim wyszła na dach.

Noc była łagodna, pachnąca jaśminami i kwiatem pomarańczowym. Z tarasu widok miasta, którego uliczki i otwarte jeszcze bazyry rozświetliły się mnóstwem lampek oliwnych, był tak nieoczekiwany i baśniowy dla przybysza z Północy, przyzwyczajonego do ciemnych miast, do gaszenia świateł o zmierzchu, że Katarzyna nie mogła oderwać od niego wzroku. Dziwna muzyka, łzawa i drżąca, dochodząca z niedalekiej gospody mieszała się z łagodnym szemraniem pobliskiego strumienia.

Wkrótce jednak spojrzenie Katarzyny przeniosło się z miasta na olbrzymią sylwetkę pałacu, który górował nad domem Fatimy, rysując się na ciemnym niebie głębokimi otworami strzelniczymi. Żadnego światła, żadnego znaku życia oprócz szczęku zbroi niewidocznych strażników. W tych niemych murach czaiła się jakaś groźba. Zdawały się mówić, że nigdy nie wydadzą

swego więźnia.

– Można by rzec – rzekła Fatima widząc, że jej klientka nie spuszcza oczu z pałacu – że pociąga cię ten widok, Jutrzenko. O czym marzysz, patrząc na niego?

– O kochanku księżniczki – odparła sprytnie Katarzyna. – O pięknym, białym niewolniku. Jestem z tego samego kraju co i on, jak ci wiadomo. To normalne, że mnie interesuje.

Fatima żywo położyła swą wielką łapę na ustach Katarzyny, która zauważyła, że Etiopka przewraca oczami ze strachu.

– Czy życie ci niemiłe? – syknęła. – Sąsiednie tarasy nie są daleko, a zauważyłam, że na jednym z nich pojawił się właśnie szafranowy woal Aiszy, żony bogatego handlarza przypraw, największej plotkarki w mieście. Ja jestem już stara i brzydka, ale lubię jeszcze wdychać zapach róż i jeść czarny nugat.

– Czy popełniłam jakąś nieostrożność, mówiąc w ten sposób?

– Owszem, gdyż mężczyzna, o którym wspomniałaś, jest jedynym w całej Grenadzie, o którym żadna kobieta nie ma prawa pomyśleć nawet we śnie. Kaci Zobeidy to jeńcy mongolscy, których podarował jej w hołdzie sułtan Mourad. Potrafią oni spowodować trwającą wiele dni agonię i lepiej już narazić się na gniew samego kalifa, niż wywołać zazdrość Zobeidy. Nawet faworyta sułtana, olśniewająca Amina, nie podjęłaby takiego ryzyka. Zobeida i tak wystarczająco jej nienawidzi, toteż rzadko przybywa do Alhambry.

– Gdzie więc mieszka?

Fatima skierowała gruby palec na południowy kraniec miasta, gdzie dało się zauważyć smukłe pawilony i zielone dachy dużego budynku otoczonego ogrodem, którego listowie przeglądało się w błyszczących nurtach rzeki.

– To Alcazar Genil, prywatny pałac kobiet sułtana. Łatwo go pilnować i Amina czuje się w nim bardziej bezpieczna. Sułtanki rzadko w nim zamieszkiwały, lecz Amina wie, jakie skutki przynosi nienawiść szwagierki. Muhammad kocha ją, ale do siostry ma słabość, której Amina się obawia.

– Gdyby Zobeida postanowiła ściąć jej głowę, wątpię, czy pałac ten długo by się obronił – zauważyła Katarzyna.

– Dłużej, niż sądzisz, gdyż jest jeszcze to – odparła Fatima, wskazując na fortecę stojącą nie opodal uniwersytetu, najeżoną strzelnicami i oświetloną licznymi kosztami żarowymi, która strzegła południowej bramy miasta i sprawiała groźne wrażenie. – To siedziba Mansour-ben-Zegrisa, kuzyna Aminy, kochającego się w niej potajemnie i bez wątpienia najbogatszego człowieka w mieście. Rodziny Zegris i Banu Saradj to najpotężniejsze rody w mieście i oczywiście rywalizują ze sobą. Amina należy do rodu Zegrisów, jest to więc dodatkowy powód do nienawiści Zobeidy, która sprzyja rodowi Banu Saradj. Nie wyobrażasz sobie, ile kłopotów mamy z powodu tych wiecznych waśni! Sam kalif Muhammad już dwa razy stracił tron przez ród Zegrisów.

– I nie ukarał ich, wstępując na tron po raz trzeci? Fatima wzruszyła ramionami.

– Nie mógłby! Sułtan z rodu Merinidów, panujący w Fezie nad rozległymi ziemiami Magrebu, jest jego przyjacielem. Ukaranie Zegrisów wzbudziłoby jego gniew, a dzicy jeźdźcy pustyni szybko stanęliby pod naszymi murami. Muhammad wolał więc doprowadzić do ugody z nieprzyjacielem.

Łagodność i dobroć Aminy, choć bardzo przywiązanej do rodziny, lecz kochającej mocno małżonka, przyczyniły się do zawarcia dziwnego układu. Oto dlaczego Muhammad znosi pod własnym nosem obecność Mansour-ben-Zegrisa, który w każdej chwili może ugryźć.

Fatima umilkła. Katarzyna myślała o wszystkim, co usłyszała przed chwilą. Informacje te mogły okazać się przydatne. Powtarzała w myśli wszystkie nazwiska, tak by dokładnie utkwily jej w pamięci.

Otworzyła usta, by zadać swej towarzysze następne pytanie, kiedy potężne chrapanie przeszło nocną ciszę. Zmęczona dniem wyteżonej pracy, potężna Etiopka osunęła się na rozrzucone na podłodze poduszki i z otwartymi ustami i z rękami założonymi na brzuchu zasnęła jak kamień. Katarzyna uśmiechnęła się tylko i umożliwiwszy sobie wygodne miejsce na poduszkach, oddała się swoim myślom.

Kiedy minął ósmy dzień kuracji, Katarzyna była nie do poznania. Spokojne, wygodne i beczynne życie, bogate pożywienie, długie godziny błęgiego leniuchowania w basenach z gorącą, zimną lub letnią wodą, a zwłaszcza skomplikowane zabiegi kosmetyczne w wykonaniu Etiopki uczyniły cuda. Jej ciało przestało być tragicznie chude, skóra wygładziła się, stając się delikatna jak płatek róży, a noszenie miejscowych strojów zaczęło sprawiać jej prawdziwą przyjemność.

Kilka razy w czasie trwania kuracji odwiedzał ją Abu, by sprawdzić poczynione postępy, lecz ani Walter, ani Josse nie mogli mu towarzyszyć. Były to krótkie i dosyć oficjalne wizyty, podczas których mały medyk sprytnie udawał kolekcjonera, który przyszedł sprawdzić, w jakim stadium jest naprawa drogiego bibelotu, który udało mu się wyszperać.

Raz udało mu się szepnąć jej na ucho, że jeszcze nie wymyślił odpowiedniego sposobu na dostanie się do pałacu, co tylko wzmogło niecierpliwość Katarzyny. Czowała się całkowicie gotowa. Wielkie, polerowane lustro w sali masażu podpowiadały jej, że już czas wypróbować swoich nowych sił. Fatima jednak nie była jeszcze zadowolona ze swego dzieła.

– Cierpliwości! – mawiała malując jej twarz ze starannością ilustratorki. – Nie osiągnęłaś jeszcze całkowitej doskonałości!

Zazdrośnie chowała swoją piękną klientkę w czeluściach domu i jedynie jej służące i eunuchowie mogli się do niej zbliżyć. Jednakże pewnego dnia, kiedy ociekająca wodą wyłoniła się z basenu, ujrzała, jak Fatima rozmawia z ożywieniem z jakąś starszą kobietą w zielonych brokatakach, której wścibskie oczy dostrzegły jej nagie ciało. Obie kobiety rzucały ostre słowa i Katarzyna dałaby sobie głowę uciąć, że mówią o niej. Wreszcie, potakując głową, stara kobieta odeszła, szurając po posadzce pantoflami. Kiedy Katarzyna spytała Fatimę kto zacz, ta wzruszyła ramionami.

– To moja stara przyjaciółka. Kiedy przyjdzie tu znowu, musisz być dla niej uprzejma... gdyż może wiele dla ciebie zrobić, jeśli pragniesz mieć bardziej męskiego pana niż twój medyk!

Fatima nie chciała więcej nic powiedzieć, więc Jutrzenka musiała się zadowolić jej tajemniczymi słowami, domyślając się, co prawda, ich znaczenia. Przecież Abu napomknął, że Fatima była królową stręczycielek.

– Bardziej męskiego pana... z pewnością – powiedziała – lecz byłabym całkiem szczęśliwa, gdybym dzięki temu panu mogła wreszcie odkryć cuda Alhambry!

– To nie jest możliwe – odparła Fatima szorstko, więc Katarzyna zamilkła, widząc, że naleganiem nic nie wskóra.

Następnego dnia po wizycie starej w zielonych sukniach Fatima pozwoliła Katarzynie udać się na suk, oczywiście z dokładnie zakrytą twarzą i pod opieką dwóch służących, które ani na krok jej nie odstępowały, oraz wielkiego eunucha, trzymającego pod pachą długą pałkę pokrytą krokodylową skórą. Katarzyna skierowała pierwsze kroki na wielki targ jedwabny, rozciągający się u stóp podjazdu do Alhambry. Zapowiadał się upalny dzień. Miasto spowijała niebieskawa mgła, a mieszkańcy polewali ulice strumieniami wody. Było jeszcze dosyć wcześnie. Zaledwie dwie godziny temu wstał dzień i była to jedyna pora dnia, oprócz łagodnej godziny zmierzchu, kiedy przyjemnie było porzucić zacienione domy.

Od strony strzeżonej przez olbrzymich Nubijczyków bramy Bab-el-Ajuar dały się słyszeć dźwięki przeszywającej, wojennej muzyki. Nadjeżdżała grupa zbrojnych rycerzy, na których czele jechali mężczyźni dmiący w dudy i uderzający w małe okrągłe tamburyny. Żołnierze o śniadej cerze i dzikich oczach byli uzbrojeni w lance i na małych koniach andaluzyjskich otaczali grupę strojnych rycerzy, z których każdy trzymał na ręce odzianej w skórzaną rękawicę sokoła lub białozora. Głowy drapieżników zakrywały kapturki z czerwonego jedwabiu wysadzone drogocennymi kamieniami. Suknie rycerzy były z drogich brokatów, a ich broń ozdobiona wielkimi klejnotami. Wszyscy mieli dumne, delikatne twarze, krótkie czarne brody i oczy jak rozżarzone węgle. Tylko jeden z nich był bez turbanu. Jechał samotnie nieco z boku, trzymając się w siodle wyniosłe i przytrzymując jedną ręką ognistego, śnieżnobiałego wierzchowca, który przykuł uwagę Katarzyny. To była Morgana! Katarzyna przeniosła wzrok na jeźdźca i okrzyk zamarł jej na ustach... Arnold!!!

Jadąc wyprostowany, przewyższał towarzyszy o głowę. Ubrany był na modłę orientálną, lecz jego czarne jedwabie odcinały się od kolorowych strojów pozostałych rycerzy. Na wierzch nałożony miał biały burnus, niedbale odrzucony do tyłu.

Jego piękna twarz o surowych rysach i wspaniałym profilu wydelikatniała, lecz była tak samo opalona jak twarze Maurów. Czarne oczy błyszczały ponurym blaskiem, a na skroniach, wśród czarnych włosów, pojawiły się siwe pasemka.

Katarzyna utkwiała w nim oczy, nie mogąc uczynić kroku, podczas gdy on zbliżał się jakby nieobecny i obojętny, nie zważając na otoczenie, jedynie na sokoła trzymanego w ręku, którego czasem przybliżał do twarzy, jakby chciał mu coś powiedzieć. Katarzyna pożerała go wzrokiem, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Przecież wiedziała, że żyje nie opodal, lecz zobaczyć go tak nagle... Był tak blisko niej, a zarazem tak daleko. Wydawał się taki niedostępny! Nie, nie była na to przygotowana!

Tymczasem rycerze odjechali swoją drogą, by za chwilę zniknąć za ścianą różowego pałacu, którego nieliczne okna wyposażone były w grube

muszarabijja* [*Muszarabijja, arab. – drewniana lub kamienna kratka umieszczona przed oknem (w krajach muzułmańskich), która pozwala patrzeć, nie będąc widzianym, i osłania przed palącym słońcem.], kiedy jakaś siła pchnęła Katarzynę za czarnym rycerzem, oddalającym się wąską uliczką. W tej samej jednak chwili chwyciły ją silne ramiona eunucha, który zagroził jej drogę, przewracając z trwogi białymi gałami.

– Puść mnie! – krzyknęła. – Nie jestem waszym więźniem!

– Rozkazy Fatimy są ściśle – wyjaśniła służąca nieśmiało. – Mamy nie dopuścić, byś uczyniła cokolwiek, co by mogło wystawić cię na niebezpieczeństwo. Chciałaś rzucić się śladem książąt, czy tak?

– Czy nie wolno mi zobaczyć ich z bliska?

– Ich żołnierze zgrabnie wywijają bułatami* [*Bułat – krzywa, szeroka szabla wschodnich ludów.], szczególnie gdy eskortują więźnia księżniczki. Nawet byś się nie spostrzegła, kiedy by ci spadła głowa, a Fatima stłukłaby nas za to na kwaśne jabłko.

Najwyraźniej służące Etiopki bardziej bały się razów niż tego, że jej spadnie głowa... lecz właściwie miały rację. Gdyby teraz wybuchł skandal, Zobeidzie doniesiono by o zajściu, co mogło oznaczać śmierć... nie tylko dla niej, lecz może i dla Arnolda. Lepiej, że tak się nie stało. Chwila ta jednak była zbyt okrutna.

Katarzyna odwróciła się drżąc z emocji.

– Wracajmy... – westchnęła cicho. – Nie mam już ochoty spacerować po suku. Jest za ciepło.

W pobliżu małego meczetu z zieloną kopułą jej uwagę zwróciło dwóch żebraków. Jeden z nich był wysoki i chudy, a drugi mały, pokrecony i siedział na jedynej nodze. Obaj przyglądali się znikającemu orszakowi myśliwych, wymieniając uwagi. Do uszu Katarzyny doszło kilka słów.

– Francuski więzień księżniczki nudzi się wśród cudów Alhambry. Widziałeś, jaki jest ponury?

– A który człowiek, utraciwszy największy skarb, jakim jest wolność, nie byłby ponury? Ten chrześcijanin jest wojownikiem. To widać po jego postawie... i jego bliznach. Zresztą wojaczka bardziej upaja niż napitki. Została mu tylko miłość, a to za mało...

– Dlatego Zobeida zamyśla wysłać go za błękitne morze. W rozległym Magrebie buntują się liczne plemiona i sułtan zgodzi się przyjąć wojaka, choć to niewierny... a zresztą nie byłby on pierwszym, który nawrócił się na prawdziwą wiarę!

– Czy nasz kalif pozwoli siostrze wyjechać?

– Nie sprzeciwi się woli Zobeidy. Czy widziałeś, kto pilnuje więźnia? Sam wezyr Aben-Ahmed Banu Saradj! Księżniczka wyjedzie, kiedy zechce, a sułtan w Fezie zgotuje jej wspaniałe przyjęcie.

W tej chwili żebracy przerwali rozmowę na widok zbliżających się bogatych mieszczek i zaczęli głośno lamentować.

Katarzyna nie zwlekając, ruszyła w kierunku domu Fatimy.

Gadanina żebraków wpędziła ją w panikę. Jeśli ci ludzie mówili o Arnoldzie z takim zainteresowaniem, jeśli jego imię dźwięczało na każdym rogu miasta, to osoba francuskiego więźnia musiała wzbudzać powszechną ciekawość. Zobeida musiała uczynić z niego wyjątkową, wręcz legendarną

postać... A jeśli ta przeklęta księżniczka zabierze Arnolda do Afryki, trzeba będzie ruszyć za nim w nieznaną, bez nadziei na pomoc. Za wszelką cenę nie wolno było do tego dopuścić! Należało odbić go wcześniej i uciec razem!

Miała ochotę pobiec prosto do małego medyka, lecz wiedziała, że o tej porze odwiedza chorych. Zresztą służące Fatimy schwytałyby ją z łatwością. Skierowała się więc do domu Fatimy i pobiegła na małe patio wewnętrzne, na którym rosły drzewa cytrynowe, granatowe i winorośl. Zatrzymała się dopiero pod kolumnami otaczającymi ogród. Po wąskich alejkach, wijących się wokół różowej fontanny, przechadzała się Fatima odziana w nieprawdopodobną sukienkę w paski we wszystkich kolorach tęczy. Towarzyszyła jej znowu tamta stara kobieta, ubrana tym razem w suknię w ciemnym łososiowym kolorze w wielkie, zielone kwiaty.

Fatima na widok zadyszanej Katarzyny przeprosiła swojego gościa i pośpieszyła do niej.

– Co się stało? Co ci się przytrafiło? Gdzie są służące? – spytała wielce zaniepokojona.

– Idą za mną. Przyszłam pożegnać się z tobą, Fatimo... i podziękować ci za wszystko! Muszę wracać do... mego pana!

– O ile wiem, nie przyszedł upomnieć się o ciebie. Czyżbyś się z nim spotkała? – spytała Murzynka z powątpiewaniem.

– Nie, jednak jak najszybciej muszę wrócić do jego domu.

– A cóż ci się tak śpieszy? Zresztą, nie ma go w domu. Wezwano go do Alcazar Genil. Sułtanka zraniła się w kąpieli.

– No to zastanie mnie po powrocie! Ot i wszystko! Spotka go niespodzianka...

– A dla ciebie niespodzianką będzie spędzona z nim noc! Fatima przyglądała się uważnie twarzy Katarzyny.

– Prędzej czy później... – wyszeptała, czyniąc wymijający ruch ręką.

– Wydawało mi się – powiedziała Fatima – że pragniesz nade wszystko dostać się do Alhambry?

Serce Katarzyny zamarło, lecz za wszelką cenę musiała okazać nonszalancję.

– Próżne marzenia... Nigdy się nie ziszczą...

– Posłuchaj mnie, a twoje marzenia zostaną niebawem spełnione. Chodź za mną!

Chwyliła Katarzynę za nadgarstek, chcąc ją pociągnąć za sobą, lecz Katarzyna w przyływie podejrzliwości opierała się.

– Gdzie chcesz mnie zabrać?

– Do kobiety stojącej nie opodal fontanny... a potem do Alhambry... jeśli nadal tego pragniesz! Ta stara nazywa się Morayma. Wszyscy ją tutaj znają i zabiegają o jej towarzystwo, ponieważ zarządza haremem sułtana. Tamtego dnia zauważyła cię i wróciła tu z twojego powodu. Pójdź za nią, a będziesz należeć do samego kalifa! Nie do jakiegoś starego medyka.

– Do samego kalifa?... Mam iść do haremu?

Katarzyna wzdrygnęła się na tę propozycję, ale przypomniała sobie rozmowę z Abu, który powiedział, że apartamenty Zobeidy stanowią część haremu i że pawilon Arnolda znajduje się w jej ogrodach. Była to więc

wymarzona okazja, a już tyle razy uniknęła śmierci, że nie bała się katów Grenady. Przecież nie mogli być straszniejsi od tych z Amboise! Zresztą jeśli dotrze do Arnolda, we dwoje będzie raźniej odpierać wroga... a nawet umrzeć, jeśli taka miała być cena odnalezienia ukochanego. Lepiej było umrzeć wraz z nim, niż zostawić go we władaniu tej kobiety!

Katarzyna była gotowa. Podniósłszy głowę, napotkała zmartwione spojrzenie Fatimy i uśmiechnęła się do niej.

– Zgadzam się! I dziękuję! Proszę cię tylko o zanieśenie listu do medyka. Był dla mnie taki dobry.

– Rozumiem. Abu dostanie twój list, a teraz chodźmy. Morayma zaczyna się niecierpliwić!

W istocie, stara kobieta zbliżała się do nich wielkimi krokami, jak ktoś, kto nie ma ani chwili więcej do stracenia. Widząc to Fatima jak wytrawny sztukmistrz zerwała z Katarzyny muślinowy woal, pozwalając jej jasnym włosom z wplecionymi w nie złotymi nitkami zaśnić w słońcu i odkrywając jej smukłe ciało, odziane zaledwie w obszerne spodnie z żółtego muślinu i w przetykane złotem krótkie bolerko z głębokim dekoltem, ukazującym krągłe piersi...

Oczy starej zabłysły pod łososiowym woalem, który stręczycielka zerwała z twarzy o skórze żółtej, pofałdowanej i wyschniętej, ukazując krwiożerczy profil starej Żydówki obwieszony klejnotami. Zapadnięte, bezzębne usta zamieniły jej uśmiech w ohydny grymas. Jedynie dłonie pokryte krzykliwymi pierścieniami były jeszcze piękne i przy każdym ruchu wydzielaly duszący zapach perfum.

Katarzyną wstrząsnęło obrzydzenie, kiedy stara dotknęła ręką jej boku, żeby sprawdzić, czy jest dosyć gładki.

– Możesz być spokojna – zapewniła Fatima. – Skórę ma delikatną jak jedwab, bez skazy!

– Widzę – odparła tamta, bezceremonialnie rozchylając bolerko Katarzyny i dwoma palcami szczypiąc jej piersi.

– Najwspanialsze owoce miłości! – bezwstydnie zachwalała je Fatima, jakby sprzedawała dywany czy inne towary. – Znajdź mi takiego mężczyznę, który na ich widok nie straciłby rozumu! Nigdzie nie znajdziesz dla swego pana doskonalszego kwiatu!

Morayma zamiast odpowiedzieć kiwnęła tylko głową, po czym rzuciła:

– Otwórz usta!

– Po co? – zjeżyła się Katarzyna, zapominając o swoim planie, – Po to, żebym mogła się przekonać, czy masz świeży oddech!

– odparła oschle. – Mam nadzieję, że masz uległy charakter i potrafisz być posłuszna! Nie mam zamiaru ofiarować kalifowi kobiety narowistej i krnąbrnej!

– Przebac mi, pani... – rzuciła Katarzyna czerwieniąc się, po czym posłusznie otworzyła usta, ukazując różowe podniebienie i dwa rzędy białych, lśniących zębów, między które stara wsunęła ostrożnie swój nos. Katarzyna miała ochotę parsknąć śmiechem, na szczęście nos cofnął się, a stara posłała Etiopce bazyliszkowe spojrzenie.

– Co ty jej dajesz do żucia, stara czarownico? – spytała zazdrośnie.

– Jej oddech pachnie jak zefirek!

– Kwiaty jaśminu i goździki! – odpaliła Fatima, przybierając złą minę, gdyż nie znosiła zdradzać swoich sztuczek, ale wiedziała, że przy strażnicze haremu na nic zdadzą się wszelkie kręactwa. – No więc, jak brzmi twoja decyzja?

– Zabieram ją! Przygotuj się, kobieto, ale zwawo! Muszę już wracać! Katarzyna nie zwlekając pobiegła do swego pokoju, by poskładać ubrania. Tymczasem obie kobiety zaczęły dyskutować o tym, co dla Fatimy było rzeczą najważniejszą: o cenie, która obowiązkowo powinna być wysoka.

– Muszę przecież dać jakieś odszkodowanie medykowi! – wykrzykiwała olbrzymia Etiopka.

Na to strażniczka:

– Jeśli kalif wyróżni jakąś niewolnicę, to każdy poddany mogący mu ją podarować powinien czuć się zaszczycony!

Katarzyna zatrzasnęła drzwi, aby więcej tego nie słyszeć. Te handlowe przepychanki były jej obojętne. Wiedziała, że Fatima i tak zatrzyma dla siebie większą część otrzymanego złota, a swojemu klientowi opowie historyjkę o sile wyższej i o niepisanych prawach władcy.

Pospiesznie chwyciła kartkę papieru, pióro i skreśliła kilka słów do Abu, zawiadamiając o swoim odejściu do haremu Alhambry: „Jestem szczęśliwa, pisała. Wreszcie zbliżę się do mego małżonka. Nie martw się o mnie, przyjacielu, lecz staraj się nie dopuścić, by Walter i Josse wdali się w nieprzemysłane przedsięwzięcia. Postaram się przekazać ci wiadomości, może przez Fatimę, chyba że sam znajdziesz sposób, by dostać się do haremu...”

Z dołu dobiegły jej uszu nawoływania. Morayma zaczęła się niecierpliwie. Chwyciwszy pierwsze lepsze zawiniątko z ubraniami i woal noszony przed chwilą, wybiegła na patio, w chwili gdy Fatima przeliczała chciwie wielki stos złotych, połyskujących w słońcu dinarów. Morayma, zauważywszy zawiniątko pod pachą Katarzyny, wyrwała go jej ze złością i cisnęła z pogardą na posadzkę.

– Po co ci te łachy? W pałacu ubiorę cię według gustu pana. Idziemy!

– Jeszcze chwilkę! Chciałam pożegnać się z Fatimą!

– Jeszcze się z nią zobaczysz! Często korzystamy z jej usług w haremie. Zna wiele tajemnic urody i miłości czyniących cuda.

Tymczasem Fatima, schowawszy swój skarb do worka z koziej skóry, podeszła do Katarzyny i prawie matczynym gestem poprawiła jej woal. Chwila ta wystarczyła, aby ta wcisnęła jej list do Abu.

– Idź za swoim przeznaczeniem, Jutrzenko, a kiedy już będziesz ukochanym, cennym klejnotem kalifa, przypomnij sobie o Fatimie...

– Bądź spokojna – obiecała Katarzyna, starając się grać swą rolę do końca. – Nigdy o tobie nie zapomnę.

Jej słowa były szczerze. Trudno bowiem byłoby zapomnieć o tym, co przeżyła w domu Etiopki. Na dodatek Fatima była dla niej dobra, mimo że kierowała się zyskiem.

Przyprowadzono dwie mulice z czerwoną, skórzaną uprzężą, całe obwieszane wisiorami, na których Katarzyna i jej nowy mentor zajęły miejsca. Następnie na kłaśnięcie dłoni Moraymy z pobliskiego zaułka wyłoniło się

czterech chudych, spowitych aż po oczy w biel Nubijczyków. Wyciągnawszy z pochw bułaty o szerokich, zakrzywionych ostrzach, otoczyli kobiety i orszak ruszył w drogę.

Upał zrobił się nie do wytrzymania. Widać było jak gorące powietrze wibruje, a z prawie białego nieba lał się słoneczny żar. Katarzyna jednak nie czuła upału, była zbyt podniecona. Jej myśli krążyły wokół pałacu, którego wrota za chwilę miały się przed nią otworzyć. Odległość dzieląca ją od Arnolda stawała się coraz mniejsza. Tego poranka ujrzała go. Teraz spróbuje z nim porozmawiać, zabrać go ze sobą do kraju! Czy uda się im uciec z pałacu i dotrzeć do granicy francuskiej? Czy po jej przekroczeniu zniknie groźba zemsty Zobeidy, czy ujdą przed pościgiem? Szybcy jeźdźcy Muhammada zbyt często gwałcili granice królestwa Kastylii, żeby mieli się nimi przejmować tym razem... Nie, nie należało o tym teraz myśleć! To wszystko nie miało znaczenia. Liczyło się tylko jedno: odzyskanie miłości Arnolda! Za wszelką cenę! Nieważne, co będzie potem... Potem niech się dzieje, co chce...

Przekraczając czerwony łuk bramy Bab-el-Ajuar, Katarzyna zadrżała z radości. Nubijscy strażnicy nie zwrócili na orszak uwagi.

Dalsza droga wiodła doliną, przez którą płynęły czyste potoki, ocienione drzewkami oliwnymi o srebrzystych listkach, po czym wznosiła się w górę, prowadząc do wysokiej bramy w drugim rzędzie murów obronnych, która stanowiła właściwe wejście do pałacu. Katarzyna zauważyła wyrzeźbioną na marmurowej płycie dłoń wzniesioną prosto do nieba.

– To brama Sprawiedliwości – objaśniła Morayma. – Ręka ta symbolizuje pięć przykazań Koranu. A te wieże nie opodal, to więzienia...

Katarzyna właściwie oceniła informację, która zabrzmiała jak ostrzeżenie, wręcz groźba. Brama, wzmocniona żelaznymi płytami, nabijana olbrzymimi ćwiekami i strzeżona przez rycerzy w czerwonych burnusach i błyszczących zbrojach, w spiczastych hełmach na głowie, nasuniętych aż po same oczy, wyglądała bardzo groźnie. Kiedy na rozkaz władcy zamykano ją, niemożliwością musiało być pokonanie potężnych murów. Różowy pałac i miniaturowe miasto otoczone tymi murami, jego domy, młyny i siedem kopuł zwieńczonych smukłym minaretem i wielki meczet z pewnością zamykały się wtedy jak pułapka nad swoją ofiarą... chyba że znało się tajemne wejście, przez które przemykali amanci Zobeidy. A może była to tylko legenda? Trupy znajdujące w fosach mogły równie dobrze być zrzucane z wież.

Katarzyna poszukiwała wzrokiem tajemnego przejścia do tego wspaniałego i groźnego pałacu, pociągającego i niebezpiecznego jak trujący kwiat. Jednak na widok świeżo ściętych, krwawiących jeszcze ludzkich głów, zatkniętych na hakach w murze, odwróciła głowę. Przekraczając bramę pałacu poczuła śmiertelny strach ściskający ją za gardło, lecz mocno zacisnęła zęby, utkwivszy wzrok w plecach Moraymy. Nie wolno było się poddać... szczególnie teraz i to z powodu zwykłego, zwierzęcego strachu! Zbyt długo czekała na tę chwilę...

Nagle w głębi niewidocznego jeszcze, lecz pobliskiego ogrodu zaśpiewał słowik, posyłając w przestrzeń kilka czystych jak górski potok dźwięków. Słowik o tej porze dnia, w takiej spiekocie?... Katarzynie zrobiło się lżej na sercu. Pomyślała, że to szczęśliwy znak i spiąwszy mulicę ruszyła raźniej do

przodu.

Droga wiodła przez chłodny tunel, po czym za zakrętem pięła się do góry w palącym słońcu. Przed ich oczyma ukazała się następna brama.

– To brama Królewska – wyjaśniła Morayma. – Prowadzi do Seraju, pałacu kalifa. My jednak przejedziemy przez bramę Winną, prowadzącą prosto do haremu przez miasteczko administracyjne Alhambry.

Widząc, że Katarzyna nie spuszcza wzroku z murów łączących trzy purpurowe wieże obronne, stara uśmiechnęła się.

– W tej części nigdy twoja noga nie postanie. To Alcazaba, forteca czyniąca Alhambrę nie do zdobycia. Popatrz na tamtą olbrzymią basztę górującą nad przepaścią! Podziwiaj w niej potęgę twego przyszłego pana i władcy. Nazywa się Ghafar i jest najważniejszym elementem naszej obrony. W nocy będziesz słyszeć dzwon, który wisi na górze. Nie bój się go, Jutrzenko. Nie zwiastuje niebezpieczeństwa, lecz tylko czas na irygację doliny, którą reguluje w nocy... A teraz, jedźmy szybciej, upał staje się nie do wytrzymania, a ja chciałabym, żebyś w pełnej krasie stanęła przed panem.

Katarzyna zadrżała. Najwidoczniej stara nie zamierzała zostawić jej zbyt wiele czasu na oddech przed prezentacją u kalifa. Jednak zarówno w tej, jak i w pozostałych sprawach postanowiła, by wypadki toczyły się swoim torem, starając się je jak najlepiej wykorzystać.

Rozdział jedenasty

KRÓL POETA

Nad długim basenem haremu, wyłożonym niebieskimi i złotymi mozaikami, unosiły się kłęby pary i mocny zapach perfum, kiedy pojawiła się tam Katarzyna z powiekami ciężkimi jeszcze od snu, popychana przez Moraymę. Na rozkaz starej Żydówki spała dwie godziny po posiłku, lecz bardzo niespokojnie. W sali panował hałas nie do opisania, gdyż pięćdziesiąt zgromadzonych w niej kobiet jazgotało naraz, jak oszalałe ptactwo w ogromnej wolierze. Wianuszek niewolnic, w większości czarnych, otaczał basen z letnią, niebieską wodą, w którym baraszkowała grupa ładnych dziewcząt, śmiejąc się, krzycząc i ochlapując się nawzajem. Woda, poruszana ruchem ciał, wyglądała jak morze podczas sztormu, z tą różnicą, że była przezroczysta i nie ukrywała nagości kąpiących się kobiet – ani ciemnobrązowej karnacji cór Afryki o szczupłych biodrach i sterczących piersiach, ani skóry Azjatek o łagodnym odcieniu kości słoniowej, ani różowego alabastru nielicznych Europejek czy bursztynu Arabek. Włosy czarne, rude, mahoniowe i blond, oczy we wszystkich kolorach i odcieniach i głosy o przeróżnych barwach. Na widok nowo przybyłej kobiety umilkły i skierowały wzrok na Katarzynę oraz jej anioła stróża, Moraymę, która szybkimi ruchami rozebrała podopieczną, rzucając jej odzienie na lśniąca posadzkę. Po plecach Katarzyny przeszedł nieprzyjemny dreszcz, kiedy zauważyła wrogość w oczach kobiet.

To było straszne. Wszystkie te nieprzyjazne twarze, łącznie z niewolnicami, zdawały się chłostać ją spojrzeniami przepelnionymi nienawiścią. Morayma widząc to, podniosła głos:

– To niewolnica kupiona w Almerii. Nazywa się Jutrzenka. Uważajcie, żeby nic złego jej się nie stało, bo w przeciwnym razie nie obejdzie się bez chłosty! A więc miejcie się na baczności i nie wyobrażajcie sobie, że wzmówicie mi jakąś historyjkę o śliskiej posadzce w basenie, zaślabnięciu podczas kąpieli, ataku niestrawności, uderzeniu nagle oberwanym gzymsem, przypadkowej zmił w ogrodzie, czy jakimkolwiek innym wypadku! Pamiętajcie o tym! A ty, Jutrzenko, idź do kąpieli!

Przemówienie Moraymy zostało skwitowane szmerem niezadowolenia, jednak żadna z kobiet nie ośmieliła się zaprotestować. Zanurzając gołą stopę w pachnącej wodzie, Katarzyna miała wrażenie, że wstępuje do gniazda żmij. Wszystkie te zwinne i błyszczące ciała wyginały się jak węże, a usta wydawały się gotowe do wyplucia śmiercionośnego jadu.

Katarzyna zanurzyła się po szyję i zaczęła pływać. Wszystkie kąpiące się schodziły jej z drogi z nieufnością, dlatego chciała, żeby jak najszybciej się to skończyło. Podpłynęła do brzegu, by oddać się w ręce przydzielonych jej dwóch służących, które czekały na nią z grubymi, suchymi ręcznikami. Wtedy kątem oka zauważyła, że leżąca na poduszkach rozrzuconych na brzegu okrągła blondynka o różowej skórze uśmiecha się do niej przyjaźnie. Machinalnie zbliżyła się do niej. Dziewczyna pojaśniała w uśmiechu, wstała z poduszek i wyciągnęła do Katarzyny trochę za szeroką jak na kobietę dłoń.

– Chodź połóż się koło mnie i nie zwracaj na nie uwagi. Zawsze tak

jest, kiedy zjawia się nowa. Sama rozumiesz, nowa towarzyszka może stać się niebezpieczną faworytą.

– Dlaczego niebezpieczną? Czyżby wszystkie te kobiety były zakochane w kalifie?

– Na Boga, nie!... Chociaż nie brak mu uroku.

Nieznajoma instynktownie przestała mówić po arabsku, przechodząc na francuski.

– Jesteś Francuzką?

– Tak, pochodzę z Saone. Urodziłam się w Auxonne. W kraju nazywałam się Marie Vermeil, lecz tutaj zwań mnie Aisza – dodała ze smutnym uśmiechem.

– A ty, też pochodzisz z Francji?

– Urodziłam się w Paryżu, lecz wychowałam w Dijon u wuja Mateusza Gautherina, prowadzącego sklep z materiałami przy ulicy Griffon pod szyldem świętego Bonawentury.

– Mateusz Gautherin? – powtórzyła Maria w zamyśleniu. – Znam to nazwisko... To dziwne, ale wydaje mi się, że i ciebie też już gdzieś spotkałam...

Nagle przerwała na widok pięknej Arabki o złocistej skórze, która podpłynęła w ich stronę, piorunując obie kobiety znad powierzchni wody swymi tygrysimi, zielonymi źrenicami.

– Strzeż się jej... – szepnęła Maria. – To Zora, obecna faworyta kalifa. Sępy krążące nad Wieżą Skazanych mają więcej serca niż ta żmija. Jest gorsza od samej księżniczki Zobeidy, ponieważ ta jest mistrzynią perfidii, której księżniczka nie cierpi. Jeśli spodobasz się kalifowi, strzeż się Egipcjanki!

Katarzyna nie miała czasu dowiedzieć się niczego więcej od Marii, gdyż Morayma uznawszy widocznie, że kobiety dosyć się nagadały, podeszła do nich z dwiema czarnymi służącymi.

– Pomówimy później – zdążyła szepnąć jeszcze Maria-Aisza, nurkując do wody z taką precyzją, że gdyby Zora nie odsunęła się w porę, to okrągła blondynka niechybnie wpadłaby na nią.

Choć jej ciało było prawie suche, Katarzyna poddała się spokojnie zabiegom dwóch służących, które wytarły ją sumiennie swymi barchanowymi ręcznikami, po czym namaściły jej ciało lekką oliwką, która nadała jej skórze patyny jasnego złota. W chwili kiedy Katarzyna miała założyć swoją pasiastą gandurę* [*Gandura, arab. – zwiewna bluzka.], w której przyszła nad basen, podeszła do niej Morayma i rzekła:

– Nie, nie ubieraj się jeszcze! Pójdiesz ze mną!

Idąc za Żydówką, Katarzyna minęła kilka łaźni, gorących i zimnych, i doszła do pokoju ze smukłymi arkadami, zdobionymi ornamentem z kwiatów i liści w kolorze niebieskim, różowym i złotym. Wokół pierwszego piętra biegła galeria, zasłonięta złoconymi żaluzjami. W głębi alków, urządzonych między kolumnami, widać było łóżka zarzucone stertami barwnych poduszek, na których leżało pięć czy sześć pięknych, nagich dziewcząt w rozkosznych pozach i bez najmniejszego skrepowania. Morayma wskazała na jedyne puste łóżko i powiedziała:

– Połóż się tutaj!

– Po co?

– Sama za chwilę zobaczysz...

Morayma, zmusiwszy Katarzynę do położenia się w pociągającej pozie, udała się na środek sali, gdzie szemrała woda w marmurowej fontannie. Uniosła głowę w kierunku zamkniętej galerii, jakby na coś czekając. Katarzyna z zaciekawieniem również spojrzała w tę stronę.

Zdawało jej się, że za cienką żaluzją stoi jakaś postać, lecz tak nieruchoma, że nie była pewna czy to nie złudzenie. Wszystkie te przygotowania, ten powolny rytm życia podsycaly jej niecierpliwość. Kiedy wreszcie ujrzy Arnolda? Co robi wśród tych nagich, jak ona sama, kobiet?

Odpowiedź nie dała na siebie długo czekać. Czyjaś ręka uniosła żaluzję i rzuciła jakiś przedmiot na jej łóżko. Zaintrygowana, pochyliła się i widząc, że to zwykłe jabłko, chciała je podnieść. Szybsza jednak okazała się Morayma. Katarzyna zauważyła, że jest czerwona z podniecenia, a jej oczy błyszczą z radości.

– Pan wybrał ciebie! – rzuciła w jej stronę strażniczka haremu. – Ledwo się zjawiłaś! Jeszcze tej nocy dostąpisz zaszczytu i staniesz się królewską nałożnicą. A teraz chodź szybko, nie mamy wiele czasu na przygotowania. Panu się śpieszy!

I nie pozwoliwszy nawet Katarzynie zabrać swojego ubrania, pociągnęła ją za sobą i ruszyła biegiem przez sale i galerie do skromnego pawilonu, jednego z najskromniejszych w całym haremie, w którym ulokowała swój nowy nabytek.

Katarzyna nie miała czasu na stawianie pytań. Pożądanie kalifa wywołało istną gotowość bojową w całym haremie. Oddana w ręce całej armii masażystek, pedikiurzystek, fryzjerek, perfumiarek i garderobianych, uznała, że należy biernie poddać się ich zabiegom. Zresztą... ujrzeć z bliska kalifa, to mogło wkrótce się przydać... Może uda jej się uzyskać na niego jakiś wpływ? Co zaś do spraw związanych z intymnym kontaktem z królem Grenady, to nie potrafiła się nawet przeciw temu buntować. Trudno, nie miała wyboru. Wszelki opór mógł nie tylko zniweczyć jej plan, lecz także wystawić Arnolda na śmiertelne niebezpieczeństwo. W końcu jeśli się podjęło walkę, to należało doprowadzić ją do końca, nie kręcąc nosem przy wyborze środków.

Kalif Muhammad VIII, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na kanapie pokrytej miękkimi dywanami, przypatrywał się stojącej przed nim Katarzynie spowitej w przezroczyste, różowe muśliny. We wzroku władcy widać było najwyższy zachwyt, w oczach Katarzyny zaś nieufność zabarwioną ciekawością. Bóg wie dlaczego – może z powodu niepokojącego portretu Zobeidy, jaki przed nią nakreślono – młoda kobieta spodziewała się, że jej starszy brat okaże się człowiekiem aroganckim, brutalnym i cynicznym, kimś w rodzaju Gillesa de Rais'go skrzyżowanego z panem de la Trémoille'em...

Otóż książę, którego miała przed oczami, nie przypominał tego, kogo spodziewała się zastać. Mógł mieć od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat, lecz, co dziwne w przypadku Maura, jego głowę pokrywała ciemnoblonde czupryna, a krótka broda w podobnym odcieniu zdobiła śniadą twarz. Na jego ciemnej twarzy wybijały się jasne, szaroniebieskie oczy i białe, lśniące zęby. Zobaczywszy Moraymę z nową kobietą odłożył na bok zwój papieru, na którym pisał za pomocą stylu*. [*Styl – rylec do pisania na tabliczkach powleczonych woskiem, używany w starożytności.].

Schowany w podcieniu, patrzył, jak zbliżają się alejką otoczoną cyprysami i basenami z wodą. Był to Ogród Architekta, ulubione miejsce kalifa, w którym chętnie latem przebywał. Było w nim jeszcze więcej róż i jaśminów niż w seraju. Róż ciemnych, purpurowych lub białych z różowym środkiem, podobnych do śniegu w blasku jutrzeńki, róż, które królowały na wzgórzu, nachylały się nad lustrami wody, owijały się wokół białych kolumn podcieni, upajając nocą swymi zapachami. Miejsce to – stworzone dla miłości – miało w sobie coś oszałamiającego, coś, co powodowało, że powieki stawały się ciężkie, zaczynało pulsować w skroniach, a krew w żyłach zwalniała bieg.

Kalif nie odpowiedział, kiedy Morayma z wielką uniżonością wyraziła radość nowej odaliski* [*Odaliska – niewolnica usługująca w haremie lub nałożnica haremowa.] Z tego, że została wybrana już w pierwszym dniu, ani wtedy, kiedy zachwalała urodę i łagodność Jutrzeńki, perły z kraju Franków, ani gdy podkreślała blask jej głębokich i ciemnych jak ametysty oczu, ani gdy chwaliła giętkość jej ciała... Gdy zaś umilkła i chciała zdjąć z Katarzyny okrywające ją muśliny, kalif powstrzymał ją władczym gestem, po czym rozkazał:

– Odejdź, Moraymo! Wezwę cię później!

Kiedy zostali sami, kalif wstał. Był niższy niż sądziła, a jego nogi wydawały się za krótkie przy potężnym torsie odzianym w jedwabną, zieloną gandurę, przeciętą na piersiach aż do pasa, wysadzanego wielkimi, kwadratowymi szmaragdami. Zbliżył się do Katarzyny z uśmiechem.

– Nie trzęś się! Nie zrobię ci krzywdy!

Przemówił po francusku, co wprowadziło Katarzynę w szczerze zdziwienie.

– Ja wcale się nie trzęsę... Dlaczego miałabym się trząść? Ale... skąd znasz, panie, mój język?

Kalif był już całkiem blisko, tak że Katarzyna poczuła zapach werbeny wydzielający się z jego ubrania.

– Zawsze lubiłem się uczyć, a wędrowcy z twego kraju byli mile widziani na moim dworze. Władca powinien w miarę możliwości rozumieć język wysłanych do niego ambasadorów. Tłumacze są często niewierni... lub przekupieni! Pewien jeniec, święty człowiek z twojego kraju, nauczył mnie twego języka jeszcze gdy byłem dzieckiem. Oprócz tego... nie jesteś pierwszą kobietą zza wielkich gór, która pojawiła się w moim pałacu.

Katarzyna pomyślała o Marii i uznała, że to wyjaśnienie jest prawdziwe. Tymczasem Muhammad swoimi długimi palcami zaczął zdejmować z głowy woal zasłaniający twarz Katarzyny. Jego ruchy były powolne i delikatne niczym ruchy miłośnika sztuki zdejmującego opakowanie z długo pożądanego dzieła. Ukazał się piękny profil okolony złotą masą lśniących włosów przytrzymanych wiankiem z drobnych pereł oraz drobna, wdzięczna szyja. Następnie, jeden za drugim, opadły kolejne woale zasłaniające jej ciało. Morayma, znająca jak nikt męskie upodobania, założyła ich kilka na Katarzynę, wiedząc, jaką przyjemność sprawi kalifowi zdejmowanie ich jeden po drugim. Katarzyna została w samych spodniach, ściśniętych w kostkach i przytrzymywanych na biodrach sznurkami pereł. Nie poruszała się, pozwalając działać miękkim dłoniom, które w miarę opadania kolejnych warstw stroju stawały się coraz bardziej pieszczotliwe. Miała ochotę podobać się temu pociągającemu mężczyźnie, najwyraźniej urzeczonemu jej urodą, który był łagodny i nie prosił o nic więcej, tylko o

godzinę rozkoszy... rozkoszy, którą Gilles de Rais zdobył siłą, którą Cygan Fero wydarł jej dzięki zastosowaniu eliksiru, którą nieomalże ofiarowała Piotrowi de Brézé, a którą tak spontanicznie dała Walterowi. Już tylu mężczyzn przewinęło się przez jej życie, a kalif nie był znowu taki zły.

Wkrótce zwiewne muśliny zaległy na posadzce jak olbrzymie płatki wielkiej róży. Ręce sułtana pieściły teraz nagą skórę, lecz on sam nie zbliżał się jeszcze. Patrzył... cofając się nawet o parę kroków, by lepiej móc podziwiać to ciało w przyćmionym świetle padającym ze złotych lamp, zawieszonych w arkadach. Trwali tak przez długie minuty, ona ofiarując bez wstydu wspaniałość swojej urody, on kilka kroków od niej, tkwiący w niemym zachwycie. Spośród ciemnych zakamarków wysokich cyprysów dobiegł dźwięczny śpiew słowika, przypominający tego, który zaśpiewał, gdy przekraczała bramy Alhambry. Być może był to nawet ten sam mały śpiewak?...

Jakby wtórując ptakowi, w ciszy nocnej zabrzmiał głos Muhammada:

*Gdym zrywał w ogrodzie różę jutrzeńki
Głos słowika chwycił mnie za serce.
Cierpiał tak jak ja, bo też kochał różę
I wypełniał świt swoim cichym szlochem.
Przemierzam bez końca smętne alejki
Więzień tamtej róży, tamtego słowika...*

Strofki były piękne, a ciepły głos kalifa nadawał im jeszcze więcej uroku, lecz poeta urwał nagle. Wypowiadając ostatnie słowa, zbliżył się do Katarzyny. Złożył ostatnie słowo na jej ustach, po czym wziął ją na ręce i unióś w głąb ogrodu...

– Miejsce róży jest wśród jej siostr... – wyszeptał. – Dlatego zamierzam zerwać cię w ogrodzie...

Nad lustrem wody, w której odbijały się gwiazdy, w zacisznym otoczeniu krzewów jaśminowych leżały jedwabne materace i aksamitne poduszki. Sułtan położył nań Katarzynę, po czym niecierpliwie zerwał z siebie gandurę i cisnął precz. Ciężki, wysadzany szmaragdami pas, ciśnięty do basenu, wkrótce zniknął z powierzchni wody. Wreszcie sam osunął się na poduszki i przyciągnął ją do siebie drżącą, niezdolną do obrony i oczarowaną urokiem tego mężczyzny i tego bajkowego miejsca przesyconego zapachami nocy, cykaniem cykad i czułym śpiewem słowika. Kalif biegły był w sztuce miłości i Katarzyna bez oporów oddała się wyrafinowanej grze, odbierając w momentach jego rozkoszy swoją porcję przyjemności.

A wielkie lustro wody, nad którym wznosił się srebrzysty sierp księżyca, w milczeniu odbijało obraz dwóch złączonych ciał.

Wydajesz się ulepiona z wszystkich kwiatów rosnących w tym ogrodzie, Jutrzeńko, a twoje spojrzenie jest czyste, jak kryształowe wody górskich potoków. Kto, o najwonnejsza z róż, nauczył cię sztuki kochania?...

– szeptał sułtan do ucha Katarzyny.

Słyszając te słowa, zaczerwieniła się, błogosławiąc cię rzucany przez jaśminy, który ukrył jej zmieszanie. To prawda, lubiła się kochać i jeśli jej serce

należało tylko do jednego, jej ciało potrafiło docenić wyrafinowane pieszczoły mistrza rozkoszy. Odpowiedziała z nutą hipokryzji:

– Któż uczennica nie nabrałaby wprawy przy takim mistrzu jak ty, panie? Jestem twoją niewolnicą, panie, i muszę cię słuchać.

– Czyżby? Sądziłem, że... ale dla kobiety takiej jak ty potrafię okazać cierpliwość. Nauczę cię kochać mnie nie tylko ciałem, ale i sercem. Nie będziesz tutaj miała nic innego do roboty, jak dać mi każdej kolejnej nocy rozkosz większą od poprzedniej.

– Każdej nocy, panie? A pozostałe kobiety?...

– Kto raz zakosztował boskiej ambrozji, już nigdy nie zadowoli się mdłym, baranym sadłem!

Katarzyna uśmiechnęła się, lecz wkrótce jej uśmiech zniknął na wspomnienie dzikich, kocich oczu Egipcjanki Zory. Oczu, przypominających oczy tej strasznej i nieszczęśliwej Marii de Comborn, która chciała ją zabić i którą Arnold zasztyletował... Było oczywiste, że sułtan chciał uczynić z niej swoją faworytę i Katarzyna obawiała się, że przestrogą Moraymy nie powstrzymają Egipcjanki przed zbrodnią, jeśli ta zostanie odrzucona przez kalifa...

– Czynisz mi wielki zaszczyt, panie... – zaczęła, lecz natychmiast przerwała, gdyż w tej chwili w podcieniach pojawili się jacyś ludzie z łuczycami, rzucającymi na pograżony w mroku ogród czerwone blaski.

Muhammad podparł się na łokciu i zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

– Kto ośmiela się przeszkadzać mi o tej porze?

Ludzie sułtana prowadzili młodego, wysokiego, chudego mężczyznę z krótką, czarną brodą i w purpurowym turbanie na głowie. Sądząc po jego aroganckiej minie i bogatym stroju, musiał to być jakiś wysoki dostojnik. Katarzyna nagle rozpoznała w nim jednego z myśliwych, którzy tamtego ranka towarzyszyli Arnoldowi.

– Kto to? – spytała.

– To Aben-Ahmed Banu Saradj... nasz wielki wezyr – odparł kalif.

– Musiało stać się coś ważnego, jeśli ośmielił się przyjść aż tutaj.

W jednej chwili mężczyzna, który wydał się Katarzynie taki ludzki, stał się ponownie wszechmocnym kalifem, komandorem wiernych, przed którego obliczem każdy człowiek, bez względu na pozycję, powinien chylić czoła. Pośpiesznie zakryła swą nagość wśród poduszek w najciemniejszym miejscu pod jaśminami, Muhammad zaś przywdział gandurę i wyłonił się z gniazdka. Na jego widok niosący pochodnie padli na twarz, a wielki wezyr giął w pokłonach swoją dumną postać odzianą w brokaty. W blasku płomieni wyglądał jak wielki rubin, lecz błyski, jakie można było dostrzec w jego oczach, nie spodobały się Katarzynie. Wydał jej się człowiekiem fałszywym, okrutnym i niebezpiecznym.

– Czego chcesz, Aben-Ahmedzie? Czego szukasz o tej nocnej godzinie?

– Jedynie niebezpieczeństwo mogło skierować moje kroki do ciebie, komandorze wiernych, i zmusić mnie do przerywania rzadkich godzin odpoczynku. Twój ojciec, waleczny Yusuf, opuścił Gibraltar na czele swych berberyjskich jeźdźców i kieruje się na Grenadę. Pomyślałem, że należy uprzedzić cię o tym bez zwłoki...

– Dobrze uczyniłeś! Czy wiadomo, dlaczego mój ojciec opuścił swoją

kryjówkę?

– Nie, Panie Wszechmocny, nie wiadomo, lecz jeśli zechcesz przyjąć radę wiernego sługi, sądzę, że mądrość nakazuje, byś wysłał wojska na spotkanie Yusufa, w celu zbadania jego intencji.

– Nikt oprócz mnie nie może sobie pozwolić na badanie zamiarów wielkiego Yusufa. Jest moim ojcem i mój tron był jego tronem. Jeśli ktokolwiek ma się udać na jego spotkanie, to tym kimś mogę być tylko ja, gdyż tego wymagają odwieczne więzy krwi... tym bardziej jeśli Yusuf chce wojny.

– Nie lepiej w takim przypadku, byś się bronił, panie?

– Czy bierzesz mnie za kobietę? Idź wydać rozkazy! Każ osiodłać konie i niech Maurowie będą w pogotowiu! Pięćdziesięciu ludzi będzie mi towarzyszyć.

– Nie więcej? Ależ to istne szaleństwo, panie!

– Ani jednego więcej! Odejdź! Za chwilę wracam do Alhambry! Aben-Ahmed, zgarbiwszy się pod siłą spojrzenia kalifa, wycofał się, lecz Katarzyna zauważyła w jego ciemnych oczach złowróżbne błyski radości, kiedy Muhammad zapowiedział swój wyjazd z Grenady. Po zniknięciu wezyra Muhammad zbliżył się do swej nowej faworyty i klękawszy przed nią, pogładził jej splątane włosy.

– Muszę cię opuścić, moja cudowna różo, i dlatego smutno mi na sercu. Będę się jednak śpieszyć, by nie strawić zbyt wielu nocy z dala od ciebie.

– Czy to niebezpieczna wyprawa, panie?

– A co to takiego niebezpieczeństwo? Panowanie rodzi każdego dnia wciąż nowe niebezpieczeństwa. Czają się wszędzie: i w kwiatkach w ogrodzie, i w kubku miodu podanego ci niewinną ręką dziecka, i w słodkim zapachu... Może i ty sama jesteś najbardziej upajającym z nich... i najbardziej śmiertelnym?

– Panie, chyba nie wierzysz własnym słowom?

– Rzeczywiście, co się tyczy ciebie, nie! Masz zbyt łagodne, zbyt czyste oczy! To zbyt okrutne, że muszę cię opuścić...

Kalif całował ją długo i namiętnie, po czym wstał i klasnął w dłonie. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zza ciemnego szpaleru cyprysów wyskoczyła okrągła jak beczułka Morayma. Kalif pokazał jej młodą kobietę schowaną wśród poduszek i rzekł:

– Odprowadź ją do haremu... i strzeż jak oka w głowie! Dopilnuj, żeby niczego jej nie zabrakło podczas mej krótkiej nieobecności! Gdzie ją ulokowałaś?

– Przy małym dziedzińcu kąpielowym, panie... Nie wiedziałam wtedy, że...

– Zainstaluj ją w dawnych apartamentach Aminy... tych, które przylegają do wieży Wodnej. Daj jej tyle służby, ile uznasz za konieczne, lecz przede wszystkim strzeż jej! Odpowiadasz własną głową za jej bezpieczeństwo!

Katarzyna zauważyła strach w oczach Moraymy. Najwyraźniej rezultat jej zabiegów przewyższał pokładane w nich nadzieje i stara Żydówka nie spodziewała się tak gwałtownych narodzin nowego i żarliwego uczucia swego władcy i pana. Dało się to odczuć w uniżoności, z jaką zwróciła się do nowej faworyty, co ją szczerze rozbawiło.

– Chcę, abyś przyniosła mi moje woale! Nie mam zamiaru tkwić bez

końca w tych poduszkach!

– Już po nie biegnę, Jutrzenko! Tylko się nie ruszaj! Drogocenna perła kalifa nie powinna się przemęczać! Ja zajmę się wszystkim, a następnie przyślę ci służących z lektyką i zostaniesz zaniesiona do twych nowych apartamentów!

Już zamierzała się oddalić, gdy Katarzyna powstrzymała ją gestem.

– Tylko nie to! Odejdę z tego miejsca tak samo jak tu przyszłam, a mianowicie na piechotę. Podobają mi się te ogrody, a noc jest taka ciepła! Powiedz mi tylko... czy moje apartamenty znajdują się daleko od apartamentów Zobeidy?

Morayma uczyniła gest przerażenia i zaczęła się trząść jak w febrze.

– Niestety nie! Są całkiem blisko i to mnie martwi. Sułtanka Amina uciekła z nich aż do Alcazar Genil, aby być jak najdalej od swej nieprzyjaciółki. Nasz pan jednak nie chce uwierzyć, że jego ukochana siostra tak różni się od niego. Będziesz musiała bacznie się strzec, żeby jej nie rozgniewać, Jutrzenko, bo wtedy twoje życie zawisłoby na włosku... a moja głowa również wkrótce by się potoczyła, ścięta przez kata. Szczególnie musisz unikać prywatnych ogrodów Zobeidy. A jeśli byś przypadkiem ujrzała frankońskiego pana, którego ona kocha, to odwróć się jak najszybciej, zasłoń szczelnie twarz i uciekaj, uciekaj, jeśli ci życie miłe!

I puściła się pędem, jakby Mongołowie Zobeidy już deptali jej po piętach. Przebierając krótkimi nóżkami pod obfitymi fałdami swej sukni tak szybko, że śmigwały tylko jej wielkie spiczaste papucie, przypominała przestraszonego kaczora.

Natomiast nowa faworyta nie bała się. Za jednym zamachem zdobyła pierwszorzędną pozycję, a wkrótce miała zamieszkać w bezpośrednim sąsiedztwie nienawistnej kobiety... i tak blisko Arnolda! Będzie mogła go zobaczyć, tego była pewna, i na tę myśl krew zaczynała szybciej krążyć w jej żyłach. A upojne chwile spędzone w ramionach kalifa uległy natychmiastowemu zapomnieniu. Cóż, noc miłosna z kalifem była ceną, jaką musiała zapłacić, by wreszcie osiągnąć tak długo pożądaną cel. W sumie nie była to cena zbyt wygórowana...

Kilka chwil później, zamotana w swoje zwiewne szaty, opuściła ogrody kalifa, podążając za żwawo drepczącą Moraymą.

Dawno już minęła północ, kiedy Katarzyna z Moraymą przekroczyły wejście do haremu, strzeżonego przez uzbrojonych eunuchów. Płatanina pomieszczeń zdobionych mozaikami, ażurowych galerii i sklepionych przejść zaprowadziła je na rozległe patio, zarośnięte gąszczem kwiatów i roślin. Jeden jego bok był rześcicie oświetlony lampkami oliwnymi, lecz Morayma skierowała się w ciemny kąt patia, gdzie paliła się tylko jedna lampka. Nie zrobiły nawet paru kroków, kiedy w głębi haremu wybuchła nieopisana wrzawa, w której mieszały się krzyki, wrzaski, przekleństwa, a nawet jęki! Morayma wyciągnęła szyję jak stara szkapa bojowa na dźwięk trąbki i zmarszczywszy brew powiedziała:

– Znowu się zaczyna!

– Co się zaczyna?

– Zora znowu wpadła w sza! Kiedy kalif wybiera inną kobietę na noc, zaczyna się wściekać. Musi wtedy wyładować swą złość na czymś lub na kimś.

Z reguły na innej kobiecie, żeby tylko móc gryźć, drapać i przeklinać. Musi połać się krew, żeby jej przeszło.

– I ty jej na to pozwalasz? – spytała oburzona Katarzyna.

– Czy pozwalam?... Jeszcze mnie nie znasz! Idź do siebie: to tamte drzwi. Czekaają na ciebie służące. A ja przyjdę potem zobaczyć, jak ci się mieszka. A wy dwaj, za mną!

To ostatnie zdanie było skierowane do czarnych jak heban eunuchów, odzianych w krwistoczerwone szaty, którzy w ciszy trzymali straż u wejścia na patio. Nawykli do takich interwencji, bez słowa ruszyli z miejsca, wyciągnawszy zza pasków bicze z hipopotamiej skóry i wkrótce cała trójka zniknęła z oczu Katarzyny. Została sama pod mięsistym i błyszczącym listowiem drzew pomarańczowych. Odczuwała radość, że nareszcie jest sama i wcale nie miała ochoty zamykać się w swoich nowych apartamentach. Noc była taka błoga, roztaczała swe zapachy i ściszone dźwięki melancholijnej melodii, dochodzącej z oświetlonej części jednego z budynków.

Ta właśnie część przyciągała ją jak magnes. Ukryta wśród krzewów, nie mogła oderwać od niej oczu. Nie było wątpliwości! To musiały być apartamenty Zobeidy! Aby się o tym przekonać, wystarczyło spojrzeć na dziesiątkę czarnych niewolników, trzymających straż pod kolumnadą. Ci co prawda nie mieli biczy zatkniętych u pasa, lecz szerokie i błyszczące bułaty, nie wróżące niczego dobrego komuś, kto chciałby się do nich zbliżyć.

Katarzyna płonęła jednak z ciekawości, żeby zobaczyć, co się działo w pomieszczeniach, skąd łagodne światło przenikało przez gałęzie pnących jaśminów i kładło się miękkim blaskiem na czerwonym piasku w ogrodzie. Siódmy zmysł podpowiadał jej, że tam, za tą zaporą z marmuru i jaśminów, był Arnold. Znajdował się tak blisko, że gdyby coś powiedział, usłyszałyby jego głos. Czowała to po ściśnięciu serca i przypląwie jadowitej zazdrości chwytającej za gardło. Pieszczoty sułtana szybko zostały zepchnięte w jej pamięci przez przyływ nagłego, niszczącego i brutalnego gniewu do roli koniecznej formalności. W końcu, była to tylko mała, wykalkulowana zemsta, połączona ze zdradą jej nie nasyconych zmysłów. Katarzyna z przerażeniem stwierdziła, że jej zazdrość pozostała nie zmieniona i tak pierwotna jak sama miłość.

Do dźwięku instrumentów przyłączył się teraz kobiecy głos, ciepły, niski, płonący uczuciem i tak gorączkowy, że Katarzyna cała zamieniła się w słuch. Nie rozumiała tych tak czule szeptanych słów, przeczuwała jednak, że było to najgorętsze wyznanie miłości...

Słuchała jak zaczarowana tego tajemniczego głosu, nie zauważywszy nawet, że światła w apartamentach Zobeidy, jedno po drugim, pogasły. W ogrodzie pociemniało, a jasność w kilku oświetlonych oknach stała się cieplejsza. Głos śpiewającej zniżył się jeszcze, drżąc na strunach uczucia... Katarzyna, nie potrafiąc dłużej się opierać pożerającej ją ciekawości, zbliżyła się do pawilonu księżniczki.

Nie była w stanie myśleć o niczym, nawet o grożącym jej niebezpieczeństwie. Zdjęła jedynie pantofle i stąpając boso po piasku, chyłkiem przemknęła pod krzakami. Wreszcie dopadła do okna, wokół którego wiła się jakaś egzotyczna roślina, pokryta kłującymi kolcami. Nie zważając na przeszkodę, wyciągnęła szyję nad parapet pokryty zielonymi kafelkami i z

ledwością zapanowała nad krzykiem.

Ujrzała Arnolda, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na wielkiej kanapie z różowego brokatu, usłanej poduszkami, zajmującej co najmniej połowę małego, przytulnego pokoju o ścianach pokrytych zielonymi, kryształowymi płytkami, upodabniającymi go do wnętrza olbrzymiego klejnotu. Jego opalenizna, czarne włosy i czarne, szerokie spodnie haftowane złotą nicią odcinały się od tego czulego, kobiecego tła. Ze swoimi szerokimi ramionami i potężnymi muskularni nie pasował do tego otoczenia, jak szpada nie pasuje do koronek. Obok niego widać było szczelnie zasłoniętą niewolnicę, dolewającą mu wina do szerokiego, złotego pucharu, który Arnold opróżniał bezustannie. Był jeszcze przystojniejszy niż dawniej. Katarzyna jednak, ku swemu osłupieniu, zauważyła, że ma błędny wzrok i domyśliła się, że jest na wpół pijany! To był dla niej prawdziwy szok. Nigdy bowiem nie widziała swego męża pod wpływem wina. Czerwone wypieki na twarzy i niezdrowo błyszczące oczy przywiodły jej na myśl porównanie z Gillesem de Raisem. Katarzyna miała przed oczami nieznanego!

Nie opodal Arnolda, na srebrzystych poduszkach, wdzięczyło się pyszne, kobiece ciało. Była to sama Zobeida, tak piękna, że aż zapierało dech w piersi. To ona śpiewała, trącając nonszalancko struny małej gitary długimi, giętkimi palcami.

Jej szyję, ramiona i zgrabne kostki pokrywał deszcz wielkich, mlecznych pereł. Perły zdobiły też jej czarne, rozpuszczone włosy. Spowijająca ją mgiełka gazy w kolorze oliwkowozielonym nie ukrywała żadnych szczegółów doskonałego ciała. Widząc, że rywalka jest jeszcze bardziej uwodzicielska, niż to pamiętała z przypadkowego spotkania, Katarzyna zapalała gniewem. Zauważyła też, że Zobeida nie spuszcza oczu ze swego więźnia, który... wcale na nią nie patrzył. Oszołomiony winem, utkwiał wzrok w próżni i Katarzyna z zadowoleniem stwierdziła, że nie było w nim ani krzty radości.

W końcu uparta obojętność Arnolda zdenerwowała księżniczkę. Odrzuciwszy instrument z irytacją, surowym gestem wypędziła niewolnicę, po czym wstała i położyła się obok Arnolda, kładąc głowę na kolanach kochanka.

Arnold nie poruszył się nawet, lecz powoli i ostentacyjnie opróżnił kolejny puchar. Zobeida chciała jednak zmusić go, by się nią zajął. Katarzyna z drżeniem zobaczyła, jak jej pokryte pierścieniami dłonie pieszczą powoli nagi tors Arnolda, ślizgają się do ramion, owijają się wokół szyi i przyciągają jego twarz. Arnold pogardliwym gestem cisnął precz pusty puchar. Katarzyna zamknęła oczy, gdyż w tej chwili Zobeida przywarła chciwie do jego ust, wyciskając na nich gorący pocałunek.

Jednak prawie natychmiast para rozłączyła się. Arnold poderwał się z kanapy, wycierając ręką krew perlącą się na jego wargach... Odepchnięta z wściekłością Zobeida stoczyła się na dywan.

– Suko! – krzyknął obłądnie. – Ja cię nauczę!

Chwycił leżący na stole bicz i zaczął nim smagać plecy i ramiona Zobeidy. Katarzyna na ten widok zdusiła okrzyk grozy, zapominając o swej zazdrości na widok gestu, który nie mógł oznaczać nic innego, jak tylko nienawiść Arnolda do księżniczki. Pomyślała, że Zobeida nie zniesie z pewnością takiego traktowania, że niechybnie pociągnie za gong znajdujący się

przy kanapie, że zacznie krzyczeć i ściągnie na pomoc eunuchów, a nawet katów...

Nic podobnego!... Z cichym jękiem skargi, niepokonana Zobeida przyczołgała się po dywanie do nagich stóp kochanka i oplótłszy je ramionami, przywarła do nich ustami, wlepiając w twarz Arnolda przepelnione oddaniem oczy ujarzmionej, dzikiej bestii. Szeptala przy tym jakieś słowa, których Katarzyna nie mogła dosłyszeć, lecz które musiały powoli spełniać swoją czarodziejską magię, gdyż... nagle bicz wypadł mu z ręki i Arnold zanurzwszy swe dłonie we włosach Zobeidy, przyciągnął jej twarz do swojej i wpił się w jej usta, rozrywając jednocześnie jej przezroczyście muśliny. Dwa splecione ciała legły na dywanie.

Wokół Katarzyny wszystko zaczęło obłądnie wirować: niebo, drzewa i ściany. Ciężko dysząc, oparła się o ścianę czując, że za chwilę zemdleje, że umrze o dwa kroki od bezwstydnego pary, wsłuchując się w wydawane przez nich jęki rozkoszy. Powodowana ślepą, odwieczną żądzą zabijania, odruchowo sięgnęła po swój sztylet, zawsze zatknięty u pasa, lecz zamiast niego jej dłoń napotkała kawałek zwiewnego muślinu. O! Gdyby tak mieć broń pod ręką! Stałaby wtedy przed niewiernym mężem jak bogini zemsty i zadałaby śmiertelny cios tej kreaturze, ośmielającej się kochać ohydłą miłością, miłością niewolnika!... Zamiast na broń ręka Katarzyny natrafiła na ostre kolce, które boleśnie wbiły się w jej skórę, przywracając natychmiast utraconą świadomość. Równocześnie odgłos kroków dochodzących z alejki przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Rozpoznawszy nosowy głos Moraymy, Katarzyna opuściła pośpiesznie kryjówkę, przyczołgała się pod krzewami i dotarła do głównej alei na spotkanie Moraymy. Stara Żydówka spojrzała na nią podejrzliwie.

– Skąd się tu wzięłaś? Wszędzie cię szukam!

– Przechadzałam się po ogrodzie... Noc jest taka ciepła... Nie miałam ochoty wracać... – odpowiedziała Katarzyna z wysiłkiem.

Morayma, nie wdając się w dalszą rozmowę, chwyciła Katarzynę za nadgarstek i pociągnęła ją w stronę wieży Wodnej. Pod oświetloną kolumnadą spojrzała na nią i zmarszczywszy brwi zauważyła z niezadowoleniem:

– Jesteś bardzo błada! Czyżbyś była cierpiąca?

– Nie... Jestem tylko trochę zmęczona...

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie śpisz! Chodźże wreszcie!

Katarzyna dała się poprowadzić bez oporu, nie mogąc odpędzić sprzed oczu dopiero co widzianej sceny miłosnej. Morayma, spodziewając się okrzyków radości na widok zbytku, jakim kalif otoczył tę niewolnicę, zdziwiła się niepomiarownie widząc, jak ta, po wejściu do swego apartamentu, w którym oczekiwała na nią armia służących, upadła na materace, zanosząc się szlochem.

Morayma wykazała jednak na tyle rozsądku, by nie stawiać żadnych pytań. Odesłała wszystkie służące, a sama usiadła na brzegu łóżka, czekając spokojnie, aż burza przeminie.

Przypisywała ją silnym wrażeniom, jakich nie poskąpił niewolnicy miniony dzień. Katarzyna płakała jednak tak długo, że dopiero zmęczenie położyło kres jej rozpaczom. Kiedy ustały łzy, pograżyła się jak znużone zwierzę w głębokim śnie... Morayma dawno już spała, a nad Grenadą zaległa noc, której

ciszę przerywał jedynie dźwięk dzwonu znad kanałów.

Gdy Katarzyna otwarła spuchnięte od płaczu oczy, zobaczyła, że wokół niej jest pełno ludzi. Zamknęła je natychmiast sądząc, że jeszcze nie skończył się niespokojny sen. Dopiero dotyk wilgotnych, chłodnych tamponów na powiekach uświadomił jej pomyłkę. Wtedy usłyszała półgłosem wypowiedane słowa:

– Obudź się, Jutrzenko, moja słodka perło! Otwórz oczy, by napawać się swą chwałą!

Katarzyna podniosła ostrożnie powieki i ujrzała tłum niewolników klęczących wokół niej i dźwigających na ramionach różnorodne przedmioty, jedwabie, mieniące się kolorami muśliny, ciężkie, złote klejnoty wysadzone drogocennymi kamieniami niespotykanej wielkości, flakony z perfumami i rzadkimi olejkami, ptaki z długimi jedwabistymi piórami o bajecznych kolorach. Jednak tym, co przykuło natychmiast wzrok nowej faworyty, była otyła postać Fatimy siedzącej ze skrzyżowanymi nogami na wielkiej poduszce leżącej na podłodze, w sukniach w ostrym czerwonym kolorze, i wyraz jej nieruchomej twarzy, na której malował się uśmiech pełen zachwyty.

Widząc, że młoda kobieta przebudziła się i że na nią patrzy, Etiopka wstała i pokłoniła się jej z nieoczekiwanym wdziękiem, zamiatając przy tym podłogę pawimi piórami zdobiącymi jej koafiurę.

– Co ty tutaj robisz? – spytała cicho Katarzyna.

– Przybyłam, aby pokłonić się wschodzącej gwiazdzie, o nieopisana wspaniałości! W mieście nie mówi się dzisiaj o niczym innym, jak o rzadkiej perle, którą dane mi było odkryć...

– I dlatego skoro świt przyszedł po nagrodę, jak sądzę? Pogardliwy ton nie zbił z tropu Fatimy ani nie pozbawił jej uśmiechu.

Widać było, że Murzynka tryska radością, której nic nie potrafi zniweczyć.

– Na Boga, nie! Przyszłam do ciebie z prezentem!

– Z prezentem? Od ciebie?

– Niezupełnie. Od Abu-al-Khayra, medyka! Pomyśl, Jutrzenko, nie znałyśmy jego wielkiej duszy!

Imię drogiego przyjaciela pozwoliło Katarzynie otrząsnąć się z przygnębienia, bólu i niesmaku, w jakich była zatopiona. Myśl o nim dodała jej sił. Uniósłszy się na łokciu, odepchnęła niewolnicę, która przecierała jej oczy tamponami.

– Co masz na myśli?

Czarna dłoń Fatimy wskazała na wielki, złożony kosz, wypełniony po brzegi egzotycznymi owocami, jakich Katarzyna nigdy jeszcze nie widziała.

– Odwiedził mnie o samym świecie, dźwigając to i prosząc, bym poszła do Alhambry zanieść ci to w darze!

– Ciebie prosił? Nie powinien tego robić, przecież wywiodłaś go w pole?

– Dlatego powiadam: medyk Abu ma wielkie serce! Nie tylko, że nie ma do mnie żalu, lecz na dodatek jest mi wdzięczny za to, co dla ciebie uczyniłam. „Pozwoliłaś, bym dostarczył niechcący szczęścia memu kalifowi, powiedział ze łzami w oczach, i od tej pory komandor wiernych będzie pamiętał w swych

modłach o Abu-medyku, który dla niego poświęcił swój bezcenny klejnot?”. Co do ciebie – ciągnęła potoczyście Fatima – medyk błaga, byś zechciała przyjąć te owoce, byś zaszczyciła każdy z nich dotykem swych warg tak, by w zamian wzmocniły twoje serce przerażone własnym szczęściem, by dodały ci siłę i blasku, które twoje szczęście uczynią wiecznym! Owoce te, zapewniał, posiadają magiczną moc, którą jednak mogą przekazać tylko tobie!

Fatima mogła jeszcze długo wyrzucać z siebie zgrabne zdania, lecz Katarzyna miała ochotę pozbyć się natychmiast tych wszystkich ludzi, a jej w pierwszej kolejności. Dotarło bowiem do niej, że te owoce musiały zawierać wiadomość od Abu. Zmusiwszy się więc do uśmiechu, rzekła:

– Podziękuj memu dawnemu panu za jego hojność. Powiedz mu, że nigdy nie wątpiłam w dobroć jego serca i że uczynię wszystko, by zdobyć na zawsze serce tego, którego kocham! Jeśli to się nie uda, wolę umrzeć! – dodała, zgrabnie zonglując słowami.

Widząc, że Fatima nie zbiera się do wyjścia i że niewolnice nadal trwają z darami na swoich miejscach, Katarzyna wezwała do siebie Moraymę i kazała się jej schylić, by nikt nie słyszał, co mówi.

– Jestem bardzo zmęczona, Moraymo! Chciałabym jeszcze pospać, by odzyskać siły i być piękniejszą, kiedy wróci mój pan. Czy to możliwe?

– Teraz wszystko już jest możliwe, o różo wśród róż! Wystarczy, że rozkażesz! Pozostawimy cię w spokoju, jak długo zechcesz. Podoba mi się, że jesteś taka rozsądna, że tak dbasz o to, by się podobać. Widzę, że zajdziesz daleko! – Jej dłoń pomalowana henną wskazała na spuchnięte jeszcze powieki Katarzyny. – Całe szczęście, że pan jest nieobecny! Będziesz miała wiele czasu, by odnaleźć blask szczęścia. Wyjdźcie, wy wszyscy!

– Odwiedź mnie znowu, Fatimo! – rzuciła Katarzyna do Etiopki, która niezbyt zadowolona oddalała się wraz z innymi. – Będę cię potrzebować!

To zdanie wystarczyło, by przywiedle jeszcze przed chwilą pawie pióra odnalazły swoją poprzednią pewność siebie. Fatima, pęczniąc z dumy, widząc się już w roli konfidentki faworyty kalifa, a może nawet i przyszłej sułtanki, jeżeli ta urodziłaby kalifowi syna, wyszła majestatycznie, a za nią wszystkie niewolnice z prezentami.

– Śpij spokojnie! – powiedziała Morayma, zaciągając nad łóżem Katarzyny cienkie różowe zasłony. – I nie zjedz za dużo owoców – dodała, widząc, jak młoda kobieta przyciąga do łóżka koszyk od Abu.

– Możesz dostać wzdęcia, a co się tyczy świeżych fig... Morayma, nie dokończywszy zdania, nieoczekiwanie rzuciła się na podłogę i wyciągnawszy przed siebie dłonie, padła na twarz. W progu pokoju, pod pięknym mauretańskim łukiem, ukazała się bowiem księżniczka Zobeida. Miała rozpuszczone do pasa włosy i zwykłą, niebieskozieloną gandurę ściśniętą w talii szerokim, złotym pierścieniem. Pomimo niedbałego stroju jej szczupła postać przedstawiała obraz doskonałej dumy. Katarzynie krew uderzyła do głowy. Z ledwością usłyszała bojaźliwy szept Moraymy:

– Wstań i padnij na kolana... To księżniczka...

Żadna siła na świecie nie zmusiłaby Katarzyny do zrobienia tego, czego żądała od niej Morayma. Ukorzyć się przed tą dzikuską, która ośmieliła się zabrać jej męża! Nawet najmniejsza część instynktu samozachowawczego nie

potrafiłaby jej do tego zmusić! Nienawiść, jaką czuła do tej kobiety, paliła jej wewnętrżności. Pozostając w bezruchu, z podniesioną dumnie głową, patrzyła na zbliżającą się Zobeidę żrenicami zwięzonymi ze złości.

– Miej litość dla mnie i dla siebie... – powtórzyła przerażona Morayma, na co Katarzyna tylko wzruszyła ramionami.

Tymczasem Zobeida podeszła do łóżka. Jej wielkie, ciemne oczy wpatrywały się w Katarzynę z ciekawością przeważającą nad gniewem.

– Nie słyszysz, co się do ciebie mówi? Masz się przede mną ukorzyć! – rzuciła od niechcienia.

– Dlaczego? Nie znam cię!

– Jestem siostrą twojego pana, kobieto, a z tego tytułu również twoją władczynią! W mojej obecności nie wolno ci podnieść głowy! Wstań i ukorź się!

– Nigdy! – odparła Katarzyna. – Dobrze mi w łóżku i nie mam zamiaru wstawać! Lecz jeśli chcesz, to możesz usiąść.

Katarzyna pomyślała, że koniec z nią, widząc, jak pochmurnieje oblicze Zobeidy... Ta jednak opanowała się, a na jej czerwonych ustach zakwitł pogardliwy uśmiech.

– Widzę, że szczęście uderzyło ci do głowy, kobieto! – rzekła wzruszając ramionami. – Tym razem mogę okazać ci pobłażanie, ale przyjmij do wiadomości, że podczas nieobecności mego brata ja jestem tutaj panią! Zresztą... czy leżysz, czy klęczysz przede mną, i tak jesteś u mych stóp. Lecz pamiętaj, byś na przyszłość oddawała należne mi hołdy, gdyż następnym razem mogę nie być taka cierpliwa jak dziś! Dzisiaj... jestem w bardzo dobrym nastroju...

Katarzyna musiała powstrzymać atak narastającego gniewu. W dobrym nastroju? W rzeczy samej, zbyt dobrze pojmowała przyczynę tej niezwykle łagodności. Wystarczyło spojrzeć na niedbały strój, na rozpuszczone włosy i na podkrążone oczy księżniczki... Musiała niedawno opuścić objęcia Arnolda!

Zapanowała nieznośna cisza, którą przerwał śmiech Zobeidy.

– Szkoda, że nie widzisz się w lustrze! Wyglądasz jak kot, ostrzący pazury do ataku. Mogłabym pomyśleć, że mnie nienawidzisz. Skąd przybywasz kobieto o żółtych włosach?

– Zostałam schwytana przez korsarzy i sprzedana na targu niewolników w Almerii – wyrecytowała Katarzyna.

– Z jakiego kraju pochodzisz? Czy może z kraju Franków?

– W rzeczy samej! Urodziłam się w Paryżu...

– Paryż... – przerwała księżniczka. – Podróżnicy, których mój brat chętnie przyjmuje, opowiadają, że ongiś było to miasto niezrównane pod względem bogactwa i nauki, lecz ponoć wojna i nędza rujnują je z dnia na dzień. Czy to dlatego jego mieszkańcy zostają niewolnikami?

– Obawiam się – odparła Katarzyna ostro – że nie rozumiesz zbyt dobrze spraw mojego kraju. A ja nie potrafiłabym ci należycie ich wytłumaczyć!

– Nieważne! To mnie nie interesuje. W sumie, z kilkoma wyjątkami, nadajecie się tylko do tego, by być niewolnikami, lecz nigdy nie zrozumieć, jak może się podobać mężczyźnie wasza biała skóra i wasze żółte włosy. Są takie mdłe! – Zobeida odwróciła się i skierowała do drzwi, lecz na progu zatrzymała

się i rzuciła: – Byłabym zapomniała! Posłuchaj, co ci powiem, kobieto, i staraj się to zapamiętać, jeśli ci życie miłe: Kaprys mojego brata, który, możesz być pewna, nie potrwa długo, dał ci miejsce sułtanki, dzięki czemu mieszkasz w moim sąsiedztwie. Jednak nie zbliżaj się do moich apartamentów! Tylko moje służące mają do nich wstęp lub te osoby, które ja sama zaproszę! Ale nie zniosę w nich obcej, barbarzyńskiej kobiety! Jeżeli zobaczę, że kręcisz się w pobliżu, zginiesz!

Katarzyna milczała. Domyśliła się, że ten zakaz dotyczył szczególnie kobiety takiej jak ona, pochodzącej z kraju jej kochanka. Przez chwilę miała ochotę rzucić w twarz rywalce wszystko, co o niej myśli, lecz coś ją powstrzymało... Po co podsycać gniew tej niebezpiecznej tygrysy? Z pewnością walka na słowa z Zobeidą nie zwróci jej Arnolda... Nie mogła jednak powstrzymać pytania:

– Czyżbyś chowała jakiś skarb u siebie, pani?

– Jesteś zbyt gadatliwa i ciekawa, kobieto o żółtych włosach! Moja cierpliwość dla ciebie się kończy. Dziękuj Allachowi, że nie chcę zasmucić mego brata, niszcząc mu zabawkę, którą się jeszcze nie znudził! Ale powstrzymuj swój język, niewierna, i zasłaniaj oczy, jeśli ci są miłe! Ślepa i niema, nadawałabyś się w sam raz dla świerzbowatych z Maristanu! Pamiętaj: nie zbliżaj się do mej siedziby! A zresztą i tak niedługo będziesz moją sąsiadką!

– Dlaczego?

– Dlatego, że mnie zawiodłaś... W pałacu opowiadano o tobie istne cuda, chciałam więc sprawdzić osobiście, czy rzeczywiście jesteś taka piękna, jak powiadają, lecz...

Co mówiąc, Zobeida podeszła na powrót do łóżka Katarzyny. Jej miękkie, kocie ruchy przywodziły nieodparcie na myśl skradającą się czarną panterę. Pochyliła się i ku przerażeniu Katarzyny wybrała z koszyka Abu największą, różową, pokrytą puszkami brzoskwinie i wbiła weń swe małe, ostre zęby. Nie wiedząc, co zawiera kosz, Katarzyna zadrżała na myśl, że Zobeida odkryje pierwszą jego tajemnicę. Czy to coś było ukryte w owocu, czy na spodzie koszyka? Patrzyła niespokojnie, jak Zobeida zjada owoc, a różowy sok spływa jej po palcach. Kiedy skończyła, rzuciła pestką w Katarzynę, jakby była ona koszem na śmieci, i raczyła skończyć zdanie.

– Lecz... nie jesteś taka piękna, jak sądziłam! Nie! Zdecydowanie nie! W rzeczy samej, znam wiele ładniejszych od ciebie!

Pochyliła się znowu nad koszem i przedłużając w nieskończoność tortury Katarzyny, sięgnęła tym razem po czarną figę z odcieniem fioletu i w końcu oddaliła się swoim omdlewającym krokiem kołysząc biodrami. W samą porę! Wściekła ze złości Katarzyna chwyciła bowiem wielki, słodki melon i wycelowała nim w rywalkę. Niestety, zielone muśliny Zobeidy zdążyły w porę zniknąć z pola obstrzału i dorodny owoc wypadł z rąk Katarzyny. Tymczasem Morayma podnosiła się z podłogi, gdyż Zobeida zapomniała kazać jej wstać. Przestraszona hardością nowej faworyty, wołała nie zwracać na siebie uwagi i przez cały czas wizyty księżniczki skutecznie wtapiała się w gruby, jedwabny dywan. Od tak długiej gimnastyki rozboleły ją stawy.

– Na Allacha! – zaczęła zrzędzić. – Moje stare kości trzeszczą jak łądyga winorośli w ogniu. Co ci się stało, Jutrzenko, żeby tak odpowiadać strasznej

Zobeidzie? Dziwię się, że jeszcze żyjesz! Widocznie w nocy musiała zaznać wielkiej rozkoszy w ramionach kochanka, skoro okazała ci taką wspaniałomyślność!

Tego już było Katarzynie za wiele.

– Idź precz! – krzyknęła przez zaciśnięte zęby. – Zniknij z mych oczu, jeśli nie chcesz, żebym się poskarżyła na ciebie kalifowi, jak tylko wróci!

– Co ci się stało? – zdziwiła się stara Żydówka. – Nie powiedziałam nic obraźliwego!

– Pragnę spokoju! Rozumiesz? Spokoju! Odejdź i nie wracaj tu, zanim cię nie zawołam! Już ci tłumaczyłam, że chce mi się spać! Spać! Czy to jasne?

– Dobrze już, dobrze... Odchodzę.

Katarzyna tylko na to czekała i kiedy Morayma wreszcie wyszła, zapomniała o swoim gniewie i przyciągnawszy do siebie koszyk, wysypała jego zawartość na łóżko. Abu był człowiekiem niezwykle ostrożnym i dopiero na samym dnie ukazały się trzy przedmioty, z których jeden wyrwał z jej piersi okrzyk radości. Tą rzeczą był sztylet z krogulcem, wierny towarzysz najtrudniejszych chwil jej życia. Obok leżała mała fiołka w srebrnym etui i list, który Katarzyna rozerwała z niecierpliwością.

„Kiedy strudzony wędrowiec zanurzy się w głębokim borze, w którym ryczą dzikie zwierzęta, potrzebna mu broń, by ocalić życie – pisał Abu. – Popełniłaś wielką nieostrożność odchodząc, nie usłyszawszy mego zdania, gdyż życzyłem ci co prawda życia mniej wystawnego, lecz za to o ileż bezpieczniejszego. Jednak ten, kto sprzeciwia się woli Allacha, jest nierozumny, a ty podażyłaś jedynie za swoim przeznaczeniem. Twój słudzy czuwają z dala nad tobą. Josse wstąpił do armii wezyra. Mieszka teraz w Alcazabie, w pobliżu pałacu. Walter natomiast gra rolę niemego sługi u mojego boku. Wszędzie mi towarzyszy, a ja zamierzam złożyć kilka wizyt komandorowi wiernych, jak tylko wróci. Do tego czasu nie przyśpieszaj biegu wydarzeń. Cierpliwość również może być bronią.

W fiołce znajduje się błyskawicznie działająca trucizna. Mądry człowiek nie zapomina, że jego misja może się nie powieść, a mongolscy kaci są wprawni w zadawaniu okrutnych cierpień”.

List oczywiście nie zawierał żadnego podpisu. Katarzyna pośpiesznie spaliła go w wielkim kadzidle stojącym na środku komnaty. Patrzyła, jak cienki papier skręca się, czernieje i zamienia w popiół. Poczula się nieporównanie lepiej; teraz, kiedy miała broń, jej szanse wydały się bardziej wyrównane. Mogła zadać śmiertelny cios rywalce i odebrać jej Arnolda, choćby sama miała wkrótce zginąć!

Przycisnąwszy do serca zimną stal ostrza, wcisnęła się głęboko w poduszki. Teraz należało zastanowić się spokojnie nad tym, co miało niechybnie nastąpić!...

Rozdział dwunasty

PANTERA I WĄŻ

Młoda odaliska, Maria, siedziała na olbrzymiej poduszce z haftowanej skóry i ssała różany sorbet, podobna przy tym do małego kota. Kątem oka obserwowała Katarzynę, która leżąc na brzuchu i podparwszy brodę rękami, zastanawiała się nad własnym losem. Była to pora sjesty i cały pałac pogrążony był w ciszy i spokoju. Jedynie niewolnice poruszały wielkimi wachlarzami z piór nad pięknymi śpiącymi. Pod palącym słońcem nawet drzewa w ogrodzie stały jak skamieniałe.

Wizyta Zobeidy sprzed trzech dni zniweczyła wszystkie projekty Katarzyny. Księżniczka bowiem, nie zadowolwszy się wcale zakazem zbliżania się nowej faworyty do swych apartamentów, podjęła dodatkowo specjalne kroki dotyczące niebezpiecznej sąsiadki.

Otóż kiedy Katarzyna chciała wyjść do ogrodu, skrzyżowały się przed nią dwie lance, a jakiś gardłowy głos kazał jej wracać do swych apartamentów. Wobec zdecydowanego protestu przeciwko takiemu zamknięciu, eunuch czuwający osobiście nad jej bezpieczeństwem wyjaśnił, że podczas nieobecności kalifa drogocenna faworyta musi być pilnowana w dzień i w nocy, żeby nie stało się jej jakieś nieszczęście.

– Nieszczęście? W tym pięknym ogrodzie?

– Wszystko jest możliwe! – wyjaśnił strażnik. – Słońce pali, w wodzie można się utopić, owady tną, a żmija uśmierca! – dodał niewzruszenie. – Mamy wyraźne rozkazy! Masz siedzieć u siebie!

– Jak długo?

– Dopóki nie wróci kalif.

Katarzyna nie nalegała. Ta niezwykła troska Zobeidy nie pozostawiała najmniejszych złudzeń: księżniczka nienawidziła jej równie mocno, jak ona jej. A przecież nic nie wiedziała o łączących ją z Arnoldem więzach. Była dla niej tylko kobietą z haremu, nawet jeśli dzięki kaprysowi kalifa została wyniesiona ponad inne. Czy obawiała się, że jej kochanka mogłaby zainteresować nowa twarz? Czy może to, że pochodziła z tego samego kraju co on, było przyczyną takiej ostrożności?

Od trzech dni Katarzyna starała się znaleźć odpowiedź na dręczące ją pytania, ale na próżno. Morayma także nie chciała pisać słowa i stała się dziwnie małomówna, jakoś się skurczyła, przygarbiła i tylko czasem rzucała na swoją podopieczną spojrzenie, w którym nadzieja mieszała się z nieprzewyciężonym strachem. Jej wizyty stały się bardzo krótkie. Przychodziła dowiedzieć się o życzenia młodej pani, po czym natychmiast zniknęła. Katarzyna nie wiedziała, co o tym myśleć, lecz żyjąc w ciągłym niepokoju, że Zobeida wyjedzie do dalekiego Magrebu, zabierając ze sobą Arnolda, doprowadziła się do rozstroju nerwowego. Zwłaszcza noce, w czasie których wyobrażenia podsyciła jej zazdrość, stały się nie do zniesienia i była gotowa rzucić się głową naprzód w pierwsze lepsze szalone przedsięwzięcie, które przysłoby jej do głowy.

Czwartego dnia tego gorączkowego oczekiwania odwiedziła ją Maria-

Aisza. Była szczelnie zakwefiona, lecz widać było, że się uśmiecha.

– Pomyślałam sobie, że może się nudzisz – powiedziała zdejmując kwef*

[*Kwef – nieprzezroczysta zasłona na twarz, noszona przez kobiety muzułmańskie.] – a Morayma nie czyniła zbyt wielkich trudności i zgodziła się, bym cię odwiedziła.

– A eunuchowie... pozwolili ci przejść?

– Dlaczego nie! Mają rozkaz, żeby cię stąd nie wypuszczać, lecz ty możesz przyjmować u siebie wizyty.

Obecność Marii była przyjemna. Dziewczyna była nastawiona do niej przyjaźnie, a poza tym pochodziła również z Burgundii. Słuchając jej historii, odnalazła wiele wspólnego z własnym życiem. Otóż ta piękna córka właściciela winnicy z Beaune zwróciła na siebie uwagę pewnego rycerza księcia Filipa. Człowiek ten, cieszący się poparciem swego pana, zażądał, by oddano mu Marię za żonę i pewnego dnia w ich małym domu w Beaune pojawił się posłaniec z książęcym rozkazem, by przygotować wesele Mana może i pogodziłaby się ze swoim losem, jako że ów rycerz Colas Laigneau, był raczej przystojnym chłopcem, gdyby od dawna nie kochała się w swoim kuzynie, Jehanie Goriot, któremu przysięgła miłość i wierność.

Choć z Jehana był niezły gagatek, nie trzymały się go bowiem pieniądze, lecz trzymały się zawsze ładne panny, to umiał prawić piękne słówka i zgrabnie przemawiać. Maria kochała go takim, jakim był i pomimo jego licznych zdrad uwielbiała go, więc kiedy nadszedł książęcy rozkaz, dziewczyna wpadła w panikę i błagała Jehana, żeby ją porwał do jakiegoś południowego kraju, pełnego kwiatów i słońca, o którym niejednokrotnie snuł jej barwne opowieści.

Jehan na swój sposób też kochał Marię. Była przecież mądra i piękna Ale przede wszystkim pożądał jej, i myśl o sprzątnięciu jej sprzed nosa innemu podniecała go bardzo. Do tego potrzebne były jednak pieniądze I wtedy stało się najgorsze! Maria zabrała ojcu połowę jego oszczędności, me mówiąc mu o tym, a Jehan splądrował dom pewnego sędziego który wyjechał w tym czasie w interesach. Jeszcze tej samej nocy kochankowie uciekli z domów, żeby więcej do nich nie wrócić. Maria, która myślała, że łapie szczęście za nogi, wkrótce przeżyła wielkie rozczarowanie.

Otóż Jehan nauczył ją sztuki miłości i ona, zasmakowawszy w niej oddawała mu się bez skrupowania, co spowodowało, że straciła szacunek w oczach kochanka. W końcu, kochając go za bardzo, znudziła mu się a zaczęły go pociągać ciemne oczy kobiet z południa. Wkrótce chłopiec miał już tylko jedno na myśli: jak pozbyć się Marii, która bez ustanku wspominała o ślubie. W tym celu posłużył się najbardziej podłym ze sposobów: kupcząc świeżą urodą swej narzeczonej, sprzedał ją greckiemu przemytnikowi z Marsylii, który porwał ją pod osłoną nocy i wsadził na swój handlowy statek, po czym na targu w Aleksandrii odsprzedał dostawcy kalifa Grenady...

– Oto w jaki sposób znalazłam się tutaj – zakończyła swą opowieść Mana.

– Ileż razy żałowałam mojego burgundzkiego ślubu i domu moich rodziców. Ten Colas mógł być przyzwoitym człowiekiem i mogłam z nim być szczęśliwa!

– A Jehan? – spytała Katarzyna, przejęta tą opowieścią. W oczach Marii pojawiła się żądza mordy.

– Jeśli go kiedyś spotkam, zabiję jak psa! – odparła tak zdecydowanie i pewnie, że Katarzyna nie mogła w to wątpić. Po czym, zachęcona okazywanym jej

przez Marię zaufaniem, opowiedziała historię swego życia nowej przyjaciółce.

Trwało to bardzo długo, lecz Maria słuchała, nie przerywając ani razu. Dopiero po jej zakończeniu westchnęła:

– Co za historia! Jak w powieści. A więc tajemniczy Francuz jest twoim mężem? A ja myślałam, że jesteś... że jesteś, pani, taką samą biedną dziewczyną jak ja! Już wiem, gdzie cię wcześniej widziałam: to było w Dijon, dokąd ojciec zabrał mnie na targ. Byłam jeszcze mała, lecz w pamięci utkwiał mi obraz pięknej damy, jaśniejszej urodą.

– Czy uważasz, że się zmieniłam? – spytała Katarzyna z odrobiną goryczy. – I nie ma powodu, żebyś mówiła do mnie pani. Teraz, kiedy poznałyśmy się lepiej, nie ma między nami żadnej różnicy!

– Czy się zmieniłaś? – powtórzyła mała Maria z powagą. – Chyba tak, lecz wtedy, w Dijon, pani stroje nie pozwalały dokładnie ocenić pani urody. Teraz widać ją dokładnie. Jesteś, pani, inna, ot i wszystko.

– Błagam cię, nie traktuj mnie jak wielką damę – powiedziała Katarzyna grzecznie. – Traktuj mnie jak przyjaciółkę, tak bardzo mi tego potrzeba!

Na takie dictum Maria z radością zgodziła się porzucić zbyteczne formułki i lody między dwiema kobietami zostały ostatecznie przełamane. Teraz były współniczkami, złączonymi tajemnicą, jak więzami krwi, na dobre i złe.

– Obiecuj mi, że jeśli uda ci się uciec, to zabierzesz mnie ze sobą, a uczynię wszystko, by ci pomóc! Musisz strasznie cierpieć z powodu Zobeidy.

– Jeśli opuszczę ten zamek i to miasto, obiecuję ci, że wezmę cię ze sobą, przysięgam!

Wtedy młoda dziewczyna przekazała swej nowej przyjaciółce kilka bardzo interesujących informacji.

– Jesteś w niebezpieczeństwie – powiedziała. – Jeśli kalif nie powróci, twoje godziny będą policzone.

– Dlaczego miałby nie wrócić?

– Ponieważ Aben-Ahmed Banu Saradj, wielki wezyr, nienawidzi go z całego serca, podobnie jak pożąda Zobeidy, która była jego kochanką,

zanim pojawił się francuski rycerz. Chciałby także zdobyć tron, aby wprowadzić nań siebie i Zobeidę... a ta ekspedycja Yusufa, ojca Muhammada, przeciw własnemu synowi, to historia wyssana z palca. Ojciec i syn nie kochają się po prawdzie, lecz stary Yusuf ma dosyć panowania. Sam był ongiś kalifem i trudno uwierzyć, by na stare lata chciał synowi odebrać tron, który ongiś porzucił z własnej woli. To zwykle insynuacje wezyra... obawiam się więc, czy nie zastawiono na niego pułapki!

– A wtedy będę zgubiona?

– Nie, nie tak szybko! Muhammad jest człowiekiem łatwowiernym, a zarazem jednym z najwaleczniejszych rycerzy. To wojak i z pewnością sobie poradzi. Właśnie dlatego Zobeida kazała cię pilnować: jeśli bowiem brat wróci z ekspedycji, dowie się, że siostra kazała pilnie strzec jego ukochanej faworyty. Gdyby zginął, natychmiast każe cię uśmiercić!

– Dlaczego? Co ja takiego jej zrobiłam?

– Ty nic, lecz Zora zajęła się tobą. Księżniczka toleruje ją, gdyż tamta zawsze była dla niej niezwykle usłużna. A ponieważ Zora pragnie nade wszystko twojej śmierci, użyła swej wyobraźni... a raczej geniuszu, gdyż

przypadkiem odkryła prawdę!...

– Co masz na myśli?

– Zora wiedząc, że tylko Zobeida może sprzeciwić się kalifowi, postanowiła uczynić z niej twego bezlitosnego wroga. W tym celu wykorzystwała jej zazdrość o francuskiego kapitana. Zora wmówiła księżniczce, że jesteś zakochana w jej więźniu i że pragniesz się do niego zbliżyć.

– O mój Boże! Jestem zgubiona! A dlaczego nie zostałam wydana katu?

– Na to właśnie liczyła Zora, znając temperament księżniczki. Ale Zobeida nie jest głupia: zabić w czasie nieobecności kalifa faworytę, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia, to by oznaczało przyznanie się do udziału w spisku wezyra. Jeśli kalif wróci, zastanie cię żywą, lecz bądź pewna, że długo nie pożyjesz. Co prawda nie zginiesz z ręki kata, ale Zobeida obmyśli taki wypadek, żeby sama została poza kręgiem podejrzanych. Zobeida zna swego brata i wie, że ten z pozoru łagodny poeta ma dziką duszę godną swej siostry. Rzadko wpada w gniew, lecz kiedy to się stanie, potrafi być straszny. I tak bardzo ciebie pożąda! Jeśli wierzyć temu wszystkiemu!

Tu Maria wskazała ręką na zwój papieru opakowany w aksamit pokryty szafirami. Były to wiersze, które kalif przysłał ukochanej. Zakochany władca codziennie przysyłał oblubienicy coś innego, raz perły, innym razem złotą klatkę z niebieskimi papugami. Wśród prezentów było też wspaniałe dzieło sztuki: złoty paw z rozpostartym ogonem, wykonany z drogocennych kamieni.

– Zresztą to znak, że kalif żyje – stwierdziła Maria. – Niech go Allah zachowa!

Niewolnice, które nadeszły z posiłkiem, przerwały kobietom ich zwierzenia. Podczas gdy Maria ochoczo zabrała się do jedzenia, Katarzyna zamyśliła się nad swoją sytuacją, która w świetle rewelacji odkrytych przez przyjaciółkę była gorsza, niż ośmielała się przypuszczać. W każdej chwili mogła dotrzeć do pałacu wiadomość o śmierci kalifa. A wtedy!... Bóg wie, ile minut życia jeszcze jej zostało. Nawet nie będzie mogła uprzedzić Arnolda i umrze dwa kroki od ukochanego, który o niczym się nie dowie. Jak wezwać na pomoc przyjaciół? Josse przebywał w Alcazabie. Czy można byłoby wysłać do niego posłańca? Czy mogła wezwać Fatimę i powierzyć jej list do Abu-al-Khayra? Czy ten list do niego dotrze? I ciągle to samo pytanie: czy zdąży?

Tymczasem Maria dokończyła sorbet i sięgnęła po lśniącego daktyla, kiedy Katarzyna przerwała swą medytację i utkwivszy wzrok w Marii rzekła:

– Nie mam ani chwili do stracenia! Muszę zacząć działać natychmiast!

– Co zamierzasz?

Katarzyna nie odpowiedziała od razu. Przed wypowiedzeniem decydujących słów pozwoliła sobie na chwilę wahania, ponieważ chodziło o jej życie i o to, że właściwie wcale nie знаła tej młodej dziewczyny. Maria spojrzała na nią jednak tak jasno i tak szczerze, że Katarzyna porzuciła resztki nieufności. Jeśli nie mogła zaufać tej małej, to nikomu nie mogła zaufać. Czas nagił. Trzeba było się zdecydować.

– Muszę stąd wyjść i zobaczyć się z mężem!

– To oczywiste. Ale jak? Chyba żebyś... Chyba żebyśmy zamieniły się ubraniami i żebyś wyszła zamiast mnie! Arabski strój ma swoje dobre strony. Aby zorientować się, kto ukrywa się pod tymi metrami materiału, trzeba nie lada

sprytu, tym bardziej że mamy taki sam kolor skóry, a przy spuszczonych powiekach nie widać koloru oczu.

Serce Katarzyny zabiło mocniej. Maria sama zaproponowała jej to, o co ona nie śmiała poprosić. Ujawszy dłoń przyjaciółki w swe ręce powiedziała:

– Czy zdajesz sobie, Mario, sprawę, że ryzykujesz własnym życiem? A jeśli ktoś tu przyjdzie w czasie mojej nieobecności?

– Wtedy powiem, że rzuciłaś się na mnie i że mnie związałaś. Nie brakuje tu cienkich i mocnych materiałów. Ja będę miała wytłumaczenie.

– A jak wytłumaczysz moją nieobecność, gdyby przyszła tu Morayma?

– Powiem jej, że się dusiłaś w zamknięciu i wyszłaś na świeże powietrze.

– I tylko dlatego cię związałam, żeby ci zabrać ubranie?

– Dlaczego nie? Gdybyś wiedziała, jak nieprawdopodobne pomysły podsuwa nuda kobietom zamkniętym w haremie, wiedziałabyś, że Morayma nie dziwi się już niczemu. Lecz strzeż się! To, co chcesz zrobić, jest niezwykle niebezpieczne. Dostać się do francuskiego rycerza oznacza niechybną śmierć. Jeżeli Zobeida zastanie cię u niego, to nawet strach przed gniewem brata nie uratuje twojej głowy!

– Trudno. Kto nie ryzykuje, ten nie osiąga niczego. Martwi mnie jedno: jak przejść przez stanowiska strażników? Prywatny ogród Zobeidy znajduje się z drugiej strony jej apartamentów. Słyszałam, że w nim znajduje się samotny pawilon, w którym mieszka mój mąż.

– W istocie. Nazywany jest pałacem Księcia, gdyż został zbudowany dla brata kalifa Muhammada V. Jego mury wznoszą się nad basenem z błękitną wodą. Francuski rycerz może go opuszczać jedynie udając się na polowanie, i to pod dobrą eskortą. Zobeida obawia się, żeby tęsknota za krajem nie wzięła góry nad jej urokami osobistymi, więc z wezyra uczyniła głównego jego strażnika.

– Sądziłam, że wezyr jest w niej zakochany?

– To okrucieństwo w stylu Zobeidy. Wezyr nienawidzi swego rywala i niewątpliwie ma nadzieję, że kiedy zostanie sułtanem, to się go pozbędzie, a na razie pragnie tylko jednego: przypodobać się swej księżniczce. Nie mogła wybrać lepszego strażnika i dobrze o tym wie. Powróćmy jednak do naszego planu. Dotrzeć do ogrodu Zobeidy nie jest trudno. W pobliżu mojego pokoju są małe drzwi, zawsze zamknięte na klucz, lecz łatwo je otworzyć za pomocą noża i odrobiny zręczności. Drzwi te prowadzą do ogrodów. Ogród Zobeidy oddzielony jest murem, lecz niezbyt wysokim i łatwo go przeskoczyć, podciągając się na gałęziach okalających go cyprysów. Chyba potrafisz to zrobić?

– Potrafię! Lecz... jeśli tak łatwo przeskoczyć ten mur, to dlaczego mój mąż dotąd jeszcze nie uciekł?

– Ponieważ pałac Księcia jest pilnie strzeżony przez najwierniejszych eunuchów Zobeidy. Jest ich wielu, są jej ślepo oddani, a ich bułaty tną gładko!

Nie było to zbyt pocieszające. Niemniej Katarzyna kazała sobie dokładnie objaśnić drogę, najpierw do pokoju Marii bez wzbudzania zainteresowania, potem do tajemniczych małych drzwi, które młoda odaliska opisała jej z niezwykle dokładnością.

– Można by rzec, że znasz je bardzo dobrze! – zauważyła Katarzyna. – W ogrodzie kalifa rosną wielkie, soczyste śliwki, które mi bardzo smakują, a są

przeznaczone wyłącznie na stół kalifa... – przyznała ze wstydem Maria.

Katarzyna roześmiała się, słysząc o takim łakomstwie, i przyjaciółki spędziły dalsze chwile na rozmowie, czekając aż zapadnie noc.

Plan, jaki wspólnie uknuły, nie mógł się powieść w pełnym słońcu, dlatego czekanie na ciemności wydało się Katarzynie całą wiecznością, tym bardziej że każda nadchodząca noc była dla niej istną męczarnią, zbyt dobrze bowiem wiedziała, w jaki sposób Zobeida zapełniała Arnoldowi nocne godziny.

Na widok zachodzącego słońca Katarzyna odetchnęła z prawdziwą ulgą, a kiedy jej niewolnice przyniosły wieczerzę, kazała im wszystko zostawić i zniknąć.

– Wrócimy, by położyć cię do łóżka, pani – oznajmiła główna służąca.

– Nie, nie trzeba. Położę się sama. Moja przyjaciółka zostanie jeszcze przez chwilę ze mną. Chcę, żebyście nas zostawiły w spokoju! Uprzedź Moraymę, że zwalniam ją z wieczornych odwiedzin. Nie potrzebuję niczego oprócz spokoju. Możesz zgasić część lamp. Silne światło razi mnie w oczy!

– Jak sobie życzysz, pani! Życzę ci przyjemnej nocy!

Kiedy tylko niewolnice zniknęły, pozostawiając obie kobiety w półmroku, Katarzyna i Maria skubnęły trochę baranich zrazików i miodowych ciasteczek, po czym zabrały się za wprowadzenie planu w życie.

Maria zdjęła z siebie wszystkie rzeczy i wręczyła je Katarzynie, ta zaś podała jej swoje. Były prawie tego samego wzrostu, Katarzyna była tylko nieco szczuplejsza, toteż mocniej ścisnęła w pasie niebieskie, muślinowe spodnie Marii. Następnie obie kobiety podały długie woale i wykonały z nich więzy, którymi Katarzyna spętała przyjaciółkę, uprzednio włożywszy ją do swego łóżka.

– Nie zapomnij mnie zakneblować! – przypomniała Maria – Inscenizacja musi być przekonująca.

Posłużyła do tego jedwabna chusta, lecz zanim Katarzyna zatkała nią usta przyjaciółce, ta powiedziała:

– Uważaj, żebyś cały czas była szczelnie zakryta, nawet jeśli będzie ci to przeszkadzać w pokonaniu muru. A teraz, do dzieła! I niech Bóg ma cię w swej opiece!

– I ciebie, Mario! Bądź spokojna, nie zapomnę o danej ci obietnicy... chyba że zginę!

– To się rozumie samo przez się! A teraz zaciśnij knebel! Upewniwszy się, czy Maria może oddychać, gdyż realizacja planu mogła zabrać parę dobrych godzin, Katarzyna pochylila się nad nią i pocałowała ją w czoło. Zaciągnęła zasłony wokół łóżka i odeszła parę kroków, by sprawdzić efekt tych przygotowań. Za cienką zasłoną z muślinów Mana przypominała ją samą... Iluzja doskonała... Katarzyna owinęła się niebieskim woalem przyjaciółki, włożyła jej spodnie i krótką, ledwie zasłaniającą piersi bluzkę. Pomimo woalu czuła, że jej ruchy nie są skrepowane i po krótkim pożegnaniu, pewnym krokiem oddaliła się w stronę drzwi.

Strażnicy, jak zwykle, skrzyżowali przed nią lance, lecz ona, naśladując najlepiej jak tylko potrafiła głos swej nowej przyjaciółki, powiedziała:

– Wracam do siebie! Przepuście mnie! Jestem Aisza!

Jeden z eunuchów odwrócił do niej swoją szeroką, czarną twarz ze

spłaszczonym nosem i rzucił szyderczo:

– Dość późno wracasz! A co porabia faworyta?

– Śpi! – odparła Katarzyna, zaniepokojona tymi nieoczekiwanymi pytaniami. – Pozwól mi przejść!

– Muszę najpierw sprawdzić, czy nie wynosisz czegoś – odparł opierając lancę o mur. – Faworyta dostała wiele cennych prezentów i Murzyn ją obmacywał z taką gorliwością, że Katarzyna zaczęła wątpić w całkowity brak męskości tego eunucha. Słyszała, że niektóre z tych odpychających istot nie są całkowicie wykastrowane, co może tłumaczyć ich dziwne apetyty. Ten musiał być jednym z nich, więc kiedy zabrał się do odpinania jej paska, stanowczo zaprotestowała: – Zostaw mnie w spokoju! Bo zacznę krzyczeć!

– Nikt cię nie usłyszy. Mój towarzysz jest głuchoniemy, a na dodatek nienawidzi kobiet!

– Zawołam faworytę! – rzuciła odważnie. – Jest moją przyjaciółką i jeśli przyjdzie, to biada ci! Kaze kalifowi ściąć ci głowę, a on z pewnością nie odmówi jej tak skromnego prezentu!

Katarzyna z zadowoleniem zauważyła, że Murzyn poszarzał ze strachu. Eunuch cofnął ręce i chwyciwszy swą lancę, wzruszył ramionami.

– To już nie można nawet trochę pożartować... Zmykaj więc, ale szybko! Jeszcze się spotkamy!

Katarzyna nie kazała sobie tego powtarzać dwa razy i zamotawszy szczelniej swój woal zniknęła w ciemnościach zalegających na patio. Bez wahania przeszła przez ogród i znalazła się w samym sercu haremu, w sali Dwóch Sióstr, nazywanej tak z powodu dwóch olbrzymich bliźniaczych płyt zdobiących ją na samym środku. Tu zaczynało się niebezpieczeństwo, gdyż w tej świetlanej sali, ozdobionej stalaktytami jak jakaś nadmorska grotka, pod jej przezroczystymi kopułami podobnymi do plastra miodu przebywało kilka kobiet. Leżąc na kanapach, poduszkach i dywanach rozmawiały, jadły słodczyce lub drzemały. Inne spały tutaj, nie mając własnego pokoju.

Na szczęście, żadna z nich nie zwróciła na Katarzynę uwagi. Kobiety zazwyczaj nie interesowały się tym, co robią inne, chyba że którąś z nich wezwano do kalifa. Były podobne jedna do drugiej, a ich życie upływało w gnuśności i nudzie.

Katarzyna przeszła przez salę, powtarzając sobie wskazówki Marii, żeby się nie zgubić i żeby wyglądać na taką, która zna doskonale rozkład pomieszczeń. Za rzędem kolumnienek znajdowała się perła Alhambry i haremu zarazem: dwanaście lwów z białego marmuru otaczających fontannę. Z ich pysków tryskały strumienie wody, spływając do wykutych w czerwonej ziemi kanałów, wyłożonych zielonymi i złotymi kafelkami. Olbrzymie drzewa pomarańczowe napełniały zapachem patio, gdzie ciszę przerywał jedynie szmer wody w fontannach i łagodny odgłos przelewającej się w marmurowym basenie wody. Katarzyna wyobraziła sobie siebie i Arnolda w tym bajkowym miejscu... Jakże musiało być cudownie kochać tutaj, słuchać szmeru wody i zasnąć pod tym niebem usianym gwiazdami, rzucającymi łagodny blask na wielobarwne dachówki pokrywające pawilony galerii... Szybko jednak otrząsnęła się z marzeń i przeszła bez szmeru przez patio, którego w ciszy strzegły lwy, stojąc na wyprostowanych nogach. Pokój Marii znajdował się tuż obok, a dalej ciągnął

się ciemny korytarz, na końcu którego Katarzyna znalazła wreszcie małe drzwi wiodące do ogrodów. Miejsce to było tak ciemne, że z trudem namacała zamek. Wyciągnawszy zza paska ukryty tam sztylet, włożyła go do zamka, który po kilku próbach puścił. Cedrowe drzwi otworzyły się bezszelestnie; Katarzyna prześlizgnęła się na zewnątrz i poczuła pod stopami piasek. Jej oczy przyzwyczyały się już do ciemności, bez trudu więc dostrzegła w głębi ogrodu rząd cyprysów i mur broniący dostępu do apartamentów Zobeidy. Wkrótce pokonała i tę przeszkodę. Przed jej oczami za szerokim lustrem wody pojawiły się zgrabne, oświetlone podcienia, pod którymi kręcili się niewolnicy, i kwadratowa wieża Dam, stanowiąca część apartamentów Zobeidy. Po prawej stronie, w otoczeniu cyprysów i drzewek cytrynowych, Katarzyna z biciem serca zauważyła pawilon, który, zgodnie z opisem Marii, musiał być pałacem Księcia. Jego smukłe kolumny i elegancka wartownia odbijały się w tafli wody. Tam również paliły się światła i Katarzyna spostrzegła groźne sylwetki eunuchów w żółtych turbanach i szerokich, haftowanych spodniach. Uzbrojeni w błyszczące bułaty, wolnym krokiem chodzili tam i z powrotem przed wejściem do apartamentów.

Katarzyna przez chwilę obserwowała pawilon, starając się dostrzec znajomą sylwetkę. Nie miała jednak pewności, czy jest w środku i czy jest sam... Jak dostać się do tak dobrze strzeżonego budynku?...

Nie znajdując odpowiedzi na te pytania, chyłkiem przemknęła się do rzędu cyprysów i wtedy, ku jej radości, na progu pawilonu ukazał się Arnold. Był sam.

Wolnym krokiem zbliżył się do tafli wody i usiadł na marmurowym brzegu basenu. Tym razem nie był pijany, lecz jego twarz wyrażała samotność i nudę. Nadarzała się jedyna okazja, żeby się do niego zbliżyć. Nie zastanawiając się dłużej, Katarzyna zwała pantofle pod drzewami i rzuciła się w stronę męża...

W chwili kiedy ukazała się blisko basenu w miejscu oświetlonym przez lampki oliwne, czyjeś mocne ręce chwyciły ją za ramiona. Chcąc wyrwać się z trzymających ją szponów krzyknęła, na co Arnold odwrócił głowę. Trzymało ją dwóch potężnych Sudańczyków, chociaż wystarczyłby jeden. Pomimo dławiącego ją strachu widziała tylko jedno: swego męża. Był tuż obok niej! Na wyciągnięcie ręki! Chciała krzyknąć jego imię, lecz głos uwiązł jej w gardle. Tymczasem, ku zgrozie Katarzyny, obok Arnolda pojawiła się księżniczka Zobeida.

Na jej widok Sudańczycy trzymający Katarzynę stanęli na baczność, nie wypuszczając jednak swego więźnia z rąk.

– Co tu się wyprawia? Co to za hałasy? – spytała księżniczka.

– Złapaliśmy kobietę ukrywającą się w ogrodzie, pani! Przeszła przez mur. Szliśmy za nią aż tutaj.

– Dajcie ją tu bliżej!

Katarzyna została zawleczona przed oblicze Zobeidy, rzucona na kolana i przytrzymana siłą w tej pozycji. Arnold widząc to skrzywił się z obrzydzeniem i odszedł na bok. Serce Katarzyny waliło jak oszalałe. Och, gdyby tak można było wykrzyczeć jego imię, schronić się w jego ramionach! Niebezpieczeństwo było jednak zbyt duże, zarówno dla niej, jak i dla niego.

– To z pewnością jakaś ciekawska albo żebraczka z miasta...

– powiedział obojętnie Arnold. – Pozwól jej odejść!
– Nikt nie ma prawa wchodzić do mnie! – odparła surowo Zobeida.
– Ta kobieta musi zapłacić za swoje przewinienie!
– To nie jest zwykła ciekawska! – przerwał jeden z Sudańczyków.
– Oto, co znaleźliśmy przy niej! – dodał triumfalnie, wyciągając sztylet z krogulcem odebrany jej w czasie szamotaniny.

Srebrno-złoty krogulec zaśnił w czarnej dłoni Sudańczyka. Zobeida nachyliła się, żeby lepiej przyjrzeć się przedmiotowi, lecz Arnold był szybszy. Na widok sztyletu rzucił się na Sudańczyka, wyrwał mu broń i przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy. Następnie jego wzrok spoczął na klęczącej kobiecie.

– Skąd wzięłaś ten sztylet? – spytał gardłowym głosem. Katarzyna nie mogła wydusić z siebie ani słowa, gdyż dławilo ją wzruszenie, tylko błagalnie patrzyła na męża swymi fiołkowymi oczami, zapominając o Zobeidzie, której postawa nie wróżyła niczego dobrego.

– Znasz tę broń? – spytała księżniczka.

Arnold jednak nie odpowiadał, lecz przyglądał się uparcie sylwetce klęczącej na piasku i dziwnie znajomym oczom. Nagle zbladł i zanim ktokolwiek mógł mu przeszkodzić, rzucił się w stronę nieznajomej i zerwał z jej głowy niebieską zasłonę... Na widok odkrytej twarzy stanął jak wryty.

– Katarzyno! Ty tutaj? – krzyknął.

– Tak, to ja, Arnoldzie... – szepnęła.

I w tej chwili nastąpił cudowny moment; oboje, zapominając o bożym świecie, oddali się nieogarnionej radości ze spotkania. Nie liczyło się nic – ani otaczający ich Maurowie, ani księżniczka obserwująca ich z narastającą wściekłością, ani niebezpieczeństwo, które zawisło nad ich głowami. Wszystko zniknęło, wszystko się zatarło. Liczyły się tylko ich złączone spojrzenia i dwa serca bijące tym samym rytmem. Wreszcie Arnold włożywszy sztylet za pas, podał żonie dłoń, by pomóc jej wstać.

– Katarzyno... moje serce... – szeptał z niewysłowioną czułością, jak to tylko on potrafił.

Niestety, chwila błęgiego zapomnienia szybko minęła, gdyż Zobeida rzuciła się pomiędzy małżonków jak pantera, chcąc ich rozdzielić.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytała po francusku, co zdziwiło Katarzynę. – To niewolnica! Nazywa się Jutrzenka i jest ostatnią konkubiną mego brata i jego faworytą!

Z twarzy Arnolda zniknęła poprzednia łagodność, a w jego czarnych oczach błysnął gniew.

– Ta kobieta nazywa się Katarzyna de Montsalvy! – ryknął jak lew. – I jest moją... siostrą!

Chwila wahania była prawie niedostrzegalna, trwała tyle, co jedno uderzenie serca. Przyznać się, że Katarzyna jest jego żoną, oznaczałoby skazać się na najokrutniejszą ze śmierci. Arnold znał zbyt dobrze bezgraniczną zazdrość księżniczki.

Zwężone źrenice Zobeidy przenosiły się badawczo z jednego na drugie, nie próbując nawet ukryć zdziwienia ani nieufności.

– Twoja siostra? Wcale nie jest do ciebie podobna! Arnold wzruszył

ramionami.

– Kalif Muhammad ma jasne włosy i niebieskie oczy, a przecież jest twoim bratem – odparł spokojnie.

– Mieliliśmy dwie różne matki! – wyjaśniła księżniczka.

– My również! Nasz ojciec ożenił się powtórnie. Czy chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Arnold przemawiał wyniosłym, opryskliwym tonem, wykorzystując przewagę, jaką mu dawała nad niebezpieczną kochanką jej prawie poddańcza miłość do niego. Jednak obecność tej obcej kobiety przy jej kochanku doprowadzała ją do wściekłości.

– Chciałabym się dowiedzieć jeszcze paru rzeczy – odparła zimnym tonem. – Na przykład, czy jest w zwyczaju w kraju Franków, że szlachetnie urodzone damy zaludniają targi niewolników? I co spowodowało, że twoja siostra dotarła aż tutaj?

Tym razem odpowiedzi podjęła się Katarzyna, mając nadzieję, że Arnold nie uczynił wcześniej zbyt wielu zwierzeń.

– Mój brat wyruszył z domu, by prosić o uzdrowienie u grobu wielkiego świętego. Ale może ty nie wiesz, pani, co to jest święty?

– Pilnuj swego języka, kobieto, jeśli chcesz, bym wysłuchała cię do końca! – odparła Zobeida. – Wszyscy Maurowie znają Syna Pioruna* [*Syn Pioruna – nazwa nadana Jakubowi z Composteli przez Maurów.], który ich poraził.

– Tak więc – ciągnęła Katarzyna, nie dając zbić się z tropu – mój brat opuścił dom w Montsalvy i przez wiele długich miesięcy nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości. Mijały wiosny i zimy, a on ciągle nie wracał. Wtedy ja postanowiłam udać się do grobowca świętego, którego ty nazywasz Synem Pioruna, mając nadzieję, że po drodze natrafię na ślad brata. Wtedy spotkałam sługę, który uciekł, kiedy ty pojmałaś Arnolda, i on opowiedział mi, co się stało. Przybyłam tu, by odnaleźć tego, o którym myśleliśmy już, że nie żyje...

– Myślałam, że zostałaś pojmana przez korsarzy i sprzedana w Almerii.

– To prawda, zostałam sprzedana – skłamała Katarzyna bez zmrużenia oka, nie chcąc narażać małego medyka – lecz nie przez piratów, tylko u granic tego królestwa.

– Co za wzruszająca historia – burknęła złośliwie Zobeida: – Czula siostra rzuca się na szlak przygód w poszukiwaniu ukochanego brata, a chcąc do niego dotrzeć, poświęca się do tego stopnia, że zostaje nałożnicą kalifa Grenady! I na dodatek zostaje faworytą, ukochaną władcy, najcenniejszą perłą haremu...

– Zamilcz! – przerwał Arnold blednąc jak chusta.

W tej bowiem chwili zrozumiał okrutny sens jej słów i miejsce niedawnej radości na jego twarzy zajął gniew.

– Czy to prawda? – spytał tak twardo, że Katarzyna aż zadrżała. Zbyt dobrze знаła nieprzejednaną zazdrość małżonka, by nie zadrzeć na widok jego zaciśniętych zębów i oczu ciskających pioruny. Jednak szydery uśmiech Zobeidy przywrócił jej zimną krew. Jak śmie mówić do niej tym tonem, kiedy ta kobieta od miesięcy jest jego kochanką?

– Prawda! – odparła spokojnie. – Musiałam dostać się do ciebie! W takich przypadkach wszystkie sposoby są dopuszczalne!

– Tak uważasz? Chyba zapomniałaś...

– Wydaje mi się, że to ty zapomniałeś! Czy możesz mi powiedzieć, co ty tutaj robisz?

– Zostałem pojmany! Powinnaś to wiedzieć, jeśli spotkałaś Fortunata...

– Każdy więzień stara się odzyskać utraconą wolność! A co ty uczyniłeś w tym celu?

– To nie miejsce ani czas, by o tym mówić.

– To są zwykłe wykręty, a ja...

– Dosyć tego! – przerwała Zobeida ze zniecierpliwieniem. – Wasze sprawy rodzinne nie obchodzą mnie! Sądźcie, że gdzie jesteście?

Słowa Zobeidy rozzłościły Arnolda, który swój gniew skierował przeciw księżniczce.

– A kimże ty jesteś, żeby mieszać się w nasze sprawy? Wedle twojego, jak i naszego obyczaju mężczyzna posiada całkowitą władzę nad kobietą należącą do jego rodu. To moja krew i dlatego mam prawo domagać się od niej wytłumaczenia swego postępowania. Jej honor jest moim honorem i jeżeli go zbezczeszczyła, to...

Gest, który towarzyszył tym słowom, był tak groźny, a twarz wyrażała tak gwałtowne uczucia, że Katarzyna cofnęła się odruchowo. Zasmuciła się w obliczu ogromu egoizmu zranionego samca. Jak mógł nie rozumieć, ile musiała znieść cierpień, niepokojów, łez i trudów, żeby tu dotrzeć? Nie, nic się dla niego nie liczyło oprócz tego, że oddała się kalifowi!

Groźba wyczuwalna w postawie Arnolda zafrapowała nawet Zobeidę. Ten gniew nie mógł być udawany i jeśli jeszcze przed chwilą odczuwała wiele wątpliwości na widok jego zbyt pięknej siostry, która prawie spadła z nieba, to teraz księżniczka zaczęła liczyć na to, że gniew Arnolda pozwoli się jej pozbyć. Niechaj ją zabije w porywie śmiertelnego szału i wszystko dobrze się skończy! Kalif będzie musiał zrozumieć urażony honor brata. Zobeida odwróciła się w stronę kochanka, a jej czerwone usta przyoblekły się w uśmiech.

– Masz rację, panie! Honor twojej rodziny jest wyłącznie twoją sprawą. Możesz zrobić z siostrą, co ci się podoba, a jeśli ją ukarzesz, nie bój się gniewu kalifa. Na pewno zrozumie ten rodzaj zemsty... ja zaś wstawię się u niego za tobą!

Dała znak Sudańczykom, by odeszli precz, a sama również zabrała się do wyjścia, kiedy w ogrodzie pojawiła się Morayma, biegnąc w kierunku zgromadzonych ile tchu w piersi. Na widok księżniczki stara Żydówka padła na ziemię, rzuciwszy na Katarzynę oburzone spojrzenie.

– Czego chcesz, Moraymo? – spytała księżniczka. – Możesz wstać! Ledwo Morayma wstała, natychmiast skierowała oskarżycielski palec w stronę Katarzyny i rzekła:

– Ta kobieta uciekła ze swego apartamentu, związawszy uprzednio jedną z towarzyszek i zabrawszy jej odzienie! A teraz, cóż widzą moje oczy, ośmieliła się przedostać do ciebie, o Piękności! Oddaj mi ją, a dostanie karę, na jaką zasłużyła: biczowanie!

Twarz księżniczki pojaśniała w złym uśmiechu.

– Chyba oszalałaś, Moraymo! Biczowanie! Żeby kalif, który niebawem ma wrócić, odczytał na jej ciele krwawe ślady? Na ciele, do którego płonie pożądaniem! Nic z tego! Zostaw ją mnie! Od tej chwili nie opuści mych

pawilonów, chyba że obudzą się zmysły kalifa. Widzisz, to szlachetna dama z kraju Franków, siostra mojego ukochanego. Od tej pory będzie mi bardzo droga i cenna. Moje własne służące będą się nią zajmować, kąpać ją, perfumować i balsamować jej ciało, kiedy wezwie ją kalif, aby jej ciało było doskonałym poematem, którym będzie upajał się mój brat wśród róż swego ogrodu...

Zobeida potrafiła dolewać oliwy do ognia jak nikt. Każde jej słowo było tak wyważone, by podsycić gniew Arnolda... liczyła bowiem na to, że popchnie go do zbrodni. Arnold istotnie był napięty do granic wytrzymałości i drżał zaciskając pięści. Zobeida obdarowała go czarującym uśmiechem.

– Zostawiam ci ją. Zrobisz, co ci nakazuje obowiązek, lecz nie pozwól, bym długo na ciebie czekała! Każda minuta bez ciebie to cała wieczność. – Zmieniając nagle ton, dodała: – Co do ciebie, Moraymo, zostaw ich także, lecz nie odchodź. Jak tylko mój rycerz skończy z nią, dopilnujesz, by ją ulokować... zgodnie z jej potrzebami i jej urodzeniem!

Katarzyna przygryzła wargi z wściekłości. Na co liczyła ta krwiożercza pantera? Na to, że Arnold ją zabije? Z pewnością mieszkanie, które miała na myśli, było głębokim grobowcem. Co do intencji księżniczki nie miała najmniejszych złudzeń. I kiedy Mauretanka kocim krokiem odeszła do swych apartamentów, Katarzyna rzuciła na odchodnym:

– Nie ciesz się zbyt wcześnie, Zobeido! Jeszcze nie jestem martwa! Nie leży bowiem w naszych zwyczajach, by brat zabijał siostrę czy męża żonę!

– Wszystko jest w rękach Allacha! Jakie ma znaczenie, czy będziesz żyła, czy umrzesz. Jednak ja na twoim miejscu wybrałabym śmierć, gdyż żywa nie unikniesz swego losu, losu niewolnicy pośród setki innych, cenionej i obdarowywanej tak długo, dopóki będziesz się podobać, lecz opuszczonej i biednej, kiedy twój czas minie!

– Koniec tych dysput, Zobeido! – przerwał Arnold gwałtownie. – Sam dobrze wiem, co mam robić! Odejdź już!

Księżniczka roześmiała się i zniknęła w ciemnościach. Arnold i Katarzyna zostali sami. Twarzą w twarz...

Przez jakiś czas stali nieruchomo, wsłuchując się w odgłosy wrogiego pałacu i Katarzyna pomyślała z goryczą, że nie tak wyobrażała sobie spotkanie z ukochanym. Teraz, kiedy dosięgły ich zatrute strzały Zobeidy, zamiast paść sobie w ramiona, będą rozszarpywać swoje rany z zaciekłością śmiertelnych wrogów... Czy po to szukali się tak długo, kochali wbrew ludziom, wojnom i księciom oraz tylu burzom mogącym pokonać nawet najsilniejszego.

Katarzyna nie śmiała nawet podnieść wzroku na męża, który skrzyżowawszy ramiona na piersi, odwrócił głowę, wstydząc się łez, które napłynęły mu do oczu. Czekwała, żeby przemówił pierwszy, lecz kiedy to nie nastąpiło, zaatakowała.

Uniósłszy dumnie głowę, wskazała ręką sztylet, który Arnold zatknął u pasa i rzuciła wyzwanie:

– Na co czekasz? Czy nie nazbyt jasno dano ci do zrozumienia, co masz zrobić? Wyciągnij sztylet i zabij mnie! Jestem winna: to prawda, że oddałam się Muhammadowi... lecz zrobiłam to tylko dlatego, żeby dostać się do ciebie. Nie mogłam postąpić inaczej!

– A pan de Brézé? Czy z nim też nie mogłaś postąpić inaczej? Katarzyna

zaczepnęła powietrza. Jeśli Arnold sięga tak daleko, walka może być krwawa!

– Brézé nigdy, wbrew temu, co mogłeś sądzić, nigdy nie był moim kochankiem. Chciał się ze mną ożenić. Przez jakiś czas wahałam się, czy się nie zgodzić. Było to po upadku La Trémoille'a i nie mogłam już dłużej tego znieść. Marzyłam o spokoju, o łagodności i opiece. Ty nie wiesz, jak wyglądała wiosna zeszłego roku, ani ile kosztowało mnie nasze zwycięstwo. Gdyby nie pan de Brézé, pozostałaby ze mnie tylko krwawa plama za sprawą katów pani de La Trémoille...

Przerwała na chwilę, gdyż wspomnienie tych strasznych chwil nie pozwalało jej mówić. Kiedy emocja minęła, westchnęła i ciągnęła dalej:

– Brézé ocalił mnie, następnie dopomógł w dokonaniu zemsty, walczył w twojej sprawie, a myśląc, żeś poległ, nie sądził, że źle czyni, proponując mi małżeństwo, gdyż jest dobry i lojalny...

– Ależ ty go bronisz! – przerwał z goryczą Arnold. – Zastanawiam się, dlaczego nie poddałaś się jego urokowi...

– Po pierwsze dlatego, że mi w tym przeszkadzono! – odpaliła Katarzyna, w której narastał gniew, po czym przyznając się uczciwie do swych błędów, dodała: – Gdyby nie kadet Bernard, pewnie bym się zgodziła, lecz przysięgam przed Bogiem, że kiedy Brézé przyjechał po królewski pergamin do Montsalvy, nie wiedział, jak brzmi moja odpowiedź. A brzmiała ona: nie!

– Co za wzruszająca historia! A co zrobiłaś po zerwaniu? – spytał Arnold.

Katarzyna zacisnęła zęby, żeby nie wybuchnąć. Inkwizytorski i agresywny ton Arnolda był nie do zniesienia. Zbyt dobrze grał rolę brata o urażonym honorze, domagając się wyjaśnień, bez najmniejszego czułego gestu, tak jakby zapomniał o latach ich miłości. Nawet list zostawiony w Montsalvy nie wyrażał tyle goryczy i zaciętości... Przeciwnie, był przepelniony miłością... być może dlatego, że w obliczu nadchodzącej śmierci, której się spodziewał lada dzień, znalazł w sobie słowa zrozumienia i przebaczenia. Odzyskując zdrowie, odzyskał swój nieprzejednany, straszny charakter, przez który już tyle wycierpiała...

Uśmiechnęła się z trudem i wyciągnawszy do niego ręce, powiedziała:

– Chodź ze mną. Nie stójmy tu, gdzie każdy może nas usłyszeć... Chodźmy na koniec basenu, do kamiennego lwa, który zdaje się wyrażać całą mądrość świata...

– Czy tak potrzebujesz mądrości? – spytał Arnold, uśmiechając się nieznacznie.

Słyszając brzmienie jego głosu, Katarzyna pomyślała z nadzieją, że złość mu przechodzi. Zresztą dał się poprowadzić bez sprzeciwu w kierunku kamiennego lwa. Katarzyna usiadła na brzegu basenu, opierając się plecami o kamienny posąg. Naprzeciwko nich błyszczwały różowo podcienie i wieża, nierealne jak złudzenie i lekkie jak sen. W pałacu zalegała całkowita cisza, nie licząc nocnych ptaków w ogrodzie i szmeru wody w fontannach. Woda drżała, poruszana lekką bryzą i magiczne piękno pałacu ponownie zawładnęło Katarzyną, jak przedtem na dziedzińcu z lwami.

– To miejsce jest stworzone dla szczęścia i miłości... dlaczego więc my musimy ranić siebie nawzajem? Nie po to przebyłam tyle mil, by uczynić ci krzywdę ani byś ty mi ją uczynił...

Arnold nie pozwalał się rozczulić. Postawiwszy stopę na brzegu basenu, skierował wzrok w pustkę i rzekł:

– Nie próbuj, Katarzyno, skierować mego umysłu na ukwiecone ścieżki poezji! Oczekuję, że dokładnie mi opowiesz, co się z tobą działo, od kiedy opuściłaś Carlat!

– To bardzo długa historia. Myślałam, że opowiem ci ją później, w spokoju, czy zapominasz, że tutaj grozi nam niebezpieczeństwo?

– Tobie z pewnością nie! – odparł szyderczo. – Czyż nie jesteś ukochaną faworytą kalifa? Nikt nie ośmieliłby się ciebie tknąć!

– Ty zawsze wiesz, co powiedzieć, żeby mnie zranić – odpowiedziała ze smutkiem. – Posłuchaj więc, ponieważ tak bardzo tego chcesz, ponieważ nie jesteś takim człowiekiem jak dawniej, ponieważ twoje zaufanie umarło...

W tej chwili Arnold chwycił ją tak mocno za ramię, że nieomal krzyknęła z bólu.

– Bez wykrętów, Katarzyno! Spróbuj zrozumieć, że ja muszę wiedzieć! Muszę wiedzieć, dlaczego moja żona, najukochańsza na świecie istota, pocieszywszy się w ramionach mego towarzysza broni, sprzedała swe ciało niewiernemu!

– A ty sam co zrobiłeś? – krzyknęła Katarzyna, nie panując nad gniewem. – Jak nazwiesz to, co robiłeś w łóżku Zobeidy przez długie miesiące?... Co zresztą mogłam widzieć na własne oczy, rozumiesz, na własne oczy, stojąc pod waszym oknem pewnej nocy!

– A co takiego widziałaś? – spytał wyniośle.

– Widziałam ciebie i ją, jak spleceni stoczyliście się na podłogę! Widziałam, jak ją oćwiczyłeś batem i jak potem zaspokoiliście swoje pożądanie... słyszałam wasze jęki, liczyłam pieszczoty! Dwa zwierzęta w rui! To było obrzydliwe! Byłeś co prawda pijany, lecz i tak myślałam, że umrę!

– Zamilknij! Nie mogłem przecież wiedzieć, że tam jesteś! – rzucił Arnold z istic męską logiką. – A czy robiłaś coś innego w ramionach kalifa? W dodatku wiedziałaś, że jestem blisko ciebie...

– Blisko mnie! W łóżku Zobeidy! Czy myślałeś wtedy o mnie?

– Musiałem ostudzić jakoś swoją gorączkę, która mnie ogarniała za każdym razem, gdy wyobrażałem sobie ciebie w ramionach de Brézego, całującą go, rozmawiającą z nim, żyjącą obok niego, oddającą mu swe usta i... ciało! Ciało kobiety jest jak puchar wina: może dostarczyć chwili zapomnienia...

– Te chwile trwają u ciebie bardzo długo! Były inne sposoby, bardziej godne twego nazwiska, by zapomnieć! – rzuciła Katarzyna, zapominając o resztkach ostrożności. – Nie mogłeś spróbować ucieczki? Powrócić do Montsalvy, do rodziny?

– Żebyś została uznana za bigamistkę i spalona na stosie? Zazdrość mnie by mnie dręczyła, gdybym nie kochał cię... tak bardzo... lecz nie chciałem dopuścić, byś spłonęła na stosie.

– A zwłaszcza – przerwała Katarzyna, udając, że nie słyszy wyznania miłości – wolałeś oddawać się słodkiemu zapomnieniu w ramionach księżniczki, wolałeś zapomnieć, że jesteś rycerzem i chrześcijaninem, spędzając swój czas na polowaniach, picciu wina i kochaniu... To nie o tym pisałeś mi w swoim liście. W rzeczywistości gdybym nie spotkała Fortunata, mogłabym cię

szukać w samej Ziemi Świętej, bo zdrowy czy chory, zawsze chciałeś znaleźć śmierć w służbie Boga, na przekór królowi.

– Chyba nie robisz mi wyrzutów, że jeszcze żyję? To byłby szczyt wszystkiego!

– Dlaczego nie starałeś się uciec?

– Próbowałem tysiące razy... lecz z Alhambry nie ma ucieczki! Ten pałac ukryty wśród róż i drzew pomarańczowych jest lepiej strzeżony niż najsrozsza forteca królewska. Kwiaty mają tu oczy i uszy. W każdym kwiatku schowane jest oko lub ucho, każdy krzak jest szpiegiem. A jeśli spotkałaś Fortunata, to musiał ci powiedzieć, jaką zleciłem mu misję?

– W istocie: powiedział mi, że wysłałeś go do swej matki, by zawiadomić ją o szczęśliwym uzdrowieniu!

– ...i o uwięzieniu w Grenadzie. Kazałem mu dyskretnie, sądząc, że ponownie wyszłaś za mąż, powiedzieć jej prawdę, prosić ją, by udała się do konetabla de Richemonta, opowiedziała mu, co mi się przytrafiło, prosząc go, by nikomu o tym nie mówił, lecz by wysłał delegację z okupem za mnie do sułtana Grenady. Następnie pod przybranym nazwiskiem zamierzałem udać się do Ziemi Świętej lub do włości papieskich, aby wszelki słuch po mnie zaginął. Przynajmniej prowadziłbym żywot godny swego nazwiska.

– Fortunat o niczym takim nie mówił. Jedyne, co potrafił, to wyrazić mi swoją nienawiść i radość, że jesteś szczęśliwy w ramionach niewiernej księżniczki, w której jakobyś był po uszy zadurzony.

– A to kawał bałwana! I pomimo to nie przestałaś mnie szukać?

– Należysz do mnie tak jak ja do ciebie. Dla ciebie zrezygnowałam ze wszystkiego, nie miałam więc zamiaru zrezygnować z ciebie dla innej!

– Dzięki czemu w ramionach kalifa odczuwałaś miłe uczucie zemsty, nieprawdaż? – rzucił uparty Arnold.

– Być może! – przyznała Katarzyna. – Istotnie, moje skrupuły zmały, gdyż wierz mi, że między schroniskiem dla pielgrzymów w Roncevaux, gdzie spotkałam Fortunata, a tym przeklętym miastem droga jest daleka. Miałam sporo czasu na myślenie, na wyobrażanie sobie tego, co mój pech pozwolił mi ujrzeć na własne oczy.

– Nie wracaj ciągle do tego samego! Przypominam ci, że nadal czekam na twą opowieść.

– A po co? I tak nic nie chcesz zrozumieć. Muszę za wszelką cenę okazać się winna, żeby uspokoić twoje wyrzuty sumienia, czy tak? A to wszystko dlatego, że już mnie nie kochasz... gdyż zależy ci na tej kobiecie do tego stopnia, że zapomniałeś o własnej żonie... i o tym, że mamy syna!

– Nie zapomniałem o niczym! – krzyknął Arnold. – Jak mógłbym zapomnieć o swoim dziecku? Jest ciałem z mego ciała, tak jak ja jestem ciałem mej matki.

Katarzyna wstała i małżonkowie stanęli twarzą w twarz jak dwa nastroszone koguty, z których każdy szukał słabej strony przeciwnika, by celniej zaatakować, lecz myśl o małym Michale rozbroiła Arnolda, tak jak wspomnienie Izabeli de Montsalvy stopiło gniew Katarzyny. Miała żal do męża, lecz kochała go zbyt mocno, by znieść bez cierpienia to, co miała mu teraz powiedzieć. Spuściwszy głowę, wyszeptwała:

– Nie ma jej już wśród nas... Zgasła cichutko następnego dnia po dniu Świętego Michała. Zdążyła przeżyć dzień, w którym wasale ogłosili naszego małego Michała panem de Montsalvy... Kochała cię i modliła się za ciebie do ostatniej chwili...

Po tych słowach nastąpiła ciężka, przynębiająca cisza. Słysząc było tylko szybki, urywany oddech Arnolda. Nie mówił nic, więc Katarzyna podniosła głowę. Jego piękna twarz wydawała się zmieniona w kamień, a w jego oczach nie było widać ani bólu, ani zaskoczenia, jedynie wzdłuż matowych policzków spływały ciężkie łzy. Katarzyna, przejęta do żywego, wyciągnęła dłoń i położyła ją nieśmiało na ramieniu Arnolda.

– Arnoldzie... – wyszeptała. – Gdybyś wiedział...

– A kto zajmuje się Michałem, podczas gdy ty wędrujesz po świecie? – spytał głuchym głosem.

– Sara i przeor Montsalvy, Bernard de Calmont d'Olt... Jest też Saturnin i Donatka... i wszyscy poddani z Montsalvy, którzy powoli odzyskują radość życia i bycia twoimi wasalami. Ziemia odżywa... a mnisi z opactwa budują nowy zamek w pobliżu bramy południowej, żeby bronił miasteczka, jeśli powróci niebezpieczeństwo.

W miarę jak Katarzyna opowiadała, sprzed oczu małżonków zniknęły zarysy bajecznego, lecz obcego pałacu z jego olśniewającą roślinnością, a pojawiła się stara Owernia z jej wyżynami smaganymi przez wiatr, z jej rwącymi i dzikimi rzekami, głębokimi, ciemnymi borami, z jej mgłami zalegającymi na stokach wygasłych wulkanów, z jej nieurodzajną ziemią, w której dojrzewało złoto, srebro i błyszczące kamienie, z jej purpurowymi zachodami słońca i świeżymi porankami...

Pod dotykiem dłoni Katarzyny ramię Arnolda zdrżało. Dłonie zaczęły szukać się niecierpliwie po omacku i złączyły się. Dotyk mocnej, ciepłej dłoni Arnolda przyprowadził Katarzynę o drżenie radości, które przebiegło ją aż do samego serca.

– Nie chcesz więcej zobaczyć tego wszystkiego? Nie ma na świecie takiego więzienia, z którego nie można by uciec – wyszeptała. – Wracajmy do domu Arnoldzie, błagam cię!

Niestety, nie było już czasu na odpowiedź. Nagle sen zniknął, rozlatując się na tysiące kawałków. Brzegiem basenu nadchodziła Zobeida w towarzystwie Moraymy, poprzedzana armią eunuchów z zapalonymi pochodniami w dłoniach. Zdawało się, że woda się zapaliła, noc zniknęła, a złączone dłonie musiały się rozdzielić.

Zobeida spojrzała na Katarzynę, a potem jej pytający wzrok padł na Arnolda. Spojrzeniu temu towarzyszyło zmarszczenie brwi, co mogło oznaczać, że Mauretanka jest zdziwiona, widząc ją jeszcze przy życiu, lecz po chwili powiedziała:

– A więc przebaczyłeś swej siostrze, mój panie? Z pewnością masz swoje powody. Zresztą... – dodała z wyrachowaniem – cieszy mnie to, gdyż mój brat będzie ci za to wdzięczny. Zapowiedział swój powrót do Alhambry na jutro! Nikt nie wątpi, że śpieszno mu do ukochanej...

W miarę jak Zobeida mówiła, Katarzyna czuła, ku swej rozpacz, jak rozpada się wszystko, co z takim trudem udało się jej zdobyć na powrót. Ręka

Arnolda już nie trzymała jej dłoni, a w jego oczach na powrót pojawił się gniew. Rzeczywistość i jej straszni, niemożliwi do usunięcia bohaterowie, kalif i jego siostra, upominali się znowu o swoje prawa. Mimo to Katarzyna próbowała jeszcze walczyć.

– Arnoldzie... – szepnęła błagalnie – mam ci jeszcze tyle do opowiedzenia.

– Powiesz mu to później! – syknęła księżniczka. – Moraymo, zabierz ją do jej domu i dopilnuj, by była gotowa, kiedy mój wielki brat powróci do pałacu!

– Dokąd ją zabierasz? Chcę wiedzieć! – rzucił spokojnie Arnold.

– Niedaleko. Jej pokój wychodzi na ogród. Zobacz, jaka jestem dla ciebie dobra! Przyjmuję twą siostrę u siebie, żebyś mógł ją odwiedzać! W haremie, do którego nie wolno ci wchodzić, byłoby to niemożliwe. A teraz pozwól jej odejść. Noc mija i nie możemy rozmawiać tu aż do świtu...

Och! Ten mrużący głos, usypiający i przekonywający! Kto, słysząc go, przypuściłby przez chwilę, że należy do istoty perfidnej i przepelnionej nienawiścią? Arnold jednak zdążył przeniknąć prawdziwą naturę Zobeidy.

– Dziwne, że nagle jesteś taka zgodna! To całkiem do ciebie niepodobne!

Księżniczka wzruszyła ramionami i odpowiedziała słodkim głosem:

– Jest twoją siostrą, a ty moim panem! Ot i wszystko! Katarzyna również nie łudziła się co do prawdziwych intencji księżniczki.

Jej nagłe oznaki dobroci z pewnością nie wróżyły nic dobrego, gdyż ani łagodny głos, ani uśmiech nie złagodziły zimnego wyrachowania malującego się w oczach.

Katarzyna odeszła w towarzystwie Moraymy, czując miłe ciepło w sercu, gdyż widziała, że Arnold odprowadza ją wzrokiem.

Okna jej pokoju istotnie wychodziły na ogród. Z wąskiej, lecz wygodnej kanapy, na której położyła ją Morayma, Katarzyna dostrzegła pomiędzy kolumnami błyszczącą tafłę wody w basenie i odbicie księżyca. Morayma nie omieszkała zwrócić jej uwagi na dyskretny urok tego niewielkiego pokoju o ścianach pokrytych kryształowymi płytkami w kolorach łososiowym i migdałowo-zielonym w cedrowych, połączonych ramkach.

– Może i mniej tu przepychu niż w twoim starym apartamencie – powiedziała – lecz za to co za gust! Zobeida nie lubi dużych pomieszczeń. Tutaj niczego ci nie zabraknie i będziesz miała wrażenie, że mieszkasz w ogrodzie!

Stara Żydówka siliła się bardzo, by zachwalić nowe mieszkanie Katarzynie. Czy chciała jej dodać odwagi, czy też sobie? – myślała Katarzyna, lecz widząc jak Morayma drży, doszła do wniosku, że sama jej potrzebowała.

– Czemu się tak trzęsiesz, Moraymo? Ty się chyba czegoś boisz?

– Ja?... Nie boję się – odparła fałszywie. – Jest mi tylko zimno!

– W taką ciepłą noc? Wiatr ustał i nawet jeden listek się nie porusza...

– A jednak mi zimno... Mnie zresztą jest zawsze zimno! – odparła stawiając u wezgowia łóżka dzbanek mleka, co Katarzyna powitała ze zdziwieniem.

– Po co to mleko? – spytała.

– Na wypadek gdyby chciało ci się pić. A zresztą, musisz pić dużo mleka, bo dzięki niemu będziesz miała piękną skórę!

Katarzyna westchnęła ze zmęczenia. W środku nocy zajmować się skórą! Zdawało się, że w tym pałacu najwięcej uwagi poświęcano sekretom urody i zaczynało ją to szczerze nudzić. Jakby nie miała innych zmartwień poza dbałością o swój wygląd.

Morayma tymczasem oddaliła się z wawo na krótkich nóżkach i Katarzyna mogła wreszcie zastanowić się nad własną sytuacją. Nie obawiała się bezpośredniego sąsiedztwa Zobeidy. Księżniczka z pewnością zastanowiłaby się ze sto razy zanim zaatakowałaby tę, którą uważała za siostrę swego ukochanego. Tym, co martwiło ją najbardziej, był Arnold! Na samym początku, kiedy ją rozpoznał, nie wątpiła w jego szczerą radość ze spotkania ani nawet w jego miłość. Zobeida zdmuchnęła jednak tę radość swymi zatrutymi insynuacjami i Arnold, zapomniawszy o szczęściu, słuchał już tylko swojej zazdrości i honoru zdradzonego małżonka. Gdyby jeszcze dowiedział się, co się stało w obozie Cyganów albo w zamku w Koce, odwróciłby się od niej na zawsze. Nigdy nie może się o tym | dowiedzieć...

Zmęczenie wywołane tymi wszystkimi przeżyciami w końcu zamknęło jej oczy, lecz nie był to głęboki, wzmacniający sen. Katarzyna spała źle, nerwowo, rzucała się na łóżku i dręczyły ją okropne koszmary. Podświadomie wyczuwała jakieś grożące jej niebezpieczeństwo.

Nagle dławiące uczucie duszenia się zbudziło ją w jednej chwili i kazało usiąść na łóżku. Była cała spocona, a jej serce biło jak opętane. Światło księżyca znalazło się teraz na posadzce pokoju... ukazując jakiś długi, oślizgły kształt pełznący w stronę jej łóżka! Katarzyna krzyknęła z trwogi.

To nie był przypadek i zrozumiała to w ułamku sekundy. Dzban z mlekiem, ulubionym przysmakiem węży! Strach Moraymy i jej pośpieszne wyjście! To wszystko było sprawką Zobeidy, a ją czekała najstraszliwsza ze śmierci!

Podciągnęła przykrycie do nagich piersi i czując, jak po plecach spływa strużka zimnego potu, patrzyła na zbliżającą się śmierć oczami zognionymi z przerażenia. Nie mogła się ruszyć ani krzyczeć. Patrzyła jak zahipnotyzowana, a wąż zbliżał się coraz bardziej. Nie był zbyt wielki, miał szeroką, płaską, trójkątną głowę. A przecież Arnold był niedaleko, wystarczyłoby go zawołać. Wreszcie z jej piersi wydobył się przeciągły krzyk:

– Arnoldzie! Arnoldzie!

I stał się cud. Katarzyna myślała przez chwilę, że strach pomieszał jej zmysły, kiedy w świetle księżyca zobaczyła jego sylwetkę, wyłaniającą się z ciemnego ogrodu jak dobry duch ze wschodnich bajek. Arnold jednym spojrzeniem objął skuloną w kącie łóżka Katarzynę, drugim kobrę, która podnosiła już głowę. Wyrwawszy sztylet zza pasa runął na gada.

Śmierć węża była natychmiastowa. Ostrze sztyletu wbite u podstawy głowy odcięło ją od ciała, które opadło bezwładnie na posadzkę. Arnold wstał i spojrzął na żonę. W blasku księżyca jej twarz była tragicznie blada. Jej zaciśnięte ręce nie wypuszczały przykrycia, trzęsła się jak w febrze. Żeby ją uspokoić, Arnold wyszeptał:

– Nie bój się! Zabiłem go!

Ona ledwo go jednak słyszała. Ogarnięta aż do wnętrza potwornym strachem, siedziała z wytrzeszczonymi oczami, szczękając zębami. Arnold

zaniepokojony usiadł przy niej na łóżku.

– Katarzyno, proszę cię! Odpowiedz! Nic ci się nie stało? Otworzyła usta, lecz słowa nie chciały przejść przez ściśnięte gardło i drżące usta. Miała ochotę płakać, ale nie mogła. Arnold widząc utkwione w nim wciąż przerażone, fiołkowe oczy, nie namyślając się wziął ją w ramiona.

Zrobiło mu się jej ogromnie żal, gdy tuliła się do jego piersi niczym przerażone dziecko. Przycisnął ją mocniej i pogłaskał po jasnej głowie.

– Biedactwo! Tak się wystraszyłaś! A to nędznica! Wiedziałem, że jest zdolna do wszystkiego, dlatego nie zmrużyłem oka. Ale żeby wymyślić coś tak podłego! Uspokój się, jestem przy tobie... Obronię cię. Uciekniemy razem, wrócimy do domu. Kocham cię...

Słowa te przysły same. Jego zazdrość zniknęła. Przed chwilą niespokojnie krążąc po ogrodzie i wracając uporczywie w pobliże pokoju Katarzyny, zaledwie usłyszał jej wołanie, a kiedy stanął w progu i ujrzał straszego gada pełznącego w stronę łóżka żony, lęk o nią uzmysłowił mu, jak bardzo ją kocha. Trzymając ją teraz drżącą w ramionach zrozumiał, że nikt ani nic nigdy więcej nie stanie między nimi, że mają jedno wspólne serce i dwa ciała. W ramiona Zobeidy pchnął go tylko kaprys, uczucie zbyt nędzne w porównaniu ze szczęściem przyciskania Katarzyny do piersi.

Katarzyna przywarła do niego gorączkowo, szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa przy jego szyi. Arnold przestraszył się, że postradała zmysły.

– Posłuchaj mnie! Popatrz na mnie! Nie poznajesz już mnie? Dała znak, że rozumie, więc stał się mniej niespokojny i ponownie zaczął gładzić jej włosy.

– Moje serce! – szeptał. – Uspokój się. Nie musisz się już bać! Co mogę zrobić, żebyś się uspokoiła?

Czuł się niezręczny wobec tej bezbronnej istoty chroniącej się w jego ramionach... Wtedy nagle Katarzyna wybuchnęła szlochem. Arnold zrozumiał, że jest uratowana, że szaleństwo oddaliło się i zaczął ją kołysać jak niemowlę.

– Płacz! – powiedział łagodnie. – Płacz do woli! To ci dobrze zrobi. Chmury strachu rozproszyły się, jakby przegnał je wiatr. Katarzyna nigdy nie płakała tak jak teraz. Były to łzy miesięcy cierpień, strachu i rozpacz, które odchodziły na zawsze. Płakała ze szczęścia, z radości, z miłości, nadziei, a nawet z wdzięczności, w odnalezionej, najdroższej oazie ramion ukochanej istoty. Przeszłość i przyszłość przestały się liczyć. Liczyło się tylko ciepło ukochanego mężczyzny, które ją ogarniało, i to cudowne poczucie bezpieczeństwa, jakie potrafił jej dać. Wkrótce szloch ustał i Katarzyna uspokoiła się.

Rozdział trzynasty

WYROK

Łzy na twarzy Katarzyny wyschły, a ona nie poruszyła się, smakując szczęście w ramionach Arnolda, wsłuchując się w bicie jego serca i wpatrując się w ogród zalany poświatą księżyca. Czuła jedynie dłoń pieszczącą jej włosy jak dawniej. Cudownie było czuć Arnolda tak blisko, wdychać jego męski zapach po tylu miesiącach męczarni, kiedy wyobrażała sobie, że utraciła go na zawsze.

Poczuła, jak w jej żyły wślizguje się coś na kształt upojenia. Czuła przepełniające ją szczęście, które musiało znaleźć ujście i prostując głowę, przytknęła jeszcze wilgotne usta do szyi Arnolda. Zadrżał, odgadując z niepokojem rodzące się w nim pożądanie. Katarzyna wyczuwała je również i przedłużyła pieszczotę, zbliżając się do jego twarzy i do ust.

Arnold nie pozostał długo obojętny i jego zachłanne usta uwieżyły usta żony w nie kończącym się pocałunku, który wzburzył krew małżonków. Ręce Arnolda pieściły nagie ramiona i plecy, wreszcie odrzuciły dzielącą ich jedwabną kołdrę. Katarzyna nie opierała się, przeciwnie, pomagała mu, płonąć z chęci oddania się ukochanemu... Opadło ostatnie prześcieradło i odepchnięte niecierpliwymi nogami zsunęło się na resztki węża, który miał przynieść jej śmierć. Lecz ona zdążyła już o tym zapomnieć: na nowo wrzało w niej życie, płomień miłości palił aż do wnętrza. Odsunawszy się od Arnolda, ułożyła się na plecach, by mógł ją lepiej widzieć.

– Powiedz, czy nadal jestem ładna? – szepnęła, znając z góry odpowiedź.
– Powiedz, czy nadal mnie kochasz?

– Jesteś coraz piękniejsza... i wiesz o tym! Co do kochania...

– Powiedz! Wiem, że mnie kochasz, czuję to! Czy ja się wstydzę przyznać, że cię uwielbiam? Kocham cię, najdroższy! Kocham cię najbardziej na świecie!

Na nowo zbliżyła się do niego, aby przełamać jego ostatni opór, objęła go miękkimi ramionami, oszalałając go dotykiem swej skóry. Czując, że jest pokonany, wziął ją w ramiona.

– Moje kochanie... moja droga Katarzyno... – szeptał czule, muskając jej usta swoimi ustami.

To, co nastąpiło potem, było nieuniknione. Zbyt długo czekali na siebie, zbyt długo marzyli o tej chwili. Różowy pałac mógł się w tej chwili zawalić, co nie przeszkodziłoby Katarzynie oddać się mężowi. Przez długie minuty kochali się namiętnie, zapominając o niebezpieczeństwie, czyhającym w tych bogatych murach, poszukując tej niezrównanej rozkoszy drzemiącej w ich rozbudzonych ciałach.

I z pewnością kochaliby się jeszcze godzinami, gdyby nagle w pokoju nie zapaliło się światło, a przenikliwy i gniewny głos nie powiedział:

– Cóż widzę? Co za dziwne zachowanie jak na brata i siostrę! A może kazirodztwo leży we frankońskich zwyczajach?

Kochankowie rozdzielili się nagle. Arnold zerwał się na równe nogi, Katarzyna zaś patrzyła z przerażeniem na wykrzywioną ze złości twarz Zobeidy,

stojącej na środku pokoju wraz z dwoma służącymi niosącymi płonące pochodnie. Księżniczka była nie do poznania. Nienawiść zniekształciła jej rysy, a jej złocista skóra poszarzała. Jej wielkie źrenice ciskały błyskawice, a zaciśnięte pięści gotowe były do ataku. Zaciskała zęby tak mocno, że z ledwością wypowiadała swe myśli.

– Zdradziłeś mnie... lecz nie na tyle, na ile sądziłeś! Przeczuwałam, że między tobą a tą kobietą jest coś więcej niż więzy krwi! Czułam to... po swojej nienawiści! Mogłabym pokochać twoją siostrę... lecz tę tu... znienawidziłam od pierwszego wejrzenia! Dlatego jej pilnowałam!

Arnold końcem stopy odrzucił koldrę, przykrywającą ciało kobry.

– Pilnowałaś, czyżby? Więc jak wytłumaczysz to? Gdybym nie przybył w porę, już by nie żyła!

– Pragnęłam jej śmierci, bo przeczuwałam, że coś was łączy! Byłam pewna! Przyszłam, żeby zabrać jej trupa... i zobaczyłam was, zobaczyłam!

– Przestań wyc! – przerwał pogardliwie Arnold. – Stoisz tu i krzyczysz jak pierwsza lepsza fatma* [*Fatma, arab. – kobieta.] na bazarze, której mąż ogląda się za innymi! Posłuchaj więc! Nie znaczysz dla mnie nic! Nic! Jesteś tylko niewierną, a ja jestem twoim jeńcem!

– Arnoldzie! – krzyknęła Katarzyna widząc, że Zobeida zbladła jak papier. – Uważaj!

Zobeida jednak nie zwróciła na nią uwagi.

– A ta biała kobieta znaczy dla ciebie wiele, nieprawdaż?

– Ona jest moją żoną! – odpalił rycerz. – Moją żoną przed Bogiem i przed ludźmi! I jeśli chcesz wiedzieć, mamy syna w naszym kraju! Zrozum to, jeśli potrafisz!

Pomimo niebezpieczeństwa duszę Katarzyny wypełniła radość. Ogarnęła ją szczęście, że rzucił rywalce w twarz jak obelgę jej tytuł małżonki.

– Ja mam to zrozumieć? – spytała księżniczka głosem przepelnionym niebezpieczną słodyczą. – To ty masz zrozumieć, mój panie! Sam to powiedziałeś: jesteś moim jeńcem i zawsze nim pozostaniesz!... Przynajmniej do czasu, kiedy mi się nie znudzisz! Na co liczyłeś, oznajmiając mi, że ta kobieta jest twoją małżonką? Że zapłacę ze wzruszenia, że połączę wasze dłonie, każę otworzyć bramy Alhambry i dam wam eskortę aż do granic królestwa, życząc szczęścia?

– Istotnie, gdybyś była godna swego rodu, córko wojowników z Atlasu, tak byś postąpiła!

– Moja matka była niewolnicą, księżniczką turkmeńską, sprzedaną w niewolę Wielkiemu Chanowi i podarowaną w prezencie mojemu ojcu. Była dzikim zwierzęciem stepów, znała tylko przemoc i zabiła się po moim urodzeniu, ponieważ nie byłam chłopcem. Jestem do niej podobna: znam jedynie przemoc i krew. Jeśli ta kobieta jest twoją żoną, tym gorzej dla niej!

– Co chcesz z nią zrobić?

– Powiem ci! – W spojrzeniu Zobeidy zapłonęła dzika żądza krwi. – Otóż każę ją przywiązać nagą na dziedzińcu niewolników, żeby nacieszyć ich oczy przez cały dzień i całą noc. Następnie przywiąże się ją na murach, żeby słońce spaliło i poorало tę piękną skórę, która tak ci się podoba, po czym Yuan i Kong zajmą się nią... Nie martw się jednak, nie stracisz nic z tego widowiska. To

będzie twoja kara. Myślę, że po tych zabiegach nie będziesz miał więcej ochoty porównywać jej ze mną. Możesz być pewien, że moi kaci znają się na rzeczy! Wy tam! Zabrać mi stąd tę kobietę!

Serce Katarzyny zamarło, odruchowo wyciągnęła rękę do Arnolda.

Eunuchowie jednak nie zdążyli uczynić nawet kroku, gdyż Arnold, chwyciwszy leżący obok łóżka sztylet, rzucił się pomiędzy żonę i niewolników.

– Niech żaden z was nie śmie jej tknąć! – wycedził z lodowatym spokojem. – Pierwszy, który ośmieli się zbliżyć, zginie!

Eunuchowie stali nieruchomo, lecz Zobeida roześmiała się.

– Jesteś szalony! Zaraz zawołam strażę, stu, dwustu, trzystu ludzi! Ile zechcę! Będziesz musiał się poddać. Zostaw tę kobietę jej losowi. Przy mnie szybko o niej zapomnisz! Uczynię cię królem!

– Sądziysz, że omotasz mnie obietnicami? – odparł szyderczo Arnold. – To nie ja, lecz ty sama jesteś szalona!

I zanim ktokolwiek uczynił najmniejszy gest, chwycił Zobeidę unieruchamiając jedną ręką jej obydwie nadgarstki i przyciągnął ją do siebie. Drugą zaś przytknął do jej szyi stalowe ostrze sztyletu.

– Zawołaj swoje strażę, Zobeido! Zawołaj, a będzie to twój ostatni krzyk!... Wstań, Katarzyno, i ubierz się! Uciekamy!

– Ale w jaki sposób?

– Zobaczysz! Rób, co ci każę! Co do ciebie, księżniczko, to grzecznie nas poprowadzisz do tego tajemniczego przejścia, które znasz tak dobrze. Jeśli zrobisz niepotrzebny ruch albo krzykniesz, zginiesz!

– Nie ujdziecie daleko! Zostaniecie schwytani w mieście!

– To nasza sprawa! Ruszaj!

Katarzyna i Arnold popychający księżniczkę ruszyli w kierunku drzwi. Niewolnicy ustąpili im z drogi albo uciekli. Katarzynie plan wydawał się szalony i skazany z góry na przegraną. Nie bała się tortur, które przed chwilą opisała jej Zobeida. Księżniczka musiała zapomnieć bowiem o rychłym powrocie kalifa... Arnold zgadując jej myśli powiedział:

– Mylisz się, sądząc, że strach przed bratem powstrzymałby tę bestię. Opętały ją dzikie demony i niezdolna jest do normalnego rozumowania.

Istotnie, pomimo ostrza raniącego jej szyję, Zobeida zaczęła krzyczeć jak opętana, skrecając się w żelaznym uścisku Arnolda.

– Do mnie! Na pomoc!...

Po chwili jednak krzyk zamarł na jej ustach i dało się słyszeć potworne rżenie: to sztylet Arnolda wbił się w jej gardło. Zobeida bezwładnie osunęła się na piasek z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Zabiłeś ją? – jęknęła z osłupieniem Katarzyna.

– Zabiła się sama – odparł. – Wcale nie chciałem jej zabić... Sztylet sam się wbił w jej gardło...

Stali przez chwilę pochyleni nad ciałem, wreszcie Arnold chwyciwszy żonę za rękę rzucił:

– Uciekajmy! Eunuchowie musieli powiadomić strażę. Jediną naszą szansą jest dotarcie do tajemnego przejścia zanim nadeślą posiłki.

Katarzyna bez wahania podała rękę mężowi i ruszyła za nim poprzez gąszcz liści i kwiatów. Niestety, było już za późno. Wstał dzień i zewsząd

dochodziły odgłosy budzącego się pałacu. Ze wszystkich stron nadbiegali eunuchowie z krótkimi, zakrzywionymi szablami. Zza krzaków, gdzie leżał trup Zobeidy, zaczęły dochodzić lamenty, obowiązujące służbę i niewolników.

– Jesteśmy straceni – stwierdził spokojnie Arnold. – Pozostaje nam tylko umrzeć z godnością.

– Jeśli nas nie rozdziela, potrafię umrzeć z godnością – odparła, ściskając gorączkowo dłoń męża. – Nie pierwszy raz śmierć zagląda nam dwojgu w oczy! Przypomnij sobie Rouen...

– Pamiętam – rzekł z ulotnym uśmiechem. – Tutaj nie ma jednak Jana Sona, który przyszedłby nam z pomocą.

– Ale jest mały medyk, Abu... są Walter i Josse, mój giermek, który zaciągnął się do armii kalifa, żeby móc dostać się do Alhambry!... Nie jesteśmy sami!

Arnold spojrzał na żonę z podziwem.

– Josse? A któż to taki?

– Zbój z Paryża, który wybrał się na pielgrzymkę, by odkupić swe grzechy... Jest mi bardzo oddany.

Pomimo bliskiego niebezpieczeństwa, pomimo nadciągających zbrojnych ludzi, Arnold nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Katarzyno, ty zawsze będziesz mnie zadziwiać! Nawet szatana potrafiłabyś oswoić jak pieska! Cieszę się też bardzo, że jest tutaj Walter. Spróbuj teraz swej mocy na tamtych – rzekł wskazując zbliżających się ludzi.

Tworzyli oni dwie grupy. Na czele jednej szło dziesięć kobiet niosących ciało księżniczki. Drugą prowadził mężczyzna w turbanie z purpurowego brokatu. Katarzyna poznała wielkiego wezyra, Aben-Ahmeda Banu Saradja.

– Masz rację, jesteśmy zgubieni! Wezyr nienawidzi cię, nie ma też powodu, żeby mnie lubić.

Śmierć, która teraz zbliżała się do nich pod postacią tego młodego, przystojnego mężczyzny, wydawała się jeszcze straszniejsza niż ukąszenie kobry, bo strasznie jest umierać, kiedy po tylu trudach odnalazło się miłość i szczęście.

Obie grupy połączyły się i zatrzymały przed winnymi. Kobiety położyły przed wezyrem ciało księżniczki zawinięte w niebieskie muśliny. Wezyr długo patrzył na nieżywą księżniczkę, po czym spokojnie podszedł do Arnolda i Katarzyny.

– Czy to ty zabiłeś księżniczkę? – spytał obrzucając Arnolda ciężkim, pustym spojrzeniem.

– Tak, to ja! Chciała uśmiercić moją żonę, więc musiałem ją zabić!

– Żonę?

– Oto moja żona, Katarzyna de Montsalvy, która z narażeniem życia i zdrowia przybyła po mnie do Grenady.

Wezyr skierował na Katarzynę swe czarne oczy, w których wypisana była ironia. Ten człowiek zastał ją ongiś w ramionach kalifa, więc informacja uzyskana od Arnolda musiała go rozbawić. Katarzyna spłonęła ze wstydu, gdyż półuśmiech wezyra powstał kosztem Arnolda.

– Miałeś do tego prawo, jednakże przelałeś krew samego komandora wiernych, więc czeka cię śmierć!

– Niech tak będzie, lecz pozwól mojej żonie odejść! Jest niewinna!

– Nigdy! – zaprotestowała Katarzyna, przyciskając się do męża. – Nie rozdzielaj nas, wezryze! Jeśli musi zginąć, ja chcę zginąć wraz z nim!

– To nie ja zdecyduję o waszym losie – odparł wezyr – lecz sam kalif. Właśnie zbliża się do miasta. Za godzinę będzie w Alhambrze. Zapominasz, kobieto, że należysz do niego. Co do tego mężczyzny...

Zamilkł i dał znak strażnikom, którzy podbiegli do pary, oderwali Katarzynę od Arnolda, a następnie związali mu ręce na plecach. Katarzyna została oddana służącym z haremu.

– Zaprowadźcie ją do jej pokoju i pilnujcie jak oka w głowie. I niech przestanie krzyczeć!

– Przestaną krzyczeć – zawyła Katarzyna na widok spętanego i otoczonego strażnikami męża – jeżeli i mnie każesz spętać i pozwolisz mi zostać razem z nim!

– Katarzyno, uspokój się! Potrzebuję twojej odwagi!

– Zatkajcie jej usta! – rozkazał wezyr. – Nie mogę znieść jej krzyków! Na Katarzynę rzuciła się chmara kobiet, które, dusząc ją i oślepiając, zatkały jej usta chustą. Drugą chustą związały jej nogi i jak tobolek zaniósły do pokoju. Wściekłość i gniew paliły ją tak mocno, że nawet nie miała ochoty płakać. Czy Bóg dopuści do takiej niesprawiedliwości? Czy Arnold musi zginąć?... Nie, nie! To nie może się stać!

Uratuję cię... uratuję... – przysięgała w duszy. Nawet gdybym musiała się czołgać u stóp kalifa, całować proch pod jego stopami, uzyskam twoje ulaskawienie!

Znowu była gotowa do popełnienia każdego szaleństwa. Wiedziała jednak, że Arnold nie chciałby otrzymać ulaskawienia za cenę, jaką ona była gotowa zapłacić...

Kiedy wieczorem Morayma przysłała po nią, by zaprowadzić ją do kalifa, nowa nadzieja wstąpiła w jej serce.

– Nareszcie! Czekałam na ciebie cały dzień!

– Zamilcz! – przerwała stara Żydówka surowo. – Nie wolno mi z tobą rozmawiać. I nie próbuj uciekać! To byłby twój koniec!

Za drzwiami czekała na Katarzynę eskorta, składająca się z dziesiątki eunuchów z błyszczącymi bułatami u boku. Morayma, zasłoniwszy twarz swej podopiecznej, powiedziała:

– Wiodę cię do Méchouar, pałacu, w którym rządzi nasz pan. Jest bardzo zirytowany. Współczuję ci, bo będziesz musiała znieść jego gniew! Ukorz się, jak tylko potrafisz!

– Ja się nie boję! – odparła dumnie Katarzyna. – Idź przodem! Katarzyna w otoczeniu eunuchów przeszła przez harem do bram pałacu zajmowanego przez kalifa. Kobiety, jedne z ciekawości, inne z nienawiści, stłoczyły się na jej widok. Słyszała śmiechy i żarty. Zora na jej widok splunęła. Na dziedzińcu z lwami panował taki tłok, że eskorta musiała siłą torować sobie drogę wśród wyległych nań kobiet. Te jednak nie zamierzały ustąpić, wybuchło zamieszanie i przepychanka, w czasie której usłyszała znajomy głos Marii, mówiącej po francusku:

– Zaprowadzili go do Ghafar! Sprawa więc się odwlecze! Katarzyna spojrzała z wdzięcznością w kierunku, skąd dobiegał ten głos.

A więc zawiedli Arnolda do wieży w Alcazabie... to znaczyło, że nie umrze natychmiast!

Eunuchowie, torując sobie drogę trzaskaniem z bicza, zaprowadzili Katarzynę do bramy łączącej dwie części pałacu, przy której groźni Maurowie w spiczastych hełmach, uzbrojeni w lance, w uroczystej postawie trzymali przednią straż przed przybytkiem sprawiedliwości. Eskorta i Morayma zostawili Katarzynę u wejścia do Sali Ambasadorów. Wąskie okna wykonane z różnokolorowych szkiełek nie wpuszczały zbyt wiele światła do wnętrza, wypełnionego dostojnikami i służbą. W środku sali, na szerokim tronie wysadzonym drogimi kamieniami, siedział kalif patrząc na zbliżającą się Katarzynę. Na głowie miał turban z zielonego jedwabiu spięty wielkim szmaragdem, a w rękę trzymał berło, długi, zakrzywiony bambus wysadzany złotem.

Dwóch służących w zielonych sukniach chwyciło ją pod ramiona i pchnęło na kolana przed tronem. W tej chwili Katarzyna straciła resztki nadziei. Nie mogła niczego oczekiwać od tego człowieka, dla którego z góry była winna. Czekaając aż przemówi, patrzyła na niego z wyzwaniem.

Kalif jednym gestem kazał służącym odejść, a po zniknięciu ostatniego z nich rozkazał:

– Zdejmij kwef! Nie masz do niego prawa... bo nie jesteś jedną z nas! Katarzyna spełniła rozkaz z radością, równocześnie wstała z klęczek z mocnym postanowieniem, że dłużej nie pozwoli deptać swojej dumy. Jeśli nie może uratować Arnolda, była gotowa zmusić kalifa, by odesłał ją do jego celi.

– Kto pozwolił ci wstać?

– Ty, panie! Sam powiedziałaś, że nie jestem jedną z was! To prawda! Jestem wolną kobietą i pochodzę ze szlacheckiego rodu. W mojej ojczyźnie sam król zwraca się do mnie z szacunkiem!

Mięsiste usta Muhammada rozszerzył kpiący, a zarazem pogardliwy uśmiech.

– Twój król nie posiadał cię! Ja, owszem!... Czy więc mogę żywić do ciebie szacunek?

– Czy tylko po to mnie wezwałeś, potężny kalifie, aby mi to powiedzieć? To zupełnie niepotrzebne, chyba że lubisz znieważać kobiety!

– Istotnie, mogłem posłać cię na śmierć bez słowa, lecz chciałem cię ujrzeć... choćby po to, by ocenić, czy jesteś zręczna w kłamstwie.

– W kłamstwie? A po co zadawałabym sobie tyle zbytecznego trudu? Pytaj, panie! Odpowiem na każde twoje pytanie. Kobieta mego pokroju nie kłamie!

Nastąpiła cisza. Kalif przyzwyczajony do charakterów leniwych, giętkich i służalczych, które za największy zaszczyt poczytywały sobie móc paść przed nim na kolana, patrzył ze zdziwieniem na tę kobietę, ośmielającą się podnieść przed nim czoło bez strachu, ale i bez arogancji, z dumą i godnością, pomimo sytuacji nie do pozazdroszczenia...

– Doniesiono mi, że frankoński rycerz... zabójca mojej ukochanej siostry... jest twoim mężem? – powiedział siląc się na obojętność.

– Tak, to prawda!

– A więc skłamałaś! Nie jesteś wcale niewolnicą kupioną na targu w Almerii!

– To inni cię okłamali, panie. Ja nie powiedziałam nic, bo i o nic mnie nie pytałeś! Dzisiaj oznajmiam ci, że nazywam się Katarzyna de Montsalvy, pani Lasu Kasztanowego, i że przybyłam aż tutaj, aby odzyskać męża, którego ukradła mi twoja siostra!

– Ukradła? Wiele razy spotykałem tego mężczyznę i wydawał się bardzo zadowolony ze swego losu i... z miłości księżniczki Zobeidy.

– Który jeniec nie próbuje przyzwyczać się do swego losu? Co zaś do miłości, ty sam, panie, biorąc kobiety w zależności od chwilowego kaprysu, bez udziału serca, powinieneś wiedzieć, że mężczyzna z łatwością ulega swej męskiej chuci.

Kalif odrzucił swoje bambusowe berło i poruszył się nerwowo na tronie. Katarzyna dostrzegła smutek w jego niebieskich oczach.

– A więc to tak postrzegasz pewne sprawy? – rzekł z goryczą. – Przez kilka dni dałem ci tyle miłości, że spodziewałem się większego uczucia z twojej strony! Myślałem nawet przez moment, że w tobie odnalazłem ideał kobiety, którego dawno zaprzestałem szukać... A tymczasem byłeś w moich ramionach tylko niewolnicą... jak setki innych?

– Nie, panie. Uczyniłeś mnie szczęśliwą – przyznała uczciwie Katarzyna. – Nie znałam cię i zostałam mile zaskoczona, że jesteś właśnie taki, jaki jesteś. Spodziewałam się kogoś strasznego... a tymczasem ty okazałeś się dobry i delikatny. To wspomnienie tamtej nocy... dlaczego nie miałabym przyznać, że istotnie noc ta była wspaniała i słodka? Przecież obiecałam ci, że nie będę kłamać.

Ruchem szybkim i zręcznym kalif zerwał się z tronu i zbliżył do Katarzyny. Krew uderzyła mu do głowy, a oczy zasły mgłą.

– No więc – szepnął niskim, zachęcającym głosem – dlaczego nie przedłużyć tego poematu w miejscu, gdzie się urwał? Wszystko może być jak dawniej. Należysz ciągle do mnie, a ja mogę zapomnieć o więzach łączących cię z tamtym mężczyzną.

Płomień jego słów wywołał jej drzenie, chociaż wiedziała, że za nic w świecie nie może wyjść naprzeciw jego uczuciu. Pokręciła głową ze zmęczeniem.

– Lecz ja nie mogę zapomnieć! Jest moim mężem – powiedziałam ci już. Nasz związek pobłogosławił ksiądz. Będę jego żoną aż do chwili, w której śmierć nas rozdzieli!

– Co wkrótce nastąpi! – odparł kalif. – Niebawem będziesz wolna, moja różo, i rozpoczniesz tutaj nowe życie, przy którym wszystko, co do tej pory przeżyłaś, będzie jak zły sen. Uczynię z ciebie sułtanek, królową wszystkiego, co żyje i oddycha. Będziesz miała wszystko, czego zapragniesz, i dam ci większą władzę, niż sam posiadam... bo będziesz miała władzę nade mną!

Twarz Muhammada znowu wyrażała płomienne uczucie, jak w tamtą noc w ogrodzie z szemrzącymi wodami. Katarzyna zrozumiała, że kalif kocha ją naprawdę, że dla niej gotów jest wiele poświęcić i pójść na ustępstwa... z wyjątkiem tego jednego, z pewnością... Mogła co prawda skłamać i udawać, że i

ona go kocha, lecz czuła, że nawet to nie uratowałyby Arnolda, który nie przebaczyłby jej tej ostatniej zdrady. Postanowiła, że będzie szczerą, a więc wytrwa do końca. Być może zresztą kalif, który zawsze wydawał się jej dobry i prawy, znajdzie w swoim głębokim umyśle dosyć szlachetności, by okazać wspaniałomyślność...

– Nie zrozumiałeś mnie, panie, lub zrozumiałeś źle – powiedziała ze smutkiem w głosie. – Jeśli przybyłam tu pokonując tyle niebezpieczeństw, to tylko dlatego, że kocham swego męża ponad wszystko na świecie!

– Powiedziałem ci już przecież, że wkrótce nim być przestaniesz!

– Ponieważ przysięgłeś mu śmierć? Ależ, panie, jeśli prawdą jest, że tak bardzo mnie kochasz, nie chcesz chyba rzucić mnie w objęcia rozpaczycy? Czy sądzisz, że mogłabym cię kochać po jego śmierci? Przyjmąc pieszczoty z twoich rąk, czerwonych od jego krwi?

Nagle przyszła jej do głowy szalona myśl, lecz śmiertelne niebezpieczeństwo, w którym znajdował się Arnold, nie pozostawiało wyboru. Miała przecież prawo poświęcać się dla niego, a kalif kochał ją wystarczająco, żeby przyjąć to, co zamierzała mu ofiarować.

– Posłuchaj, panie – powiedziała z naciskiem. – Jeśli naprawdę mnie kochasz, nie możesz przegrozić nam takim okrutnym wspomnieniem. Wypuść mego męża. Każ go odprowadzić do granic królestwa... a ja zostanę jako twoja niewolnica, jak długo zechcesz!

Nie było to prawdą, gdyż z pewnością próbowałyby uciec, lecz trzeba było zyskać na czasie i za wszelką cenę oddalić wiszącą nad Arnoldem groźbę śmierci.

Powoli zbliżyła się do kalifa, owionęła go swym zapachem i ośmieliła się położyć dłoń na jego ramieniu. Do diabła ze skrupułami! Życie Arnolda przede wszystkim!

– Wysłuchaj mnie, panie, i okaż łaskę dla mego męża!

– Nie mam prawa go ulaskawić! – odparł chłodno, nie patrząc na nią. – Zapominasz, że zabił moją siostrę i że całe królestwo pragnie krwi zabójcy!

To, że cała Grenada chciała pomścić znienawidzoną Zobeidę, wydało się Katarzynie co najmniej wątpliwe, lecz nie odezwała się ani słowem, czując, że kalif drży pod pieszczotą jej dłoni, a to w tej chwili było najważniejsze.

– No to pozwól mu uciec! – zaryzykowała śmieiej. – Nikt nie odważy się mieć ci za złe jego ucieczki.

– Uciec? A czy wiesz, że sam wielki wezyr podjął się pilnować skazańca? I czy wiesz, że oprócz jego dwudziestu ludzi pilnuje więźnia armia wielkiego kadiego* [*Kadi, arab. sędzia muzułmański, pełniący funkcje cywilne i religijne.]. A to wszystko dlatego, że sam Allah żąda krwi zabójcy księżniczki Grenady. Żeby twój mąż mógł uciec, musiałbym kazać odwołać tych wszystkich ludzi... i mógłbym stracić tron!

W miarę jak kalif mówił, topniała nadzieja Katarzyny. Zrozumiała, że ten człowiek znajdzie wszelkie możliwe preteksty, by odmówić jej tej jedynej łaski. Z pewnością nienawidził Arnolda bardziej dlatego, że był jej mężem, niż z powodu Zobeidy. Katarzyna jednak jeszcze raz podjęła próbę, by go rozczulić.

– Twoja siostra chciała wydać mnie na uciechę niewolnikom, przywiązać nagą na murach, następnie oddać w szpony swoich mongolskich katów! Arnold

zadał cios, by mnie uratować, a ty odmawiasz mi jego życia! I ty mówisz, że mnie kochasz!

– Powiedziałem ci, że nie mogę!

– A czyż nie jesteś tutaj władcą i panem wszystkiego, co żyje? A kimże była Zobeida, jeśli nie tylko jedną z tych pogardzanych tutaj kobiet? I chcesz mi wmówić, że sam wielki kadi, święty człowiek Grenady, żąda głowy mego męża?

– W żyłach Zobeidy płynęła krew samego proroka! – huknął Muhammad.
– A kto przeleje krew proroka, musi umrzeć! Zbrodnia zaś jest jeszcze większa, kiedy dokona jej niewierny! Przestań żądać ode mnie rzeczy niemożliwej, Jutrzenko! Kobiety nie są w stanie zrozumieć męskich spraw!

– Gdybyś jednak zechciał... ty, o którym się powiada, że wszystko może!

– Mogę, lecz nie chcę!

Kalif odwrócił się gwałtownie w jej stronę, chwycił ją w nagłym gniewie za ramiona i zbliżył swą czerwoną z wściekłości twarz do jej twarzy.

– Czy nie rozumiesz, słaba kobieto, że twoje prośby podsycają moją niechęć do niego. Dlaczego nie powiesz wprost: uwolnij go, bo go kocham i nigdy nie przestanę kochać? Uwolnij go, bo muszę wiedzieć za wszelką cenę, że żyje... nawet za cenę twoich pocałunków! Szalona! To właśnie twoja miłość do niego – stokroć bardziej niż chęć pomszczenia siostry – powoduje, że tak go nienawidzę! Gdyż nienawidzę go... z całych sił! Rozumiesz? Ponieważ ma to, czego ja sam pragnąłem najbardziej: być kochanym przez ciebie.

– Czy myślisz, że cię pokocham, jeśli go zabijesz? – spytała zimno Katarzyna. – Umarli posiadają siłę, o jakiej ci się nie śniło. Możesz mieć żonę Arnolda de Montsalvy, lecz wdowy nie będziesz mieć nigdy!

Katarzyna wyrwała się z rąk kalifa i odeszła parę kroków, obrzucając go wrogim spojrzeniem. Jakże podobny był w swoim rozwścieczeniu do innych mężczyzn, których kochała, i tych, z którymi walczyła.

Kalif z trudem pokonał swą złość, usiadł na tronie i ujął w dłoń berło, jakby szukając w oznakach władzy obrony przed tą kobietą, której pragnął najbardziej na świecie.

– Nie umrzesz, Jutrzenko – rozpoczął łagodnie.

– Przestań nazywać mnie tym imieniem! – przerwała. – Nienawidzę go! Moje imię brzmi: Katarzyna!

– Nie jestem przyzwyczajony do tych barbarzyńskich imion, lecz spełnię twoją prośbę. Tak więc, nie umrzesz... Katarzyno, ponieważ dopilnuję, żebyś nie mogła tego uczynić! I będę cię miał, kiedy tylko zechcę. Nie... nie protestuj. A na mych dłoniach nie będzie śladów krwi twego męża... ponieważ... ty sama go zabijesz!

W piersi Katarzyny zamarło serce. Myśląc, że się przesłyszała, spytała z niepokojem:

– Co powiedziałaś, panie? Chyba źle zrozumiałam...

– Zadasz mu śmiertelny cios swoją małą, śliczną rączką! Posłuchaj: twój mąż znajduje się w głębokim lochu i zostanie tam aż do dnia uroczystości żałobnych mojej siostry, które rozpoczną się za tydzień o zachodzie słońca. Tego dnia umrze, by jego krwawe szczątki mogły towarzyszyć Zobeidzie w drodze na tamten świat i by leżąc w grobie, mogła spoglądać triumfalnie na

trupa swego zabójcy. Do tego dnia twój mąż nie dostanie nic do jedzenia ani do picia, nie będzie też spał, żeby lud zobaczył, co moja złość może uczynić z frankońskiego rycerza. Lecz te cierpienia to jeszcze nic w porównaniu z torturami, jakie przyjdzie mu znieść przed samą śmiercią. Na oczach zgromadzonego ludu, oddany w ręce katów, będzie żałował po stokroć, że się urodził... chyba że...

– Chyba że co?... – spytała Katarzyna ze ściśniętym gardłem.

– Chyba że sama skrócisz jego męczarnie. Będiesz bowiem w nich uczestniczyć, moja różo, odziana jak prawdziwa sułtanka. Będiesz miała prawo skrócić jego tortury, zadając mu śmiertelny cios bronią, od której zginęła moja siostra.

A więc to takie rozwiązanie znalazł kalif, by pogrążyć ją w cierpieniu? Pozostawił jej okropny wybór: zadać cios najukochańszej istocie lub patrzeć w milczeniu na męki skazańca! Boże! Jak zabić życie, od którego zależało jej własne?

– Będzie błogosławił śmierć, którą zada mu moja dłoń – wyszeptała sama do siebie.

– Nie sądzę! Ponieważ dowie się, że od tej pory należysz całkowicie do mnie! W dniu kaźni dowie się bowiem, że jeszcze tego samego wieczoru zostaniesz mi poślubiona!

Na twarzy kalifa malowało się tak bezgraniczne okrucieństwo, że Katarzyna odwróciła oczy ze wstrętem.

– A mówi się, że jesteś, panie, dobry, szlachetny i że masz wielkie serce! Ludzie nie znają cię jednak! Nie ciesz się za szybko! Ty też mnie nie znasz! Są pewne granice cierpienia!

– Wiem. Powiedziałaś, że sama się zabijesz... Jednak nie wcześniej niż po dniu kaźni, gdyż nikt oprócz ciebie nie uwolni go od tortury. Musisz żyć dla niego, słodka pani!

Katarzyna spojrzała na kalifa oczami topielca. Cóż to za miłość, która w jednej chwili kazała mówić czułe słowa, a w drugiej poddawała ukochaną osobę najgorszym torturom z zimnym okrucieństwem. A przecież niemożliwe, by w sercu tego poety nie było choć trochę miejsca na odrobinę litości... Katarzyna powoli osunęła się na kolana i pochyliła głowę.

– Panie... błagam cię... Patrz, korzę się u twych stóp, zapominając o dumie i miłości własnej... Jeśli, jak utrzymujesz, choć trochę mnie kochasz, nie pozwól, bym tak strasznie cierpiała. Nie możesz skazywać mnie na torturę, jaką dla mnie będą następne dni, nie możesz pragnąć, żebym umierała powolną śmiercią, mieszkając pod tym samym dachem co ty. Jeśli nie możesz lub nie chcesz darować życia memu mężowi, pozwól mi dołączyć do niego! Pozwól mi dzielić jego cierpienia i jego śmierć, a przysięgam przed Bogiem, że w chwili śmierci będę błogosławić twe imię!

Wyciągnęła do niego swe ręce w błagalnym geście i podniosła piękną, zalaną łzami twarz. Jednak zamiast litości, serce Muhammada stwardniało jak kamień.

– Wstań! – rzucił oschle. – Nie korz się przede mną! Jak rzekłem, tak się stanie!

– Nie, panie, ty nie możesz być taki okrutny! Po co ci moje ciało, jeśli

dusza nie może należeć do ciebie? Zlituj się nade mną...

Katarzyna ukryła twarz w dłoniach. Z sąsiedniego minaretu zabrzmiał głos muezina, wzywającego wiernych do wieczornej modlitwy, który zagłuszył szloch wstrząsający jej piersią. Kalif wskazał ręką drzwi i rzekł:

– Odejdź! Tracisz czas po próżnicy. To czas mojej modlitwy. Nagle łyzy Katarzyny wyschły w porywie płomiennego gniewu. Wstała z klęczek wbijając w kalifa spojrzenie pełne nienawiści.

– Idziesz się modlić? – rzuciła z miażdżącą pogardą. – A więc potrafisz się modlić? Nie zapomnij więc wyznać Bogu, w jaki sposób zamierzasz zniszczyć związek dwojga ludzi i zmusić żonę, by zabiła męża! Jeśli cię pochwali, to będzie znaczyć, że różni się od jedyne go i prawdziwego Boga, jak też to, że każdy ma takiego Boga, na jakiego zasłużył!

Katarzyna zebrała swoją zasłonę i niedbałym krokiem wyszła na zewnątrz, gdzie czekała na nią Morayma wraz z niewolnikami.

Długi, zielony dziedziniec wyludnił się, gdyż mężczyźni udali się do meczetu. Zostali tylko czterej ogrodnicy, zajęci przycinaniem mirtowego żywopłotu. Jeden z nich, olbrzymi Maur, zakaszłał, kiedy Katarzyna przechodziła obok niego. Spojrzała nań machinalnie i... aż zamarła z zaskoczenia. Pod wielkim, białym turbanem lśniła twarz Waltera.

Ich spojrzenia skrzyżowały się, lecz ona nie mogła ani nic powiedzieć, ani zatrzymać się. Musiała iść swoją drogą, podczas gdy ogrodnicy skierowali swe kroki do meczetu. Widok Waltera dodał Katarzynie nieco otuchy i po powrocie do swego pokoju zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób mógł dostać się do Alhambry, lecz jeśli tak się stało, to z pewnością była w tym zasługa małego medyka. Z pewnością musiał udawać głuchoniemego, co w przypadku fałszywego muzułmanina było bezpieczniejsze. Myśl, że znajdował się w pobliżu niej, była tak pocieszająca, że rozplakała się z radości. Josse przebywał w Alcazabie, blisko Arnolda, może nawet wśród pilnujących go żołnierzy. Cóż z tego jednak, skoro Josse nawet nie znał Arnolda, zresztą jak mógłby ulżyć jego męczarniom? Kalif chciał uczynić z niego strzęp człowieka. A ona sama musi wbić w jego serce sztylet, który tyle razy ocalił mu życie. Na tę myśl jej serce zamierało. Wiedziała, że dzień po dniu będzie cierpieć wraz z ukochanym mężczyzną...

Pocieszała ją tylko jedna myśl: „Po zadaniu mu ciosu sama też wbiję sobie sztylet w serce”.

Morayma, która do tej pory nie odezwała się nawet słowem, rzekła:

– Odpocznij. Przyjdę po ciebie za godzinę.

– Po co?

– Żeby zaprowadzić cię do kąpieli... bowiem, począwszy od dziś, każdej nocy będziesz prowadzona do łóżka naszego władcy.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

Oburzenie odebrało jej głos, lecz Morayma tylko wzruszyła ramionami z fatalizmem właściwym swojej rasie.

– Należysz do niego. Pożąda cię... Cóż bardziej naturalnego? Mądrość nakazuje pogodzić się z losem, jeżeli nie można go uniknąć.

– I ty sądzisz, że ja się z tym zgodzę?

– A co możesz zrobić innego? Jesteś piękna. Pan kocha cię na swój

sposób. Może załagodisz jego gniew...

Jedno spojrzenie Katarzyny pozwoliło domyślić się starej Żydówce, co faworyta sądzi o jej dobrych radach, wobec czego wołała się wycofać. Kiedy wyszła, Katarzyna upadła na łóżko, nieprzytomna z bezsilnej złości. I pomyśleć, że pokładała nadzieję w kalifie, a on potraktował ją z takim zimnym okrucieństwem! Cóż, był przecież nieodrodnym bratem Zobeidy! Wykazał taką samą jak ona arogancję, taką samą dziką zazdrość, taki sam bezgraniczny egoizm. Zobeida myślała, że Arnold pozwoli umrzeć żonie, że zapomni o niej w jej ramionach, Muhammad zaś zamierzał ją pojąć w chwili, kiedy skazał jej męża na najokropniejsze cierpienia!

Katarzyna była gotowa bronić się zajadle, lecz cóż, jej prześladowca miał nad nią przewagę, a ona nawet nie miała swego sztyletu. Ze smutkiem wyjęła truciznę z kryjówki, którą zrobiła za odłupanym kafelkiem. Gdyby mogła posłać połowę Arnoldowi, sama wypiłaby drugą połowę... lecz to nie było możliwe. Musiała żyć, żeby oszczędzić Arnoldowi spotkania z katami...

Podskoczyła na odgłos kroków niemego eunucha, który przyniósł tacę z jedzeniem, i szybko ukryła buteleczkę w dłoni. Zamiast na stole postawił tacę blisko niej, na łóżku. Chciała odepchnąć ze złością posiłek, na który nie miała ochoty, kiedy zauważyła, że Murzyn mruga do niej porozumiewawczo, wyciągając zza rękawa zwitek papieru, i kładzie go na tacy, po czym ukłoniwszy się do ziemi zgodnie ze zwyczajem wyszedł cofając się do tyłu.

Katarzyna pośpiesznie rozwinęła papier i przeczytała kilka słów napisanych ręką małego medyka.

„Ten, kto śpi snem głębokim, nie zna cierpień ani wypadków na zewnątrz. Konfitura z róż, którą ci podają co wieczór, sprowadzi na ciebie kilka godzin głębokiego snu, z którego nic nie będzie w stanie cię obudzić...”

W liście nie było nic więcej, lecz te parę słów od wiernego przyjaciela wypełniło serce Katarzyny wdzięcznością za to, że Abu, sobie tylko wiadomymi metodami, czuwał nad nią z daleka. Zrozumiała podstęp małego medyka: każdego wieczoru, kiedy Morayma przyjdzie po nią, by zaprowadzić ją do kalifa, zastanie ją pogrążoną w głębokim śnie i władca będzie musiał zrezygnować ze swoich żądań. Nikt nie pomyśli o konfiturze z róż, bez której nie obywał się żaden posiłek w Grenadzie.

Schowawszy starannie truciznę w schowku, zabrała się do posiłku. Należało zjeść jeszcze coś, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Nie było to łatwe, bo nic nie przechodziło jej przez gardło, lecz zmusiła się do skosztowania kilku dań, wreszcie połknęła kilka łyżeczek wspomnianej konfitury i spokojnie ułożyła się na łóżku. Miała zbyt wiele zaufania do małego medyka, by nie wykonać ściśle jego poleceń. Była pewna, że Abu czuwa także nad Arnoldem. Jeśli był tak dobrze poinformowany o tym, co się z nią działo, to musiał wiedzieć także o tragicznej sytuacji Arnolda. Obecność Waltera w ogrodach Alhambry była również tego dowodem. Powoli napięcie nerwowe mijało. Tajemniczy narkotyk znajdujący się w konfiturach zaczął działać szybciej, niż się spodziewała...

Rozdział czternasty

BĘBNY ALLACHA

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, u stóp podwójnej wieży, wznoszącej się nad bramą Siedmiu Pięter, zgromadził się tłum. W tym miejscu rozciągał się obszerny plac, na którym odbywały się manewry wojsk kalifa, a także największe święta państwowe. Zbudowano nań drewniane rusztowania dla publiczności oraz pokryte różnokolorowymi jedwabiami trybuny dla kalifa i jego dostojników. Tego dnia jednak tłum był tak gęsty, że rusztowania zostały wzięte szturmem, a dla wielu chętnych zabrakło miejsca i część gapiów musiała stać.

Już od kilku dni przez miasto niosła się wieść, że komandor wiernych organizuje uroczystości żałobne swojej ukochanej siostry, w czasie których niewierny, który ją zabił, poniesie zasłużoną karę. O wyznaczonej porze zjawiono się więc całe miasto: mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy, tworząc kolorowy, rozkrzyczany i poruszony tłum. Z okolicznych gór zeszli chłopcy w swoich brązowych dzellabach, odcinających się ziemistym odcieniem od czerwonych, białych, niebieskich czy pomarańczowych okryć mieszkańców miasta. Widać było też grupy żołnierzy najemnych, przybyłych z dalekiego Maghrebu, zakrywających twarze jak kobiety i noszących dziwne skórzane tarcze, a wyglądających bardziej tajemniczo i groźnie niż mauretańscy jeźdźcy w swych błyszczących hełmach.

Powoli zappełniały się także trybuny. Zajmowali na nich miejsca dostojnicy w odświętnych szatach, kapiących od złota i srebra. Widać było też sudańskich niewolników z pałacu w krzyczących strojach, każdy z pierścieniem poddaństwa w uchu, cieszących się jak dzieci na czekające ich widowisko.

Nad placem panowała atmosfera kiermaszu. Nawet okoliczni komedianci ściągnęli na plac, pewni licznej publiczności; akrobaci, zaklinacze węzów, czarownice przepowiadające przyszłość z muszelek, prześmiewcy i błazny, tabuny żebraków, cały ten lud w tumanach czerwonego kurzu wzniesianego tysiącem stóp i zalatującego odchodami końskimi i słomą.

W jednym z otworów strzelniczych nad bramą wjazdową do Alhambry ukazała się na chwilę postać kalifa, który rzucił ostatnie spojrzenie na plac, by osobiście sprawdzić, czy wszystko jest gotowe do rozpoczęcia ceremonii.

Wokół placu zajęły pozycje szwadrony jeźdźców w spiczastych hełmach i białych turbanach. Na szczytach wież Alhambry stały bociany, drzemiąc na jednej nodze.

W tym czasie w apartamentach sułtanek kobiety pod dowództwem Moraymy przygotowywały Katarzynę do uroczystości. Stojąc nieruchomo pośrodku pokoju, usłanego jedwabiami, wśród pootwieranych kufrów, pozwalała ubierać się bez słowa, nieczuła na wszystko, co się wokół działo, podobna do posągu o płonących oczach. W pokoju słychać było tylko zrzęczenie Moraymy, ciągle niezadowolonej z uzyskanego efektu, podobnej w tej chwili do kapłanki w czasie uroczystego obrzędu. Katarzyna została pokryta złotem, rubinami i szmaragdami od stóp do głów. Najważniejszym elementem stroju był szeroki, ciężki pas, arcydzieło sztuki perskiej, wysadzany diamentami,

rubinami i szmaragdami, który Morayma z wielkim namaszczeniem założyła na biodra przyszłej sułtanki.

– Przysyłając ci ten pas, nasz władca dał wyraz swej woli poślubienia cię. Wszystkie sułtanki nosiły go w dniu zaślubin.

Katarzyna jednak nie słuchała. Od tygodnia bowiem żyła jak w półśnie i jej zachowanie wywołało w haremie i u Moraymy zabobonny strach. Dziwny i głęboki sen, w jaki zapadała każdego wieczoru od czasu ujęcia jej męża, najpierw pogrążył Muhammada w gniewie, potem w zdziwieniu zmieszonym ze strachem. Nic ani nikt nie był w stanie jej obudzić, jakby sam Allach swoją ręką zamykał każdego wieczoru powieki niewolnicy. Podejrzewano narkotyki, lecz nic w zachowaniu młodej kobiety nie było anormalne. W końcu Muhammad doszedł do wniosku, że to znak niebios: nie wolno mu tknąć tej kobiety, żony zabójcy, dopóki jej prawy właściciel żyje, i od trzeciego wieczoru przestał wzywać Katarzynę. Lecz Morayma, osoba przesądna i czuła na sprawy tajemne, zaczęła uważać nową faworytę za istotę niezwykłą. Jej uparte milczenie wydawało się starej Żydówce oznaką umysłu opanowanego przez niewidzialne duchy.

Istotnie, narkotyk małego medyka działał coraz silniej na mózg Katarzyny i jego skutki były coraz trudniejsze do usunięcia. W ciągu dnia żyła w dziwnym letargu, który miał tę zaletę, że usuwał strach i uśmierzał ból. Być może bez niego oszalałaby, tyjąc z nieustanną myślą, że tuż obok Arnold męczy się w ponurej wieży. Jednakże czując, że doprowadza się tym do zupełnej obojętności, w ostatnich dniach tygodnia przestała zażywać narkotyk, udając wieczorami, że ogarnia ją sen. Zamierzała mieć umysł jasny w dniu kaźni...

Jeszcze ostatnie muśnięcie czernidłem na powiekach i Morayma owinęła Katarzynę zwiewną szatą, haftowaną złotem, czyniąc z niej jakąś barbarzyńską boginię.

– Już czas – szepnęła podając jej rękę.

Katarzyna odrzuciła jednak jej dłoń, przekonana, że idzie na śmierć i że te ozdoby są zbędne ofierze idącej na kaźń. Za chwilę zasztyletuje Arnolda, żeby oszczędzić mu okrutnych tortur, po czym sama wbije sobie ostrze w serce i wszystko się skończy. Jej dusza złączona na zawsze z duszą ukochanego uleci do nieba, gdzie już nigdy nie dosięgnie ich cierpienie, ból, zwątpienie i zazdrość...

Kiedy przyszła sułtanka w otoczeniu kobiet i licznej grupy eunuchów ukazała się na trybunach, kalif i jego orszak byli już na miejscach. Podniecenie zgromadzonego tłumu sięgało zenitu. Pojawienie się faworyty na chwilę zwróciło jego uwagę. Wyglądała tak tajemniczo w otoczeniu zwiewnych kobiet w niebieskich, różowych i zielono-migdałowych zasłonach. Pod złocistym obłokiem jedwabiu ukrywającym jej ciało przeblyskiwały drogocenne klejnoty. Katarzyna zajęła miejsce na trybunie znajdującej się poniżej tej, którą zajmował kalif. Trybunę tę, pokrytą niebieskim jedwabiem, tylko kilka schodków oddzielało od zaimprovizowanej, piaszczystej areny.

Muhammad patrzył w ciszy na nadchodzącą, targając nerwowo jasną brodę. Ich spojrzenia spotkały się, lecz kalif odwrócił głowę uderzony dzikim wyrazem jej ciemnych oczu, kierując swą uwagę na arenę, na którą wybiegła grupa młodych berberyjskich tancerzy w długich białych sukniach, o

delikatnych twarzach wymalowanych jak u kobiet. Ich tańce, o skomplikowanych figurach i gestach miłości, nie podobały się Katarzynie, odwróciła więc głowę, czym skierowała na siebie nienawistne spojrzenia tancerzy. Nie mogła znieść ich nienaturalnych gestów i ich kobiecości w tym święcie śmierci. Było to bowiem święto śmierci, a tłum ściągnął tu, by napawać się widokiem krwi.

Powyżej, w królewskim meczecie zaczęto walić w bębny. Ich ponure dźwięki dopadły tancerzy jak burza. Tancerze padli na ziemię i znieruchomieli. Powoli otworzyła się ciężka brama Siedmiu Pięter, dając przejście uroczystemu orszakowi. Dwudziestu niewolników niosło na srebrnych noszach zabalsamowane ciało Zobeidy, przykryte purpurowym całunem. Na przedzie szła gromada grajków z piszczałkami i tamburynami. Ciało zmarłej otaczała procesja duchownych w białych szatach, za którą widać było grupę czarnych eunuchów, prowadzonych przez ich przewodnika, wielkiego Sudańczyka, którego bułat był odwrócony na znak żałoby. Na widok sztywnego ciała rywalki Katarzyna poczuła, że ogarnia ją zimna nienawiść i bunt, ponieważ z jej powodu za chwilę przyjdzie jej poświęcić ukochanego i samej zginąć. Tymczasem niewolnicy ustawili nosze na niskim podium naprzeciw trybuny kalifa, który powstał i wraz z wezyrem i kilkoma dostojnikami zszedł na arenę, by oddać cześć zmarłej. Katarzyna chciała odwrócić głowę, lecz jakaś siła nie pozwoliła jej tego uczynić. Poczula na sobie ciężar czyjegoś spojrzenia i odruchowo spojrzała w tym kierunku. Jakież było jej zdziwienie, kiedy w orszaku kalifa rozpoznała małego medyka, Abu, którego do tej pory zasłaniała wysoka sylwetka kapitana straży. Mały medyk w swoim pomarańczowym turbanie wpatrywał się w nią uporczywie i wreszcie, kiedy ich spojrzenia się spotkały, posłał jej nieznacznym uśmiechem, po czym ruchem głowy zachęcił ją do zwrócenia uwagi na pierwsze rzędy, gdzie dostrzegła Waltera, udającego dla niepoznaki jednego z ciekawskich. Odziany w płócienną opończę ogrodnika, z wciśniętym na oczy czerwonym, stożkowatym kapeluszem, wyglądał tak spokojnie i błogo, jakby przyszedł na zabawę, a nie na egzekucję.

Następnie oczy Abu skierowały się na grupę mauretańskich jeźdźców, wśród których Katarzyna dostrzegła Jossego w spiczastym hełmie. Niełatwo było rozpoznać paryżanina wśród pozostałych żołnierzy, gdyż w swoim stroju i z ciemną opalenizną wyglądał równie dziko i groźnie jak jego towarzysz. Josse tak dokładnie wcielił się w swoją rolę, że praktycznie nic nie odróżniało go od innych jeźdźców. Wydawał się nie interesować tym, co się rozgrywa na arenie, skupiając całą uwagę na utrzymaniu konia w linii. Zwierzę wydawało się bardzo zdenerwowane i tańczyło w miejscu.

Na widok trzech przyjaciół w Katarzynie wstąpiła nowa nadzieja. Wiedziała, że wszyscy oni są odważni, oddani i gotowi na wszystko, by uratować ją i Arnolda...

Po ukazaniu się ciała księżniczki nastąpiła długa ceremonia ze śpiewami, uroczystymi tańcami i nie kończącym się kazaniem wielkiego starca z białą brodą, chudego jak topola w zimie, o wzroku płonącym ogniem fanatyzmu. Katarzyna wiedziała, że był to wielki kadi i kiedy zaczął wzywać, by Allah i kalif sprowadzili karę na głowę niewiernego, który ośmielił się podnieść świętokradczą rękę na potomkinię proroka, zrozumiała, że nadeszła godzina

śmierci dla Arnolda i dla niej. Słaba iskra nadziei obudzona na widok trzech przyjaciół zgasła na powrót... Cóż mogli poradzić w trójkę, mając przeciw sobie całą armię i tłumy nienawidzące niewiernego, radujące się na myśl o jego rychłej śmierci!... Pozostała już tylko modlitwa. Katarzyna skierowała swe myśli do Boga, do Świętej Dziewicy z Puy i do Świętego Jakuba z Composteli.

Dodaj mi, Boże, sił i odwagi, bym mogła zadać ten cios!

Z tyłu za murami słychać było wolne walenie bębnow i w tej chwili w bramach pałacu ukazali się idący parami kaci. Wszyscy byli olbrzymi, muskularni i czarni jak noc, ubrani w niebieskie koszule z podwiniętymi rękawami i w szerokie, żółte spodnie w czerwone wzory. Nieśli dziwne narzędzia, na widok których Katarzyna pobladła. Ustawili się wokół areny. Równocześnie grupa półnagich niewolników ustawiła przed trybuną kalifa niski szafot, na którym umocowano drewniany krzyż, podobny do tego, który ongiś wzniesiono na wzgórzu Jerozolimy, lecz znacznie niższy po to, by katom było poręczniej zadawać tortury. Następnie, niewolnicy przynieśli kosze żarowe i zanurzyli w nich różnorakie szpikulce, dźgadelka, pręty żelazne i kleszcze. Podniecony ich widokiem tłum wstrzymał oddech, wydając okrzyk zadowolenia na widok olbrzymiego Murzyna niosącego na plecach wór, do którego po skończonej kaźni miał włożyć głowę skazańca, żeby pokazać ją kalifowi przed zatknięciem jej na dachu wieży Sprawiedliwości. Był to Bekir, najważniejszy z katów, wielka osobistość, o czym świadczył jego bogaty strój z czerwonego jedwabiu, przetykanego srebrną nicią. Uroczyście wyszedł na szafot i stanąwszy nieruchomo w rozkroku, wypiął dumnie pierś i skrzyżował ramiona, czekając na skazańca.

Katarzyna gorączkowo szukała wzroku małego medyka, lecz ten zdawał się drzemać z przekrzywioną głową, a Walter stał nieruchomo jak posąg.

Kiedy bramy Alhambry zaskrzypiały trzeci raz, pomiędzy jej potężnymi, okutymi skrzydłami ukazał się skazaniec...

Katarzyna, niezdolna panować dłużej nad sobą, zerwała się z miejsca z okrzykiem zgrozy. Błady i na wpół nagi, przepasany skrawkiem materiału na biodrach Arnold słaniał się na nogach jak pijany. Miał związane na plecach ręce, zarośniętą twarz i błędny wzrok, choć starał się nie poddawać w tej godzinie śmierci. W pewnej chwili potknął się o kamień i upadł na kolana. Otaczający go strażnicy podnieśli go z ziemi. Brak snu i pożywienia zrobił swoje i strażnicy musieli go podtrzymywać, by pomóc mu zejść na arenę.

Morayma uczepiwszy się rozpaczliwie Katarzyny, próbowała skłonić ją, by usiadła, lecz ona, zeszywniała z bólu, nie słyszała ani nie widziała nic oprócz tego ciemnego ciała ciągniętego przez Maurów na miejsce kaźni. Tymczasem Muhammad ogarnął ponurym wzrokiem Katarzynę i nie spuszczał z niej oczu. Morayma szepnęła błagalnie:

– Zaklinam cię, Jutrzenko, uspokój się i wróć na swoje miejsce. Pan na ciebie patrzy!

– A niech patrzy... – jęknęła Katarzyna. – Co mi tam!

– Jego gniew może zaciążyć na skazanym... – szepnęła Żydówka. – Nie wyzywaj go tak ostentacyjnie. Wielcy tego świata każą drogo sobie płacić za doznane upokorzenia!

Katarzyna zrozumiała, że powodowany gniewem kalif może odebrać jej

straszliwą łaskę, może nie dopuścić, by ona, Katarzyna, przerwała okropne męczarnie Arnolda. Powoli usiadła z powrotem na miejscu, lecz cała drżąca czuła, że sama wyzionie ducha i próbowała walczyć ze swoją słabością. Jej oczy i dusza skierowane były na mającego umrzeć człowieka, którego kaci zdążyli już wprowadzić na szafot. W tej chwili powietrze przeszył świst, przywitany przez tłum z uznaniem, a przez Arnolda jękiem. Dwaj łucznicy stojący u stóp trybuny kalifa wysłali w kierunku skazańca dwie celne strzały, które trafiły w jego otwarte dłonie i przebiły je mocując do krzyża. Arnold pobladł śmiertelnie, a wzdłuż jego skroni spłynęły krople potu. Histeryczne okrzyki kobiet wznosiły się w ciepłym powietrzu, podczas gdy jeden z katów wyciągnął z kosza żarowego rozpalony do czerwoności żelazny pręt i zbliżył się do skazańca zachęcany entuzjastycznymi okrzykami gawiedzi.

Katarzyna wyrwała się z rąk Moraymy, która na próżno starała się ją powstrzymać, zbiegła na arenę i rzuciła się w stronę trybuny kalifa. W jednej chwili tłum zamilkł, a kat cofnął się ze zdziwieniem. Wśród śmiertelnej ciszy dał się słyszeć przenikliwy, oskarżycielski głos:

– Czy to mi obiecałeś, kalifie? Na co czekasz, by spełnić dane mi słowo honoru? A może nie wiesz, co ono oznacza?

Kalif uśmiechnął się nieznacznie i odparł:

– Chciałem jedynie zobaczyć, jaka będzie twoja reakcja, Jutrzenko. A teraz możesz spełnić to, co sam ci obiecałem.

Wstał z miejsca, rzucając władcze spojrzenie na tłum zamarły w oczekiwaniu.

– Słuchajcie, wierni poddani królestwa Grenady! Tego wieczoru kobieta, którą tu widzicie, zostanie moją żoną. Posiadła me serce i jako prezent ślubny obiecałem jej, że własną ręką będzie mogła zabić mordercę mojej ukochanej siostry. Ten, który zabił kobietę, niechaj zginie z ręki kobiety!

Jego słowa zostały powitane pomrukiem niezadowolenia, który jednak nie trwał długo, gdyż kompania łuczników stojąca przed trybuną uniosła łuki. Nie należało protestować, kiedy przemawiał kalif!

Katarzyna szukała gorączkowo wzroku małego medyka, lecz ten nie poruszył się. Serce Katarzyny wypełniło się goryczą: ten przyjaciel opuścił ją w chwili, w której potrzebowała go najbardziej!

Tymczasem przed nią zatrzymał się niewolnik i klękawszy podał jej złotą tacę, na której złowrogo błysnął sztylet Montsalvych. Katarzyna chwyciła go chciwie. Nareszcie miała w ręku wyzwolenie Arnolda i swoje własne!

Wyprostowała się dumnie i obrzucając kalifa wyniosłym spojrzeniem, rozerwała jednym cięciem złocony kwef osłaniający jej twarz.

– Nie należę ani do twojej rasy, ani do twojej religii! Pamiętaj o tym, sułtanie!

Powiedziawszy to, pewnym krokiem ruszyła w stronę szafotu. Nadeszła godzina największej chwały... Tłum zamilkł na widok tej pięknej kobiety, niosącej śmierć ukrzyżowanemu mężczyźnie...

Wówczas Arnold podniósł dumnie głowę, spojrzał jasno na Katarzynę, a później na kalifa i rzekł:

– Odmawiam, panie, tej łaski. Moja szybka śmierć, którą obiecałeś tej kobiecie, to ujma na męskim honorze. Który rycerz, godny tego imienia,

zgodziłby się umrzeć ugodzony ręką kobiety? Oprócz pohańbienia mnie obarczyłbyś tę kobietę własną zbrodnią, chcąc z niej uczynić zabójczynię własnego męża! Słuchajcie, ludzie! – tu głos skazańca spotężniał, atakując zgromadzonych siłą pioruna. – Ta kobieta, którą wasz sułtan zamierza dzisiejszego wieczoru pojąć za żonę, jest moją małżonką i matką mego syna! Wiedźcie też, że to dla niej zabiłem księżniczkę Zobeidę, żeby uchronić żonę przed gwałtem i torturą, żeby ta, która nosiła mego syna, nie została zbrukana przez niewolników. Zabiłem Zobeidę i jestem z tego dumny! Nie zasługiwała na to, by żyć! Nie chcę jednak umrzeć z ręki kobiety! Odejdź, Katarzyno!

– Arnoldzie... błagam cię... w imię naszej miłości!

– Nigdy! Rozkazuję ci, byś odeszła! I żebyś żyła dla naszego syna!

– Jak mogłabym żyć bez ciebie?... Pozwól mi... użyć sztyletu, bo jeśli nie, to...

W tej chwili dwóch strażników chwyciło ją za ręce, gdyż kalif, domyśliwszy się, że Katarzyna po ugodzeniu męża sama również się zabije, postanowił temu przeszkodzić. Tymczasem skazaniec krzyknął gniewnie:

– Zbliźcie się, kaci! Popatrz, kalifie, jak umiera de Montsalvy! Niech Bóg chroni mego króla i niech zlituje się nad mą duszą!

Katarzyna, u kresu sił, upadła na piasek areny i rzuciła błagalnie:

– Chcę umrzeć z tobą! Chcę...

Tymczasem kalif skinieniem ręki dał znak katom, by przystąpili do tortur. Tłum zawrzał... kiedy nagle za czerwonymi murami Alhambry ponownie odezwały się bębny...

Wszystkie głowy odwróciły się, wszystkie gesty zamarły, gdyż ich bębnienie w niczym nie przypominało poprzedniego; tym razem bębny waliły szybko, gwałtownie i z dziką wściekłością. Jednocześnie w fortecy rozległy się krzyki, jęki, wycia, okrzyki bólu i zwycięstwa. Dwór kalifa i zgromadzony na placu tłum zamarli w oczekiwaniu czegoś, sami nie wiedząc czego. Tymczasem Abu zdecydował się poruszyć. Nie troszcząc się o maniery, przeraźliwie ziewał...

W tej chwili Josse popuścił uzdę swego narowistego konia, który zaczął galopować na lewo i prawo, tratując wszystko, co napotkał po drodze i łamiąc szyki strażników. Widząc to Walter roztrącił zdumionych sąsiadów i dziesiątkując najbliższych stojących strażników, rzucił się w kierunku szafotu. Olbrzym szalał. Ogarnięty świętym gniewem, jaki zawsze wstępował w niego na polu boju, położył w parę chwil strażników Katarzyny, katów i przyłożył solidnie samemu Bekirowi, który plując zębami wpadł wraz z wieloma innymi prosto pod kopyta szalejącego na swym koniu Jossego. Oniemiała z wrażenia Katarzyna poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękę.

– Chodź szybko... – usłyszała cichy głos małego medyka. – Mam tu konia dla ciebie.

Równocześnie zerwał z jej głowy złożony kwef i zarzucił na ramiona ciemny płaszcz, który cudownie znalazł się pod jego suknią.

– A Arnold?

– Walter się nim zajmie!

Istotnie, Walter wyrwał właśnie strzały, którymi przybite były do krzyża ręce Arnolda, po czym zarzucił sobie jego bezwładne ciało na plecy i zbiegł po

drabinie z szafotu. Josse zaś opanowawszy swego konia, znalazł się przy nim, prowadząc za uzdę ciężkiego konia bojowego z szerokim zadem. Walter, pomimo dodatkowego ciężaru, lekko na niego wskoczył, po czym spiął go ostrogami ukrytymi pod fałdami sukni. Wielki koń ruszył z kopyta jak kula armatnia, tratując rozsypujący się tłum i leżących na ziemi.

– Jak widzisz – powiedział medyk – poradził sobie sam.

– Powiedz, Abu, co się tutaj dzieje?

– Nic wielkiego: coś w rodzaju małej rewolucji. Potem wszystko ci wyjaśnię. Najważniejsze, że nasz kalif jest zajęty. To odpowiednia chwila. Uciekajmy, nikt nas nie zauważy.

Istotnie, na placu panował wielki zamęt. Wszędzie wybuchały bójki. Kobiety, starcy i dzieci rozpierzchli się w wielkim popłochu na wszystkie strony, uciekając sprzed kopyt oszalałych koni. Strażnicy pałacu ścierali się z zastępem na czarno ubranych jeźdźców, którzy zjawili się nie wiedzieć skąd. Bito się także na trybunach, łącznie z Muhammadem, który poczynił sobie dzielnie. Jęki agonii mieszały się z okrzykami zwycięstwa.

W centrum tego zamieszania znajdował się przywódca czarnych rycerzy, olbrzymi mężczyzna z wielkim rubinem na turbanie. Jego bułat siekł na lewo i prawo niczym miecz archanioła, ścinający głowy jak sierp żniwiarzy kłosa. Katarzyna, umykając z placu boju, ujrzała jeszcze, jak ginie wielki wezyr i jak jego krwawa głowa zwisa u siodła czarnego rycerza.

W królewskim meczecie Alhambry nie przestawano walić w bębny...

Miasto oszalało. Katarzyna, jadąc wraz z Abu krętymi uliczkami, wśród białych ścian bez okien, oglądała sceny, które przypomniały jej Paryż z okresu dzieciństwa. Wszędzie bili się ludzie, wszędzie lała się krew. Niebezpiecznie było przejeżdżać pod tarasami, gdyż spadał z nich grad pocisków, dosięgający przeciwnika w ciemności. Abu pospieszył konia.

– Spieszmy się – powiedział. – Możliwe, że bramy miasta zostaną wcześniej zamknięte.

– Dokąd mnie prowadzisz? – spytała Katarzyna.

– Tam, dokąd Walter miał zawieźć Arnolda: do Alcazar Genil, do sułtanki Aminy.

– Ale... dlaczego?

– Odrobinę cierpliwości! Już ci mówiłem, szczegółów dowiesz się później. Jedźmy szybciej!

Cały ten zamęt, te krzyki i jęki nie umniejszały głębokiej radości Katarzyny. Była wolna! I Arnold był wolny! Zniknęło potworne narzędzie tortur, a jej serce biło teraz mocno w rytm kopyt końskich. Na szczęście brama Południowa była jeszcze otwarta, przebyli ją więc galopem i wkrótce ich oczom ukazał się mur okalający dwa pawilony, do których prowadziła brama ze smukłymi kolumnami. Kiedy Abu, zwinawszy dłoń w trąbkę, wydał dziwny okrzyk, strażnicy pośpiesznie otworzyli bramę. Obaj jeźdźcy przebyli ją galopem i brama za nimi została natychmiast zamknięta i zabarykadowana.

Katarzyna zsunęła się z konia i wpadła w objęcia Waltera, który uniósł ją do góry jak piórko z radością tak gwałtowną, że kazała mu zapomnieć o jego zwykłej powściągliwości.

– Żywa! – krzyknął. – I wolna! Niech będą pochwaleni Odyn i Thor

Zwycięzca, którzy pozwolili cię nam odzyskać! Umieraliśmy całymi dniami ze strachu o ciebie.

- A Arnold?... Gdzie jest?
- W pobliżu. Opiekują się nim.
- Nie jest...

Nie miała odwagi dokończyć. Przypomniała sobie, jak Walter wrywał strzały z jego dłoni, lejącą się krew i bezwładne ciało zwisające z pleców olbrzyma.

– Jasne, jest osłabiony, stracił wiele krwi. Teraz zajmie się nim Abu.

– Pójdźmy doń! – rzekł na to medyk, który z trudem zsunawszy się z wielkiego konia nadał swemu turbanowi wygląd co nieco zwichrowany.

Ciągnąc Katarzynę za rękę, Abu ruszył za Walterem przez piękną salę udekorowaną mozaikami w kolorowe, kwietne wzory. Dalej znajdował się mały pokój, w którym na jedwabnym materacu leżał Arnold. Obok niego stała nieznajoma kobieta i Josse w swoim wojskowym stroju. Josse na widok Katarzyny uśmiechnął się szeroko, lecz ona, nie troszcząc się ani o niego, ani o nieznajomą, upadła u wezglowia męża.

Arnold leżał bez czucia, błądź jak kreda, ze ściągniętymi rysami i głęboko podkrążonymi oczami. Krew z jego przebitych dłoni zostawiła czerwone plamy na zielonym jedwabnym materacu i na dywanie, lecz przestała się łać. Jego oddech był krótki, słabo wyczuwalny.

– Myślę, że będzie żył – powiedział ktoś poważnym głosem. Katarzyna odwróciwszy się, napotkała głębokie spojrzenie młodej, ładnej kobiety, o twarzy łagodnej, lecz dumnej, której skórę pokrywały dziwne małe znaki niebieskiego koloru. Nieznajoma, widząc zdziwienie Katarzyny, uśmiechnęła się nieznacznie.

– Wszystkie kobiety pochodzące z Wielkiego Atlasu są podobne do mnie. Jestem Amina. Chodź ze mną! Trzeba zostawić rannego sam na sam z medykiem. Abu-al-Khayr nie lubi, kiedy kobiety mieszają się do jego pracy.

Katarzyna odpowiedziała uśmiechem, ponieważ uprzejmość jest zaraźliwa, a poza tym te słowa przypomniały jej pierwsze spotkanie z Abu w oberży na drodze do Peronne. Abu leczył wówczas Arnolda, którego ona wraz z wujem Mateuszem znalazła rannego i nieprzytomnego przy drodze. Znała zręczność małego medyka, toteż bez sprzeciwu zgodziła się odejść, tym bardziej że zostawał przy nim Walter.

Kobiety udały się do ogrodu i usiadły nad brzegiem wąskiego kanału stanowiącego jego oś. Otoczony był podwójnym pasmem róż, spryskiwanych cienkimi strużkami wody, przydającymi temu miejscu orzeźwiającej świeżości, w której znikało zmęczenie i upał letniej nocy. Na cembrowinie piętrzyły się różnokolorowe poduszki, a obok stały wielkie lampy z pozłacanego brązu i wielkie złote tace, pełne ciastek i soczystych owoców. Amina odesławszy służące, które zniknęły jak mgła w czeluściach ogrodu, poprosiła Katarzynę, by ta usiadła koło niej.

Przez jakiś czas kobiety nie odzywały się do siebie. Katarzyna, ponieważ właśnie ożyła i teraz mogła napawać się pięknem tego pachnącego ogrodu i spokojem, jakim napełniała ją obecność tej siedzącej obok niej kobiety. Po dniach ciężkich zmagania z własnym strachem, kiedy już myślała, że umrze z rozpacz i bólu, czuła się tutaj jak w raju. Śmierć i strach zniknęły. Arnold

wyzdrowieje... była tego pewna.

Sułtanka nie przerywała zamyślenia swego gościa, lecz w końcu, wskazując na zastawione tace, powiedziała:

– Musisz być zmęczona i głodna. Odpoczywaj i jedz!

– Nie jestem głodna – odparła – lecz chciałabym wiedzieć, jak to się stało, że się tu znalazłam. Czy możesz mi to wyjaśnić, ty, która przyjmujesz mnie z taką gościnnością?

– Dlaczego nie miałabym okazać ci przyjaźni? Czy tylko dlatego, że mój pan chciał uczynić z ciebie swoją drugą małżonkę? Nasze prawo pozwala mu posiadać tyle żon, ile sam zechce... a jeśli chcesz znać moje uczucia, od dawna jest mi zupełnie obojętny.

– Mówi się jednak, że jesteście mocno związani.

– To tylko pozory. Być może zależy mu na mnie, lecz jego słabość do Zobeidy, jego pobłażanie dla jej najokropniejszych uczynków, łącznie ze zbrodnią, łącznie z próbami zabicia mnie, zgasiły miłość do niego. Witaj, Jutrzenko, cieszę się, że mogę cię gościć pod swym dachem, tym bardziej że wiem, ile wycierpiałas. To piękne i szlachetne ze strony kobiety ryzykować życie dla ukochanego mężczyzny. Podobała mi się twoja historia. Dlatego też postanowiłam pomóc Abu-al-Khayrowi w realizacji jego planu.

– Wybacz, że nalegam, lecz opowiedz mi dokładnie, co się stało. Amina ukazała w miłym uśmiechu małe, białe zęby. Wzięła leżący obok niej wachlarz z malowanych i pozłacanych cienkich liści palmowych i poruszała nim delikatnie trzymając w cienkich, pomalowanych henną palcach.

– W tej chwili pan Mansour-ben-Zegriz próbuje odebrać tron Grenady Muhammadowi! – powiedziała.

– Dlaczego?

– Żeby mnie pomścić. Myśli, że jestem umierająca. Nie, nie patrz tak na mnie! Czuję się dobrze, lecz medyk Abu rozpuścił plotkę, że wielki wezyr, który oszalał na wieść o śmierci Zobeidy, kazał mnie otruć, abym towarzyszyła mojej nieprzyjaciółce w drodze do świata zmarłych i abym nie mogła się cieszyć ze śmierci księżniczki.

– I Mansour-ben-Zegriz uwierzył w to?

– Tego ranka przybiegł tu jak oszalały. Zastał moje niewolnice rozdierające szaty i służbę rwącą włosy z rozpacz... oraz mnie leżącą nieruchomo na łóżku... Mansour widział mnie tylko z daleka i postanowił zaatakować Alhambrę. Abu zasugerował, że najlepszym momentem na atak będzie chwila egzekucji, ponieważ kalif, dwór i duża część wojska będą przebywać poza fortecą. Wszystko tak zostało pomyślane, że kiedy bębny w królewskim meczecie zagrzmiały na alarm, Abu ziewaniem da umówiony znak twoim przyjaciołom. Dalszy ciąg wypadków poznałaś sama...

Katarzyna wreszcie zrozumiała: Abu wzniecił rewoltę, podburzając Mansoura, aby w ogólnym zamieszaniu umożliwić ucieczkę skazańcowi.

Bogu niech będą dzięki, że pozwolił memu mężowi znieść tyle cierpień.

Odwróciła się na dźwięk cienkiego głosu małego medyka, który spuszczał rękawy nad świeżo umytych rękami, sadowił się na poduszkach.

– Nie był aż tak osłabiony, jak się wydawało, gdyż trzeba było zmylić przeciwnika – powiedział zdejmując z tacy ciastko ociekające miodem i

pochłaniając je bez upuszczenia choć jednej kropli.

– Co masz na myśli, przyjacielu?

– Że jeśli nawet dużo nie jadł w lochu, to dzięki Jossemu, który trzymał straż w Ghafar, mógł pić do woli, no i mógł spać. A jak smakowała ci ostatnio różana konfitura?

– Była pyszna! Lecz wracając do Arnolda, myślałam, że strażnicy mieli za wszelką cenę nie pozwolić więźniowi zasnąć i że wielki kadi posłał specjalnie w tym celu swoich ludzi.

Mały medyk roześmiał się.

– Kiedy ktoś śpi tak głęboko, że nic nie jest w stanie go obudzić, najlepiej udawać, że się o tym nie wie, jeśli otrzymało się zadanie, aby temu za wszelką cenę przeszkodzić. Ludzie kadiego boją się o swoją skórę jak każdy zwykły śmiertelnik. Twój mąż mógł więc spać przez trzy kolejne noce.

– Ale nie dzięki konfiturom?

– Nie, dzięki wodzie przynoszonej mu przez Jossego w małej manierce schowanej pod turbanem.

– A co dzieje się z nim teraz?

– Śpi głęboko, pilnowany przez Waltera. Zaaplikowałam mu kozie mleko z miodem i trochę narkotyku.

– A jego rękę?

– Nie umiera się od przebitych rąk, jeśli krew zatrzymana zostanie w porę, a rany będą odpowiednio opatrzone. Ty również powinnaś pomyśleć o odpoczynku. Pod tym dachem, niezależnie od wyniku walki, jesteście bezpieczni.

– A kto zwycięży?

– Tego nikt nie wie. Zamach Mansoura został zbyt pośpiesznie przygotowany. Oczywiście, działając z zaskoczenia, miał przewagę, a jego ludzie pustyni to dzielni wojownicy. Jednak jest ich zbyt mało, a kalif ma dużo żołnierzy. Choć prawdą jest, że co najmniej połowa miasta stoi po stronie Mansoura.

– Wzniciłeś rewoltę, żeby nas uratować. Poświęciłeś tyle ludzkich istnień?

Amina położyła delikatnie swą dłoń na ręce Katarzyny.

– Ci dwaj mężczyźni są w stanie wiecznej wojny. Wystarczy mała iskra i znów skaczą sobie do oczu.

– Lecz jeśli Mansour zostanie pokonany? Co się z nim stanie? – spytała Katarzyna, którą zaczął interesować ten człowiek, z pewnością okrutny i krwawy – sama widziała jak ściał głowę wielkiemu wezyrowi. Jemu to jednak zawdzięczała życie męża i swoje własne. Czowała, że jest współwinna spisku, którego ten człowiek padł ofiarą.

Wzruszywszy ramionami, Abu sięgnął po kolejne ciastko.

– Uspokój się! On nie da się tak łatwo pokonać. A zawsze będzie mógł uciec do Fezu, gdzie ma piękny zamek i dużo ziemi. Po czym... wróci tu po paru miesiącach z nowymi siłami... i wszystko rozpocznie się na nowo. Jednak tym razem musi naprawdę strzec się Banu Saradja: ten człowiek prawie oszalał, dowiadując się o śmierci Zobeidy.

– Ależ wielki wezyr zginął!... – powiedziała Katarzyna. – Widziałam, jak

czarny rycerz z wielkim rubinem w turbanie ściął mu głowę i przytroczył ją sobie do siodła.

Katarzyna ku swojemu zdziwieniu zobaczyła, że twarz Abu pokraśniała z zadowolenia.

– Uczony powiada, że nie należy błogosławić śmierci nieprzyjaciela... lecz muszę się przyznać do jednego: nie będę opłakiwać śmierci wezyra.

– Szkoda tylko – wtrąciła gwałtownie sułtanka – że Mansour nie wybił całej jego rodziny! Ci straszni ludzie mnożą się jak króliki!

W chwili gdy Amina wypowiadała te słowa, rozległo się gwałtowne walenie do bramy. Dały się też słyszeć krzyki i nawoływania. Niewolnicy rzucili się do bramy, która bezszelestnie obróciła się na potężnych zawiasach. Otwierający ją ludzie ledwo uskoczyli na bok, kiedy wpadła kawalkada czarnych rycerzy. Na czele pędził rycerz z rubinem w turbanie i zwisającą u siodła głowę wielkiego wezyra. Amina nie okazując zdziwienia wstała i przysłoniła szczelniej twarz pozłacanym kwefem. Na jej widok czarny rycerz stanął w miejscu jak wryty. Miał piękne, lecz okrutne usta podkreślone cienkimi wąsami, dzikie oczy i chudą twarz.

Mansour-ben-Zegriz zeskoczył z konia i jak lunatyk zbliżył się do Aminy.

– Ty żyjesz? – wybełkotał. – Jakim cudem?

– Dzięki medykowi Abu – odpowiedziała spokojnie. – To wielki człowiek. Podał mi narkotyk, który zwalczył truciznę.

– Allah jest wielki! – westchnął Mansour z ekstazą. Katarzyna zdusiła uśmiech. Ten wojownik o fanatycznej twarzy wydał się jej nieco naiwny. Można mu było wmówić największe kłamstwo.

Mansour skierował swe czarne oczy na Katarzynę, dziwiąc się obecności obcej kobiety.

– Kim jest ta kobieta? Nigdy jej nie widziałem.

– To biała faworyta Muhammada. Abu pomógł jej uciec, a także skazanemu, który zabił Zobeidę, będącemu zresztą jej mężem.

Twarcz Mansoura wyrażała szczere zdziwienie. Widać było, że wojownik nic nie wie o Arnoldzie i Katarzynie.

– Co to za historia i co to wszystko znaczy?

Katarzyna zauważyła poprzez przezroczyty kwef Aminy, że ta się uśmiecha. Musiała dobrze znać reakcje swego ukochanego, gdyż bawiła się nim z niezwykłą zręcznością.

– To znaczy – odparła z uroczystą nutą w głosie – że kalif zamierzał obrazić święte prawo, odbierając cudzą własność. Kobieta ta, narażając życie i zdrowie, przybyła z dalekiego kraju Franków odebrać Zobeidzie własnego męża, którego ta więziła u siebie, lecz jej piękno wzbudziło miłość w sercu Muhammada. Aby obronić żonę przed śmiercią, rycerz frankoński musiał zabić Panterę!

Słowa Aminy zrobiły na czarnym rycerzu wielkie wrażenie. Wrogowie kalifa stawali się automatycznie jego przyjaciółmi. Groźne spojrzenie Mansoura nabrało ciepłego wyrazu.

– A gdzie jest frankoński rycerz?

– Tutaj. Opiekuje się nim medyk Abu. – Musi uciekać! I to jeszcze tej nocy!

– Dlaczego? – spytała Amina. – Kto ośmieli się go tu szukać?

– Strażnicy kalifa! Śmierć tego psa, którego głowa wisi u mego siodła, połączona z ucieczką faworyty i zabójcy jego siostry wprawiły Muhammada we wściekłość. Tej nocy wszystkie domy w Grenadzie, a nawet na wsi zostaną przeszukane... łącznie z twoim pałacem, księżniczko!

Twarz Aminy zachmurzyła się.

– A więc przegrałeś?

– A co pomyślałaś na mój widok? Że przybyłem, by złożyć u twych stóp koronę kalifa? Nie, przybyłem, by moi ludzie posilili się przed ucieczką. Mój pałac już jest w rękach wroga. Jestem szczęśliwy widząc cię przy życiu, lecz teraz muszę uciekać. Jeśli twoi goście chcą uniknąć zemsty Muhammada, muszą także tej nocy uciekać z Grenady, gdyż kalifowi bardziej zależy na nich niż na mnie!

– A więc znowu mnie opuszczasz, Mansourze? – spytała z wymówką Amina. – Kiedy więc ujrzę cię znowu?

– Przecież możesz jechać ze mną! Dlaczego zostajesz przy mężczyźnie, który dał ci tylko rozczarowania i ból? Kocham cię, wiesz dobrze, i mogę dać ci szczęście. Wielki sułtan przyjąłby cię z otwartymi ramionami...

– Lecz nie przyjąłby niewiernej żony. Dopóki Muhammad żyje, muszę tu pozostać. A teraz musisz uciekać za morze! Jaką drogę wybierasz? Przez Motril?

– Tam będą mnie szukać przede wszystkim! Nie! Przez Almerię! Droga jest co prawda dłuższa, lecz książe Abdullah jest moim przyjacielem, a w porcie czeka mój statek.

– Więc zabierz ze sobą frankońskiego rycerza i jego małżonkę. Sami nie dadzą sobie rady. Muhammad z łatwością ich schwyta. Co innego z tobą. Z tobą może im się uda!

– Nie wierzę w to! W tej chwili rączy posłańcy ruszyli do wszystkich punktów granicznych i wszystkich portów... Ja zawsze sobie poradzę, gdyż wszędzie mam sprzymierzeńców. Nie dałbym jednak złamanego szeląga za skórę tych dwojga!

– Chwileczkę, panie Mansourze! – wtrącił się Abu. – Zgódź się tylko, by pojechali z tobą, a moja w tym głowa, by ich ukryć. Mam pewien pomysł, a zresztą, jeśli pozwolisz, pojedę z wami. Nie wrócę do domu, dopóki moi przyjaciele nie znajdą się poza zasięgiem katów kalifa!

Przemówienie małego medyka tchnęło prostotą i szlachetnością i Mansour nie ośmielił się odmówić.

Kiedy Katarzyna ścisnęła z wdzięcznością rękę starego przyjaciela, czarny rycerz mruknął:

– Zgoda... Rób, jak chcesz, medyku, ale wiedz jedno: za niecałą godzinę zamierzam opuścić pałac. Jeśli twoi przyjaciele nie będą do tego czasu gotowi, nie będę czekać!

Abu skłonił się w ciszy, a Mansour oddalił się do swojego szwadronu, który zbity w czarną masę czekał u wrót, po czym na rozkaz przywódcy ruszył w kierunku zabudowań pałacu. Widząc to, Abu zwrócił się do obu kobiet:

– Chodźcie, nie mamy wiele czasu.

Przekraczając próg pałacu, Katarzyna wpadła na pewien pomysł. Odpięła

bogaty pas ozdobiący jej biodra i wręczyła go sultance.

– Weź! Należy do ciebie! Za nic w świecie nie chciałabym zabrać go ze sobą!

Przez chwilę szczupłe palce Aminy gładziły olbrzymie klejnoty, lecz po chwili powiedziała ze smutkiem:

– W dniu, w którym założyłam go po raz pierwszy, myślałam, że to prawdziwy pas szczęścia. Lecz wkrótce zrozumiałam, że to tylko pas... tylko zwykły pas... do tego taki ciężki! Zaczęłam marzyć o tym, żeby zrzucić pęta. Niestety, ciągle istnieją, a ten pas jest ich dowodem! Mimo wszystko dziękuję!

Obie kobiety wraz z Abu miały udać się do apartamentów prywatnych Aminy, kiedy pojawiły się dwie czarne niewolnice, wlokąc jakąś niewielką kobietę, całą odzianą na czarno, która wrywała się im, ile sił.

– Znalaziono ją przy bramie! Wykrzykiwała, że musi się widzieć z medykiem Abu, który jest tutaj.

– Puśćcie ją – rozkazał Abu i zwracając się do nieznajomej spytał: – Czego chcesz?

Ta jednak nie odpowiedziała, gdyż rozpoznawszy Katarzynę, zerwała z twarzy kwef i rzuciła się jej na szyję.

– Nareszcie cię odnalazłam! A przecież obiecałaś mi, że beze mnie nie odjedziesz!

– Maria! – krzyknęła Katarzyna z radością i ze wstydem, gdyż w całym tym zamieszaniu zupełnie zapomniała o niej i o danej obietnicy.

– Jak udało ci się uciec i odnaleźć mnie? – dodała ściskając ją mocno.

– To nie było trudne! Byłam wśród innych... w czasie egzekucji i nie spuszczałam z ciebie oczu ani przez chwilę, widziałam więc, jak uciekasz z medykiem. Na placu był taki rozgardiasz, że mogłam wmieszać się w tłum. Strażnicy i eunuchowie mieli co innego do roboty. Udałam się do domu Abu, licząc na to, że tam cię znajdę, lecz powiedziano mi, że medyk leczy sultankę Aminę w Alcazar Genil. A więc jestem! Nie gniewasz się, że przyszłam? Wiesz, tak bardzo pragnę wrócić do Francji!...

Zamiast odpowiedzi Katarzyna ponownie ucałowała dziewczynę i rzekła:

– Dobrze zrobiłaś i zechciej mi przebaczyć, że nie dotrzymałam obietnicy!

– Najważniejsze, że jesteśmy razem!

– Kiedy skończycie wymieniać grzeczności – przerwał kpiąco Abu – przypomnijcie sobie, że czas nagli i że Mansour nie będzie czekać.

Rozdział piętnasty

POD FLAGAMI „MAGDALENY”

Grupa ludzi, która pół godziny później cicho wyszła z Alcazar Genil, nie przypominała w niczym rycerzy, którzy wcześniej wpadli do pałacu pod dowództwem Mansoura. Czarni rycerze z zasłoniętymi twarzami zamienili się w strażników kalifa, ich czarne stroje zastąpiły białe burnusy. Nawet sam Mansour porzucił swój turban z rubinem i przebrał się za zwykłego oficera. Walter i Josse wmieszali się w zastęp żołnierzy, ukrywając twarze pod szerokimi turbanami, a wszyscy otaczali wielką lektykę o szczelnie zasuniętych zasłonach, w której leżał Arnold pod uważnym nadzorem medyka Abu, Katarzyny i Marii.

Obie kobiety przebrały się za służące z dobrego domu. Maria za pomocą packi na muchy zrobionej z piór wachlowała rannego, a Katarzyna trzymała jego dłoń owiniętą bandażami. Ręka ta była gorąca i Katarzyna z niepokojem patrzyła na twarz Arnolda i jego zamknięte oczy. Abu kazał przebrać go za kobietę, więc wyszukano największe kobiece szaty, ubierając Arnolda w zasłony z niebieskiej satyny w złote paski, w szerokie spodnie i haftowane pantofle. Wyglądał jak wielka dama złożona niemocą.

– Co powiemy, jeśli napotkamy ludzi kalifa? – spytała Mansoura, sadowiąc się w lektyce.

– Że eskortujemy starą księżniczkę Zeinabę, babkę emira Abdullaha, panującego w Almerii, powracającą z wizyty u sultanki, z którą żyje w wielkiej przyjaźni.

– I uwierzą nam?

– Kto ośmieli się nie uwierzyć? – przerwał mały medyk. – Kalifowi zależy na dobrych stosunkach z Abdullahem, gdyż Almeria jest najważniejszym naszym portem. Co do mnie, to normalne, że jako medyk towarzyszę starszej damie w podróży – dodał sadowiąc się na poduszkach.

W nocnej ciszy słyhać było jedynie stąpanie końskich nóg. W pobliskim mieście trwało zamieszanie. Wszystkie światła były zapalone, a na murach płonęły ogniska. Grenada lśniła w nocy jak wielki robaczek świętojański.

– Kalif załatwia swoje porachunki – rzekł Mansour. – Musimy jechać szybciej! Jeśli zostanę rozpoznany, nie mamy szans, jest nas tylko dwudziestka.

– Zapominasz o nas, panie! – wtrącił Walter jadący tak blisko lektyki, że Katarzyna mogłaby go dotknąć. – Mój przyjaciel to tęgi chwata, a ja sam potrafię się bić za dziesięciu!

Wzrok Mansoura padł na olbrzyma. Katarzyna po brzmieniu jego głosu domyśliła się, że uśmiecha się mówiąc:

– No to powiedzmy, że jest nas trzydziestu jeden i niech Allah nad nami czuwa!

Po tych słowach ruszył na czoło kolumny, która wkrótce stała się mniej widoczna na ciemnej wiejskiej drodze. Niebawem światła Grenady zniknęły za skalistym wzgórzem.

– Droga przez góry nie będzie łatwa – powiedział Josse – lecz z drugiej strony łatwiej się w nich bronić.

Nagle ciszę nocną przerwał brutalny rozkaz i grupa stanęła.

Zaniepokojona Katarzyna rozsunała zasłony lektyki, rzuciwszy pełne troski spojrzenie na Arnolda. Ten jednak spał głęboko, nieczuły na to, co się wokół dzieje. Skaliste wzgórze zniknęło i znowu widać było Grenadę i pałac Aminy.

– Popatrzcie! Uciekliśmy w porę!

W oddali widać było grupę rycerzy w białych płaszczach, którzy z zapalonymi pochodniami i zielonym sztandarem kalifa na czele stanęli u bram Alcazar Genil, żądając ich otwarcia.

– Jesteśmy zbyt daleko, żeby mogli nas zauważyć. Błogosławiony niech będzie Mahomet, gdyż musielibyśmy się bić jeden na pięciu.

Atak nastąpił dwa dni później w samym środku gór o zachodzie słońca. Uciekinierzy zmierzali górską drogą wiodącą nad przepaścią, na której dnie płynął rwący potok. Na tej wysokości nie było tak gorąco jak w Grenadzie. Niedaleko już leżał śnieg, a droga wiodła prosto w kierunku pionowych ścian, nad którymi górowały trzy olbrzymie szczyty. Mansour wskazał palcem na największy z nich i rzekł:

– Nazywa się Mulhacen, ponieważ jest w nim ukryty grób kalifa Moulaya Hacena. Zamieszkują go same sępy, orły i rozbójnicy słynnego Jednookiego.

– Jesteśmy zbyt silni, by obawiać się rozbójników! – rzucił Walter z pogardą.

– Nie jest to takie pewne! – odparł Mansour. – Kiedy Jednooki potrzebuje złota, oddaje się w służbę kalifa i wtedy ze wzmocnionymi siłami potrafi być groźny!

Ostatnie ukośne promienie słońca oświetlały białe burnusy i złoczone hełmy fałszywych strażników kalifa, które odcinały się jasnymi plamami na tle czarnych skał. Nagle rozległy się dzikie i tak przenikliwe wycia, że konie stanęły dęba. Jeden z nich zrzucił swego jeźdźca z grzbietu na dno przepaści. Zza skały ukazał się najpierw jeden wojownik... a wkrótce zaroilo się na ścieżce. Byli to ludzie gór, odziani w straszne łachmany, lecz ich bułaty błyszczały bardziej niż ich ostre zęby. Dowodził nimi mały i szpetny mężczyzna w brudnym turbanie na głowie z wetkniętym weń pękiem orlich piór i z brudną przepaską na oku.

– To Jednooki! – krzyknął Mansour. – Zgrupujcie się wokół lektyki! W dłoniach wojowników błysnęły bułaty. Walter popędziwszy konia stanął do walki ramię w ramię z wodzem, krzycząc do Jossego, żeby osłaniał lektykę.

Tymczasem zasłony lektyki rozsunały się raptownie ukazując twarz Arnolda, który odepchnawszy Katarzynę starającą się go powstrzymać, krzyknął:

– Dajcie mi broń! Konia i broń!

– Nie! – jęknęła Katarzyna. – Jesteś jeszcze za słaby!

– Kto to powiedział? Czy uważasz, że będę przyglądać się beczynnemu, jak inni rozganiają tę hałastę? Siedź tu i nie ruszaj się! A ty, Abu, czuwaj nad nią, by nie zrobiła jakiegoś głupstwa!

I z wściekłą niecierpliwością rozdarł owijające go niebieskie szaty, zostając w samych spodniach i w bolerku, zbyt wąskim jak na jego szerokie ramiona.

– Dajcie mi konia! Broń! – powtórzył.

– Oto broń! – rzekł Josse podając mu własny bułat. – Możesz też wziąć, panie, mojego konia!

– A ty?

– Ja wezmę konia rycerza, który spadł w przepaść. Nie martw się o mnie, panie!

– Arnoldzie! – krzyknęła Katarzyna. – Błagam cię!

On jednak nie słuchał. Wskoczył zgrabnie na rumaka i ścisnąwszy jego boki nagimi stopami dołączył do Mansoura i Waltera, zmagających się wściekle z dziesiątką zbójników. Jego pojawienie się podziało jak wybuch pocisku. Na widok tego wielkiego mężczyzny w damskich szatach, w zwiewnych muślinach, który rzucił się w wir walki z okropnym okrzykiem na ustach, nieprzyjacieli oniemiał. Z chwili nieuwagi skorzystał Mansour, gromiąc napastników jak muchy...

– Nie umkniesz mi, Mansourze! – krzyknął Jednooki przenikliwym głosem. – Kiedy dowiedziałem się o twojej ucieczce, byłem pewien, że udasz się tą trudną drogą do Almerii, dzięki czemu wpadłeś prosto w moją pułapkę!

– W twoją pułapkę? – odparł pogardliwie książę. – To za wiele powiedziane! Wiedziałem, że myszkujesz w tej okolicy i wcale się ciebie nie wystraszyłem, jak widzisz! Lecz jeśli liczysz na złoto i klejnoty, to się zawiedziesz. Nie posiadamy nic oprócz broni.

– Zapomniałeś o swej głowie! Kalif zapłaci mi za nią dziesięć razy tyle, ile sama waży, i wreszcie wjadę do Grenady jako zwycięzca!

– Kiedy twoja własna głowa zgnije na murze, wtedy będziesz spoglądał na Grenadę jako zwycięzca!

Dalsza potyczka słowna została zagłuszona szczękiem broni. Maria przytuliła się do Katarzyny drżąc jak osika.

– Jeśli nas pojmy – szepnęła dziewczyna – tobie nic się nie stanie, bo kalif cię kocha... lecz ja zostanę wydana katu i wbita na pal...

– Nie pojmy nas nigdy! – odparła Katarzyna z ufnością, której w głębi serca wcale nie odczuwała.

Dzień chylił się ku zachodowi. Słońce oświetlało już tylko ośnieżone szczyty. Zbocza pociemniały. Śmierć zbierała swe żniwo po obu stronach. Czasem z przeraźliwym rżeniem koń wraz z jeźdźcem spadał w przepaść. Po stronie rozbójników straty w ludziach były znaczne, a uciekinierzy stracili tylko pięciu ludzi. Katarzyna bezwiednie wbiła paznokcie w dłonie, zaciskając zęby, Maria zaś nie mogła oderwać wzroku od krwawego widowiska, obawiając się ewentualnej klęski. Abu zagłębił się w modlitwie, przesuwając paciorki różańca...

Raptem potworny ryk odbił się szerokim echem po górach. Katarzyna rozsunała zasłony lektyki i ujrzała, jak Arnold jednym wprawnym cięciem odrąbał głowę Jednookiego, która upadła na ziemię jak pocisk. Lecz to, co zobaczyła obok, było jeszcze straszniejsze: Walter na koniu z otwartymi w nie kończącym się okrzyku ustami i lancą, która utkwiała mu w piersi, a następnie jego upadek na ziemię.

– Walterze! Na Boga! – krzyknęła rzuciwszy się w jego kierunku i upadła przy nim na ziemię. Arnold jednak już był przy nich i odsuwając Katarzynę powiedział:

– Zostaw! Nie ruszaj go!

Na jego wezwanie przybiegł mały medyk i uklękawszy przy olbrzymie położył dłoń na jego sercu. Z kącików ust Waltera sączyły się wąskie strużki krwi.

– Żyje... – powiedział Abu. – Trzeba ostrożnie, bardzo ostrożnie wyjąć lancę. Ja będę go trzymał, a ty ją wyjmiesz, Arnoldzie!

Arnold zerwawszy z dłoni bandażę, chwycił za lancę, a Abu rozchylił delikatnie brzegi rany.

– Teraz... – powiedział. – Tylko ostrożnie! Żebyśmy go nie uśmiercili wyciągając lancę!

Arnold pociągnął. Kawałek po kawałku, śmiertelna broń wychodziła z wnętrza piersi olbrzyma. Wreszcie była cała na wierzchu i Arnold gniewnym gestem cisnął ją precz, podczas gdy mały medyk starał się zatamować upływ krwi za pomocą pośpiesznie przygotowanych przez Marię tamponów.

Wokół nich zapanowała cisza. Rozbójnicy utraciwszy swego przywódcę rozpiechli się w popłochu, a ci z uciekinierów, którzy przeżyli, zgromadzili się wokół rannego. Mansour spokojnie wytarł swój bułat, zawiesił go u pasa, po czym skrzyżowawszy spojrzenie z Arnoldem rzekł:

– Jesteś walecznym wojownikiem, panie, lecz twój sługa także jest dzielny. Na Allacha, jeśli przeżyje, wezmę go jako porucznika. Czy uda ci się uratować go, medyku?

Abu, który ze zwykłą sobie zręcznością obnażył pierś olbrzyma, pokiwał głową z powątpiewaniem.

– Uratuj go! – błagała Katarzyna. – On nie może umrzeć! Nie on...

– Rana jest głęboka... – mruknął Abu – lecz zrobię, co w mej mocy. Trzeba szybko go stąd zabrać. Tu nic nie widać.

– Zanieśmy go do lektyki! – rzucił Arnold. – Niech mnie diabeł porwie, jeśli dam się do niej wsadzić!

– Jesteś jeszcze słaby... Masz bosa nogi... – przerwała Katarzyna.

– Nic nie szkodzi! Zdejmę ubranie z któregoś trupa. W tym damskim przebraniu wyglądam jak głupek. Możecie tu poświecić?

Dwaj wojownicy, dyszący jeszcze ciężko po bitwie, zapalili pochodnie, inni ostrożnie zanieśli Waltera do lektyki, w której przewidujący medyk zgromadził lekarstwa i jedzenie.

Tymczasem zrobiło się zimno i zerwał się przenikliwy wiatr, wyjąc w przepaści jak ranny wilk.

– Musimy znaleźć schronienie na noc – powiedział Mansour. – Dalsza droga nad urwiskiem jest zbyt niebezpieczna, a rozbójnicy Jednookiego już nam nie zagrażają. Hej, wy tam! Uprzątnijcie trupy!

Rozlegający się raz po raz plusk wody pozwolił Katarzynie domyślić się, że wrogowie, jak i sprzymierzeńcy udawali się wspólnie na ostatnią wędrowną. Arnold zniknął, by wrócić po chwili w białym burnusie i turbanie z nałożonym nań hełmem.

Lodowate podmuchy kładły płomienie łuczyw. Uciekinierzy ruszyli w dalszą drogę stromą ścieżką nad przepaścią. Mansour jadąc na przedzie, rozglądał się za dogodną kryjówką. Na końcu niesiono lektykę.

Wkrótce przed oczami wędrowców ukazała się obszerna jaskinia. Ludzie i

zwierzęta stłoczyli się wewnątrz. Rozpalono ognisko, przy którym zasiadł Arnold i Katarzyna. Abu zabandażował ranę Waltera, dał mu środek uspokajający, lecz gorączka wzrastała i mały medyk nie ukrywał swego pesymizmu.

– Być może jego silny organizm przetrzyma, lecz nie śmiem w to wierzyć – rzekł do Katarzyny.

Pograżona w smutku usiadła przy mężu, przytuliła się do niego i położyła głowę na jego ramieniu. Arnold otoczył ją czule ramieniem i otulił burnusem, po czym zajrzał w jej mokre od łez oczy.

– Płacz, moja dziecino – szepnął. – Nie powstrzymuj się! Rozumiem dobrze twój ból, wiesz... Ja kiedyś... byłem o niego zazdrosny. To jego wierne oddanie, ta nieustanna opieka, którą cię otaczał, denerwowały mnie... a teraz sam oceniłem jego wierną przyjaźń. Bez niego może nigdy byśmy się nie odnaleźli. Zrozumiałem, że się myliłem. Jeśli cię kochał, to nie taką miłością, o jakiej myślałem... lecz on ubóstwiał cię jak świętą...

Katarzyna zadrżała, a jej serce zaczęło bić mocniej. Przypomniała sobie noc w Koce, gorącą i szaloną, i ogarnęła ją fala wstydu i wyrzutów sumienia.

Czuła pokusę, żeby się tego pozbyć, żeby natychmiast się przyznać, że Walter był jej kochankiem, że była szczęśliwa w jego ramionach. Zaczęła mówić:

– Arnoldzie... Muszę ci coś wyznać...

Lecz on zamknął jej usta szybkim pocałunkiem.

– Nie, nie mów nic... Jeszcze nie nadeszła pora na wspomnienia ani na wyrzuty sumienia... Walter przecież jeszcze żyje, a Abu być może dokona cudu, w który sam nie wierzy!

Ich dwa przytulone ciała przenikało wspólne ciepło. Ramiona Arnolda były pewnym i miękkim schronieniem dla udęczonej duszy Katarzyny. Jeśli się przyzna, to co zrobi Arnold? Z pewnością ją odepchnie, a wtedy jej serce pęknie z żalu. Tak jej było dobrze w jego silnych ramionach... Chwyliła żarliwie zranioną rękę męża i przywarła doń ustami.

– Kocham cię... – szepnęła. – Tak bardzo cię kocham! Arnold nie odpowiedział, tylko przytulił ją mocniej do siebie.

Jego przenikliwe spojrzenie padło na nieprzeniknione oblicza wojowników Mansoura. Siedząc wokół ogniska, tworzyli cichy krąg nieruchomych, zagadkowych postaci. Żaden z nich nie patrzył w ich stronę. Zdrowi zajmowali się rannymi, lecz żaden się nie odzywał. Ci wojownicy żyli jeszcze niedawną walką. Zaprawieni od małego do niebezpieczeństw, nie tracili ani chwili, poświęcając każdą z nich na odnowienie utraconych sił. Kto mógł zareczyć, czy nie przyjdzie im stoczyć jeszcze jednej walki tej nocy?

Katarzyna na długo zachowała w pamięci ich dziwny i prawie nierealny widok. Ta noc spędzona w sercu gór była jakby przystankiem w grocie džinnów* [*Džinn – muzułmański duszek z bajek arabskich.], tych dobrych i złych duchów z legend arabskich, których nasłuchiwała się u Fatimy i w haremie... Wkrótce przy ognisku pojawiła się wysoka postać Mansoura. Coś szepnął do swoich ludzi w dialekcie niezrozumiałym dla Katarzyny, po czym okrążył ognisko i usiadł przy Arnoldzie. Jeden ze służących zbliżył się do nich, niosąc w wyciągniętych dłoniach daktyle i banany. Maur wziął od niego wszystkie owoce i wręczył je

Arnoldowi. Był to z jego strony pierwszy kurtuazyjny gest w stosunku do Francuza, a miał on oznaczać, że uważa go za równego sobie.

– Wielkiego wojownika można poznać po pierwszym machnięciu szpadą – stwierdził Mansour. – Jesteś jednym z nas!

Znowu zapadła cisza. Wojownicy odpoczywali i posilali się, lecz Katarzynie jedzenie stawało w gardle. Cały czas spoglądała w stronę lektyki ustawionej przy wejściu do groty. Zapalona w jej wnętrzu lampka oliwna upodobniła ją do wielkiej latarni, wewnątrz której Abu czuwał nad rannym olbrzymem, Od czasu do czasu ze środka dolatywał jęk, od którego zamierało jej serce. Za chwilę Arnold miał zastąpić małego medyka, aby i on mógł nieco odpocząć. Katarzyna postanowiła, że pójdzie czuwać przy rannym wraz z mężem. Wiedziała, że będzie to ciężkie przeżycie i że potworne uczucie niemocy pogłębi się w obliczu rannego przyjaciela, być może... śmiertelnie rannego.

W górach rozległo się wycie wilków i Katarzyna zadrzała: to był zły znak.

Widząc smutek żony, Arnold nachylił się do niej i wyszeptał gorącym, uspokajającym głosem:

– Nigdy już nie będziesz cierpiała, moja duszko. Nigdy już nie będziesz głodna i nie będzie ci zimno, nigdy nie będziesz się bała. Przysięgam przed Bogiem, że póki życia mi starczy, zrobię, co w mojej mocy, żebyś zapomniała o wszystkich strasznych przejściach.

Kiedy pięć dni później grupa uciekinierów dotarła do Almerii, Walter jeszcze żył, lecz było jasne, że jest umierający. Życie, pomimo zacieklej walki wydanej śmierci przez małego medyka, uciekało powoli z jego potężnego ciała.

– Nic nie da się już zrobić – oświadczył medyk. – Nic nie przedłuży mu życia. Właściwie gdyby nie jego silna budowa, umarłby już w dniu, w którym zadano mu cios. A poza tym... – dodał po chwili namysłu – on nie chce żyć. On mi nie chce pomóc!

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Katarzyna.

– Że on nie chce dłużej żyć. Można by rzec, że jest szczęśliwy, iż umiera! Nigdy nie spotkałem człowieka przyjmującego własny koniec z takim spokojem.

– Ale ja chcę, żeby on żył! – zbuntowała się Katarzyna. – Czy nie można go do tego zmusić?

– Nic na to nie poradzimy! Myślę, że on uważa swoje ziemskie zadanie za zakończone, jako że odnalazłaś męża.

– Chcesz powiedzieć, że... już go nic nie obchodzi?

– Według mnie obchodzi go nawet za bardzo. I dlatego, myślę, jest zadowolony, że umiera.

Katarzyna zamilkła. Domyśliła się bowiem, co miał na myśli mały medyk. Teraz, kiedy znowu była z Arnoldem, Walter nie widział już dla siebie miejsca w życiu Katarzyny i nie chciał po tym, jak wspólnie przeżyli tyle ciężkich chwil, być biernym świadkiem jej szczęścia z Arnoldem.

– Jak długo będzie jeszcze żyć? – spytała. Abu wzruszył ramionami.

– Tego nikt nie wie. Może kilka dni, a może kilka godzin. Szybko traci

siły... a tak liczyłem na zbawienne działanie morskiego powietrza!

Morze! Katarzyna ujrzała je ze szczytu wzgórza. Rozciągało się u jej stóp aż po horyzont, połyskliwe, gładkie i ciemnoniebieskie, a słońce przeblyskiwało w nim tysiadcem diamentów. W dole widać było wielkie, olśniewająco białe miasto* [*„Białe miasto” – Almeria.] Z dominującą nad nim fortecą i z wielkim portem, w którym kołysały się statki o różnobarwnych żaglach. Na tle oślepiająco niebieskiego nieba poruszały się ciemnozielone pióropusze palm.

Miasto to leżało w przedłużeniu szerokiej doliny, porośniętej pomarańczowymi i cytrynowymi drzewami. Morze we Flandrii miało kolor szarzielony i toczyło wściekle swe spienione, wysokie fale, roztrzaskując je o targane wiatrem wydmy. Katarzyna, zapominając na chwilę o zmartwieniu, chwyciła Arnolda za rękę.

– Popatrz! To z pewnością najpiękniejsze miejsce na ziemi. Czy nie bylibyśmy cudownie szczęśliwi, mogąc tu zamieszkać?

On jednak pokręcił głową, a w kątku jego ust pojawiła się surowa zmarszczka, którą ona tak dobrze знаła.

– Nie! Nie bylibyśmy szczęśliwi! Jesteśmy przyzwyczajeni do czegoś innego. Ja przynajmniej nie jestem stworzony dla tego kraju, którego uroki kryją w sobie okrucieństwo i grzech, dzikie instynkty i wiarę, która jest nam obca. Żeby żyć na ziemi islamu, trzeba najpierw podbijać, zabijać, niszczyć, a potem panować... Wierz mi, że nasza pocziwa, surowa Owernia, jeśli kiedyś do niej wrócimy, da nam o wiele więcej prawdziwego szczęścia. – I uśmiechnąwszy się do niej, pocałował ją szybko w oczy i odjechał w stronę Mansoura.

Grupa zatrzymała się na wzgórzu, ażeby się naradzić. Mansour wskazał na białą fortecę i rzekł:

– To Alcazaba, siedziba księcia Abdullaha. Ma dopiero piętnaście lat, ale obchodzi go jedynie wojaczka. Na jego ziemiach nie musisz już obawiać się kalifa, Arnoldzie. Co zamierzasz?

– Znaleźć statek, który zawiózłby nas do ojczyzny.

– W porcie stoją dwa moje statki. Ja popłynę jednym do Afryki, aby obmyślić tam zemstę. Wy wsiadziecie na drugi i popłyniecie do Walencji. Od kiedy zostaliśmy wypędzeni przez Cyda* [*Cyd (*arab.* pan) – przydomek Rodriga Diaza (ok. 1040-1099), hiszp. bohatera narodowego, pogromcy Maurów.], nie przybijamy do portu nawet w celach handlowych. Kapitan wysadzi was nocą na wybrzeżu. W Walencji nie będzie kłopotu ze znalezieniem statku, który zawiezie was do Marsylii.

Arnold skinął głową. W Marsylii, należącej do królowej Yolandy, hrabiny Prowansji, czułby się już jak w domu. Widząc jego uśmiech, Katarzyna odgadła powód mężowskiej radości.

– A czy możemy odplłynąć jeszcze tej nocy? – spytał z niepokojem.

– Po co ten pośpiech? U Abdullaha znajdziecie braterską gościnę, którą ja sam chętnie bym wam ofiarował, gdybym mógł was zabrać do Magrebu. Może dzięki temu nie zachowasz, panie, aż tak złego wspomnienia z islamskiego kraju.

– Możesz być pewien, że nawet jeśli nie zachowam dobrego wspomnienia o całym islamie, to o tobie z pewnością. Poznanie ciebie, Mansourze, to był dar niebios, i dziękuję im za to! Ale jest jeszcze ranny...

– Nie przeżyje. Abu już wam mówił.

– Wiem, lecz gdyby przynajmniej mógł poczekać, zanim dotrzemy do francuskiej ziemi.

– Nie przetrzyma podróży – odparł Mansour po chwili namysłu. – Rozumiem jednak twój zamiar, bracie, stanie się więc, jak chcesz: jeszcze tej nocy na statku zostaną wciągnięte żagle!

Mansour wsiadł na konia, Katarzyna zaś wróciła do lektyki. Walter na chwilę odzyskał przytomność, lecz oddychał z coraz większym trudem, a jego twarz owionął podmuch śmierci. Pomimo to, spojrzął całkiem świadomie na Katarzynę, która odsunawszy zasłony powiedziała łagodnie:

– Oto morze, które zawsze kochałeś, o którym tyle mi opowiadałeś. Nad nim szybko przyjdiesz do zdrowia!

Lecz Walter tylko pokręcił głową, a na jego bladych wargach pojawił się bolesny uśmiech.

– Nie... i tak jest lepiej. Ja... umieram...

– Nie mów tak! – krzyknęła. – Zaopiekujemy się tobą!

– Nie! Po co kłamać? Ja wiem, że... I jestem szczęśliwy... Proszę cię tylko o jedno... Musisz mi coś obiecać, Katarzyno!

– Wszystko, czego chcesz!

Walter dał znak, żeby się zbliżyła. Katarzyna pochyliła się tak nisko, że jej ucho dotknęło prawie ust nieszczęśnika.

– Przysięgnij, że Arnold nigdy się nie dowie o tym, co się zdarzyło w Koce. To by go zabolalo... a przecież to była z twojej strony tylko jałmużna! Nie warto mu o tym wspominać!

Katarzyna wyprostowała się i chwyciła żarliwie bezwładną rękę, leżącą na materacu.

– Nie! – powiedziała z przekonaniem. – To nie była jałmużna! Zrobiłam to z miłości. Przysięgam na wszystko, co mi jest najdroższe: tamtej nocy kochałam cię naprawdę! Dałeś mi tyle radości! Do tego stopnia, że... – dodała zniżając głos – że miałam ochotę porzucić zamysł udania się do Grenady!

Katarzyna umilkła. Twarz Waltera pojaśniała z niewysłowionego szczęścia, jak u zadowolonego dziecka i po raz pierwszy od tamtej pamiętnej nocy Katarzyna odnalazła w jego wzroku płomień, który palił się w nim wtedy.

– Żałowałabyś tego, moje kochanie... – wyszeptał – ale dziękuję ci, że mi o tym powiedziałas! Teraz odejdę szczęśliwy!

Katarzyna otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz on dodał słabnącym głosem:

– Nie mów nic więcej... Zostaw mnie... Chciałbym mówić z medykiem, a nie mam już wiele czasu... Żegnaj, Katarzyno! Tylko ciebie zawsze kochałem...

Katarzyna poczuła ucisk w gardle, lecz nie ośmieliła się odmówić jego prośbie. Pochyliwszy się, złożyła na jego bladych wargach ostatni pocałunek, po czym zwróciła się do Marii, która siedząc w kąci cicho jak myszka, była świadkiem ich rozmowy.

– Zawołaj Abu! Ja wysiadam z lektyki.

Orszak posuwał się krok za krokiem, gdyż na drodze prowadzącej do białego miasta panował tłok. Musiał to być dzień targowy. Maria zawołała medyka, a Katarzyna połykając łzy, ześlizgnęła się na ziemię. Arnold jechał na przedzie obok Mansoura. Zawołała go z takim bólem w głosie, że zatrzymał się i

spojrzawszy na jej zalaną łzami twarz, pochylił się w siodle i podając jej dłoń powiedział:

– Chodź!

Podniósł ją z ziemi, posadził na koniu przed sobą i otoczył ramionami. Katarzyna ukryła twarz na jego piersi i gorzko załkała.

– Czy to już koniec? – spytał.

Nie mogąc odpowiedzieć, skinęła głową.

– Płacz, płacz, moja droga! To był wyjątkowy człowiek!

Grupa Mansoura torowała sobie drogę do statków stojących przy nabrzeżu wśród handlarzy ryb i mięczaków, jarzyn, owoców i przypraw, którzy siedzieli na ziemi przy koszach wypełnionych po brzegi towarem. Oprócz łodzi rybackich w porcie stało kilka wielkich statków handlowych, dwie barbarzyńskie galery i dwa imponujących rozmiarów statki wojenne z wiosłami. Mansour wskazał na nie ręką.

– Oto moje statki!

Montsalvy uśmiechnął się w duchu. Domyślił się bowiem, że oprócz zysków ciągnionych z dóbr w tajemniczym Maghrebie Mansour-ben-Zegriss trudnił się piractwem. Myśl o oddaniu się w ręce jakiegoś barbarzyńskiego kapitana, który na pełnym morzu mógł zmienić kierunek na Aleksandrię lub Trypolis i wystawić Marię i Katarzynę na targu niewolników, napełniła go poważnymi wątpliwościami. Bliska śmierć Waltera wiele zmieniała. Czy zdoła – tylko z pomocą Jossego – przeciwstawić się całej załodze i obronić kobiety? Abu wróci do Grenady i muzułmanin nie wystąpi w obronie chrześcijanina przeciwko chciwości barbarzyńców.

Ogarnięty tymi ponurymi przeczuciami, Arnold mocniej przycisnął Katarzynę do piersi, lecz ta nie zareagowała na jego uścisk. Szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się bowiem w miejsce, gdzie wpływał do portu jakiś statek, zastanawiając się, czy ją wzrok nie myli.

Statek ten nie przypominał stojących w porcie. Zamiast trójkątnych, wąskich jak ostrze lancy żagli, ten miał jeden wielki kwadratowy żagiel w niebiesko-czerwone pasy. Był szeroki i przysadzisty z wysoko ustawioną, rzeźbioną rufą. Jednak to nie kształt statku przykuł uwagę Katarzyny, lecz łopoczące nad bocianim gniazdem proporce. Na jednym z nich, srebrno-złotym, widać było trzy czarne muszle świętego Jakuba i trzy czerwone serca. Znała dobrze te znaki sygnalizacyjne.

– Jakub Serce! – krzyknęła. – Ten statek należy do niego! Arnold także patrzył na zbliżający się piękny statek, podziwiając największą flagę powiewającą majestatycznie na wietrze.

– Lilie Andegawenii, szlak Sycylii, pale Aragonii i krzyże Jeruzalem! – krzyknął oniemiały. – Królowa Yolanda!... Ten statek wiezie z pewnością ambasadora.

Serca małżonków wypełniła bezgraniczna radość. Ten statek oznaczał ojczyznę, przyjaźń, lojalność i szlachetność... Na nim czuliby się już jak w domu.

– Myślę – powiedział Arnold do Mansoura – że nie będzie nam już potrzebny twój statek. Tamten należy do przyjaciela i wiezie na pewno

ambasadora mojego kraju.

– Kupca! – zauważył Mansour z pogardą, dodając: – Ale dobrze uzbrojonego!

W istocie, nawet z daleka widać było otwarte w stronę nabrzeża paszcze sześciu wielkich katapult. „Magdalena”, bo tak nazywał się statek, nie miała jednak zamiaru przybijać do nabrzeża. Pośrodku portu zarzuciła kotwicę i spuściła na wodę barcę, w której znajdowało się trzech mężczyzn, jeden w turbanie i dwóch w haftowanych kapturach. Poruszając energicznie wiosłami, szybko dotarli do brzegu. Ponieważ jeden z nich wydał się Katarzynie znajomy, więc nie zważając na Arnolda, ześlizgnęła się z konia i pomagając sobie łokciami, przebrnęła przez tłum ciekawskich. Prawie wpadła na Jakuba Serce, kiedy ten wyskakiwał z barki na ląd...

Jakub nie poznał jej zrazu i chciał odepchnąć tę zakurzoną muzułmankę, która się do niego przyczepiła, lecz przyjrząwszy się dokładniej jej twarzy, zbladł jak chusta.

– Katarzyna?! – krzyknął zdziwiony. – To niemożliwe! Czy to naprawdę pani?

– Ależ tak, przyjacielu! To ja i jakżem szczęśliwa z tego spotkania! Chyba niebiosa cię tutaj zesłały! To niemożliwe... To jakiś cud...

Sama już nie wiedziała, co mówi, ogarnięta radością nie do wysłowienia. Arnold tymczasem popędził konia i także znalazł się przy barce.

– I pan Arnold jest tutaj! – krzyknął oszołomiony mistrz Jakub. – Co za szczęście spotkać was, zaledwie dotknąłem ziemi! A czy wiecie, serdeńka, że w tych okolicznościach moja misja jest skończona?

– Jakże to?

– A tak, że przybyłem tu, aby was odnaleźć. Czy nie zauważyliście królewskiego herbu na statku? Jestem ambasadorem księżnej-królowej i przybyłem żądać od kalifa Grenady wydania pana de Montsalvy i jego małżonki... W zamian za wydanie jednego z jego najlepszych kapitanów, schwytanego o wybrzeży Prowansji. Coś w rodzaju wymiany.

– Ryzykowałeś własnym życiem! – krzyknęła Katarzyna.

– Niewiele – uśmiechnął się Jakub Serce. – Mój statek jest potężny, a ludzie w tyra kraju szanują ambasadorów i interesują się wymianą handlową. Zawsze dochodzę do porozumienia z dziećmi Allacha, od kiedy włączę się po Morzu Śródziemnym.

Radość trojga przyjaciół nie miała końca. Śmiali się i mówili wszyscy naraz, zapominając o bożym świecie. Pytania padały jedno za drugim, nie czekając na odpowiedź, gdyż wszyscy chcieli natychmiast wszystko wiedzieć. Arnold i Jakub poklepywali się przy tym po plecach. Pierwsza otrząsnęła się Katarzyna, widząc jak zza zasłon lektyki ukazuje się zaniepokojona twarz małego medyka. Poczowała wyrzuty sumienia, że na chwilę zapomniała o umierającym przyjacielu, i skierowawszy błagalne spojrzenie na Jakuba Serce, chwyciła go za ramię, wyrывая go prawie z objęć Arnolda.

– Jakubie! Zabierz nas stąd jak najszybciej! Natychmiast!

W kilku słowach opowiedziała mu smutną historię Waltera i opalona twarz przyjaciela spochmurniała.

– Biedny Walter! – powiedział zasmucony. – Nigdy bym nie uwierzył...

Natychmiast przeniesiemy go na pokład, żeby oddał ostatnie tchnienie na ojczystej ziemi!

I odwracając się w stronę towarzyszących mu ludzi, z których jeden, mały człowieczek o żywych oczkach, był sekretarzem, jeśli sądzić po trzymanym przez niego pulpicie do pisania i po zwoju pergaminu, drugi zaś, w turbanie na głowie, spokojnie i nieruchomo stał z tyłu, skierował słowa do tego ostatniego:

– Panie Ibrahimie, jesteś w swoim kraju i jesteś wolny, ponieważ ja odnalazłem swoich przyjaciół.

– Dziękuję za kurtuazję, panie... Wiedziałem, że nie muszę się niczego obawiać z twojej strony. Nieczęsto zdarza się więźniowi przebywać w takim więzieniu jak twój statek. Dlatego płynąłem z tobą bez strachu.

– Miałem twoje słowo, panie, że nie uciekniesz, i to mi wystarczyło!

– odparł Jakub. – Żegnaj, Ibrahimie!

Więzień, skłoniwszy się głęboko, zniknął w tłumie. Tymczasem marynarze Jakuba wynieśli ciało umierającego z lektyki i umieścili je w barce. Abu usiadł obok niego i powiedział:

– Zostanę przy nim do końca, Kiedy ruszacie w morze?

– Pojutrze – odparł Jakub Serce. – Muszę załadować jedwabie, meble inkrustowane, przyprawy, wyprawione skóry, garnki i zwoje pergaminu...

Katarzyna uświadomiła sobie, że Jakub co prawda przybył po nich jako przyjaciel, lecz ta podróż – przedsięwzięta z przyjaźni – musiała mu się jednak zwrócić...

Kiedy barka z umierającym ruszyła w stronę statku, Katarzyna zbliżyła się do Jakuba i spytała:

– W jaki sposób dowiedziałeś się, przyjacielu, że tutaj jesteśmy?

– To długa historia, lecz odpowiem w dwóch słowach: wszystko stało się dzięki starej hrabinie de Châteauvillain. Ponoć opuściliście ją w samym sercu gór, zostawiając w jej rękach giermka pana Arnolda. Dama ta pociągnęła go ostro za język, po czym szybko wróciła do Angers do księżnej pani i opowiedziała jej całą historię. A królowa Yolanda wezwała mnie i razem zorganizowaliśmy moją wyprawę.

– To niewiarygodne! – krzyknęła oszołomiona Katarzyna. – Ermengarda, która chciała za wszelką cenę połączyć mnie z księciem Filipem!

– Możliwe... dopóki sama wierzyła, że jest to dla ciebie najlepsze rozwiązanie. Lecz kiedy zrozumiała, że raczej dasz się posiekać, niż zaprzestasz poszukiwań pana Arnolda, zrezygnowała ze swego pomysłu i postanowiła ci pomóc. Starszej pani zależy przede wszystkim na twoim szczęściu. Nie możesz sobie wyobrazić, ile zamieszania było przez nią przed moim wyjazdem. Z trudem udało mi się wyperswadować jej podróż statkiem!

– Kochana Ermengarda... – westchnęła Katarzyna z rozczuleniem.

– To wyjątkowa kobieta... Lecz powiedz mi, skąd hrabina mogła wiedzieć, że dotrę żywa do Grenady i że odnajdę Arnolda?

Jakub Serce uśmiechnął się kpiąco i rzekł:

– Hrabina zna cię dobrze! Wiedziała, że gdyby twój mąż został uwięziony w samym sercu Afryki, znalazłabyś sposób, żeby go stamtąd wyrwać! Oczywiście droga byłaby tylko trochę dłuższa...

Zbliżał się świt, kiedy w kajucie znajdującej się na rufie Walter wyzionął ducha z twarzą zwróconą w stronę morza, którego nie dane już mu było przebyć. Jego agonía była straszna. Powietrze nie docierało do poszarpanych płuc i walka ze śmiercią była z góry przegrana.

Przebywający wraz z nim w kajucie Katarzyna, Arnold, Abu, Josse, Maria i Jakub Serce w milczeniu uczestniczyli w beznadziejnej walce olbrzyma o życie.

W końcu nastąpiły ostatnie konwulsje i westchnienie podobne do rżenia, po czym olbrzymie ciało zeszywniało kołysane łagodnie ruchami zakotwiczonego statku, który w tej chwili zazgrzytał ponuro, a mewy i rybitwy siedzące na pokładzie zerwały się do lotu z przeraźliwym jazgotem.

Katarzyna zrozumiała, że to koniec. Szlochając dotknęła dwoma palcami powiek przyjaciela, zamykając na zawsze jego oczy, po czym przytuliła się do Arnolda ukrywszy zalaną łzami twarz na jego piersi.

Przygnębioną ciszę przerwało ciche kasznięcie Jakuba.

– Kiedy wstanie słońce, wrzucimy jego ciało do morza.

– Nie! – zaprotestował Abu. – Obiecałem mu, że dopilnuję jego pochówku. Zaraz ci powiem, co masz zrobić!

Obaj wyszli, a Katarzyna uklękła z Arnoldem przy łożu zmarłego, by pomodlić się za jego duszę. Dołączyli do nich Josse i Maria. Mimo że Josse miał oczy błyszczące od łez, to nie spuszczał wzroku z małej Marii, którą od pewnego czasu jakby wziął pod swoją opiekę.

Trzy godziny później przed załogą zgromadzoną na pokładzie „Magdaleny”, przy nieustających dźwiękach okrętowego dzwonu towarzyszącemu pochówkowi, odbyła się niecodzienna ceremonia.

Statek powoli wpłynął do portu, a za nim płynęła łódź żaglowa, wyłożona słomą, na której leżało ciało Normandczyka owinięte całunem. Na wysokości latami morskiej Montsalvy wskoczył do łodzi i podniósł żagiel, następnie, po linii łączącej statek z łodzią, Arnold wspiął się na „Magdalene”. Po powrocie na pokład przeciął sznur. Barka, jakby popychana niewidzialną ręką, nabrała wiatru w żagiel i szybko minęła czerwony kadłub statku o spuszczonej wiosłach. Zebrani na pokładzie widzieli, jak unosi długi, biały kształt. Wtedy Abu podał Arnoldowi wielki jesionowy łuk. Umieściwszy w nim płonącą strzałę, napiął mięśnie... Strzała świsnęła i utkwiała w samym środku łodzi, zapalając słomę. Barka momentalnie stanęła w płomieniach. Ciało zniknęło za zasłoną ognia, podniecanego przez wiatr, który uniósł łódkę na pełne morze...

Arnold opuścił łuk i spojrzawszy błyszczącymi oczami na Katarzynę rzekł:

– Tak odchodzili ongiś drogą ku wieczności kapitanowie statków-węzów. Ostatni wiking miał taki pogrzeb, jakiego sobie życzył...

Następnego dnia o świcie niebiesko-czerwony żagiel „Magdaleny” został wciągnięty na maszt i statek Jakuba Serce majestatycznie opuścił port w Almerii. Katarzyna przytulona do Arnolda pod wspólnym płaszczem spoglądała na oddalające się białe miasto, starając się wypatrzeć wśród ruchu panującego na nabrzeżu śmieszny, pomarańczowy turban Abu-al-Khayra.

Po śmierci Waltera było jej ciężko na duszy, gdyż jemu zawdzięczała

odzyskane szczęście, lecz mały medyk nie pozwolił jej na rozczulenie.

– Mędrzec powiedział: „Nieobecność istnieje dla tych, którzy nie potrafią kochać. Jest jak zły sen, z którego człowiek budzi się pewnego dnia, żeby natychmiast o niej zapomnieć”... Pewnego dnia zapukam do waszych drzwi. Muszę zbadać jeszcze wiele dziwnych zwyczajów, jakim hołdujecie w waszym kraju – dodał.

Kiedy miasto zniknęło z oczu, Katarzyna udała się na dziób, by obserwować, jak statek tnie niebieską wodę morską, i krążące nad pokładem białe mewy. Daleko za horyzontem czekała Francja, ziemia rodzinna, śmiech małego Michała, pocziwa twarz Sary, żylaste ręce i wierne oczy ludzi z Montsalvy. Spojrzała na Arnolda, którego wzrok również błędził po linii horyzontu.

– Wracamy do domu... – szepnęła. – Czy tym razem już na zawsze? Uśmiechnął się do niej na swój sposób, czule i kpiąco zarazem, po czym odparł:

– Sądzę, kochana, że to ostatnia wędrówka pani de Montsalvy! „Magdalena” wypłynęła na pełne morze, nabrała wiatru w żagiel i jak ogromny, wyzwolony ptak uleciała na grzbietach niebieskich fal.

Epilog

CZAS KOCHANIA

Od samego brzasku dwaj bracia zakonni uwijali się w pocie czoła, na zmianę pociągając za wielki dzwon opactwa Montsalvy, który nie przestawał dzwonić, głosząc radosną nowinę. Jednocześnie na murach obronnych rozlegały się dźwięki trąbek.

Od trzech dni do bram nowego zamku, którego białe wieże górowały nad głębokimi dolinami, ściągały lektyki, rycerze, powozy i wojownicy, paziowie i służba, a całe miasteczko było postawione na równe nogi. Powiadano, że Sara, zarządzająca w zamku służbą, pokojówkami i kucharzami, nie wiedziała, w co ręce włożyć, i że wkrótce zabrakło miejsca dla gości, pomimo zapełnienia się domu gościnnego opactwa i wszystkich domów w miasteczku. Tego jednak dnia wszystko lśniło, a pośród wspaniałego orszaku, który wyszedł z kościoła i skierował się do nowego zamku, panowała atmosfera największej radości. Całe miasteczko było ustrojone, od progów po dachy domów. Z kufrów powyciągano odświętne stroje z najlepszej wełny, wykrochmalono najstrojniejsze czepki. Dziewczęta wplotły we włosy nowe wstążki, a chłopcy założyli czapki na bakier i przyglądali się pannom zadziornie, starając się zgadnąć, z którą z nich znikną w pobliskim lesie, kiedy zapadnie zmierzch.

Było to największe święto w dobrach Montsalvy od dziesięciu lat. Świętowano odzyskany dobrobyt, inaugurację nowego zamku i ostateczne osiedlenie pana Arnolda i pani Katarzyny w ich dobrach, wreszcie chrzest małej Izabeli, którą niedawno młoda dziedziczka wydała na świat.

Stawiła się cała szlachta z odległości dwudziestu mil wokół. Przybyli też wysłannicy królewscy z życzeniami dla właścicieli miasteczka. Zjawili się także królewscy kapitanowie, którzy z radością odnaleźli starego towarzysza broni, uznanego dawno za straconego.

Największą atrakcją byli jednak ojciec i matka chrzestni. Szli na przedzie orszaku tuż za Sarą odzianą w purpury i koronki z Brugii, która dumnie niosła niemowlę. Ludzie na ich widok przyklękali z szacunkiem, nieczęsto bowiem zdarzało się witać w surowej Owernii samą królową i konetabla Francji! Matką chrzestną była bowiem sama królowa Yolanda Andegaweńska, piękna i imponująca w swej złotej koronie, podtrzymującej czarny, haftowany złotem woal. Chrzestnym zaś był Richemont w kapeluszu zdobionym wielkimi perłami. Prowadził królową za rękę po kobiercu rozesłanym na gościńcu w deszczu spadających na nich płatków kwiatów i liści rozrzucanych przez młode dziewczęta. Obydwoje odpowiadali skinieniem ręki na pozdrowienia i entuzjastyczne okrzyki tłumu, radującego się wiejskim świętem, któremu obecność tej pary nadawała blasku królewskiej uroczystości.

Za nimi szła pani de Richemont, otoczona wianuszkiem dam dworu w długich, spiczastych stroikach. Dalej ciągnęli panowie o dumnych minach, wśród których wyróżniał się słynny i groźny pan La Hire. Jednak najpiękniej ze wszystkich, co przyznałby każdy z mieszkańców Montsalvy z nie ukrywaną dumą, wyglądała pani Katarzyna...

Od kiedy przed paroma miesiącami wróciła wraz z panem Arnoldem do

dóbr przodków, jej uroda rozkwitła, dochodząc do doskonałości i czyniąc z każdego jej ruchu istny poemat, a z każdego uśmiechu oczarowanie. O tak, ze szczęściem było jej do twarzy! Ukryta pod długim muślinowym trenem, zwisającym z jej spiczastego czepka, wyglądała jak wróżka z bajki. Była najpiękniejszą z kobiet, a prowadzącego ją pana Arnolda rozpierała duma. Ubrany na czarno, za jedyną ozdobę mając łańcuch z rubinów, chciał skromnością własnego stroju podkreślić blask żony. Miejscowi wieśniacy patrzyli na szczęśliwą parę ze łzami w oczach.

Istotnie, Katarzyna jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa jak owego październikowego dnia 1435 roku, ponieważ w końcu miała wokół siebie wszystkich, których kochała najbardziej. W zamku czekali na nią dawno nie widziani matka i wuj Mateusz, co prawda postarzały, lecz nadal w pełni sił. Jedyne siostra Luiza nie przybyła na uroczystość, gdyż od wielu miesięcy przebywała zamknięta w klasztorze w Tart.

– O czym myślisz? – spytał Arnold spoglądając na żonę z uśmiechem. — O wszystkim... i o nas. Czy mogliśmy przypuszczać, że jeszcze spotka nas szczęście? Mamy wszak wszystko: piękne dzieci, rodzinę, wspaniałych przyjaciół, zaszczyty, a nawet wielkie bogactwo...

Zawdzięczali je Jakubowi Serce, który sprzedawszy słynny czarny diament uzyskał zań krocie. Użył go z korzyścią dla własnej fortuny i zwrócił swym przyjaciołom w trójnasób to, co od nich dostał, kiedy sam był w tarapatkach.

– Nie – przyznał szczerze Arnold. – Przestałem wierzyć, że to możliwe. Czy jednak nie sądzisz, moja droga, że trochę zasłużyliśmy na to? Tyle wycierpieliśmy, a zwłaszcza ty...

– Dawno już o tym zapomniałam. Jedyne, co mnie zasmuca, to to, że twoja matka nie może teraz być z nami.

– Jestem pewien, że patrzy na nas z tego tajemniczego miejsca, gdzie musiała spotkać się z Walterem... A czyż nie odżyła dzięki nam na nowo?

Istotnie, mała Izabela nie była podobna do matki. Odziedziczyła niebieskie oczy babci, piękny profil Montsalvych i czarne włosy po ojcu. Według Sary miała też charakter ojca, niezwykły i sarkastyczny.

Na razie mała Izabela spała spokojnie w ramionach Cyganki ubrana w jedwabie i koronki. Nie przeszkadzały jej odgłosy piszczałek, fletów ani kobz. Zaciskała malutki paluszek na palcu opiekunki i zdawało się, że nawet strzały armatnie nie są w stanie jej obudzić.

Niemowlę nie oparło się jednak atakowi dwóch osób, które rzuciły się na nie, kiedy tylko orszak ukazał się na dziedzińcu zamku: trzyletniego chłopczyka o złocistych, błyszczących włosach oraz zwałistej damy odzianej w purpurę i złoto: swojego brata Michała i Ermengardy de Châteauvillain, honorowej matki chrzestnej.

Pomimo dzielnej obrony Cyganki Sary i krzyków Michała, który także chciał wziąć siostrę na ręce, Ermengarda zawładnęła nią siłą i oddaliła się z łupem, który zaczął ryczeć jak opętany w wielkiej sali, w której przygotowano ucztę. Za nią wszyscy goście zapelnili salę, która wkrótce rozbrzmiała śmiechami, okrzykami i dźwiękami lutni, przygrywających do posiłku.

Podczas gdy pod kierunkiem Jossego, intendenta zamku, i jego żony

Marii mieszkańcy miasteczka zajmowali miejsca przy długich stołach ustawionych na dziedzińcu nie opodal wielkich ognisk, na których piekły się całe barany i niezliczona ilość drobiu, podczas gdy muzycy rozpoczynali pierwsze nuty pod drzewami ogrodu, w którym zaroilo się od młodych dziewcząt, a piwniczni otwierali potężne beczki z winem i jabłeczniakiem, w wielkiej sali przyjęć rozpoczynała się uczta, jakiej jeszcze nie widziała stara Owernia.

Kiedy po licznych daniach, pasztetach, dziczyźnie, rybach, pawiach ustrojonych w ich własne pióra, nadziewanych dzikach prezentujących dumnie swe szable na półmiskach w otoczeniu pieczonych jabłek i pistacji służba wniosła desery, torty, konfitury, nugaty i kremy, a do tego wina hiszpańskie i francuskie, pan de Xaintrilles wstał od stołu i dał znak, by wszyscy umilkli. Wznosząc jedną ręką puchar wina, drugą pozdrowił królową i konetabla, po czym zwrócił się tymi słowy do gospodarzy:

– Drodzy przyjaciele, za pozwoleniem królowej i pana konetabla chciałbym wyrazić radość tu obecnych, że możemy wspólnie uczestniczyć we wskrzeszeniu rodu Montsalvych, a równocześnie w odnowie naszej ojczyzny. W całej Francji wojna oddała się, tu i ówdzie Anglik jeszcze się czepia, lecz to ostatnie jego podrygi. Traktat, który król podpisał w Arras z księciem Burgundii, zakończył wreszcie braterskie walki. Nie ma już, przyjaciele, Armaniaków i Burgundczyków! Są tylko wierni poddani króla Karola Zwycięskiego, niech Bóg zachowa go w zdrowiu i potędze!

Xaintrilles przerwał dla nabrania oddechu i czekał, aż umilkną wiwaty. Rzuciwszy wokół żywe spojrzenie, zatrzymał wzrok na Katarzynie i Arnoldzie, którzy uśmiechali się do niego, trzymając się za ręce.

– Arnoldzie! Bracie mój! – ciągnął dalej. – Myśleliśmy, że już nie ma cię wśród nas. Wróciłeś i cieszymy się z tego powodu. Nie powiem, co myślę o tobie, wiesz o tym od dawna! Lecz tobie, Katarzyno, która w imię wielkiej miłości potrafiłaś, narażając życie, wyrwać naszego druha ze szponów śmierci, która sama pokonałaś La Trémoille'a, która pomogłaś w zakończeniu dzieła Dziewicy Orleańskiej, chciałbym powiedzieć, jak bardzo jesteś nam droga i jak bardzo jesteśmy dumni i szczęśliwi, że dzisiaj możemy być twoimi gośćmi i po wsze czasy twoimi przyjaciółmi. Niewielu mężczyzn byłoby zdolnych do tego, co ty uczyniłaś. Macie przed sobą długie i szczęśliwe życie i za zadanie przedłużenie wspaniałego rodu Montsalvych! A teraz, szlachetne panie, szlachetni panowie, proszę o powstanie! Wypijmy za szczęście Katarzyny i Arnolda de Montsalvy i za długie życie najdzielniejszego z chrześcijańskich rycerzy i najpiękniejszej damy Zachodu!

Ostatnie jego słowa zagłuszyła owacja, odbijając się echem od nowych stropów zamku i łącząc się z okrzykami radości wieśniaków na dziedzińcu. Katarzyna, blada ze wzruszenia, chciała wstać, by podziękować za przemówienie, lecz okazało się to ponad jej siły i musiała oprzeć się na ramieniu Arnolda, żeby nie upaść.

Późno w nocy, kiedy bal się skończył, Katarzyna i Arnold udali się na spoczynek do swojego pokoju, który urządzone w południowej wieży zamku. We wszystkich zakątkach zamku spała pokotem służba, tam gdzie kogo sen

zaskoczył. Królowa, a po niej konetabl, dawno udali się do swoich apartamentów, lecz na dziedzińcu tańce jeszcze się nie skończyły wokół przygasających ognisk.

Katarzyna była zmęczona, ale nie senna. Rozpierające ją szczęście nie pozwoliłoby jej zmrzyć oczu. Siedząc na łożu z niebieskimi zasłonami, patrzyła, jak Arnold bez pardonu wyrzuca za drzwi jej służące.

– Dlaczego je odesłałeś? – spytała. – Sama nigdy nie uporam się z tym strojem!

– Przecież ja tu jestem! – odparł z kpiącym uśmiechem. – Zaraz zobaczysz, jaka ze mnie dobra pokojówka!

I zrzuciwszy swój żupan, jął odpinać szpilki przytrzymujące długi czepek Katarzyny. Robił to tak zgrabnie, że Katarzyna nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Rzeczywiście – powiedziała. – Jesteś co najmniej tak sprawny jak Sara!

– Poczekaj, moja droga, to jeszcze nic! Wstań!

Katarzyna usłuchała, gotowa pokazać mu, które agrafki i wstążki należy odpiąć w pierwszej kolejności, lecz zanim zdążyła otworzyć usta, Arnold chwycił suknię za dekolt, zerwał ją z niej jednym zdecydowanym ruchem. Niebieska satyna rozdarła się z góry na dół. Natychmiast ten sam los spotkał batystową koszulkę i Katarzyna stanęła przed Arnoldem, jak ją Pan Bóg stworzył, mając jako jedyną osłonę jedwabne, niebieskie pończochy.

– Arnoldzie! Ty chyba oszalałeś! Taka piękna sukienka!

– Właśnie! Nie powinnaś dwa razy zakładać sukni, w której odniosłaś taki sukces! A poza tym – dodał całując ją – jest taka niepraktyczna do zdejmowania!

Usta Arnolda były gorące i pachniały winem. Całował ją powoli, starając się obudzić jej pożądanie, które czyniło z niej prawdziwą rozpustnicę nie znającą wstydu i zahamowań. Jedną ręką przyciskał ją do siebie, a drugą pieścił jej plecy, piersi i brzuch. Pod jego dotykiem Katarzyna zaczęła wibrować jak harfa na wietrze.

– Arnoldzie... – jęknęła przy jego ustach – proszę...

Arnold, ująwszy jej głowę w dłonie, odchylił ją do tyłu, by zobaczyć twarz żony w pełnym świetle.

– O co mnie prosisz, kochanie? Żebym cię kochał? Ależ ja właśnie mam zamiar to zrobić! Będę cię kochać aż do utraty tchu, aż zaczniesz błagać o łaskę. Tak bardzo cię pragnę! – Równocześnie pochylił się jeszcze bardziej i oboje upadli na niedźwiedzią skórę, rozciągniętą przy kominku. – Teraz jesteś moim więźniem i nie wyrwiesz mi się – powiedział obejmując ją mocno.

Ona także otoczyła męża ramionami, szukając gorączkowo jego ust.

– Nie mam ochoty ci się wyrywać, moje kochanie. Kochaj mnie, kochaj, aż zapomnę, że nie jestem tobą, aż będziemy tworzyć jedno ciało!

I przyłgnęła do niego mocniej, by czuć każdą cząstkę jej ciała, po czym długo jeszcze słychać było w pokoju błogie jęki zakochanej kobiety.

Kiedy burza zmysłów minęła, Katarzyna patrząc na drzemiącego męża spytała nagle:

– Co ci powiedział La Hire podczas balu? Czy to prawda, że na wiosnę musisz wyruszyć do boju?

Arnold odemknął jedno oko i naciągnawszy niedźwiedzią skórę na siebie i nieco drżącą małżonkę, odpowiedział:

– Anglicy zajmują jeszcze kilka pozycji. Dopóki ich nie przegnamy... Katarzyna nastraszyła się co niemiara, myśląc, że wszystko zacznie się od nowa.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, nie chcę, żebyś znowu mnie opuścił! Odzyskałam cię i nie zamierzam cię utracić!

Zacisnęła wokół niego ramiona jak dziecko, bojąc się, że nagle mógłby się ulotnić. Arnold czule pogładził ją po policzku i delikatnie pocałował. Jego białe zęby błysnęły w uśmiechu.

– Czy sądzisz, że pilno mi cię opuścić, że mam ochotę spędzać samotnie noce bez ciebie? Jestem żołnierzem i to jest mój zawód. Jeśli wyjadę, ty wyjedziesz wraz ze mną. Kampanie nie trwają dłużej niż pół roku, a wszędzie, gdzie toczą się bitwy, są jakieś zamki na tyłach. Będziesz na mnie czekać i już nigdy się nie rozstaniemy. Koniec ze łzami, koniec ze strachem i z cierpieniami. Teraz nastał dla nas czas kochania. Nie stracimy więc z niego ani jednej chwili...